STANISŁAW WOJCIECHOWSKI

moje WSPOMNIENIA

KSIĄŻNICA ATLAS

STANISŁAW WOJCIECHOWSKI

MOJE WSPOMNIENIA

TOM I

KSIĄŻNICA-ATLAS * LWÓW-WARSZAWA

MOJE WSPOMNIENIA

I

STANISŁAW WOJCIECHOWSKI

MOJE WSPOMNIENIA

TOM I

KSIĄŻNICA-ATLAS * LWÓW-WARSZAWA

2942

ZAKŁADY GRAFICZNE SKI AKC. KSIĄŻNICA-ATLAS WE LWOWIE

PRINTED IN POLAND

J VIII

I

W UNIWERSYTECIE WARSZAWSKIM

1888—1891

Gimnazjum filologiczne skończyłem w Kaliszu w 1888 r. W sierpniu tegoż roku zapisałem się na wydział fizyko-matematyczny w uniwersytecie warszawskim. Przyjechałem do Warszawy zupełnie nie obeznany z prądami i tajnymi organizacjami, które w tym czasie ogarniały młodzież. Kalisz, najbardziej wysunięte na zachód miasto Kongresówki, nie miał jeszcze połączenia kolejowego z Warszawą; do najbliższej stacji w Kutnie było 120 km jazdy karetką pocztową. Nie łączyły nas żadne węzły organizacyjne z młodzieżą warszawską, żyliśmy w odosobnieniu.

Pierwsze tajne kółko uczniowskie powstało w Kaliszu dopiero w 1897 r. Przedtem stosunki z innymi szkołami ograniczały się do zabiegów o wydostanie tematu egzaminacyjnego z języka rosyjskiego, co decydowało o otrzymaniu matury. Temat był wyznaczany jeden dla wszystkich szkół w Kongresówce. Corocznie w końcu maja ósma klasa każdej szkoły starała się zawczasu wydostać temat za pomocą łapówki albo wykradzenia przez woźnego gimnazjalnego. Komu się to udało, zaraz komunikował temat innym szkołom w umówiony sposób. Pomimo tej

tajnej pomocy i wysiłków Kozłowskiego i Dymitriewskiego, głównych rusyfikatorów w naszej szkole, wyniki ostateczne z języka rosyjskiego były marne.

Większość nauczycieli Polaków również słabo władała językiem rosyjskim. Gdy rusyfikatorzy zakazywali rozmawiać po polsku, posługiwaliśmy się gwarą łacińską. Nasz makaronizm rozweselał ciężkie życie opiekunów klasowych. Spośród nauczycieli wdzięczną pamięć zachowałem o ks. prefekcie Szafnickim, który swym postępowaniem i podniosłymi kazaniami zagrzewał nas ku dobremu, i o Stefanie Gillerze, który nauczył nas dobrze pisać po polsku i pobudził do uzupełniania poza szkołą szczupłych wiadomości z historii i literatury polskiej. W polskich domach można było znaleźć lipskie i paryskie wydania naszych romantyków, przywożone przez zieloną granicę z Wielkopolski. Poza tym na straży naszej polskości stała rodzina i religia.

Na zewnątrz Kalisz robił wrażenie wiernopoddańczego miasta. Nie było zatargów z władzami, zabiegi rusyfikacyjne były słabsze niż w innych miastach, co w części przypisać należało układnemu gubernatorowi Daraganowi, b. oficerowi gwardii, w części zaś temu, że rusyfikatorzy nie śpieszyli do miasta bardzo oddalonego od kolei. Zaloty miejscowej administracji do dusz polskich były paraliżowane przez wspomnienia ostatniego powstania i zgrzyty, wywoływane zarządzeniami władz centralnych, jak np. nakaz, żeby w galówki po nabożeństwie chór uczniowski śpiewał „Boże caria chrani“. Na placu św. Józefa stał pomnik zjazdów Aleksandra I i Mikołaja I z królem pruskim Fryderykiem, spiskującym przeciwko Polsce.

W wielu rodzinach żywa była pamięć powstania 1863 r., w którym najbliżsi przypłacili miłość ojczyzny życiem albo wygnaniem na Syberię. Jak relikwie przechowywano czarne rogatywki, pokazywano ukryte w ogrodach i lasach mogiły powstańców. W okolicach Kalisza walczyły oddziały Miśkiewicza, Parczewskiego, Taczanowskiego. Wszystko to rozbudzało w nowym pokoleniu gorące uczucia patriotyczne, których nie mogła wytępić szkoła rosyjska. Zabiegi rusyfikatorów osiągały tylko ten skutek, że potęgowały w nas uczucie spójni narodowej — silnej podstawy w późniejszej działalności.

Z takim domowym przygotowaniem przyjechałem do Warszawy, znajdując tutaj nową pobudkę w tajnych kółkach studenckich, założonych w 1885 roku. Miały one na celu samokształcenie, wyrabianie przekonań i charakterów, święcenie rocznic powstań, pomaganie w pracach tajnego Towarzystwa Oświaty Ludowej, założonego przez Brzezińskiego i Hirszfelda. Kółko kaliskie, do którego należałem, było tak liczne, że dla ułatwienia zebrań trzeba było rozdzielić je na dwa komplety. Naszym bibliotekarzem był Kochanowicz, przewodniczącym Idzikowski, obydwaj z wydziału medycznego. W ogóle medycy przodowali w życiu młodzieży warszawskiej.

Zebrania kółka odbywały się co tydzień. Każdy członek obowiązany był przygotować w ciągu roku przynajmniej dwa referaty na wybrane tematy; potrzebne książki wskazywali starsi koledzy i bibliotekarz. Referat był przedmiotem dyskusji, w której wyrabiały się poglądy kółkowiczów w danej sprawie. W naszym kółku najwięcej zajmowano się historią

Polski, ekonomią i socjologią. W rocznice powstań odbywały się zebrania z udziałem zaproszonych delegatów innych kółek. W tym celu wybierano większy lokal z oknami na podwórze, żeby po mowach i deklamacjach śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła“, „Boże, coś Polskę“, „Gdy naród do boju wystąpił“, „Z dymem pożarów“, „Czemu tęsknisz za chatą“ i inne. Obowiązkiem gospodarza lokalu było zapewnić sobie przychylną neutralność rządcy i stróża domu. Większe zebrania w czasie zatargów z władzami uniwersyteckimi odbywały się w klinikach, laboratoriach i restauracji „cioci“ Michaux w podwórzu domu przy ulicy Świętokrzyskiej nr 17, gdzie cała służba była „wtajemniczona“ i nie wpuszczała niepożądanych gości. Tutaj również odbywały się pożegnania kółkowiczów kończących uniwersytet. Ślubowali oni nadal prowadzić pracę oświatową i inicjować akcję społeczną na terenie swojej działalności zawodowej.

Grupowaliśmy się według ukończonych szkół; kółek było prawie tyle, co gimnazjów w Kongresówce. Studenci, związani pochodzeniem z tych samych stron rodzinnych, wspomnieniami z jednej ławy szkolnej, tworzyli bardziej trwałe zespoły, niż późniejsze ugrupowania według przekonań, gdzie trudniej było ocenić wartość moralną członka tylko na podstawie jego oświadczeń. Terytorialna organizacja umożliwiała również wciągnięcie większej liczby studentów do pracy kółkowej. W czasie mojego pobytu w uniwersytecie kółka objęły przeszło 500 studentów i nie było wypadku, żeby policja wkroczyła na jakie zebranie albo była powiadomiona o planowanej w kółkach akcji.

Delegaci kółek po jednym od każdego tworzyli Koło, które było naszym parlamentem i przedstawicielstwem w stosunkach z innymi uniwersytetami i instytucjami. Przez delegatów Koło informowało się o działalności kółek, ich uchwałach i występujących różnicach przekonaniowych, nadawało kierunek pracy i zapobiegało rozłamom tym bardziej nieuzasadnionym, że występujące różnice były zmienne, zależne od tego, kto w kółku swoją energią i wymową wybijał się na przewodnika. Za moich czasów Koło było organizacją tak zwartą, że nadawało ton całej młodzieży warszawskiej i decydowało o jej wystąpieniach samodzielnie, wbrew żądaniom zsolidaryzowania się z akcją młodzieży rosyjskiej wysuwanym przez delegatów innych uniwersytetów.

Kiedy w terytorialnych kółkach zaczął występować podział na narodowców i międzynarodowców, szczególnego znaczenia nabrały doroczne wybory prezesa Koła. Przed głosowaniem kandydaci (zazwyczaj 2) obowiązani byli na zebraniu delegatów wyjaśnić swoje poglądy społeczno-polityczne i kierunek, w jakim chcą rozwijać działalność Koła. Po mowach kandydatów bez dyskusji przystępowano do głosowania. Za moich czasów większość głosów zawsze otrzymywali narodowcy.

Oprócz Koła działała wcześniej założona, mniej zakonspirowana Kasa Studencka, zawiązek późniejszej „Bratniej Pomocy". Udzielała pożyczek na wniosek komitetów kursowych, wybieranych przez członków, płacących po złotówce (30 groszy) miesięcznie. Oprócz składek Kasa czerpała środki z różnych imprez i ofiar. Na odpowiedzialne stanowiska zarządza-

jących i zbierających składki wybierano najczęściej kandydatów stawianych przez kółka terytorialne. Nie było ani jednego wypadku nadużycia zaufania; pomocy udzielano z zachowaniem ścisłej bezstronności. Obiady jadaliśmy w taniej kuchni Towarzystwa Dobroczynności, która mieściła się w podwórzu przy kościele Św. Krzyża. Funduszami, pochodzącymi z oficjalnych balów i koncertów na wpisy dla niezamożnych studentów, rozporządzały władze uniwersyteckie. Sposób, w jaki to robiły, skłonił nas do bojkotowania tych imprez od 1891 r.

Tajny sąd koleżeński dla orzekania w wypadkach wykroczeń przeciwko etyce studenckiej był wybierany w podobny sposób jak zarząd Kasy, ale mało miał do roboty; wykroczenia były bardzo rzadkie. W pamięci zachowałem jeden incydent, który wywołał wiele śmiechu. Kiedy do sądu nadeszła sprawa kolegi, oskarżonego o złamanie solidarności przy bojkotowaniu prof. Ziłowa, do mieszkania ówczesnego prezesa sądu, Idzikowskiego przyszła matka oskarżonego z głową cukru i prośbą o ułaskawienie syna. Mocno oburzonego tą łapówką Idziego pocieszaliśmy, że świadczy to, iż nawet Żydzi boją się wyroków naszego sądu.

Kwestia żydowska u nas jeszcze nie istniała. Jedynie przybywający z Kresów Żydzi, nazywani litwakami, drażnili nas swoją arogancją i popisywaniem się na każdym kroku swoją rosyjskością. Z tego powodu nieraz dochodziło do bójek. Trochę mówiliśmy o niebezpieczeństwie „użydzenia", ale górowały złudzenia asymilacji. Ówcześni propagatorzy pracy organicznej więcej interesowali się postępami cywilizacji na Za-

chodzie niż organizacją polskiego handlu. Panował jeszcze szlachecki wstręt do pracy fizycznej i handlu, pierwsi Wokulscy[1] mieli gorzkie życie.

Wśród rosyjskiej młodzieży przeważali wychowańcy seminariów duchownych, przyjmowani tylko do warszawskiego uniwersytetu w celach rusyfikacyjnych; najwięcej ich było na wydziale filologicznym. Część ich była nastrojona rewolucyjnie, ale nie utrzymywaliśmy z nimi stosunków; tylko w czasie zaburzeń w rosyjskich uniwersytetach miewaliśmy z nimi konflikty, ponieważ żądali poparcia ich naszym wystąpieniem.

Wśród polskiej młodzieży wyróżniały się trzy typy: społecznicy, fachowcy i fraczkiewicze. Najliczniejsi byli społecznicy, biorący żywy udział w pracy kółkowej i w oświacie ludowej. Fachowcy byli pochłonięci przygotowaniem się do pracy zawodowej; poza wykładami pracowali w laboratoriach i klinikach, mało interesowali się pracą społeczną, ale lojalnie popierali akcję Koła. Fraczkiewicze (po rosyjsku „biełopodkładoczniki" od białej podszewki ich mundurów) rekrutowali się z zamożniejszych rodzin, mało zajmowali się nauką, prowadzili wesołe życie w myśl starej piosenki „Gaudeamus". Najwięcej ich było na wydziale prawnym; pomagali w urządzaniu różnych imprez na dochód Kasy Studenckiej, z czego pewien procent otrzymywało Koło na działalność wydawniczą.

Pierwszy rok moich studiów uniwersyteckich był zmarnowany. Polegając na opinii nauczycieli w Kaliszu, że najwięcej zdolności mam do matematyki, zapi-

[1] Bohater w powieści Prusa „Lalka".

sałem się na wydział fizyko-matematyczny, zamierzając po jego ukończeniu przenieść się do Instytutu Dróg i Komunikacji w Petersburgu. Niestety, w Warszawie zastałem tak marnych profesorów i brak dobrych podręczników, że po paru miesiącach przestałem chodzić na wykłady i postanowiłem przenieść się na wydział przyrodniczy. Zaoszczędzone z korepetycji w Kaliszu pieniądze wyczerpały się, zabrakło na opłacenie czesnego za drugie półrocze i musiałem starać się o miejsce nauczyciela domowego na wsi, żeby zdobyć środki na dalsze studia. Później dowiedziałem się, że za nieopłacenie czesnego dostałem się pod tajny dozór; rosyjska policja uważała takich studentów za kandydatów na rewolucjonistów. Po powrocie ze wsi dla ponownego przyjęcia do uniwersytetu musiałem przedstawić świadectwo „błagonadiożnosti" (prawomyślności) od naczelnika hrubieszowskiego powiatu. Rok akademicki 1889/90 spędziłem w Mirczu u pp. Rulikowskich, przygotowując ich syna do szkoły Górskiego. W tym czasie uzupełniłem moje ogólne wykształcenie przy pomocy książek wypożyczonych z biblioteki kółka kaliskiego.

Po powrocie do Warszawy zastałem na wydziale przyrodniczym i w kółku kaliskim nowy rocznik studentów, w równej mierze spragnionych pracy społecznej i wiedzy. W tym celu dr Szczawińska zorganizowała latający uniwersytet, nazwany tak z powodu częstej zmiany miejsca wykładów w kompletach po 10—15 osób. Zapisałem się na wykłady Piotra Chmielowskiego (historia polskiej literatury), Mahrburga (psychologia) i Krzywickiego (socjologia).

Książki z dziedziny historii polskiej i nauk spo-

łecznych znajdowały w nas licznych czytelników i kolporterów. Sprowadzaliśmy je również ze Lwowa, gdzie skupiał się obóz demokratyczny, zasilany emigrantami z zaboru rosyjskiego. Najbardziej rozpowszechnioną w kółkach była wydana we Lwowie nakładem naszego Koła „Historia ruchów społecznych XVIII i XIX wieku“ Bolesława Limanowskiego. Z broszur największy wpływ wywierała „Rzecz o obronie czynnej i skarbie narodowym“. Autor jej Zygmunt Miłkowski (Jeż) wskazywał, że tchórzostwo jest głównym doradcą krakowskich konserwatystów i warszawskich postępowców, potępiających powstania i sprowadzających sprawę polską do jednego mianownika ze sprawą niemieckich lub rosyjskich opozycjonistów. Obrona czynna miała wyrażać się w utrudnianiu zaborcom pobytu w Polsce, szkodzeniu im na każdym kroku i zbieraniu środków na tę walkę.

Prądy pozytywizmu krzyżowały się u nas z prądami romantyzmu. Głowy ogarniał kult rozumu i nauki, darwinizm i materializm historyczny podkopywał wiarę, ale serca pozostawały pod wpływem romantyków, zwłaszcza Mickiewicza. W programach obchodów zawsze była deklamacja „Ody do młodości“, rozpalająca irracjonalne pierwiastki duszy. W drażniącej atmosferze niewoli nie podobna było spokojnie oddawać się studiom naukowym; coraz odrywaliśmy się od nich w celu tępienia objawów wynarodowienia i upodlenia. Z urządzanych w tym czasie drobnych kawałów pozostał mi w pamięci jeden. Od fraczkiewiczów dowiedzieliśmy się, że przybyłe z Podola panny S. przy przedstawieniu żonie gen. gub. Hurki pocałowały ją w rękę. Zaraz zorganizowaliśmy kolejkę

korepetytorów, którzy nachodzili rodziców tych panien z propozycją dawania im lekcji historii polskiej. Nasze natręctwo spowodowało ich wyjazd z Warszawy.

W 1890 r. po przejściu próby w pracy kółkowej zostałem przyjęty do bardziej zakonspirowanej organizacji Zetu (Związku Młodzieży Polskiej), jako towarzysz. O istnieniu wyższych szczebli w tej organizacji dowiedziałem się w następnym roku, kiedy uznano mnie za zasługującego na przyjęcie do kategorii braci. Podział członków Zetu na trzy kategorie: kolegów, towarzyszy i braci — odpowiadał organizacji cechów: terminatorzy, czeladnicy i mistrze. Prowadzony w ten sposób dobór przyszłych działaczy społecznych okazał się bardzo trafny. Żaden ze znanych mi braci nie splamił się w późniejszej działalności tchórzostwem i czynem niehonorowym, wszyscy bezinteresownie służyli sprawie polskiej, większość przypłaciła to więzieniem i wygnaniem, wielu stało się przewodnikami starszego pokolenia w organizowaniu pracy społecznej.

W 1892 r. po śmierci Leona Rutkowskiego powołano mnie na jego miejsce w Centralizacji Zetu. Zastałem tutaj medyków: Juliana Grabowskiego i Władysława Kiersta. Dopiero teraz wtajemniczono mnie we wszystkie stosunki Zetu. Centralizacja, wybierana na zjazdach delegatów kół Zetu, była stałym łącznikiem pomiędzy nimi. Koła Zetu istniały we wszystkich wyższych uczelniach, gdzie tylko znalazła się większa grupa polskiej młodzieży. Początkowo Centralizacja miała siedzibę w Szwajcarii, gdzie pierwsze kadry zorganizował Zygmunt Balicki z ramienia Li-

gi Polskiej zaraz po wydaniu broszury Jeża o obronie czynnej. Formalna zależność Zetu od Ligi wyrażała się w obecności delegata Ligi na zebraniach braci, w 1890 r. została zniesiona za obopólną zgodą.

Rolę Zetu w zaprawianiu młodzieży do służby ojczyźnie i pierwsze jego lata opisali starsi bracia: Jan Offenberg, Tomasz Ruśkiewicz, Stefan Surzycki. Wobec tego ograniczam się do okresu, w którym brałem czynny udział w działalności Zetu, 1891 r. do lipca 1892 r., kiedy zmuszony byłem emigrować. W okresie tym program i taktyka Zetu nie uległy zmianom; nie było o to sporów dzięki temu, że w poprzednim roku bracia, ulegający wpływom niemieckiego socjalizmu, wystąpili z Zetu. Zespół członków był teraz bardziej zharmonizowany i można było podjąć bardziej czynną akcję na zewnątrz. Wyraziło się to w wydawaniu tajnego pisemka pod tytułem „Kuźnica", w urządzeniu manifestacji w stuletnią rocznicę konstytucji 3 maja, w tamowaniu przedstawień rosyjskiej trupy teatralnej i zabaw w karnawale 1892 r., stuletniej rocznicy Targowicy. W wystąpieniach tych mieliśmy okazję do wykazania odwagi i wypróbowania młodszych kolegów, kandydatów na członków Zetu.

Ogół studentów nie wiedział o istnieniu Zetu. Członków nazywano narodowcami albo narodowymi socjalistami, ponieważ w starciach z przedstawicielami innych kierunków kładliśmy główny nacisk na to, że pierwszym warunkiem realizowania sprawiedliwości społecznej musi być zdobycie niepodległości Polski przez rozbudzenie czynnego patriotyzmu i walkę z najeźdźcami na wszystkich polach.

Wśród przeciwników naszych, nazywanych mię-

dzynarodowcami albo kosmopolitami, były różne odcienie. Pozostający pod wpływem partii „Proletariat“ głosili, że międzynarodowa rewolucja socjalna wyzwoli wszystkie ludy, a więc i Polskę, dlatego nie należy wyodrębniać sprawy polskiej. Mniej rewolucyjni zwolennicy „Związku robotników“, założonego przez secesjonistów z Zetu, twierdzili, że zdobycie niepodległości Polski jest utopią; zalecali akcję wspólną z rosyjskimi socjalistami w celu uzyskania swobód politycznych w całym państwie. Byli wreszcie i zwolennicy „ekonomizmu“, którzy w ogóle negowali potrzebę jakiejkolwiek akcji politycznej.

Wspólną cechą różnych odmian międzynarodowców było to, że uważali za konieczne dla zapewnienia „normalnego“ rozwoju ruchu robotniczego zwalczać patriotyzm, politykę powstańczą i narodowców, jako dążenia „drobnomieszczańskie“. W tym wszystkim było więcej doktrynerstwa niż serdecznego przejęcia się sprawą robotniczą. Przekonałem się o tym w późniejszej działalności na terenie robotniczym, gdzie spotkałem tylko trzech znanych mi międzynarodowców, a w uniwersytecie liczyliśmy ich około stu. Widocznie naukowy socjalizm prędko wietrzał w głowach jego adeptów, rozum okazał się bardzo zmienny, a serce obojętne.

Socjalizm narodowców był polskiego pochodzenia, czerpany z pism i programów demokracji polskiej na emigracji, miał podkład więcej uczuciowy niż rozumowy, był bowiem protestem serca przeciwko krzywdzie ludzkiej i wypływał z pragnienia dźwignięcia i uszczęśliwienia wszystkich. Nasze praktyczne postulaty nie były sformułowane. Z obcych wzorów naj-

więcej odpowiadał nam angielski socjalizm, nie opierający się na żadnej teorii ekonomicznej. Kolportowaliśmy lwowskie wydanie książki Sidneya Webba: „Socjalizm w Anglii". Dla nawracania międzynarodowców posługiwaliśmy się broszurą Limanowskiego „Patriotyzm i socjalizm". Marksa i jego teorii walki klasowej nie mogliśmy po prostu strawić, nie godziła się z naszym poczuciem spójni społecznej, z pojmowaniem narodu jako organizmu społecznego, w którym każde pokolenie, jednostka i grupa musi podporządkować się dobru całości. Nasza „klasowość" ograniczała się do piętnowania panów obojętnych na losy ojczyzny i fabrykantów, poniewierających robotnikami; popieraliśmy strajki, których najwięcej było u Niemców i Żydów.

Stosunek Zetu do Koła można przyrównać do stosunku Filomatów do Filaretów. Staraliśmy się wpływać nie tyle na pracę naukową w kółkach, ile na wyrabianie charakterów, rozwijanie ducha solidarnego działania, zaprawianie do pracy nad podnoszeniem sił narodu, szczególnie oświaty wśród włościan i robotników. W kółkach bracia wybijali się własnymi siłami na delegatów, a w Kole tworzyli zwarty zespół stojący na straży samodzielności Koła, ciągłości jego prac i organizacyj, dobrze od samego początku pomyślanych. W szczególności chodziło nam o utrzymanie terytorialnego charakteru kółek, ponieważ ścieranie się różnych poglądów w takich kółkach pobudzało nowowstępujących do wyrabiania własnego zdania. Przy grupowaniu według przekonań groziło niebezpieczeństwo umysłowego zastoju i owczych pędów, tym bardziej że istniejące poza uniwersytetem partie sta-

rały się wpływać przede wszystkim na młodzież. Niestety w tej sprawie nie można było dojść do porozumienia z międzynarodowcami; rozłam na grupy przekonaniowe zaczął się w kółkach warszawskich i kieleckim.

W ówczesnych warunkach cenzuralnych żadne pismo nie mogło odzwierciedlać nastrojów panujących wśród młodzieży. Młodzi marksiści, których przewodnikiem był Ludwik Krzywicki, próbowali wydawać „Tygodnik Powszechny“, ale po kilkunastu numerach został zamknięty. My utrzymywaliśmy stosunki z redakcją „Głosu“, która miała w nas gorliwych czytelników i kolporterów swoich wydawnictw (przekłady Spencera, Belamy'ego i inne). Najwięcej podobały się nam artykuły i szkice socjologiczne redaktora Józefa Potockiego. Urządzał on w swoim mieszkaniu zebrania towarzyskie, na których zaznajamialiśmy się ze starszą generacją. Międzynarodowcy popierali „Prawdę“, redagowaną przez Aleksandra Świętochowskiego. Nie był on wśród narodowców popularny z powodu swego wystąpienia przeciwko dążeniom niepodległościowym w „Ognisku“, wydanym dla uczczenia 25-letniej pracy Jeża. Obydwa odłamy młodzieży z wielkim zainteresowaniem śledziły na łamach „Głosu“ i „Prawdy“ polemikę w sprawie materialistycznego pojmowania dziejów i znaczenia idei w życiu społecznym. Z zakordonowych pism sprowadzaliśmy narodowo-socjalistyczną „Pobudkę“, wydawaną w Paryżu przez grupę emigrantów, zrażonych do „Proletariatu“ z powodu jego stanowiska w sprawie polskiej.

Rok 1891 wyróżnił się wielkim ożywieniem pracy

w kółkach i wystąpieniami na zewnątrz, do których wciągnięta została i część międzynarodowców, pomimo swoich obiekcji politycznych. Najdonioślejszym czynem była manifestacja w stuletnią rocznicę konstytucji 3 maja. Pociągnęła ona część starszego pokolenia wbrew przestrogom kilku dzienników warszawskich i zapoczątkowała uznanie dnia 3 maja za święto narodowe. Inicjatywa wyszła od starszych braci. Kto był autorem rozpowszechnionej w pierwszych dniach kwietnia odezwy, nie wiedziałem; nie byłem jeszcze członkiem Centralizacji Zetu. Cytuję z tej odezwy kilka ustępów, wyrażających nasze intencje:

„Sto lat mija od czasu, jak naród polski, zbudzony z długoletniego letargu, w przystępie patriotycznego uniesienia przystąpił do naprawy rządu i zreformowania istniejących stosunków. Sto lat upłynęło od chwili, jak w szlacheckim sejmie Rzeczypospolitej zabrzmiało po raz pierwszy hasło rewolucji francuskiej: wolność, równość i braterstwo... Przemoc obca, bezprzykładny gwałt absolutyzmu moskiewskiego w połączeniu z głupotą, nikczemnością i zwyrodnieniem arystokracji polskiej obaliły dzieło konstytucji, rozszarpały kraj na części... Sto lat dzieli nas od daty konstytucji, sto lat ucisku i niewoli, ale nić dziejowej tradycji nie została dotąd zerwana. Ojcowie nasi krwią, łzami i brzękiem kajdan upominali się o pogwałcone prawa narodu, o wolność ludzką, o prawa człowieka — my, synowie tej ziemi, krew z krwi i kość z kości, czy wypuścimy z rąk niedołężnych sztandar narodowy? Czyż na zawsze, jak pokolenie ślimaków, zawrzeć się mamy w skorupie egoizmu i sobkowstwa? „Mierz siły na zamiary, nie za-

miary podług sił“ to hasło ojców naszych, wydrwione i wyśmiane dzisiaj, przy całej swej nieoględności, więcej było warte niż praca organiczna, nasz „opór bierny“, nasze obrzydliwe dla wszystkich wolnych duchów wstrętne karierowiczowstwo... Nasza droga to dalszy rozwój idei wolności, równości i braterstwa, to śmierć absolutyzmu, wyzysku i przywileju w jakiejkolwiek przejawiającego się formie, to dalsza walka o niepodległość, to obrona naszych praw narodowych — twarda, bezwzględna, nieubłagana. Zmieniły się okoliczności, sposób i rodzaj walki, ale idea walki nie przestała obowiązywać“.

W tym czasie sprowadzono do Warszawy trupę rosyjską. Przedstawienia jej zaszczycał swoją obecnością gen. gub. Hurko i część Polaków. „Kurier Warszawski“ dawał obszerne sprawozdania z każdego przedstawienia, jakby to był jakiś ewenement artystyczny. Nie były to czasy odpowiednie dla wymiany kulturalnej pomiędzy Polakami i Rosjanami. Sprowadzenie trupy rosyjskiej uważaliśmy za nową próbę rusyfikacji i zareagowaliśmy naprzód zapowietrzaniem przedstawień asafetydą, a gdy to nie skutkowało, oblewaniem kwasem siarczanym wychodzących z teatru. Z tego powodu korespondenci pism rosyjskich, wrogich Polakom, podnieśli alarm, wskazując na rozpowszechnioną w tym czasie odezwę o obchodzie rocznicy konstytucji 3 maja. Dało to asumpt redakcjom kilku pism warszawskich do wystąpienia z oświadczeniem, z którego przytaczam kilka wyjątków w celu wyjaśnienia, dlaczego w odpowiedzi na nie użyliśmy argumentów kija.

„Bez względu na spokojne w ciągu ćwierć wieku

zachowanie się naszego kraju — mówili autorzy oświadczenia — bez względu, że ludność jego trzyma się z dala od wszelkich politycznych agitacji, wyłącznie na drodze jawnych i legalnych usiłowań polepszenia warunków swego bytu i rozwoju szukając, korespondenci owi (rosyjscy) na podstawie opacznie objaśnianych, a nawet zgoła zmyślonych faktów, usiłułują przedstawić społeczeństwo nasze, mianowicie zaś inteligencję jego, jako gromadę agitatorów i burzycieli porządku. Obwinienia owe drażnią społeczeństwo russkie, a na nasze niejedno złe ściągnąć mogą... Tego rodzaju wybryki (mowa o oblewaniu kwasem), których poskromienie nie przekracza zakresu zwykłej kompetencji policji miejscowej, zdarzają się wszędzie... Były to objawy zwykłego bezmyślnego ulicznikowstwa... Że znowu pewna ilość spokojnych i pracą zajętych mieszkańców naszego miasta otrzymała z niewiadomego źródła pochodzące „proklamacje", w których na wspak temu, co utrzymuje korespondent „Mosk. Wied.", spod pseudo-patriotycznej powłoki wyziera niegodziwa chęć jątrzenia jednych warstw ludności przeciwko drugim — to rzucać z tego powodu gromy na społeczeństwo całe i nawoływać do represji przeciw niemu może zła wola tylko... Społeczeństwo nasze pragnie przede wszystkim żyć i w spokoju nad swym rozwojem pracować, a tych, którzy by ten jego spokój i tę pracę zakłócić usiłowali, potępiłoby z pewnością, jak dziś już potępia fakty, z których broń przeciwko niemu pragną ukuć nieprzyjaciele".

Oświadczenie to było ogłoszone 25 kwietnia. Nazajutrz rano zebraliśmy się w szpitalu Św. Ducha i po-

stanowiliśmy niezwłocznie wydelegować do redaktorów pism, które zamieściły oświadczenie, po dwóch kolegów w mundurach, żeby nie było wątpliwości, że to studenci. Mieli oni czynnie znieważyć redaktorów i wyjaśnić powód. Delegatów wyznaczono przez losowanie. Mnie wypadło iść z kolegą Kiedrzyńskim do redaktora „Słowa", nie zastaliśmy go jednak ani w redakcji, ani w domu. Innym delegacjom udało się wykonać polecenie. Ze sprawozdań składanych tegoż dnia wieczorem okazało się, że redaktora „Gazety Polskiej" odwiedziły aż dwie delegacje; drugiej służba oświadczyła, że już „tacy" byli. Redaktor „Kuriera Warszawskiego" uderzony laską narobił krzyku, zbiegła się służba i delegaci musieli salwować się ucieczką. Znieważony redaktor „Ziarna" wydobył rewolwer, ale nie strzelał, tylko — ku zdumieniu delegatów — oświadczył, że sympatyzuje z młodzieżą, a oświadczenie umieścił na naleganie innych redaktorów. Prasa milczała, tylko w „Głosie" udało się Potockiemu zmylić czujność cenzury i w felietonie o Filipach z Konopi przemycić zdanie, że „społeczeństwo nasze bywało przedmiotem oszczerstwa ze strony niektórych pism miejscowych".

W kilka dni po rozprawie z redaktorami zaproszono mnie do redacji „Słowa" na konferencję. W toku rozmowy dowiedziałem się, że autorzy oświadczenia myśleli, że to jakaś obca ręka, nie studenci, rozpowszechnia odezwy i oblewa kwasem adoratorów rosyjskiej trupy; że w głębi duszy oni uważają siebie za również dobrych patriotów, a różnią się od nas tym, że uważają manifestowanie swoich uczuć za szkodliwe, ponieważ może to wywołać nowe represje ze stro-

ny rządu. Odpowiadałem, jak umiałem, szczerze szukając jakiejś wspólnej platformy ze starymi. Tłumaczyłem, że my, młodzi, w atmosferze legalizmu i strachu przed represjami zeszlibyśmy na psy, że nie możemy być bierni wobec tego, co się w Polsce dzieje, że uważamy za konieczne prowadzić akcję zaczepną wobec najeźdźców w myśl wskazań Jeża. Okazało się, że zupełnie nie możemy się zrozumieć, nie możemy nawet znaleźć wspólnego języka dla wyrażenia swoich uczuć.

Wyszedłem z tej konferencji ze smutnym przeświadczeniem o przepaści dzielącej starych od młodych. Później na emigracji Anglicy nieraz wytykali mi ten podział na starych i młodych, zupełnie nieznany w Anglii, gdzie przechodzenie od starego do nowego porządku odbywa się stopniowo bez przerywania ciągłości rozwoju społecznego. Szczęśliwa Anglia — nie zaznała rewolucji ani niewoli. Polska co 30 lat traciła najlepszych synów na polach bitew i wygnaniu; pozostali — wystraszeni, wystudzeni albo karierowicze — nie mogli stać się przewodnikami młodzieży. Może w przyszłej Polsce, kiedy przestanie krwawić w walkach, ten nieszczęsny podział na starych i młodych stanie się anachronizmem; w mojej młodości istniał on w całej pełni, sami musieliśmy wytykać sobie cele i drogi.

W połowie kwietnia „zwykła kompetencja“ policji została wzmocniona, przypomniano surowy zakaz zbierania się na ulicach, kompanie idące do Częstochowy kazano rozdzielać na mniejsze grupy i kierować za rogatki Jerozolimskie przez ulice oddalone od śródmieścia, bez śpiewów i muzyki. Ogłoszono, że

ogród botaniczny, zwykle otwierany w pierwszych dniach kwietnia, w tym roku będzie dostępny dla publiczności dopiero 10 maja, ponieważ „chłody i deszcze, opóźniające wegetację roślin, nie pozwalają na wcześniejsze przeprowadzenie robót“. My krzątaliśmy się około pozyskania starszej generacji dla manifestacji, rozpowszechnialiśmy medal wybity dla upamiętnienia stuletniej rocznicy konstytucji i hektografowane odezwy z programem obchodu. Koledzy mieli nakazane w dniu 3 maja być na nabożeństwie w kościołach. W imię prawdy muszę tutaj zaznaczyć, że nasze uczucia religijne w tym czasie były mocno zachwiane przez nowinki naukowe; mało studentów chodziło do kościoła; zjawienie się ich w większej liczbie oznaczało, że „coś się szykuje“.

Jako punkt zborny były wyznaczone ruiny kaplicy w ogrodzie botanicznym. Po nabożeństwach w kościołach studenci skierowali się tutaj, pociągając za sobą starszych i młodzież gimnazjalną. Bramę otwarto, ogród prędko zapełnił się, z odkrytymi głowami obchodziliśmy ruiny, panie składały kwiaty, uczniowie metalowe palmy od swoich czapek. Pomimo wezwań komisarza policji do rozejścia się, trwało to do godziny 4, kiedy w Alei Ujazdowskiej zaczął formować się pochód w kierunku katedry Św. Jana, gdzie obchód miał być zakończony odśpiewaniem „Boże, coś Polskę“. Policja nie dawała zejść na jezdnię, zajęliśmy więc zwartym tłumem od placu Trzech Krzyży lewą stronę ulicy, przodowali członkowie Zetu i redakcji „Głosu“; prawą stroną szli zwykli przechodnie i gapie. Na placu Zamkowym zagrodził nam drogę gen. Kleigels z policją, pochód zatrzymał się: część

zawróciła, część skierowała się na plac Teatralny, gdzie została rozproszona przez Kozaków. Z zatrzymanych tutaj kilkudziesięciu osób odebrał sobie życie w areszcie student Bolesław Bruliński. Dało to powód do nowej manifestacji na Powązkach; nie brałem w niej udziału, ponieważ poprzedniej nocy aresztowano mnie i osadzono w więzieniu na Chłodnej (róg Żelaznej).

Na Chłodnej osadzono około 25 kolegów o bardzo różnych przekonaniach, ale zgodnych w tym, że na śledztwie nikt nie będzie wypierać się udziału w pochodzie, a na wszystkie inne pytania będziemy odpowiadać: nie wiem. Umieszczono nas razem w dwóch dużych pokojach. Sienniki były tak nabite słomą, że po bezsennej nocy zajęliśmy się przede wszystkim ich ubijaniem i obłaskawieniem naczelnika więzienia. Udało się to znakomicie dzięki temu, że nasza delegacja zastała w kancelarii naczelnika jego córki, które od razu stanęły po naszej stronie i zjednały „papaszę“. Z miasta przysyłano nam masę smakołyków i kwiatów; objawy powszechnej sympatii osładzały utratę wolności. Śledztwo prędko skończyło się, prowadził je pułkownik Sołncew ze świty Hurki. Tajni ajenci, sprowadzeni dla konfrontacji, okazali się niepotrzebni: nikt nie wypierał się udziału w pochodzie. Po tygodniu odczytano nam wyrok Hurki, skazujący na 4 do 6 tygodni aresztu zależnie od wieku. Po dwóch tygodniach z okazji jakiejś galówki ułaskawiono nas i pozwolono zdawać egzaminy w uniwersytecie.

Początkowo nie mogłem zrozumieć tej niezwykłej łagodności Hurki. Czyżby to były umizgi do młodzie-

ży i chęć dostarczenia naszym legalistom argumentu, że władze rosyjskie są humanitarne? Później dowiedziałem się, że rząd w tym czasie pertraktował o pożyczkę zagraniczną, zaburzenia w Warszawie mogły mu zaszkodzić w opinii francuskiej, dlatego Hurko otrzymał z Petersburga rozkaz łagodnego postępowania. Potem sprawą obchodu 3 maja zajęła się żandarmeria w celu wykrycia inicjatorów; aresztowano kilka osób poza uniwersytetem i zesłano w głąb Rosji.

Po przejściu na drugi kurs przyrody zainteresowałem się chemią analityczną i badaniem początków życia w ikrze aksolotli w pracowni profesora embriologii, ale wkrótce zabrakło czasu na studia naukowe. Praca w Kole, Zecie i kółkach oświatowych pochłaniała mnie coraz więcej. Na początku roku akademickiego kandydowałem z ramienia narodowców na stanowisko prezesa Koła. W mowie programowej, jak tego wymagał zwyczaj, wyłożyłem moje poglądy narodowo-socjalistyczne, a w sprawie dalszej działalności Koła wskazałem potrzebę zajęcia się oświatą wśród robotników. W głosowaniu otrzymałem znaczną większość głosów, poparła mnie nawet część międzynarodowców. Animozje personalne na tle różnic przekonaniowych nie zatruwały jeszcze naszego życia.

W tym czasie miałem przygodę — pierwszą lekcję ostrożności. Odnajmowałem pokój na rogu ulicy Książęcej z wejściem wprost z klatki schodowej. Podczas mojej nieobecności zakradł się złodziej i zabrał walizkę z bielizną, w której przechowywałem hektograf i rewolwer. Postarałem się, żeby stróż nie meldował policji o kradzieży, bo w razie wykrycia złodzieja za-

miast niego ja dostałbym się do więzienia. Nauczyło to mnie przy szukaniu mieszkania myśleć o zabezpieczeniu się i od złodziei. Przestroga bardzo cenna przy późniejszym urządzaniu tajnej drukarni w Wilnie. Po kradzieży przeniosłem się na ulicę Hortensji pod nr 5, gdzie na piątym piętrze wszystkie pokoje były zajęte przez kolegów i służba była pewna. Ulica była dobrze wybrana, łatwo było sprawdzić, czy jest się śledzonym. Tutaj mieszkałem do czasu ucieczki za granicę.

Nasza działalność oświatowa wyrażała się w nauczaniu analfabetów, zakładaniu tajnych biblioteczek i prowadzeniu wykładów w kółkach robotniczych, formowanych na wzór naszego latającego uniwersytetu. Biblioteczki były zakładane głównie na wsi; w Warszawie zastępowały je bezpłatne czytelnie Towarzystwa Dobroczynności, w których dyżurowali studenci i dawali wskazówki samoukom. Zakładający biblioteczkę zbierał wśród znajomych składki na zakup kompletu popularnych książek, wydawanych przez Towarzystwo Oświaty Ludowej. Wydawnictw zakordonowych zaledwie starczyło dla studenckich kółek. Potrzeby kółek uczniowskich zaspokajała centrala, założona i prowadzona przez Stanisława i Władysława Grabskich; zasilała je programami samokształcenia i nielegalnymi wydawnictwami.

Wykładowcami w robotniczych kółkach byli narodowcy i międzynarodowcy; tymi ostatnimi kierowali secesjoniści z Zetu: Józef Beck, Ignacy Dąbrowski, Janusz Tański. Kółka robotnicze były mniejsze od studenckich wobec ciasnoty izb robotniczych, w których odbywały się wykłady. Członkowie grupowali

się według fabryk albo zawodu (mularze, szewcy), żadnych opłat za wykłady nie pobierano. Dzień roboczy był wówczas bardzo długi, wykłady mogły odbywać się tylko w niedzielę. Dla nas był to najpracowitszy dzień w tygodniu, trzeba było biegać z jednego końca miasta na drugi, każdy prowadził co najmniej trzy kółka. Nazwisko wykładowcy znane było tylko organizatorowi kółka, inni członkowie znali tylko jego pseudonim; mnie nazywano Wacławem. W moich kółkach słuchacze, zwłaszcza szewcy, ku memu zdumieniu, najwięcej interesowali się kosmogonią, najmniej ekonomią.

W końcu 1891 r. Zet dał hasło powstrzymania się od zabaw w celu przypomnienia Targowicy i sprowadzonej przez nią niewoli. Fraczkiewicze rozpowszechnili to hasło w towarzystwie warszawskim, karnawał rzeczywiście był smutny. Młodsi członkowie Zetu pilnowali, żeby balów nie było. Zdarzył się przy tym kawał: na ulicy Złotej zbombardowano kamieniami lokal, w którym tańczyli zwolennicy „Proletariatu"; tłumaczyli się potem, że tańce urządzili tylko dla zamaskowania większego zebrania przed policją.

Stosunki z kołami Zetu w innych uniwersytetach utrzymywaliśmy za pomocą korespondencji, w której zastosowaliśmy nowy sposób pisania, ponieważ chemiczne atramenty były już znane żandarmom; każdy podejrzany list smarowali odpowiednimi chemikaliami. My pisaliśmy rozcieńczoną gumą arabską na papierze nie satynowanym; po wyschnięciu nie było żadnego śladu. W celu odczytania takiego listu należało papier po drugiej stronie zwilżyć gąbką, suchą stronę posypać proszkiem węglowym, strząsnąć go,

wtedy występowały litery pisane gumą arabską, ponieważ węgiel przylegał do nich. Kiedy w 1893 r. na żądanie ajentów rosyjskich aresztowano mnie w Paryżu, komisarz policji znalazł ten proszek w moim mieszkaniu i z wielką ostrożnością zabrał do analizy, pomimo moich zapewnień, że nie jest to żaden środek wybuchowy, tylko zwyczajny proszek do czyszczenia zębów.

Poza Warszawą najliczniejsze koło Zetu było w Moskwie, gdzie skupiała się młodzież polska z Kresów, ponieważ warszawski uniwersytet miał opinię marnej uczelni. Przewodnikiem koła moskiewskiego i łącznikiem z Warszawą był Marian Abramowicz. Przygotowanie się do przyszłej działalności i zbieranie składek na skarb narodowy nie zadawalało aspiracji zetowców w Moskwie. W obcym środowisku nie mieli pola dla wyładowania swojej energii w akcji oświatowej, jak my w Warszawie, zaczęli więc na własną rękę wydawać broszury po polsku i białorusku.

Abramowicz często przyjeżdżał do Warszawy; nazywaliśmy go Moskalem, ponieważ chodził w bluzie przepasanej paskiem i nosił grubą laskę. Był niepohamowany w swej działalności, przekradał się za granicę, drukował tam broszury, sam przemycał i kolportował po drodze; potrafił nawet w Niemczech jeździć na buforach, gdy zabrakło pieniędzy na bilet. Monitowałem go nieraz z obawy, że wpadnie i pociągnie za sobą innych, tym bardziej że miał notes z bardzo prymitywnie zakonspirowanymi adresami znajomych w różnych miastach. Nie dał go sobie odebrać zapewniając, że w Warszawie go nie aresztują, po-

nieważ uchodzi za Moskala. Niestety wkrótce wpadł przy rozklejaniu odezw w Alejach Ujazdowskich. W cytadeli nie chciał wymienić swego nazwiska, po dwóch latach śledztwa dostał 3 lata więzienia w Krestach w Petersburgu i 6 lat Syberii. Po odcyfrowaniu przez żandarmów jego notatek były aresztowania w Petersburgu i Wilnie. Dla mnie była to druga lekcja ostrożności, nakazująca stosować „żelazną“ konspirację, dzięki której mogłem potem długo przebywać w kraju nielegalnie.

W oświatowych kółkach robotniczych zetknąłem się z agitatorami „Związku robotników“, założonego przez wyżej wspomnianych secesjonistów z Zetu, i członkami „Zjednoczenia robotniczego“, założonego przez Edwarda Abramowskiego po wystąpieniu z „Proletariatu“. Z rozmów z agitatorami Związku przekonałem się, jakie spustoszenia w ich mózgach zrobiło doktrynerstwo jego założycieli, jak łatwo zmanierować prostych ludzi fałszywą wiedzą. „Uświadomieni“ przez nich robotnicy nie mieli żadnego zrozumienia potrzeby walki politycznej, tym bardziej walki o niepodległość Polski. Jak papugi powtarzali zdania, że klasa robotnicza nie ma nic wspólnego z „patriotnikami“ i innymi klasami, że głównym wrogiem są kapitaliści, że można poprawić byt robotników, nie zaczepiając rządu, a nawet uzyskać takie zdobycze, jak nowe prawo fabryczne. Złudzenia te wpajano w robotników, pomimo że już w 1883 r. rząd rosyjski krwawo stłumił strajk w Żyrardowie.

Po rozbiciu pierwszego „Proletariatu“ Związek skupił dokoła siebie największą liczbę robotników i długo potem trzeba było pracować, żeby usunąć za-

szczepiony im wstręt do polityki oraz przekonać, że głównym wrogiem jest rząd rosyjski. W listopadzie 1892 r. założyciele Związku zostali aresztowani, pomimo to po wyjściu z więzienia uważali za zdradę sprawy robotniczej żądanie niepodległości Polski i łączenie się z narodowcami. Spośród związkowców przypadł mi do serca jedynie Leon Falski, medyk niezwykłej szlachetności i ofiarności, najmniej zarażony doktrynerstwem. Gdy inni związkowcy podkreślali, że tylko nauka Marksa skłoniła ich do zajęcia się sprawą robotniczą, Falski pracował przede wszystkim dlatego, że kochał robotników jako ludzi, nie jako przedmiot doktryny. W 1893 r. położył wielkie zasługi w odrabianiu błędów Związku i jednaniu robotników dla programu niepodległości, uchwalonego na zjeździe w Paryżu.

Robotnicy ze Zjednoczenia nie byli tak uprzedzeni do narodowców jak związkowcy, i łatwo mogłem dojść z nimi do porozumienia. Przez nich zaznajomiłem się z Kazimierzem Pietkiewiczem, który zaproponował mi przystąpienie do Zjednoczenia. Chętnie przystałem na to, ponieważ różnice w poglądach nie były tak znaczne, żeby dla nich tworzyć wśród robotników osobną organizację narodowców. Należenie do Zetu nie przeszkadzało należeniu do organizacji pozastudenckiej, byle nie przeciwstawiała się dążeniu do niepodległości Polski. Założona w tym czasie przez dawnych braci „Łączność“, pomimo wspólnych z Zetem celów, nie pociągała mnie ku sobie, ponieważ zajmowała się organizacją inteligencji, a mnie ciągnęło do robotników. Razem ze mną przystąpił do Zjednoczenia Maciej Rodziewicz z kółka kresowców,

Władysław Grabski, później Julian Grabowski, Ludwik Wernyhora i inni.

„Zjednoczenie“, jak wskazuje nazwa, miało na celu położyć tamę rozbijaniu robotników na grupy z powodu różnic występujących wśród inteligentów. Inicjatorem był Abramowski, który po przyjeździe z Genewy nie mógł pogodzić się z proletariatczykami, uważającymi terror za główny środek walki, ani ze związkowcami wobec ich „ekonomizmu“ i wrogiego stosunku do dążeń narodowych. Zjednoczenie miało skupić robotników przede wszystkim przy tworzeniu samodzielnych organizacji zawodowych, opartych o ogólną Kasę Oporu. Fundusz Kasy powstawał z miesięcznych składek, zbieranych przez jej przedstawicieli w organizacjach zawodowych, i był przeznaczony na pomoc strajkującym, o ile strajk rozpoczęli za zgodą zarządu Kasy. Myśl złączenia wszystkich w takiej organizacji była bardzo chętnie powitana przez robotników, którzy już mieli dosyć sporów o to, kto lepszy: proletariatczyk, związkowiec czy narodowiec.

Abramowskiego poznałem w końcu 1891 r., ale wtedy brak było czasu na teoretyczne rozważania, każdy z nas miał roboty po uszy, wkrótce przyszła katastrofa. Żona Abramowskiego zachorowała na gorączkę połogową, po jej śmierci dostał zapalenia mózgu, kolejno dyżurowaliśmy przy nim w obawie o jego życie. Gdy w końcu marca aresztowano Kazimierza Pietkiewicza, namówiliśmy Abramowskiego do wyjazdu za granicę, żeby uniknąć grożącego mu niebezpieczeństwa osadzenia w cytadeli. Dopiero na emigracji poznałem Abramowskiego bliżej i zaprzyjaźni-

liśmy się bardzo. Z moich rówieśników jedynie on miał duży wpływ na krystalizowanie się moich poglądów. Ze starszej generacji najwięcej mam do zawdzięczenia Józefowi Potockiemu, ale prędko usunął się z tego świata; ostatni raz widziałem go w 1898 r., kiedy zaczął wydawać w Warszawie „Walkę“; zaraz potem zginął bez śladu...

Moja praca w Zjednoczeniu poza prowadzeniem kółek oświatowych wyrażała się w organizowaniu grup zawodowych. Inicjowały one akcję poprawiania warunków pracy w swoim zawodzie, miały być zawiązkiem związków zawodowych. Jakie były wówczas warunki pracy, wystarczy kilka przykładów. Tkacze pracowali 13—14 godzin na dobę, płaca nie przekraczała 16 rubli za miesiąc. Piwowarzy pracowali od 3 rano do 8 wieczór z przerwą 1½ godziny na śniadanie i obiad, otrzymywali za to 7 rubli tygodniowo, z czego potrącano 5 za życie i mieszkanie. Mularze pracowali od 5 rano do zmierzchu, a jakie były zarobki, mówiła popularna piosenka: „Wyjdę za mularza, będę dobrze jadła, pół garnca kartofli, za trzy grosze sadła“.

Akcję poprawienia warunków pracy mularzy utrudniało to, że ogromna większość ich przybywała do Warszawy wiosną, a na zimę wracali na wieś. Z tego powodu nazywano ich bocianami. Pomimo tego rozproszenia udało się naszej grupie mularskiej przeprowadzić solidarną akcję strajkową, dzięki czemu uzyskano skrócenie dnia roboczego o godzinę i podwyższenie płacy o 20—30 groszy dziennie. Podobne wyniki dała akcja podjęta przez grupy piwowarów i białoskórników. Ponieważ strajki stawały się czę-

ste, a tajna Kasa Oporu nie mogła zebrać większego funduszu na pomoc strajkującym, zaleciliśmy agitatorom nie rozbudzać wielkich nadziei na pomoc z tej strony, a główny nacisk kłaść na solidarne występowanie z żądaniami i trafny wybór pory strajku.

Jaką wartość miało rosyjskie prawo fabryczne, przytaczane przez związkowców na dowód, że można obejść się bez zaczepiania rządu, przekonali się piwowarzy, gdy właściciele browarów zwlekali z wykonaniem umowy, poprawiającej warunki pracy. Delegacja robotników poszła ze skargą do inspektora fabrycznego Światłowskiego. Ten, zamiast pomóc, polecił policji wysłać do miejsc urodzenia bezrobotnych czeladników piwowarskich. W tym właśnie czasie w obawie rozruchów dano rozkaz wysyłania z Warszawy wszystkich pozostających bez pracy. Prawo fabryczne w rękach rosyjskich urzędników było tylko nową okazją do brania łapówek od fabrykantów. W ogóle carska biurokracja potrafiła na wszystkich polach wywoływać wrzenie rewolucyjne wbrew optymizmowi propagatorów ekonomizmu i pracy organicznej.

W takich warunkach świętowanie 1 maja stawało się pobudką do żywiołowych strajków o skrócenie dnia roboczego i podwyższenie płacy. Szczególnie tam, gdzie organizacja była słaba i jedynym łącznikiem była mała grupa rozpowszechniających odezwy majowe. Tak było w Łodzi w 1892 r., gdzie zaraz po 1 maja zaczęły się strajki, które przekształciły się w strajk powszechny, ogarniający Zgierz i Pabianice. Rząd nie pozwolił na żadne ustępstwa i utopił strajk we krwi; było przeszło 200 zabitych i rannych.

Pogrom łódzki stał się punktem zwrotnym w poglądach „ekonomistów“; zaczęli oswajać się z myślą, że główną przeszkodą jest rząd rosyjski.

W Warszawie świętowanie 1 maja (przypadł w niedzielę) ograniczało się do urządzania majówek w podmiejskich lasach z odpowiednimi przemówieniami. Byłem na jednej z nich w lasku morusińskim pod Wilanowem. Zjednoczenie nie wydało odezwy, ponieważ Związek zawiadomił, że wysłał już swój projekt do wydrukowania w Berlinie, gdzie po listopadowych aresztowaniach schroniło się kilku związkowców i mieli do odezwy wprowadzić polityczne postulaty. Po otrzymaniu tej odezwy przekonaliśmy się, że nie wyraża ona tego, o co nam chodziło, dlatego nie przyjęliśmy jej do rozpowszechnienia. Robotnikom w moim kółku odezwa ta nie podobała się jeszcze z tego powodu, że było w niej zdanie, jakoby wyzysk fabrykantów zmuszał robotnice do sprzedawania swego ciała. Uważali to za zniewagę. „To nie spośród robotnic — mówili — werbują się prostytutki, lecz spośród przyzwyczajonych do lżejszego życia“. Wyznawcy determinizmu byli zdziwieni, gdy zakomunikowałem im ten protest robotników: przeczył ich tezie, że człowiek nie winien, tylko ciężkie warunki bytu.

Towarzysze wysłani do Łodzi po krwawej rozprawie wrócili z żądaniem wydania odezwy piętnującej postępowanie rządu i wojska rosyjskiego. Drukowaniem odezwy zajęli się zecerzy z naszego kółka (Antoni Burkot i Stanisław Klimowicz), ja miałem nazajutrz (27 maja) odebrać ją od nich i zawieźć do Łodzi. Nic nie wiedząc o tym, że w nocy zostali aresztowani w drukarni przy ul. Marszałkowskiej, posze-

dłem rano do ich mieszkania na Twardej pod nr 20. Tutaj aresztowano mnie i odprowadzono do cyrkułu. Oficer żandarmerii, prowadzący śledztwo, udał, że wierzy mojej bajce, dlaczego zapukałem akurat do tego mieszkania; kazał odprowadzić mnie do domu, zrobić rewizję i uwolnić, jeżeli nie znajdzie się nic podejrzanego. Nazajutrz rano przekonałem się, że uwolniono mnie tylko po to, żeby wyśledzić, z kim utrzymuję stosunki. Na rogu Szpitalnej czekali na mnie tajni ajenci i odtąd dniem i nocą śledzili moje kroki. Nie pozostawało nic innego, jak natychmiast zerwać wszystkie stosunki na mieście, żeby kogo nie „zarazić". Nadal komunikowałem się z kolegami tylko w murach uniwersytetu.

Praca w kółkach i Kole rozwijała się w tym czasie pomyślnie, sporów z międzynarodowcami nie było, po listopadowych aresztowaniach przycichli, tym bardziej, gdy po krwawej rozprawie w Łodzi wytknęliśmy im, że nie odezwał się w Rosji żaden głos protestu, a przy każdym zaburzeniu w Rosji zaraz żądano od nas poparcia. Czyżby zalecana solidarność międzynarodowa miała obowiązywać tylko Polaków?

Po miesiącu unieruchomienia wskutek ciągłej asysty tajnych ajentów doszedłem do przekonania, że trzeba się decydować: albo czekać, aż żandarmom sprzykrzy się daremne śledzenie i zamkną mnie w cytadeli, albo wyjechać za granicę. Bracia z Zetu i towarzysze ze Zjednoczenia radzili jak najprędzej uciekać; i ja skłaniałem się ku temu, wahałem się tylko w wyborze miejsca nowego pobytu. Początkowo chciałem jechać do Krakowa; coś tam zepsuło się w kole Zetu, alarmowano nas tajemnym pismem, chciałem

na miejscu wyjaśnić rozmiary „wsypy" i co się da naprawić. Starsi bracia stanowczo odradzali, ponieważ w Krakowie grasował austriacki komisarz Kostrzewski, pomagający żandarmom w tropieniu Polaków z Kongresówki. W Niemczech było również niebezpiecznie, garstka studentów z zaboru rosyjskiego w Berlinie coraz częściej była nawiedzana przez policję. W stosunku do polskich emigrantów panowała w tym czasie całkowita solidarność zaborców. Wobec tego wybrałem, jako pierwsze miejsce postoju, Zurych, ponieważ było tam najliczniejsze koło Zetu.

Kończył się rok akademicki. Akty Koła oddałem na przechowanie Wernyhorze, żeby po wakacjach wręczył je nowemu prezesowi. Przedostanie się przez granicę ułatwił mi Kochanowicz, którego rodzice mieli we Włocławku sklep kolonialny. Postanowiłem wyjechać z Warszawy statkiem, ponieważ na dworcach kolejowych czuwali żandarmi. Po całodziennych zabiegach udało mi się 30 czerwca zgubić ajentów i bezpiecznie dostać się na statek. We Włocławku przed sklepem Kochanowiczów czekała furmanka, która zawiozła mnie do kolonisty pod Starym Ciechocinkiem. Gospodarz widocznie uważał mnie za bardzo niebezpiecznego gościa; zaraz po przyjeździe ulokował mnie w ciemnym schówku pod podłogą, gdzie był skład przemycanych towarów. Tutaj przesiedziałem do późnego wieczora, kiedy przyszedł przewodnik, który miał przeprowadzić mnie przez granicę.

Pierwszy raz przechodziłem zieloną granicę; zachowałem to w pamięci na całe życie. Po zatęchłym schówku las, którym szliśmy parę godzin, wydał mi się rajem. W drodze przewodnik pouczał, jak mam

zachowywać się. Wyciął dwie długie tyczki i dał mi jedną do ręki objaśniając, jak może przydać się. Granicę stanowiła rzeczka obrośnięta olszyną, w której może przyczaić się żołnierz i w ostatniej chwili złapać. Tyczka jest potrzebna, żeby go odepchnąć i skoczyć do wody.

Kiedy doszliśmy do brzegu lasu, rozebraliśmy się, przytraczając obuwie i ubranie mocno na plecach, żeby nie przeszkadzały w biegu. Przykucnęliśmy w krzakach, czekając na przejazd konnego „obieżczyka", po którym żołnierze zwykle zasypiali. Gdy zaległa zupełna cisza, ruszyliśmy pędem ku rzece z tyczkami w ręku, jak ułani do ataku. W olszynie nie napotkałem nieprzyjaciela, z rozpędu buchnąłem w wodę i cały urok przygody prysnął. Wylazłem na drugi brzeg po pas uwalany mułem. W karczmie pod Otłoczynem umyłem się i wysuszyłem. Rano najętą furmanką dojechałem do Torunia, a stąd koleją przez Poznań, Katowice, Wiedeń do Zurychu. Wysiadałem w drodze tylko dla zmiany pociągu i kupna biletu, ponieważ nie miałem żadnego paszportu ani walizki, z czym mógłbym pójść do hotelu.

Tak skończyło się moje życie studenckie.

II

NA EMIGRACJI

1892—1894

W Zurychu było Towarzystwo Młodzieży Polskiej, zajmujące się samokształceniem członków i urządzaniem obchodów narodowych, w których brali udział nieliczni tutaj emigranci. W Towarzystwie rej wodzili bracia z Zetu: Stefan Bądzyński, późniejszy wojewoda białostocki, Liliensztern, Leon Marchlewski, obecnie profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Stefan Mierzejewski, Karol Raczkowski, Ludwik Włodek. Towarzystwo należało do Zjednoczenia Młodzieży, które łączyło wszystkie towarzystwa młodzieży polskiej przy wyższych uczelniach w Szwajcarii, Francji i południowych Niemczech. Zjednoczenie nadawało im ogólny kierunek, jak Koło warszawskie kółkom terytorialnym. Podejmowało również działalność wydawniczą: w 1893 r. wydało broszurę Wysłouchowej „Za wolność i lud“ dla rozpowszechnienia w kraju. Zjazdy delegatów towarzystw odbywały się w czasie świąt Bożego Narodzenia, najczęściej w Zurychu, gdzie był zarząd Zjednoczenia. W zjazdach brali udział przedstawiciele starszej generacji (Bukowski, Gierszyński, Limanowski, Miłkowski); bywały publiczne odczyty i dyskusje w sprawach ogół Polaków obchodzących.

Stosunki z międzynarodowcami, grupującymi się przy piśmie „Walka klas“, zostały zerwane w 1889 r., kiedy po zjeździe Zjednoczenia w Genewie redakcja tego pisma wydała paszkwil, oskarżający młodzież i jej przewodników, w szczególności Limanowskiego, o alians z ajentami rządu austriackiego dla walki z Rosją. Stosunki pogorszyły się, gdy drugi organ proletariatczyków „Przedświt“ zaczął wyszydzać manifestację 3 maja, jako „zabawę w odgrzebywanie spleśniałych zabytków Polski szlacheckiej“, a w marcu 1892 r. w artykule wstępnym, zatytułowanym „Filuś, Miluś i Kizia“, przedstawił Miłkowskiego i Balickiego, jako kotków zabiegających o względy stańczyków. Z tego powodu było potem dużo trudności. Kiedy w 1893 r. proletariatczycy oddali „Przedświt“ w ręce nowego Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich, młodzież żądała zmiany nazwy tego pisma.

Oprócz Towarzystwa Młodzieży istniało w Zurychu „Ogniwo“ o zabarwieniu burszowskim. Członkowie jego prawie codziennie odbywali posiedzenia w knajpach, tak zwaną koronę piwną, demoralizująco oddziaływającą na młodszych. Sekcja zurychska Związku Zagranicznego musiała zająć się rozbiciem tej korony, bo próżniactwa przybywało.

Rosyjska kolonia składała się głównie z Żydów litewskich, wśród których rej wodził Axelrod, współpracownik Plechanowa w tworzeniu rosyjskiej socjaldemokracji na wzór niemieckiej. W polskiej kolonii Axelrod wsławił się oświadczeniem, że po Marksie już nikt nic nowego powiedzieć nie może.

W celu poznania poglądów Niemców chodziłem na zebrania emigrantów niemieckich w towarzystwie

„Eintracht“, gdzie toczył się spór pomiędzy starymi i młodymi socjaldemokratami. Młodzi po wykluczeniu z partii utworzyli nową organizację „niezależnych“ (unabhängige). Na jednym zebraniu polemika między Kautskym, przybyłym z Niemiec dla nawrócenia młodych na łono partii, a ich przywódcą Hansem Müllerem skończyła się bójką, w której żywy udział wzięły rosyjskie Żydówki. Przestałem chodzić na te zebrania. Niczego tam nie można było nauczyć się prócz nie przebierającej w środkach zaciekłości partyjnej.

W końcu lipca poznałem Romana Dmowskiego. Skończył uniwersytet warszawski przed moim wstąpieniem na wydział przyrodniczy, widziałem go tylko w pochodzie 3 maja. Teraz wracał do kraju z Paryża i spodziewał się aresztowania, ponieważ żandarmeria wykryła jego udział w organizowaniu tej manifestacji. Przewidywania jego sprawdziły się. Z granicy odstawiono go do cytadeli, a w następnym roku zesłano na 3 lata do Rosji. Na pożegnanie, jak starszemu bratu, wyprawiliśmy mu ucztę na Stapferwegu, gdzie mieszkała większość braci z Zetu. Żadnych sporów programowych nie było, a nastrój ducha był tak wesoły, że lokatorzy domu zaczęli przywoływać nas do porządku: „Polizeistunde ist vorbei“ — godzina 10 minęła, należy zachowywać się cicho.

Ten szwajcarski zwyczaj, przestrzegany również w Anglii, wczesnego zamykania knajp i pilnowania ciszy nocnej bardzo mi się spodobał: nazajutrz wszyscy idą do pracy wypoczęci i wyspani, nie ma poniedziałkowania. W 1919 r., jako minister spraw we-

wnętrznych, chciałem ten zwyczaj wprowadzić w Warszawie, ale się nie udało. Za dużo jest u nas próżniaków, lubiących bawić się po nocach. Zaraz znaleźli protektorów, którzy orzekli, że takie zarządzenie powiększa bezrobocie personelu restauracyjnego. Dobrobyt knajp nocnych i dancingów w Warszawie okazał się ważniejszy niż ochrona nerwów i spoczynku ludzi pracy. Chętnie importujemy z Zachodu różne plugastwa, ale jego dobre obyczaje mało znajdują u nas naśladowców. Wprowadzenie godziny policyjnej uważam za lepszy środek zapewnienia ciszy nocnej niż podatek od siedzenia w knajpach w późnych godzinach.

Porównując nasz tryb życia z zachodnio-europejskim nasuwała mi się jeszcze jedna uwaga. Żyjemy nad stan i gardzimy pracą fizyczną, jak starożytni Rzymianie, posługujący się niewolnikami. Moja religijna matka wcześnie oduczyła mnie pańskich narowów. Gdy przeglądając dokumenty, pozostałe po ojcu, pyszniłem się, że nasze szlachectwo wywodzi się z XV wieku i miałbym prawo stać przy królu polskim w czapce, matka monitowała mnie: „Lepiej zabierz się do uprzątania pokoju, korona z głowy przez to tobie nie spadnie“. Dobre wychowanie uzupełniłem na emigracji obserwując obyczaje Szwajcarów, potem Anglików. Gospodarz mieszkania, u którego wynajmowałem pokoik, był kasjerem na kolei, zarabiał nieźle, jednak żona jego sama gotowała obiady i sami uprzątali mieszkanie. Gdy zastałem go przy froterowaniu podłogi w moim pokoju i chciałem wyręczyć, wyraził zdziwienie, ponieważ uważał Polaków za „herrisch“ (pysznych). Takie zdanie o nas wyrobił sobie,

obserwując polskich turystów, którzy nawet niesienie ręcznego bagażu uważali za poniżające ich godność. Snobizm jest widocznie naszą nagminną chorobą. Ulegają jej teraz nawet radykali, pretendujący do roli wychowawców demokracji. Mądre jest angielskie przysłowie, że ładne ubranie może okrywać głupca, ale nie może go ukryć.

Biblioteka Muzeum Narodowego w Raperswilu nie była jeszcze otwarta. Kustosz muzeum Rużycki, dziwak, uważał manuskrypty i książki za bezwartościowy balast. Dopiero Zygmunt Wasilewski i Stefan Żeromski, dzięki finansowej pomocy Henryka Bukowskiego ze Sztokholmu, zaczęli wydobywać je z piwnic i porządkować. Poszukując źródeł polskiej myśli politycznej musiałem ograniczyć się do czytania tego, co znalazłem w bibliotece Towarzystwa Młodzieży. Były tutaj wszystkie współczesne wydawnictwa emigracyjne, broszury i pisma.

Liga Polska na emigracji nie prowadziła żadnej działalności poza zbieraniem ofiar na skarb narodowy. Inicjator jej Miłkowski zestarzał się, co ujemnie odbijało się na redagowanym przez niego „Wolnym Słowie“, zajętym czczą polemiką z prasą krajową i notowaniem faktów z życia wychodztwa polskiego.

Limanowski od początku swojej działalności głosił potrzebę połączenia walki o wyzwolenie społeczne z walką o niepodległość Polski, ale gmina narodowo-socjalistyczna, do której należał, nie miała łączności z krajem ani programu praktycznego na dziś.

Wśród proletariatczyków znikł silny początkowo wpływ rosyjskich rewolucjonistów, przechylono się ku zachodnio-europejskim metodom działania i pod-

niesiono hasło niepodległości. Stanisław Mendelson w „Przedświcie“ zaczął głosić, że stronnictwo socjalistyczne musi wziąć na siebie rolę przewodnika narodu we wszystkich jego dążnościach, ale równocześnie szkalował samodzielne przejawy tych dążności, jako reakcyjne.

I wśród związkowców, którzy po listopadowych aresztowaniach schronili się w Berlinie, dojrzewał zwrot programowy, którego wyrazem była broszura Zborowicza (St. Grabskiego) „Przyczynek do programu socjalnych demokratów polskich“. Cytuję z niej dwa znamienne ustępy: „Walka partii robotniczej musi być w pierwszej linii walką polityczną... Naród polski dojrzał do innej konstytucji niż ta, do jakiej może dojść Rosja przy swoim układzie sił społecznych. Partia robotnicza musi się starać i o zrzucenie jarzma politycznej zależności Polski“.

Narodowo-socjalistyczna „Pobudka“ po krwawej rozprawie w Łodzi wzywała do pogrzebania dawnych różnic i zjednoczenia sił.

Wszystko to zdawało się zapowiadać, że na emigracji prędko będzie można dojść do porozumienia w sprawie programu i taktyki dalszej działalności. Wkrótce przekonałem się, że ten optymizm był przedwczesny. Doktrynerstwo i animozje okazywały się silniejsze niż potrzeba zjednoczenia. Dwa lata trwało godzenie powaśnionych grup.

W końcu sierpnia policja niemiecka rozgromiła kółko Polaków, pomagających w wydawaniu „Gazety Robotniczej“ w Berlinie. Część ich przeniosła się do Zurychu; między nimi Romuald Mielczarski, z którym po powrocie do kraju w 1906 r. zacząłem organi-

zować ruch spółdzielczy. Prawie równocześnie z nimi przyjechał z Genewy Abramowski, żeby omówić ze mną sprawę zjednoczenia ruchu, rozpoczętą w Warszawie. Od niego dowiedziałem się, że kroki w tym kierunku zostały podjęte również na emigracji, zjazd przedstawicieli różnych ugrupowań ma się odbyć w Paryżu i on w imieniu naszej grupy zobowiązał się wziąć w nim udział. Ponieważ postanowiłem skończyć z moimi wciąż przerywanymi studiami uniwersyteckimi i wybierałem się do Paryża, żeby nauczyć się zecerki i nadal utrzymywać się z pracy rąk, więc postanowiliśmy jechać razem. Tymczasem Abramowski wykańczał rękopis „Dobrej nowiny robotnikom wiejskim“ na podstawie przywiezionego z kraju brulionu żony.

Zygmunt Pietkiewicz w swoich wspomnieniach („Niepodległość“ tom II, str 92) mówi: „Mieliśmy wśród siebie takich towarzyszów (limanowszczyków), jak Wojciechowski, Rodziewicz, Mielczarski... Te umysły, mniej obarczone lękiem doktryny, śmielej i czynniej myślały polskim myśleniem historycznym. To zaś nie było bez zachęcającego wpływu na nas, skrępowanych determinizmem“. W imię prawdy muszę stwierdzić, że kiedy poznałem Abramowskiego w końcu 1891 r., był on już zdecydowanym zwolennikiem wystawienia postulatu niepodległości Polski w programie partii robotniczej. Na dowód, że w tej sprawie nie ma różnic pomiędzy Zetem i Zjednoczeniem, odczytał mi w Warszawie ze wspomnianego brulionu ustęp kończący się słowami: „Nie chcemy, żeby ta zgraja łotrów nami rządziła. Wypędzimy całą tę psiarnię moskiewską i sami rządzić się będziemy“.

Twierdzenie Leona Wasilewskiego („Polska emigracja londyńska“), jakoby Mendelson był głównym promotorem postulatu niepodległości Polski, może być słuszne tylko w stosunku do proletariatczyków, którzy zaskoczeni byli zwrotem swojego przewodnika. Grupa ich w Warszawie odrzuciła uchwały zjazdu paryskiego tak samo jak starzy związkowcy. Szczególnie wyraźnie wystąpiło to po wydaniu napisanej przez Abramowskiego broszury na 1 maja 1893 r., o czym będzie mowa niżej.

W Zurychu odwiedzałem Abramowskiego codziennie. Był jeszcze bardzo osłabiony i trudno było wyciągnąć go na spacer. Kiedy po śmierci żony zachorował na zapalenie mózgu, lekarze zastosowali zastrzyki z morfiny; odtąd zaczął ich używać stale, wyleczył się z tego nałogu dopiero w sanatorium Forela w 1894 r. Z rozmów z nim odniosłem wrażenie, że szuka sposobów przywołania ducha żony natężeniem własnej woli. W tym czasie zaczął się więcej interesować psychologią i krytycznie odnosić się do determinizmu, któremu ulegała większość socjalistów. Jego późniejsze prace naukowe („Teoria jednostek psychicznych“ i „Pierwiastki indywidualne w socjologii“) doprowadziły do przywrócenia woli ludzkiej znaczenia pierwszorzędnego czynnika w rozwoju społecznym.

Przy wielkiej inteligencji i gotowości do ofiar, gdy chodziło o sprawy społeczne, Abramowski był bardzo niezaradny w życiu codziennym i nieobliczalny w swoich pomysłach organizacyjnych. Z tego powodu mieliśmy kłopoty przy organizowaniu Związku Zagranicznego. Z czasem stosunki pomiędzy nami

tak się ułożyły, że on uznał mnie za „specjalistę“ w sprawach organizacji i odwoływał się do mnie, gdy chodziło o zrealizowanie jego pomysłów, a ja uważałem go za „książkowca“, u którego czerpałem wiedzę, gdy w nawale zajęć brakło czasu na czytanie książek dla rozwiązania nasuwających się zagadnień.

W pierwszych dniach października przyjechaliśmy do Paryża. Abramowski zamieszkał z Aleksandrem Dębskim na Montrouge, a ja w Quartier Latin, żeby być bliżej drukarni Reiffa, w której zacząłem uczyć się zecerki. Tutaj drukowana była „Pobudka“ i „Wolne Słowo“. Początkowo Reiff wzdragał się przyjąć mnie do drukarni uważając, że jestem za stary (miałem 23 lata), ale przekonałem go, że mam cienkie palce i prędko nauczę się składać czcionki. Pracowałem na akord od 7 rano do 6 wieczór z przerwą godzinną na obiad. W pierwszym tygodniu zarobiłem 5 franków, w drugim 10, z każdym tygodniem więcej, aż doszło do 30 franków przy składaniu jakichś biuletynów greckich. Reiff był poczciwym Żydem, ale żona jego przy wypłacie zaczęła sarkać, że za dużo liczę za tekst grecki. Powiedziałem jej, że na naukę greckiego wyłożyłem kapitał i teraz muszę mieć od niego procent. To ją przekonało. Język grecki, którym nie wiadomo po co męczono nas w gimnazjum, okazał się jednak użyteczny.

Kolonia polska w Paryżu była liczna, ale bardzo rozprószona. Na zebraniu w rocznicę powstania listopadowego obecnych było zaledwie sto osób. Stara emigracja, w znacznej części sfrancuziała, z wyjątkiem Henryka Gierszyńskiego i Bolesława Limanowskiego, trzymała się z dala od młodej. Limanowski wystą-

pił z gminy narodowo-socjalistycznej po wybraniu go do zarządu Związku Narodowego, który miał objąć wszystkich wychodźców polskich we Francji. Brał jednak udział w naszym zjeździe i przewodniczył mu, jako bezpartyjny, nawołując do wzajemnej wyrozumiałości i ustępstw, gdy spory zaogniały się. Obok „Pobudki“, którą na zjeździe reprezentowali Jan Lorentowicz, Władysław Ratuld i Maria Szeliga, zaczął w październiku wychodzić „Przegląd Socjalistyczny“, popierany przez Kazimierza Dłuskiego i Bolesława Motza. Stosunki pomiędzy nimi były tak zadrażnione, że grupa „Przeglądu“ odmówiła udziału w zjeździe, gdy dowiedziała się, że będą na nim przedstawiciele „Pobudki“. Młodzież studiująca skupiała się w „Spójni“. Byłem kilka razy na jej zebraniach i wyniosłem wrażenie, że jest mniej zharmonizowana niż w Zurychu. Zaczynały i tutaj występować animozje, zatruwające życie polskiej kolonii.

Zadaniem zjazdu paryskiego było wytworzenie jednej partii ze wszystkich grup socjalistycznych, czynnych w zaborze rosyjskim. Z wyznaczeniem terminu czekaliśmy odpowiedzi na wysłane do kraju listy. Falski z Warszawy zawiadomił mnie, że nie może przyjechać, ale zgadza się z celem zjazdu i oczekuje jego uchwał. Z naszej grupy zapowiedział przyjazd Jan Stróżecki. Od grupy proletariatczyków na Litwie przyjechał Aleksander Sulkiewicz, który potem stał się głównym łącznikiem pomiędzy zagraniczną i krajową organizacją. Stanisław Grabski przyjechał na zjazd jako luzak, ponieważ rozstał się z warszawskimi związkowcami z powodu ich przeciwstawiania się dążeniom narodowym. Z Londynu przyjechał Men-

delson z żoną (primo voto Jankowską) i Witold Jodko. W Paryżu oprócz Dębskiego byli Bolesław Jędrzejowski i Feliks Perl, wydaleni z Berlina proletariatczycy, oraz Stanisław Tylicki. Ogółem w zjeździe wzięło udział 18 osób. Termin pierwszego zebrania został wyznaczony na 17 listopada. Na czas zjazdu otrzymałem urlop z drukarni.

Na zjeździe opracowaliśmy program i taktykę, na podstawie których miały połączyć się grupy na emigracji w Związek Zagraniczny Socjalistów Polskich, a w kraju w Polską Partię Socjalistyczną. W stosunku do niej Związek miał być pomocniczą organizacją, a z czasem stać się jej częścią składową. Naczelny postulat: Samodzielna Rzeczpospolita Demokratyczna i zasady, na których ma się opierać, uchwalono prawie bez dyskusji. Równie łatwo doszło do porozumienia w sprawie agitacji i organizacji. Odnośne uchwały w streszczeniu mówiły:

Działalność musi być skierowana przede wszystkim na uświadomienie proletariatu co do jego zadań ekonomicznych i politycznych. Najdogodniejszą formą oddziaływania na najszersze koła jest słowo pisane, dlatego należy rozwinąć działalność wydawniczą. Wobec niemożności istnienia związków zawodowych i kas oporu należy tworzyć w każdym zawodzie grupy agitatorów, samodzielnie prowadzące walkę w swym zawodzie. Dla trwałości ruchu trzeba, żeby był możliwie robotniczy, dlatego należy za pomocą kółek samokształcenia i szkół agitatorów wytwarzać inteligencję robotniczą.

Jako główny środek walki zjazd uznał akcję zbiorową, wyrażającą się w strajkach, manifestacjach

i zbiorowych petycjach, jeżeli stan świadomości robotników w danym fachu lub fabryce nie pozwalał na przeprowadzenie innej akcji. Najbardziej sporną okazała się sprawa stosowania terroru. Chwilami zdawało się, że o to rozbije się całe porozumienie. Wtedy interweniował nasz zacny przewodniczący Limanowski, nawołując do wzajemnych ustępstw. Dyskusja w tej sprawie trwała 3 dni i skończyła się kompromisowymi uchwałami o terrorze politycznym, samoobronnym i ekonomicznym. Okazało się, że najwięcej sprzeczaliśmy się o to, co w ciągu następnych 10 lat nie było aktualne; żadnego terroru nie stosowano. Spór nasz okazał się akademickim, jak to często bywa, kiedy obradująca inteligencja nie opiera się na gruncie rzeczywistym sił i uzdolnień ludu.

Najbardziej stanowczym przeciwnikiem terroru byłem ja. Zaraz na początku dyskusji postawiłem wniosek, że partia nie powinna prowadzić działalności za pomocą terroru, wyjątek może stanowić tylko akcja bezpośrednio zmierzająca do rewolucji; na dziś musimy ograniczyć się do agitacji, organizacji i akcji zbiorowej. Chodziło mi o stanowcze odgrodzenie się od rosyjskiej teorii terroru, której ulegała młodzież polska w rosyjskich uniwersytetach, i o położenie tamy agitacji, która dogadzała bierności masy obietnicą, że partia ujmie się za pokrzywdzonymi i sama ukarze winnych. Rosyjska partia „Narodnaja Wola“ sądziła, że lud rosyjski przyzwyczajony do wspólnego władania ziemią w gromadach wiejskich (obszczynach) jest dostatecznie przygotowany do ustroju socjalistycznego, pozostaje tylko za pomocą zamachów zdezorganizować rząd i ująć w swoje ręce władzę.

Ta wschodnia teoria „zachwata własti“, którą nazywałem „zachwycaniem się władzą“, dotąd pokutuje w wichrowatych głowach pod nazwą różnego rodzaju dyktatur.

W sprawie stosunku do innych klas i partii zjazd uchwalił, że polska partia socjalistyczna, nie przestając być przedstawicielką interesów proletariatu, postara się być politycznym przewodnikiem narodu i grupować koło swego sztandaru wszystkie jego niezadowolone warstwy. Dogadzało to stanowisku proletariatczyków, którzy głosili w „Przedświcie“ (nr 3 z 1891 r.), że w Polsce jest miejsce tylko na dwa stronnictwa: „Jedno socjalistyczne ludowe... Drugie to obóz pański“. Ja sądziłem, że partia socjalistyczna jest partią proletariatu, a obok niej jest miejsce dla partii patriotycznej, skupiającej te elementy, które nie mogą pogodzić się z socjalizmem, ale chcą wyzwolić się z jarzma rosyjskiego. Z tego powodu byłem posądzany o walenrodyzm, zwłaszcza w następnym roku, kiedy przebywając w Niemczech pomogłem w drukowaniu odezw Ligi Narodowej.

W stosunku do Litwy i Rusi bez dyskusji przyjęto rezolucję, że partia socjalistyczna powinna rozszerzyć swą działalność na prowincje dawniej z Polską związane, a w stosunku do istniejących tam litewskich i rusińskich organizacji kierować się usiłowaniem wytworzenia zjednoczonej siły w celu zwalczenia ciążącego nad krajem ucisku. W stosunku do rosyjskich rewolucjonistów postanowiono zaznaczyć swą separatystyczną politykę, a sformułowanie warunków jakiejkolwiek łączności z nimi pozostawić krajowej organizacji.

Obrady zjazdu trwały 7 dni i zakończyły się przyjęciem statutu Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich, opracowanego przez Jędrzejowskiego. Obecni na zjeździe zobowiązali się należeć do Związku. Tylko w stosunkach z krajem zastrzegli sobie możność indywidualnego działania, dopóki tam nie nastąpi połączenie przynajmniej najpoważniejszych grup. Dla dalszego prowadzenia sprawy jednoczenia sił wybrano zarząd z siedzibą w Paryżu. Większością głosów powołano do niego Abramowskiego, Jędrzejowskiego, Lorentowicza, Perla i mnie.

Po zjeździe wróciłem do pracy w drukarni; w pracach zarządu mogłem brać udział tylko w niedziele. Mieliśmy już ustalony program i wytyczne działalności, pozostawało zwalczyć nieufność i osobiste urazy, pozostałe po poprzednim rozbiciu na grupy. Szło jak z kamienia, tym bardziej że i zarząd składał się z ludzi mało znających się. Zaraz na początku usunął się Lorentowicz, proponując na swoje miejsce innego członka gminy narodowo-socjalistycznej. Gdy ten odmówił, zwróciliśmy się do grupy „Przeglądu Socjalistycznego", żeby przystąpiła do Związku i wyznaczyła swego delegata do zarządu. Odpowiedź nie pozwalała mieć nadziei na rychłe przystąpienie, wobec tego dobraliśmy na piątego członka Aleksandra Dębskiego. Komentowano to, jako dawanie przewagi proletariatczykom. Takie trudności personalne trwały długo. Tymczasem werbowaliśmy pojedyncze osoby do Związku w Genewie i Zurychu.

W tym czasie wsławiłem się w kolonii paryskiej lapsusem, popełnionym przy kupowaniu sardynek. Mieszkałem na rue Scipion z Kanią i Tylickim.

W grudniu przyjmowaliśmy u siebie kilku kolegów i koleżanek ze „Spójni“ (była Budzińska, Kossowska i Skłodowska, późniejsza Curie). Wybiegłem do sklepu po sardynki i chcąc, żeby otworzono pudełko, użyłem słów: „cordon s'il vous plait“, którymi zwykle wzywaliśmy dozorcę domu, żeby otworzył drzwi, pociągając sznurek od zatrzasku. Wiele było śmiechu, gdy powiedziałem kolegom, że w sklepie nie mogli zrozumieć, o co mi chodzi. Ten lapsus, wynikły z małej znajomości języka francuskiego (w gimnazjum uczyłem się tylko niemieckiego), dotąd przypominają mi znajomi przybywający z Paryża.

Mój pobyt w Paryżu został skrócony przez interwencję rosyjskich ajentów u ministra spraw wewnętrznych Emila Loubet, który zgodził się zastosować do zarządu Związku dekret z 1849 r., upoważniający ministra do aresztowania i wydalania z Francji cudzoziemców, których uzna za niebezpiecznych. W republikańskiej Francji spotkała mnie rosyjska niespodzianka. W nocy z 7 na 8 stycznia wtargnęła do mego mieszkania policja; komisarz wręczył mi dokument, upoważniający do zrobienia rewizji i odstawienia mnie do więzienia. Przecierałem oczy ze zdumienia czytając ten dokument. W nagłówku obok słów „Prefecture de Police“ była dewiza republiki „Liberté, Egalité, Fraternité“. To mnie tak oburzyło, że łamaną francuszczyzną, mieszaną z niemieckim, nazwałem świństwem naśladowanie carskich żandarmów pod republikańskimi hasłami. Omal nie doszło do bójki, bo i komisarz się zaperzył. Przy rewizji oprócz kilku notatek ze zjazdu zabrano węglowy proszek do zębów, który wydał się komisarzowi bardzo podejrzany.

Przy wyjściu z więzienia zwrócono mi notatki, ale proszku nie, widocznie zużyto go przy analizie.

Oddana rządowi prasa francuska ogłosiła, jakobyśmy byli „rosyjskimi nihilistami“, przygotowującymi zamach. Nazajutrz po naszym aresztowaniu Loubet upadł, ale następca jego Ribot na interpelację w tej sprawie odpowiedział, że „nie pozwoli, żeby na terytorium francuskim knuto intrygi przeciwko obcemu mocarstwu“. Większością przeszło dwustu głosów przeciwko 34 odłożono interpelację na miesiąc, co w francuskim parlamencie oznaczało pogrzebanie sprawy. W tym czasie opinia publiczna była zajęta skandalem panamskim.

Trzymano nas w więzieniu w osobnych celach 6 dni. Żadnego śledztwa nie było, tylko sfotografowano nas. Trzymano tak długo, żeby rosyjscy ajenci mogli przejrzeć i skopiować znalezione u nas notatki. Najwięcej ich było u Abramowskiego w postaci brulionów jego broszur. W celi więziennej bez książek było bardzo nudno. Odczytałem wszystkie napisy na ścianach: najwięcej było serc, przebitych strzałą, i „vive l'anarchie“. Widocznie siedziało tutaj wielu zawiedzionych kochanków i anarchistów. Jedzenie było marne i bardzo jednostajne: co dzień bochenek nie dopieczonego chleba żytniego i jakaś lura z soczewicą. Chleb był tak zakalcowaty, że mogłem jeść tylko skórkę; obłupane bochenki stały się moim kalendarzem więziennym. Wreszcie w asyście ajentów odprowadzono nas do domu dla zabrania rzeczy na drogę. Na dworcu kolejowym żegnali nas koledzy i koleżanki. Budzińska ofiarowała mi jasiek, Skłodowska wiersz o jasnych duchach na pamiątkę. Po-

żegnanie to świadczyło, że zastosowana do nas represja nie wywołała paniki w polskiej kolonii, jak to twierdził w swym raporcie szef rosyjskiej ajentury w Paryżu.

Jako miejsce schronienia wybraliśmy Anglię, ajenci towarzyszyli nam do statku w Calais. Morze było wzburzone, na szczęście uniknąłem morskiej choroby, choć widok przygotowanych naczyń na wielu pasażerów działał zachęcająco. Na dworcu w Londynie spotkał nas Jodko i pomógł w ulokowaniu. Z Abramowskim i Dębskim zamieszkaliśmy na May Street blisko drukarni „Przedświtu“, która mieściła się w suterenie mieszkania Mendelsonów na Stonor Road. Pracowałem dalej, jako zecer, przy składaniu „Przedświtu“ i broszur Abramowskiego. Mendelsona nie zastaliśmy; pojechał do kraju nielegalnie, żeby skłonić proletariatczyków w Petersburgu, Rydze, Wilnie i Warszawie do połączenia z innymi grupami w jedną partię.

W kilka dni po naszym przyjeździe do Londynu jakiś przyjaciel Rosji w parlamencie zapytał, dlaczego rząd pozwolił na wylądowanie takich typów (characters). Przedstawiciel rządu odpowiedział, że sami wybraliśmy Anglię i rząd nie widzi powodu, dla którego miałby nam odmówić prawa azylu; jeżeli popełnimy jakie przestępstwo, to na to są sądy angielskie. Od razu poczułem sympatię do Anglików za to oświadczenie. Po interpelacji zjawił się w naszej drukarni reporter jakiejś gazety z pytaniami. Ponieważ nikt z nas nie władał językiem angielskim, odpowiadał Jodko. Żałuję, że w archiwum P. P. S. nie zachował się wycinek z tej gazety; było to pierwsze tłu-

maczenie Anglikom, w jaki sposób zamierzamy zdobyć niepodległość Polski. W pamięci pozostało mi tylko, że oczekujemy wplątania się Rosji w jakąkolwiek wojnę i liczymy na kilkaset tysięcy Polaków w armii rosyjskiej. Po tym wywiadzie Jodko otrzymał przydomek „tureckiego świętego“, ponieważ tak go odmalował reporter, robiąc aluzję do jego łysiny i długiej brody, której Anglicy nie nosili.

W marcu wrócił z kraju Mendelson z wiadomością, że w Warszawie nastąpiło połączenie najpoważniejszych ludzi z Proletariatu, Związku i Zjednoczenia; przystąpiła do nich grupa socjalistyczna w Wilnie, przyjęli program paryski i nadal występować będą jako Polska Partia Socjalistyczna. Wobec tego odpadły uprzednie zastrzeżenia uczestników zjazdu w Paryżu. Proletariatczycy oddali swoje wydawnictwa i „Przedświt“ w ręce zarządu Związku Zagranicznego, to samo zrobił Abramowski z wydanymi jego kosztem broszurami. Zachęciło to nas do wznowienia pertraktacji z innymi grupami i pojedynczymi osobami. W Londynie i Zurychu powstały sekcje Związku, liczące po kilkunastu członków; gmina narodowo-socjalistyczna przekształciła się w sekcję paryską, na uboczu pozostała jeszcze grupa „Przeglądu Socjalistycznego“.

W Londynie byłem świadkiem manifestacji majowej, którą Anglicy wbrew uchwale międzynarodowego kongresu przenieśli na niedzielę. Za ich przykładem w następnym roku poszli Niemcy motywując to tym, że wobec kryzysu i silnej organizacji burżuazji porzucenie pracy w dniu 1 maja równałoby się wydaleniu z fabryk wszystkich świętujących. Dwa

kraje o najsilniejszym ruchu robotniczym na swój sposób stosowały hasło międzynarodowej solidarności proletariatu. Inne kraje uważały uchwały kongresów za bezwzględnie obowiązujące.

Manifestacja majowa odbyła się w Hyde Parku, uczestniczyło w niej pół miliona ludzi, pochód przez City trwał 3 godziny. Przyglądając się sztandarom trade unionów, przekonałem się naocznie, że ruch robotniczy w Anglii nie poddaje się żadnej teorii. Mówiły to napisy, emblematy i obrazy na sztandarach. Na jednych widziałem pana w surducie podającego rękę robotnikowi w bluzie, na innych hasła z okresu walki czartystów o prawa polityczne, na innych 3 ósemki (8 godzin pracy, 8 odpoczynku, 8 snu), na dwóch napisy „Socjaldemokratyczna Federacja“, na jednym „Towarzystwo Fabiańskie“. Związki zawodowe w Anglii powstawały samorodnie bez komendy ze strony jakiejkolwiek partii i na swoich sztandarach wyrażały to, co w chwili powstawania uważały za najbardziej aktualne. Teraz hasłem jednoczącym wszystkich w manifestacji było żądanie ośmiogodzinnego dnia pracy. Najwięcej platform, z których przemawiali mówcy w Hyde Parku, należało do „Ligi prawnego dnia 8 godzin“ i Rady Głównej trade unionów.

Jak pod wpływem poważnych manifestacji i wymogów życia zmienia się w Anglii opinia publiczna i razem z nią decyzje parlamentu, przekonałem się na losach projektu ośmiogodzinnego dnia dla górników. W poprzednim roku upadł on większością 278 głosów przeciw 160. Wznowiony w tym roku był przyjęty większością 279 głosów przeciw 201. W Anglii

nie ma miejsca dla rewolucyjnych skoków, mających przyspieszyć postęp społeczny. Sprawa dojrzała w opinii publicznej wnet znajduje swój wyraz w akcie ustawodawczym. Nie odbywa się to tak prędko, jakby pragnęli polscy reformatorzy, za to solidnie. Nie ma niedojrzałych ustaw, które potem trzeba co rok nowelizować. Sądzę, że lepiej byłoby w Polsce, gdyby dzisiejsi kandydaci na przywódców i mężów stanu jeździli na dokształcenie do Anglii, nie do innych krajów. Uniknęlibyśmy wielu błędów i eksperymentów, opóźniających dojrzewanie narodu do demokratycznego samorządu.

Jako młody rewolucjonista dopiero w Anglii nauczyłem się szanować policję. Przedtem nie miałem dla niej żadnego respektu. Zamiast uspokajać, wzburzała ludzi brutalnym postępowaniem, brakiem taktu i poszanowania godności człowieka. Nawet w Zurychu bywały bójki z policją, gdy nie umiała zachować zimnej krwi wobec wybryków młodzieży. W Londynie obserwowałem postępowanie policji w czasie manifestacji, gdy przy jednej platformie tłum ogarnęło wzburzenie i zaczął bić jakiegoś niefortunnego mówcę, zdaje się, anarchistę. Potem widziałem policję w najbiedniejszej dzielnicy Whitechapel, której mieszkańcy odznaczali się zdziczeniem, szczególnie w sobotnie wieczory. We wszystkich konfliktach policjanci londyńscy imponowali mi swoim niezwykłym taktem i zimną krwią w doprowadzaniu tłumu do równowagi i poskramianiu awanturników i pijaków. Dlatego kiedy w 1919 r. wypadło mnie, jako ministrowi spraw wewnętrznych, organizować polską policję, sprowadziłem instruktorów z Londynu.

Moje obserwacje życia Anglików zostały przerwane niepokojącymi wiadomościami z Warszawy. Broszura majowa, napisana przez Abramowskiego z polecenia krajowej organizacji, narobiła krzyku wśród starych związkowców. Centralne Koło P. P. S. odrzuciło ją, jak pisał Falski, „pomimo dobrego ogólnego wrażenia za kilka wyrażeń niewłaściwych w broszurze socjalistycznej (bydło prawosławne itp.)“. Zamiast odrzuconej broszury wydano odezwę, która nie wyrażała postulatów przyjętych na zjeździe paryskim. Ton broszury Abramowskiego okazał się za ostry dla świeżo nawróconych. Przytaczam inkryminowane ustępy: „Mamy jeszcze na karku Moskali, którzy z naszego kraju zrobili więzienie, a z nas chcą zrobić swoje bydło prawosławne, żeby na zawsze pogrzebać i wolność i Polskę... Rząd moskiewski chce z nas zrobić bydło swoje, pokorne, posłuszne, cierpliwe“. Broszura kończyła się wezwaniem: „Chcemy większej płacy, krótszego dnia roboczego, a przede wszystkim chcemy swobody, chcemy wolnej niepodległej Polski“. Wydana zamiast niej odezwa kończyła się ówczesnym międzynarodowym hasłem: „Niech żyje 8-godzinny dzień roboczy“ bez żadnych aluzji o politycznym położeniu robotników w Polsce. Broszurę Abramowskiego rozpowszechniali tylko narodowcy, natomiast nie chcieli przyjąć odezwy P. P. S., jako nie uwzględniającej ich postulatów.

Widocznym stało się, że w kraju nie nastąpiło jeszcze zupełne porozumienie na podstawie programu paryskiego. Potwierdzał to fakt, że i odezwa, nawołująca do obchodu rocznicy powstania Kościuszkowskiego, wydana w Londynie, nie była rozpow-

szechniona w kraju z powodu sprzeciwu warszawiaków. Na zebraniu zarządu Związku postanowiliśmy, że ktoś z nas musi zaraz jechać do kraju, żeby usunąć zatarg i załatwić drażliwą w ówczesnych stosunkach sprawę mandatów na międzynarodowy kongres. Wybór padł na mnie, ponieważ najlepiej znałem stosunki warszawskie i, jako „zjednoczeniec“, najmniej mogłem być posądzany o stronniczość przy wyznaczaniu delegatów na kongres.

Starsi towarzysze zalecili mi zgolić brodę i odmienić się na bruneta, ponieważ moja fotografia paryska na pewno jest już w rękach rosyjskich żandarmów. Malowała mnie żona Mendelsona, trwało to kilka dni. Sztuka malowania włosów stała wtedy marnie, skóra pod włosami zaczęła mi złazić od pierwszej farby, widocznie był w niej azotan srebra. Po wygojeniu zastosowano inną farbę i uznano, że jestem dostatecznie czarny, mogę jechać do kraju. Strasznie głupio czułem się w drodze; zdawało mi się, że wszyscy patrzą na mnie podejrzliwie. Postanowiłem więcej nigdy nie używać tego staroświeckiego sposobu.

Przez Berlin i Prusy Wschodnie dojechałem do miasteczka Szyrwinty nad granicą rosyjską, gdzie zatrzymałem się u Wilhelma Hermana, którego adres podał Sulkiewicz dla komunikowania się z nim. Nazajutrz, 4 czerwca, za niemiecką przepustką przeszedłem przykomórek we Władysławowie i udałem się do Sulkiewicza, który tutaj mieszkał od 1890 r. jako urzędnik komory. Posadę tę otrzymał dzięki temu, że jako muzułmanin nie był uważany przez władze rosyjskie za Polaka.

Sulkiewicz pochodził ze starego rodu tatarskiego, który brał udział w bitwie pod Grunwaldem po stronie polskiej, osiadł na Litwie i spolszczył się, zachowując obrządek muzułmański. Jako najcenniejszą pamiątkę rodzinną Sulkiewicz przechowywał list pochwalny, który jego dziadek otrzymał od Kościuszki za waleczność. Matka jego pochodziła również z tatarskiej rodziny Kryczyńskich. Brat jej był zesłany na Syberię za udział w powstaniu 1863 r. Zacna staruszka, niezmiernie przywiązana do syna, widziała w nim i w nas, przelotnych gościach, kontynuatorów walki o wolność, której świadkiem była za czasów panieńskich. Gdy wspominam wynurzenia moich przyjaciół z okresu pracy podziemnej, wymagającej oprócz silnych nerwów poświęcenia, uderza mnie fakt, że wszyscy ze szczególnym pietyzmem czciliśmy nasze matki, ofiarne strażniczki ogniska rodzinnego i tradycji. Gdy widzę teraz częste rozwody, ogarnia mnie lęk o przyszłość: Co się stanie z nieszczęśliwymi dziećmi, jakie pokolenie z nich wyrośnie, gdy zabraknie naszych dobrych matek?

Sulkiewicz, o dwa lata starszy ode mnie, wcześniej zetknął się z organizacją „Proletariatu“ i od czasu zamieszkania we Władysławowie okazywał nieocenione usługi w przemycaniu nielegalnej literatury, czcionek, drukarni i ludzi. Przy wielkiej odwadze i stanowczości był ostrożny i niezmiernie delikatny w stosunku do ludzi, z których pomocy korzystał. Legenda Żeromskiego (Organizacja inteligencji) o spędzaniu nocy w zimnej drwalni odnosi się do Sulkiewicza, gdyż to on, przyjeżdżając późno do Wilna i nie chcąc niepokoić znajomych nocną wizytą, wolał

czekać do rana w zimnej drwalni. Mogę o nim powiedzieć, że kochał bliźniego więcej niż samego siebie, pogardzał tylko tymi, którzy zawiedli jego zaufanie swym samolubstwem albo tchórzostwem.

Z otrzymanymi od Sulkiewicza adresami pojechałem do Wilna. Ze wskazanych osób zastałem tylko Stefana Bielaka, z pochodzenia Tatara, z przekonań gorącego Polaka. W Moskwie należał do Zetu, teraz był aplikantem sądowym i członkiem wileńskiej grupy, która przystąpiła do P. P. S. Ponieważ nie wiadomo było, kiedy wrócą Józef Piłsudski i Ludwik Zajkowski, pojechałem zaraz do Warszawy. Zastałem tutaj organizację w stanie fatalnym. Zakrojona dwa lata temu na szeroką skalę masowa organizacja okazała się niemożliwą do utrzymania, z powodu małego przygotowania robotników do działalności konspiracyjnej i braku sił inteligentnych, trzebionych ciągłymi aresztowaniami. Z resztek pozostałych po dawnych ugrupowaniach Falski utworzył Centralne Koło, złożone z 3 inteligentów i 3 robotników, wybieranych oddzielnie w celu uniknięcia posądzeń, że inteligencja komenderuje robotnikami. Pomysł ten w praktyce okazał się niefortunny. Koło, mające rozstrzygać wszystkie sprawy kolegialnie, nie wyłączając treści odezw i broszur, nawet po przyjęciu programu paryskiego było niezdolne do kierowania ruchem. Mało wyrobieni i nie dopasowani do siebie członkowie Koła byli więcej zajęci wzajemnym przekonywaniem się i żądaniem wyjaśnień niż działaniem na zewnątrz. Zacny Falski był za mało stanowczy; dla utrzymania z trudem osiągniętej zgody robił ustępstwa, które doprowadziły do takiej bezbarwno-

ści ówczesnej P. P. S., że starzy związkowcy uważali ją za dalszy ciąg swojej organizacji.

Faktycznie Falski musiał borykać się z niezwykłymi trudnościami. Miejscowi inteligenci z „Proletariatu“ odrzucili uchwały paryskie i trzymali się z dala. Robotnicy z „Proletariatu“ przystąpili do P. P. S., ale byli oburzeni na londyńczyków, w szczególności Mendelsona, za ogłoszenie w „Przedświcie“, że Marcin Kasprzak sprzeniewierzył fundusze partyjne i jest podejrzany o stosunki z policją. Kasprzak, dekarz z Poznania, był bardzo popularny wśród robotników, jako agitator, i uważany za uczciwego. Ogłoszenie w „Przedświcie“ komentowano, jako „poniewieranie klasy robotniczej przez inteligencję“. Starzy związkowcy podburzali robotników przeciwko programowi paryskiemu, nazywając go zdradą sztandaru, zabagnianiem ruchu hasłami patriotycznymi itp. Inteligenci ze Zjednoczenia byli unieruchomieni: Stróżecki odbywał służbę wojskową, Rodziewicz siedział w cytadeli, Pietkiewicz wypuszczony za kaucją ukrywał się w Brzegach nad Świdrem; w mieszkaniu warszawskim pokazywał się tylko dla meldowania się policji co tydzień, jak tego wymagały przepisy o oddanych pod dozór policyjny. Narodowcy byli obrażeni zachowaniem się Centralnego Koła wobec ich projektu odezwy majowej, w dodatku Zet również chromał po aresztowaniu Kiersta, Kochanowicza i innych. Z młodzieżą bywa tak, jak z urodzajem: po paru latach bujnego rozkwitu przychodzi zastój. Rok akademicki 1892/93 był bardzo nieurodzajny pod względem dopływu nowych sił do pracy społecznej.

Na zebraniu Centralnego Koła przekonałem się, że Falski musiał zawierać kompromisy nie tylko w sprawach programowych, lecz i ze słabostkami ludzkimi w nadziei, że przy wspólnej pracy zniknie nieufność i będzie można śmielej iść naprzód. Nadzieja zawodna, ponieważ aresztowania przerywały ciągłość pracy; dobieranych na nowo trzeba było harmonizować. Jasnym było dla mnie, że należy zerwać zarówno z podziałem na inteligentów i robotników, jak i z systemem wyborczym Koła, natomiast stworzyć bardziej odpowiadający warunkom życia konspiracyjnego Centralny Komitet, mianowany przez ścisłe grono wypróbowanych towarzyszy na wzór braci w Zecie. Dokonaliśmy tego w lutym następnego roku.

Na naradach z członkami Koła ustaliliśmy, że najpilniejszą potrzebą jest wydawanie własnego pisma w kraju i broszur wyjaśniających program P. P. S. Wobec braku sił uzdolnionych do pisania broszur w kraju, postanowiono odwołać się do pomocy Związku Zagranicznego z zastrzeżeniem, że rękopisy przed oddaniem do druku będą przysyłane do kraju dla oceny, żeby uniknąć takich konfliktów jak z broszurą majową. Trudniej poszło ze sprawą wyznaczenia delegatów na międzynarodowy kongres. Robotnicy nie chcieli zgodzić się na danie imiennych mandatów, w szczególności Mendelsonowi, którego uważali za głównego autora oskarżenia Kasprzaka. Ostatecznie stanęło na tym, że sprawa reprezentacji będzie rozstrzygnięta w porozumieniu z wileńską grupą P. P. S.

Ten pierwszy nielegalny pobyt w Warszawie był dla mnie szczególnie męczący. Bracia z Zetu (Biało-

brzeski, Jakimiak, Grabowski) chętnie przyjmowali mnie na nocleg, ale nie zawsze mogłem przyjść do nich przed zamknięciem bramy, żeby nie zwrócić uwagi stróża. Najczęściej nocowałem u Wernyhory, u którego była podręczna drukarnia dla odezw. Mieszkał w domu na Powiślu bez stróża; na odludnych ulicach łatwo było sprawdzić, czy nie przyprowadzam za sobą szpiega. Z robotnikami mogłem widywać się tylko w wieczornych godzinach. Nieraz, gdy rozmowy przeciągnęły się dłużej, trzeba było resztę nocy przespacerować po Warszawie, a rano iść wyspać się na Saską Kępę albo do Pietkiewicza w Brzegach. Wiele kłopotu miałem z moją czarną fryzurą. Nic nie pomagała, tylko przeszkadzała. Spotykani na ulicy koledzy z uniwersytetu od razu mnie poznawali i znacząco kiwali głową. Włosy prędko odrastały, co kilka dni musiałem podmalowywać wąsy, brwi, głowę, ponieważ przy skórze występowały jasne smugi blond włosów. Operacji tej dokonywałem w mieszkaniu Jakimiaka za pomocą przywiezionej z Londynu farby. Postanowiłem pozbyć się czarnej fryzury, gdy załatwię najpilniejsze sprawy i będę mógł na parę tygodni ukryć się na wsi.

W końcu czerwca miałem jechać z Falskim na naradę z wileńską grupą P. P. S. W ostatniej chwili coś stanęło mu na przeszkodzie, zdawał egzamin z medycyny, prosił, żebym go zastąpił i pojechał do Wilna w charakterze delegata Centralnego Koła, którego poglądy znałem z odbytych narad.

W Wilnie jako miejsce spotkań służyły mieszkania Dominika Rymkiewicza i Rewerellego, którego żona Genowefa, z domu Paszkowska, na kursach

w Petersburgu zaznajomiła się z socjalistami i pomagała teraz w przyjmowaniu dowożonych przez Sulkiewicza wydawnictw. Tutaj poznałem Józefa Piłsudskiego, który w końcu zeszłego roku wrócił z Syberii, ale miał wzbroniony pobyt w ojczystych stronach, przebywał więc w Wilnie nielegalnie. Poczułem do niego sympatię już w Londynie, ponieważ w pierwszym liście do redakcji „Przedświtu“ domagał się zaprzestania docinków i drwinek, którymi szafował Mendelson. „Trzeba by — pisał Piłsudski — porzucić już tę zastarzałą polemikę z „patriotnikami“, mamy tutaj tak wiele wspólnej pracy z wszelką demokracją, że doprawdy zupełnie niepotrzebnie rozjątrzać jeszcze i tak już rozjątrzone z dawna stosunki między różnymi kierunkami“.

Ponieważ w tym czasie były rewizje z powodu rozpowszechnienia wśród pątników w Kalwarii broszury „Ojciec Szymon“, postanowiliśmy naradę odbyć w lesie na Belmoncie, znanym z wycieczek filaretów. Oprócz Piłsudskiego i mnie byli Bielak, Sulkiewicz i Ludwik Zajkowski, członek Zetu w Moskwie, teraz adwokat. Narada, nazwana piewszym zjazdem P. P. S., trwała cały dzień bez przerwy. Posilaliśmy się chlebem i mlekiem przyniesionym od siostry Piłsudskiego, Kadenacowej, która mieszkała u podnóża Belmontu.

Na zjeździe sporów o program nie było. Piłsudski, lepiej od nas znający rosyjskich rewolucjonistów, podniósł potrzebę określenia stosunku do nich ściślej, niż to zrobił zjazd paryski. Zgodziliśmy się w stosunkach z nimi usunąć na bok kwestię pojmowania socjalizmu, a za główny probierz uważać ich stosunek

do nas, który powinien wyrażać się: 1) w czynnym poparciu politycznych żądań P. P. S. i 2) poddaniu swojej działalności na terenie, przez P. P. S. objętym, jej kontroli.

W sprawie mandatów na kongres międzynarodowy uznaliśmy, że najlepszym sposobem wyjścia ze sfery osobistych animozji będzie droga organizacyjna, to znaczy, powierzyć reprezentowanie P. P. S. nie towarzyszom X, Y, Z, lecz delegacji Związku Zagranicznego. Najwięcej czasu na zjeździe zajęła sprawa własnego pisma i wzmocnienia organizacji. Uważaliśmy pismo za najlepszy środek zwalczania uprzedzeń i plotek, rozsiewanych wśród robotników przez przeciwników naszego programu. Postanowiliśmy nadać mu nazwę „Robotnik“ i omawiać w nim sprawy, najbardziej interesujące robotników, i postępowanie władz rosyjskich. Dla wyjaśniania zagadnień programowych miały służyć broszury i „Przedświt“. Wiadomości podawane w „Robotniku“ nie mogły być spóźnione, dlatego musiał być wydawany w kraju, choćby to wymagało największych ofiar ze strony partii. Polecono mi wyszukać w Niemczech odpowiednią maszynę drukarską, zaś Sulkiewicz miał przetransportować ją przez granicę.

W sprawie organizacji zjazd stwierdził potrzebę oparcia jej na zasadach centralistycznych, odpowiadających wymaganiom ścisłej konspiracji. Ponieważ przy istniejących w Warszawie stosunkach nie można było od razu przejść do takiej organizacji, polecono mi po załatwieniu kupna maszyny wrócić do kraju i razem z Falskim zająć się dobraniem odpowiednich ludzi w Warszawie, którzy z delegatem grupy

wileńskiej utworzą pierwszy Centralny Komitet partii.

Zaraz po zjeździe wróciłem do Warszawy, żeby zakomunikować jego uchwały. Spotkała mnie tutaj przykra niespodzianka. Na uroczystość wianków grupa robotników skonstruowała wianek z napisem: Precz z caratem! Niech żyje P. P. S.! Spuścili go na Wisłę tak nieoględnie, że kilku z nich ujęto na miejscu. Zaraz potem nastąpiły aresztowania, między innymi i Falskiego. Centralne Koło zostało rozbite, pozostali członkowie dali mi pełnomocnictwo postępowania nadal samodzielnie bez pytania ich o zgodę. Umówiłem się ze Stróżeckim, który w tym czasie wrócił z wojska, że przy pomocy Pietkiewicza nawiąże zerwane stosunki, omijając znajomych Sidorka, widywanego przeze mnie u Falskiego, który okazał się zdrajcą, jak zawiadamiali aresztowani. Zakomunikowałem Stróżeckiemu uchwały zjazdu. Za kilka tygodni miałem wrócić i pomóc mu w prowadzeniu organizacji.

Przed wyjazdem za granicę postanowiłem pozbyć się sztucznej fryzury. W tym celu pojechałem do krewnych w Grąbkowie pod Turkiem. Tutaj dowiedziałem się, że już w maju naczelnik powiatu pokazywał im moją fotografię paryską, przysłaną przez gubernatora z nakazem poszukiwania. Wobec tego trzeba było szukać bardziej bezpiecznego miejsca. Zacna ciotka Vorhoff, której narzeczonego rozstrzelano w 1863 r. (dlatego ślubowała panieństwo), przyjęła mnie bardzo serdecznie i zaopatrzyła w gotówkę na dalszą drogę. Pojechałem do Stawu pod Chełmem, gdzie gospodarzył brat z Zetu, Tadeusz Kozerski.

U niego w spichrzu była schowana sztanca, na której odbijano medal na pamiątkę 3 maja, więc i ja czułem się bezpieczny. Ogoliłem głowę, brwi i wąsy. Czekając na ich odrośnięcie pomagałem Kozerskiemu w żniwach. Po dwóch tygodniach odzyskałem naturalny wygląd, mogłem jechać.

Droga, którą w zeszłym roku przedostałem się za granicę, była teraz niedostępna wskutek aresztowania Kochanowicza. Udałem się do Sulkiewicza o pomoc. Nie miał pod ręką żadnej przepustki, ale wskazał łatwy sposób przejścia zielonej granicy w dzień. On poszedł naprzód w czapce urzędnika, niby na spacer wzdłuż granicy, ja z dala za nim. W miejscu, które wskazał przez chwilowe zatrzymanie się, szybko zdjąłem spodnie i przeszedłem rzeczkę. Wszystko odbyło się bez żadnej przygody. Wprawdzie żołnierz czepił się Sulkiewicza, ale dał spokój, gdy ten po rosyjsku zbeształ go, jak śmie urzędnika komory posądzać o pomaganie przemytnikowi.

Z Szyrwint pojechałem do Lipska, celem wyszukania maszyny drukarskiej odpowiedniej dla „Robotnika“. Zawiadomiłem zarząd w Londynie o decyzjach kraju, odkładając szczegółowe sprawozdanie do spotkania w Zurychu na międzynarodowym kongresie 6 sierpnia. Tymczasem korzystałem z gościnności kolegów Koelchena w Lipsku i Mierzejewskiego we Freibergu, który przeniósł się tutaj z Zurychu dla otrzymania dyplomu inżyniera górniczego. W tym czasie budżety krajowej i zagranicznej organizacji były bardzo skromne. Dochód Związku za 1893 r. wynosił zaledwo 80 funtów szterlingów, z czego pokrywano koszty wydawnictw, transportów i wyjazdów.

Budżet P. P. S. w kraju był jeszcze mniejszy. Wszystko opierało się na osobistej ofiarności: zecerzy pracowali na kredyt, emisariusze jeździli czwartą klasą, nocowali u znajomych, na obiad wystarczały grosze. Pomimo ciężkich warunków materialnych chwile upadku ducha były rzadkie, humor wspaniały, wydajność pracy wielka. Sprawiała to nie tylko młodość, lecz i inne czasy: nie byliśmy zmaterializowani. Przypominam sobie, jak dwaj robotnicy, wysłani z Warszawy na praktykę agitatorską do Niemiec, wrócili zgorszeni tym, że towarzysz Niemiec nic nie zrobi bez otrzymania diety. Po wojnie ten materializm rozwinął się i w Polsce, znikła ofiarność osobista, praca społeczna stała się zajęciem zarobkowym.

Kongres w Zurychu nie zrobił na mnie dodatniego wrażenia. Takie samo wielomówstwo jak u nas i rezultaty nieszczególne. Wiele delegacji przyjeżdża, żeby się przewietrzyć i zobaczyć różne osobliwości. Taką osobliwością teraz był staruszek Engels, którego Żydzi otaczali jak rabina. Nam chodziło o zamanifestowanie na tym skrawku międzynarodowego świata, że Polska nie zginęła. Delegaci z trzech zaborów występowali razem, jako osobna delegacja polska. Niemcy, dotąd rej wodzący na międzynarodowych kongresach, byli nieco skonsternowani. Chcieli przeprowadzić uchwałę o dopuszczalności pracowania w dniu 1 maja, a poparli ich tylko Bułgarzy i Rosjanie, u których ani kryzysu, ani masowego ruchu nie było. Z Niemców spodobał mi się tylko stary Liebknecht. Francuzów i Włochów prawie nie było widać. Anglicy mało interesowali się tym, co mówią inni. Ożywiali się, jeżeli obiadu nie podawano w porę

(obrady i obiad odbywały się w tej samej sali), wtedy tupali nogami i wołali „time“.

Delegację polską zaatakowała Róża Luksemburg, która wsławiła się tezą, że Polska jest organicznie związana z Rosją, ponieważ przemysł polski nie mógłby istnieć bez rynku zbytu w Rosji. Przed samym kongresem wydała nr 1 „Sprawy Robotniczej“, organu demokratów socjalnych Królestwa Polskiego, i przyszła na kongres z mandatem od tego pisma. Biuro kongresu skierowało ją do delegacji polskiej. Gdy ta jej nie przyjęła, odwołała się do kongresu popierana przez Niemców, którzy narzucali się kongresowi na kierowników. Ostatecznie kongres po mowie Ignacego Daszyńskiego większością głosów opowiedział się za stanowiskiem delegacji polskiej. Po tej uchwale wystąpił z delegacji polskiej Julian Marchlewski (Karski), który miał mandat od grupy związkowców w Łodzi. Była to, jak się okazało, zapowiedź nowego ataku na osiągnięte w kraju zjednoczenie i powstania nowej partii pod nazwą „Socjalna Demokracja Królestwa Polskiego“, odrzucającej postulat niepodległości Polski.

Róża Luksemburg i Marchlewski zaalarmowali swoich przyjaciół w kraju, że zostali skrzywdzeni na kongresie przez delegację polską, w której był Mendelson. To dolało oliwy do ognia ataku, którego Stróżecki nie wytrzymał. Wprowadzony w błąd informacjami zawziętych przeciwników Mendelsona, napisał list do Związku Zagranicznego, żądając ustąpienia Mendelsona. Ten dotknięty w swojej ambicji wycofał się z ruchu zupełnie, nie czekając na wyjaśnienia, a ja znalazłem się w głupiej sytuacji. List Stróżeckiego

przeczył moim informacjom w sprawie mandatów na kongres, wobec tego uważałem za niemożliwe przyjmowanie jakichkolwiek zleceń Związku, dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona. Musiałem nadal występować indywidualnie, a nie jako członek zarządu Związku. Znowu sprawy osobiste stawały na naszej drodze zabierając wiele czasu i energii. Chyba w żadnym kraju kłótliwość i doktrynerstwo nie robią takich spustoszeń w życiu społecznym jak w Polsce.

Od Sulkiewicza otrzymałem list, że wobec powikłań w kraju sprawa drukarni chwilowo nie jest pilna i konieczny jest mój przyjazd zaraz. Za otrzymaną od niego przepustką przejechałem granicę w Wierzbołowie i udałem się wprost do Wilna, gdzie miałem czekać na Piłsudskiego i Sulkiewicza, żeby razem jechać do Warszawy, zażądać wyjaśnień od Stróżeckiego i zapobiec powtórzeniu się podobnych wystąpień w imieniu partii bez porozumienia się z grupą wileńską.

Na kilka dni przed moim przyjazdem do Wilna aresztowano Zajkowskiego i wywieziono go do Petersburga. Zaraz potem przyjechał stamtąd technolog Michalski uciekając przed aresztowaniem. Ponieważ zdawało mu się, że wszędzie czyhają na niego żandarmi, wyprowadziłem go na noc do lasu nad Wilią. Tutaj znowu wypada mi sprostować legendę Żeromskiego, jakoby moim towarzyszem w lesie był Piłsudski. Miał on silne nerwy i nie potrzebował szukać noclegu w lesie, bo w Wilnie miał wielu przyjaciół chętnie dających mu schronienie u siebie. Natomiast Michalski, po raz pierwszy ścigany, miał rozstrojone nerwy i dostał manii prześladowczej; zjawi-

sko dość częste w życiu konspiracyjnym. W nocy tętent pasących się w lesie koni brał za patrol kozacki, wciąż mnie budził, uspokoił się dopiero nad ranem. Zaraz wyprawiliśmy go za granicę.

W Warszawie Stróżecki dał się przekonać, że popełnił głupstwo ulegając naciskowi związkowców, stanowiących w partii najmniej pewny element. Odtąd przestał się wahać i szedł stanowczo w wytkniętym przez zjazd kierunku. Zostałem w Warszawie na kilka tygodni, żeby razem z nim uporządkować stosunki, poszarpane przez aresztowanie Falskiego i wystąpienie kilkunastu związkowców, którzy utworzyli „Socjalną Demokrację Królestwa Polskiego". Wbrew obawom wystąpienie ich okazało się bardzo korzystne dla dalszego rozwoju P. P. S. Znikły tarcia wewnętrzne i można było całą energię skierować na rozwijanie stosunków wśród robotników i wzmocnienie organizacji.

W skład P. P. S. weszli wszyscy robotnicy z dawnego Zjednoczenia, część proletariatczyków i związkowców oraz wszyscy pozyskani od czasu powstania partii w lutym tego roku. Nawiązaliśmy stosunki w Częstochowie, Radomiu, Zawierciu, Dąbrowie Górniczej i Białymstoku. Najtrudniej szło w Łodzi, gdzie przeszkadzali przyjaciele Marchlewskiego z czasów, kiedy był majstrem w fabryce Poznańskiego. W Wilnie brak było ludzi dla agitacji wśród nielicznych tutaj robotników fabrycznych, natomiast sporo było inteligencji pomagającej w przyjmowaniu i przechowywaniu wydawnictw, dowożonych od Sulkiewicza.

Chodziło jeszcze o ściślejsze zespolenie z partią narodowych socjalistów Zetu. W tym celu wybrałem Ju-

liana Grabowskiego. Wybór okazał się nie bardzo szczęśliwy, ponieważ zwaliły się na niego osobiste kłopoty, nie pozwalające mu w całości poświęcić się pracy w partii. Wernyhora był bardzo dobry do robót technicznych, ale nie miał daru wymowy i nie nadawał się do agitacji. Większość braci z Zetu po ukończeniu uniwersytetu zajęła się pracą oświatową wśród ludu wiejskiego i zasilała szeregi „Łączności". W Warszawie odwiedziłem Dmowskiego, który po wypuszczeniu z cytadeli czekał na wyrok. Po rozmowie z nim utrwaliłem się w przekonaniu, że nie można liczyć na skupienie wszystkich sił w stronnictwie socjalistycznym, część ich musiała się znaleźć w osobnym stronnictwie patriotycznym.

Stróżecki i Grabowski mieli dobrać sobie zastępców i z przedstawicielem grupy wileńskiej, Piłsudskim tworzyć pierwszy Centralny Komitet P. P. S. Ponieważ stan sił nie pozwalał na uruchomienie tajnej drukarni zaraz, postanowiliśmy tymczasem wydać jednodniówkę, której redagowaniem zajął się Pietkiewicz z Piłsudskim. Ja miałem wykończyć ją za granicą i wyszukać maszynę drukarską, pozwalającą na większą szybkość druku niż przywiezione z Lipska wzory. Chcieliśmy „Robotnikowi" nadać format „Gazety Robotniczej" w Berlinie; względy techniczne zmusiły wyrzec się tego i zmniejszyć format stosownie do wielkości maszyny, która okaże się najodpowiedniejszą do tajnego użytku.

W połowie listopada wróciłem do Lipska. Przechodzenie granicy było teraz ułatwione, ponieważ Sulkiewicz miał zawsze w pogotowiu jakąś przepustkę. W oczekiwaniu rękopisów do jednodniówki zają-

łem się sprawami Związku Zagranicznego, który bardzo chromał. Z wystąpieniem Mendelsona odpadła poważna pomoc materialna i siła literacka. Jodko wyjechał na widzenie z rodziną i nie wracał. Dębski i Jędrzejowski w Londynie borykali się z nędzą, sami składali i redagowali „Przedświt". Abramowski i Perl po kongresie zostali w Zurychu i każdy na swój sposób ratował Związek. Początkowo nie wiedziałem, gdzie jest zarząd, bo i z Londynu, i z Zurychu żądano ode mnie sprawozdania, co się dzieje w kraju.

Zaraz po kongresie wystąpiła ze Związku gmina narodowo-socjalistyczna oskarżając zarząd o zapędy dyktatorskie. W Zurychu grono młodzieży zwołało zjazd, żeby popchnąć naprzód sprawę zjednoczenia sił, zamiast tego nastąpiła secesja kilku członków, którzy poparli paryską grupę „Przeglądu Socjalistycznego". Żądano zmiany nazwy Związku i „Przedświtu", wyborów nowego zarządu i redakcji. Abramowski i Balicki wystąpili z projektem utworzenia w Związku ścisłego koła mężów zaufania, które by decydowało we wszystkich sprawach, a członkowie zarządu zeszliby do roli sekretarzy, piszących listy i obliczających głosy „za" i „przeciw" w każdej sprawie. Z tego powodu musiałem jeździć do Zurychu na zjazd mężów zaufania w czasie świąt Bożego Narodzenia, żeby zapobiec nowym konfliktom. Prawie rok straciliśmy na porządkowanie wewnętrznych stosunków zamiast na działalność zewnętrzną.

Przytaczam te drobiazgi życia na emigracji na dowód, jak trudna była praca łączenia i jak łatwo następowały secesje z powodu lada głupstwa lub alar-

mu. Ktoś złośliwy powiedział, że jeden Polak to geniusz, dwóch to kłótnia, trzech to anarchia. Nie uważam tej gadki za trafną ocenę naszego charakteru narodowego. Może ona odnosić się tylko do inteligencji, obciążonej wadami zepsutej szlachty i anormalnymi warunkami życia, powodującymi rozwój neurastenii. W mojej działalności nie miałem wypadku, żeby hasło rozłamu wychodziło od dołu; zawsze gorszący przykład dawała elita, chorująca na egotyzm i doktrynerstwo, a w niepodległej Polsce i na karierowiczostwo.

W Związku podstawę stanowiły sekcje, oparte na naturalnym towarzyskim doborze członków w danej miejscowości. Rozwijały one swoją działalność autonomicznie, na zewnątrz tylko w sprawach lokalnych. Najwyższą władzą był zjazd, złożony z delegatów sekcji, mężów zaufania i przedstawicieli krajowej organizacji. Organem wykonawczym był zarząd, później nazwany Centralizacją, złożony z 5 członków, wybieranych na zjazdach, tak żeby przynajmniej 3 mieszkało w Londynie, który był najbezpieczniejszą siedzibą. Mężowie zaufania reprezentowali element doświadczony, dobierali się sami w porozumieniu z zarządem i mogli z nim odbywać osobne posiedzenia w czasie zjazdu. Według tego statutu Związku była zbudowana krajowa organizacja, z uwzględnieniem potrzeby większej centralizacji i konspiracji, co wyraziło się w usunięciu delegatów z wyboru i dopuszczaniu na zjazdy tylko mężów zaufania.

W północnych Niemczech nie można było organizacji Związku oprzeć na sekcjach wobec warunków policyjnych i małego wyrobienia konspiracyjnego

młodzieży. Towarzystw nie można było zakładać, tylko korporacje, zatwierdzone przez rektorów, z burszowskimi przepisami, które prowadziły do naśladowania Niemców. Na zjeździe polskich korporacji w Dreznie nasz mąż zaufania Mierzejewski założył tajny związek młodzieży, ale ten prędko się rozleciał wskutek aresztowań i rewizji w Berlinie i Freibergu. Wobec tego organizację w Niemczech oparliśmy na mężach zaufania, którzy mieli obowiązek prowadzenia tajnych kółek samokształcenia z dobranych kolegów.

W czasie pobytu w Niemczech mogłem bez uszczerbku dla moich zobowiązań partyjnych załatwić kilka robót technicznych dla Ligi Narodowej. Nie było jeszcze żadnej rywalizacji partyjnej. Koszty tych robót pokrywała Liga, pośrednikiem był Ignacy Domagalski, emigrant z zaboru rosyjskiego. Gdy nie mógł czego wydrukować w zaborze austriackim, przysyłał mnie rękopisy i adresy dla wysłania wykonanych druków. Znalazłem w Weimarze małą drukarnię, która zgodziła się drukować bez wymieniania swojej firmy na wydawnictwach. Wysyłałem je najczęściej do polskiej księgarni w Toruniu, która ekspediowała je do Warszawy Wisłą w beczkach z cementem. W ten sposób wyszedł nr 9 „Z dzisiejszej doby“ i kilka odezw.

Liga Narodowa powstała w Warszawie w 1893 r. w miejsce Ligi Polskiej, której członkowie w kraju byli niezadowoleni z bezczynności Centralnego Komitetu w Genewie. W skład Ligi weszli starsi bracia z Zetu z Dmowskim na czele oraz większość członków „Łączności“, którą rozwiązano jako zbędną. Zasady

nowej Ligi wyjaśniała broszura „Nasz patriotyzm“, napisana w Warszawie w kwietniu 1893 r. Przytaczam z niej bardziej interesujące zdania:

„W praktyce politycznej rzetelne stanowisko narodowe sprowadza się do obrony interesów tych klas, których nędza i ciemnota zgubę społeczeństwu gotują... Warunki, w których zmuszeni jesteśmy żyć obecnie, nie pozwalają na najskromniej pojęty rozwój narodowy i cywilizacyjny... Polityka nasza musi być rewolucyjną, bo organiczną być nie może, bo nie ma żadnego gruntu legalnego, na którym by się mogła oprzeć... Celem naszym najbliższym jest zmuszenie rządu do cofnięcia się ze swej drogi, do rozpoczęcia okresu ustępstw. Cel — zdobycze polityczne, środki — nie ustająca chroniczna rewolucja“.

Przysłana mi do druku w styczniu 1894 r. odezwa między innymi mówiła: „Jak przed stu laty Kiliński, w imię Boga, z czym kto może, z nożem czy siekierą, ze strzelbą czy pałką tępmy to robactwo, co nam kraj zapaskudza, tych urzędników, nauczycieli moskiewskich, popów, żandarmów, strażników i wszystkich kacapów... Przeciw takiej obronie nic nie poradzą Moskale i będą musieli sfolgować, aż doczekamy się chwili, kiedy Bóg Najwyższy pozwoli nam odzyskać Polskę ojców naszych, wolną, bogatą i silną“.

Odezw z powodu rocznicy powstania Kościuszkowskiego było sześć w różnych językach: do społeczeństwa polskiego, do Litwinów, do Rusinów, do ludów podwładnych panowaniu rosyjskiemu, do społeczeństwa rosyjskiego, do narodów słowiańskich. Odezwy te, podpisane „Centralny Komitet Ligi Narodowej“, były pierwszym ujawnieniem jej istnienia. Nie

skończyłem ich drukować, przyjechał zastąpić mnie Jakimiak z Warszawy, ponieważ musiałem zająć się bardziej ważnymi sprawami P. P. S.

Na podstawie nadsyłanych z kraju rękopisów i wskazówek wykończyłem jednodniówkę „Robotnik“. Najważniejszy w niej był artykuł „Carat i robotnicy“, szczegółowo wyjaśniający, dlaczego musimy walczyć o niepodległą demokratyczną Polskę. Zyskał on powszechne uznanie wśród robotników, sporów o program odtąd nie było. Zaraz po wydaniu jednodniówki wezwano mnie do kraju na drugi zjazd, który odbył się w połowie lutego w Warszawie z udziałem 9 mężów zaufania. Głównym zadaniem zjazdu było ustalenie organizacji i stosunku do Związku Zagranicznego. Ustrój P. P. S., który tutaj streszczam, wytrzymał próbę życia, do 1903 r. nie ulegał żadnym zmianom.

Najwyższą władzą w partii był zjazd mężów zaufania, których mianował Centralny Komitet Robotniczy w porozumieniu z możliwie większą ilością mężów zaufania. Zjazd wybierał C. K. R., który od zjazdu do zjazdu kierował wszystkimi sprawami. Każda miejscowość objęta ruchem powinna mieć Komitet Robotniczy, który początkowo był mianowany przez C. K. R., następnie sam kooptował nowych członków. Komitety kierowały agitacją, organizacją i akcją zbiorową w swojej miejscowości, zbierały materiały do druku i fundusze ze sprzedaży wydawnictw i składek. Pokwitowania ogłaszano w „Robotniku“. Najniższym szczeblem organizacyjnym były koła agitatorów zależne od miejscowego komitetu. Do specjalnych czynności C. K. R. wyznaczał towarzyszy, któ-

rzy byli zależni tylko od niego. On również utrzymywał stosunki z kołami młodzieży polskiej w uniwersytetach. Zajmowały się one kolporterką wydawnictw, zbieraniem składek i przygotowaniem ludzi do pracy w kraju. Do C. K. R. wybrano Stróżeckiego, Piłsudskiego, Grabowskiego i Klimowicza, na zastępców Pietkiewicza i Nakęskiego.

Stosunek do Związku określono w ten sposób, że przez niego będą załatwiane wszystkie sprawy za granicą z zastrzeżeniem, że wydawnictwa przeznaczone dla masowej kolporterki Związek będzie poddawać cenzurze P. P. S. Delegat jej uczestniczył w zjazdach Związku i nawzajem delegat Związku w zjazdach krajowych.

Za najpilniejsze, poza uruchomieniem drukarni „Robotnika“, zjazd uznał wydanie przepisów zachowania się na wolności i w więzieniu, ponieważ częste aresztowania ujawniły, że żandarmi werbują sobie pomocników wśród robotników, wypuszczając małodusznych na wolność pod warunkiem donoszenia o tym, co się dzieje wśród kolegów. Wskazówki te opracował Pietkiewicz, wydrukowaliśmy je w Londynie, w czerwcu były rozpowszechnione w kraju.

28 lutego wróciłem do Lipska już tylko po to, żeby kupić czcionki i odwieźć je do Sulkiewicza. Ponieważ żadna z maszyn w Lipsku nie odpowiadała wymaganiom kraju, postanowiłem wyszukać ją w Londynie, dokąd przyjechałem w połowie marca. Ku wielkiej mej radości skończył się okres mego indywidualnego działania. Nadal wszystkie zlecenia z kraju miały być przysyłane do zarządu Związku. Obrzydł mi żywot „latającego Holendra“, jak mnie nazwali londyń-

czycy z powodu częstych zmian miejsca pobytu. Okres ten mogłem odtworzyć tylko dzięki temu, że w archiwum P. P. S. zachowało się wiele moich listów z tych czasów.

W Londynie wróciłem do pracy w drukarni „Przedświtu“, którą Mendelson oddał Związkowi na własność. Mieściła się teraz w domu na Beaumont Square w dzielnicy Mile End Road. Na parterze była zecernia, maszyny nie mieliśmy, złożony tekst odbijaliśmy w angielskiej tłoczni. W górnych pokojach mieścili się Jędrzejowscy, Dębski, Jodko, ja i skład wydawnictw. Wszyscy utrzymywali się z zecerki prócz Jodki, który otrzymywał pieniądze od ojca i był bezpłatnym redaktorem „Przedświtu“. Roboty było niewiele z powodu braku funduszów na nowe wydawnictwa. Na zlecenie kraju wydrukowaliśmy 5 broszur, ale na pieniądze długo trzeba było czekać. Nadesłane w tym czasie 175 rubli poszły na kupno maszyny i różnych dodatków dla „Robotnika“.

Nareszcie znalazłem w Londynie ręczną maszynę wagi 100 kg, na której można było odbijać do 450 egzemplarzy na godzinę w formacie 20 na 26 centymetrów. Usunęliśmy wszystkie napisy firmy (Model Printing Press Co), zdradzające przeznaczenie maszyny, rozebraliśmy ją na części i wysłaliśmy w dwóch skrzyniach do Królewca, oznaczając zawartość dla niemieckich władz celnych, jako części tokarni. Wałki i inne dodatki poszły zwykłą drogą wydawnictw do Grimpego w Elberfeld, a stąd pocztą do Hermana w Szyrwintach. Sulkiewicz przy pomocy znajomego ekspedytora przeprawił maszynę przez rosyjską granicę w Wierzbołowie, jako części jakiejś

maszyny fabrycznej, a dodatki i wałki przeniósł na sobie. Zgodnie z wymaganiami konspiracji nikt z nas w Londynie nie wiedział, gdzie drukarnię ulokowano. Wysłaliśmy ją z Londynu 18 maja, a w pierwszych dniach lipca wyszedł nr 1 „Robotnika“. Długie były przygotowania, za to wykonanie szybkie. Odtąd „Robotnik“ wychodził co miesiąc, przysparzając partii ludzi i środków.

Dochody partii w kraju doszły w 1894 r. do 5000 rubli, ale $^2/_3$ tego poszło na urządzenie i utrzymanie drukarni. Związek za wysłane w tym roku do kraju 4800 egz. „Przedświtu“ i 24 000 broszur otrzymał 1000 rubli. Trzeba było energiczniej zabrać się do zbierania środków za granicą, tym bardziej że zobowiązaliśmy się pomagać „Gazecie Robotniczej“ w Berlinie, która uniezależniła się od Niemców i wychodziła jako organ P. P. S. pod zaborem pruskim.

W wolnym od zecerki czasie korespondowaliśmy z członkami Związku na kontynencie i werbowaliśmy nowych. Podjęte na nowo pertraktacje z grupą „Przeglądu Socjalistycznego“ doprowadziły nareszcie do połączenia jej ze Związkiem. W ciągu roku liczba członków wzrosła z 30 do 82 w 15 miejscowościach. Dzięki temu dochody ze składek i sprzedaży wydawnictw zaczęły tak wzrastać, że można było uwolnić Jędrzejowskiego od nieodpowiedniej dla jego wzroku zecerki, natomiast obarczyć go całą korespondencją i ekspedycją wydawnictw za przeciętnym wynagrodzeniem zecera (pracowaliśmy na akord). Dochody Związku w 1894 r. łącznie z otrzymanymi z kraju za wydawnictwa wyniosły 308 funtów szt., to jest trzy razy więcej niż w poprzednim roku.

W lecie mieliśmy rzadkiego gościa z kraju — Władysława Reymonta. Przyjechał z jakimś znajomym redaktorem z Warszawy poznać Londyn. Trafił do nas w czasie wyjątkowej biedy, tak że nie mogliśmy go poczęstować mięsem, którego bardzo pragnął, ponieważ jego towarzysz podróży prowadził go tylko do jarskich jadłodajni. My w tym czasie byliśmy również jaroszami, jednakże z musu: żywiliśmy się chlebem i cebulą. Przypomniał mi tę wizytę Reymont, kiedy po otrzymaniu nagrody Nobla przyszedł do Belwederu. „Kiedy były zęby — żalił się — brak było chleba, teraz mam co jeść, ale zębów nie ma".

Zwiedzając nowy most na Tamizie — Tower Bridge, byłem świadkiem bardzo pouczającego zajścia. We wnęce przy wejściu na most wylegiwali się na słońcu robotnicy z doków. Podszedł do nich policjant i kazał usunąć się z tego miejsca. Gdy nie usłuchali, wezwał kolegów i zmusił opornych pójść do sądu policyjnego (Policecourt). Poszedłem za nimi ciekawy, czym się to skończy. Sędzia po wysłuchaniu obu stron kazał natychmiast uwolnić robotników, a policjanta zganił, że choć otrzymał taki rozkaz zwierzchnika, nie miał prawa pozbawiać obywateli wolności, skoro nie tamowali ruchu i zachowali się przyzwoicie. Podwładny nie może być manekinem, powinien mieć swój rozum i za to jest odpowiedzialny. Na stole sędziowskim nie było żadnego kodeksu, sędzia nie powoływał się na żadne paragrafy, sądził według swego sumienia. Daj nam, Boże, takich sędziów!

Wielkie poszanowanie osobistej godności i wolności łączy się u Anglików z wielkim przywiązaniem do wszystkiego, co angielskie. Nie spotkałem An-

glika wychwalającego cośkolwiek cudzoziemskiego. Dla niego nie ma kraju piękniejszego od Anglii. Wszystko, co zrobione poza nią, jest mniej warte. Gdy kupując cośkolwiek w sklepie, robiłem uwagę, że to dla mnie za drogie, odpowiadano, że to towar angielski, mogą zaofiarować tańszy, lecz będzie gorszy, bo zagraniczny. Na takim towarze musiała być marka kraju, z którego pochodził, żeby nie mógł być sprzedawany za angielski.

Każdy szanujący się Anglik musi mieć w ciągu roku przynajmniej dwa tygodnie wypoczynku — „change“ (zmiana). Wyjeżdżając na kontynent wkładał najbardziej kraciaste ubranie, wyróżniające go spośród innych turystów. Nigdy nie słyszałem Anglików rozmawiających pomiędzy sobą w obcym języku, jak to było w Polsce, gdzie paplanina francuska miała oznaczać dobry ton. Pomimo wielkich różnic majątkowych, wszyscy Anglicy w codziennym obcowaniu czuli się równi sobie w większym stopniu nawet niż Szwajcarzy. Szczególnie uderzało to po przyjeździe z Prus, gdzie często raziła mnie dwulicowość: ten sam subiekt, płaszczący się przed pryncypałem lub panem z nazwiskiem „von“, stawał się pyszałkiem, gdy zwracał się do podwładnego. W Anglii nie spotkałem objawów serwilizmu ani pyszałkostwa i później, kiedy mieszkając w okolicach Bournemouth spotykałem się z zamożniejszymi Anglikami, przyjeżdżającymi tam na wywczasy. Z mojej włóczęgi po Europie wyniosłem wrażenie, że Anglia jest najbardziej zdemokratyzowanym krajem, wolnym od demagogii. Nie ma tam stronnictwa demokratycznego, bo wszyscy są demokratami.

Przy wyborach do samorządu prawo głosu mieli i cudzoziemcy. Z nas czterech na Beaumont Square prawo to przysługiwało tylko Dębskiemu, ponieważ na jego nazwisko dom był wynajęty. Chodziłem z nim na zebrania przedwyborcze. Mało interesowano się osobami kandydatów, a głównie tym, jakie stanowisko zajmują wobec projektu wprowadzenia przymusu szczepienia ospy noworodkom. Inne sprawy zeszły na plan drugi. Właściwie walczyły ze sobą dwie partie: zwolennicy i przeciwnicy szczepienia. Nieznaczną większość głosów otrzymali pierwsi.

Moja duma narodowa cierpiała, bo większość Anglików w naszej dzielnicy nie wiedziała, gdzie jest Polska. Gdy na zapytanie, skąd pochodzę, odpowiadałem „from Poland“, najczęściej mniemano, że pochodzę spod bieguna i pewnie dokuczały mi mrozy i białe niedźwiedzie. Widocznie wiadomości przeciętnego Anglika o innych krajach nie sięgały poza spotykane na morzu bandery. Nikt z nich flagi polskiej w dokach londyńskich nie widział, więc sądzili, że Polski nie ma.

Kolonia polska w Londynie nie była liczna. Składała się głównie z emigrantów, którzy zatrzymali się tutaj, żeby zarobić na dalszą drogę do Ameryki albo na powrót do ojczyzny. Najwięcej Polaków pracowało w fabrykach wyrobów bambusowych, gdzie panował wyzysk. Z tego powodu wybuchł strajk. Poparliśmy go, a gdy skończył się częściową porażką, zorganizowaliśmy zawodowy związek bambusiarzy. Podziwiałem ich zdolność oszczędzania. Z zarabianych 6 szylingów tygodniowo potrafili odkładać 3, żywiąc się tylko chlebem, śledziem i owocami. Życie w Lon-

dynie było bardzo tanie, szczególnie ryby i owoce. Za pensa (8 groszy) można było dostać 4 pomarańcze.

Sekcja londyńska Związku w tym czasie liczyła tylko 9 członków. W celu pozyskania nowych założyliśmy Towarzystwo Socjalistyczne, w którym co tydzień urządzaliśmy odczyty. W kwietniu urządziliśmy obchód rocznicy powstania Kościuszkowskiego, wzięło w nim udział kilkuset Polaków i Litwinów. Miejscem zebrań towarzyskich był klub polski, który, jak wiele innych, utrzymywał się głównie dzięki temu, że można było w nim dostać coś do zjedzenia i wypicia, kiedy restauracje były zamknięte. O północy kończył się ruch omnibusów i na kolei miejskiej. Gdy raz spóźniliśmy się na ostatni pociąg, trzeba było iść piechotą z West Kensington do domu trzy godziny. Miasto było jak wymarłe, żadnego przechodnia nie spotkaliśmy, tylko patrole policyjne, które od razu poznawały w nas cudzoziemców, bo Anglicy nie włóczą się po nocach.

W sierpniu przyszedł list od Sulkiewicza wzywający mnie na zjazd do kraju. Chciał jechać i Jodko w celu poznania krajowców i wyjaśnienia, jakie zagadnienia omawiać w „Przedświcie". Żeby przysłanych na drogę 30 rubli starczyło dla dwóch, wybraliśmy najtańszą drogę statkiem towarowym wprost z doków na Tamizie do Hamburga. Morze było wzburzone, statek mały, pierwszy raz zaznałem, co to jest morska choroba. Prawie dwie doby leżałem na pokładzie jak martwy, nic jeść nie mogłem, za to Jodko miał apetyt za dwóch.

W Eydkunach nad granicą rosyjską dowiedzieliśmy się od Sulkiewicza, że zjazd został odwołany

z powodu aresztowań w Wilnie (Bielak) i Warszawie (Grabowski, Stróżecki, Wernyhora). Jodko uparł się jechać dalej, żeby poznać Piłsudskiego i nowego członka C. K. R., Ludwika Kulczyckiego, który zawracał naszym głowę żądaniem konstytucji rosyjskiej. Z tego powodu Jodko po powrocie napisał 4 artykuły pod tytułem „Etapy“. Wracałem do Londynu sam zły, ponieważ brak pieniędzy zmusił mnie znowu wybrać drogę morską przez Bremę. Jadąc czwartą klasą spóźniłem się na statek, musiałem kilka dni czekać na następny i tylko dzięki temu, że pożyczyłem od polskich robotników w Bremie kilkanaście marek, mogłem zakończyć tę niefortunną podróż.

W listopadzie ukazał się w „Robotniku“ artykuł wyjaśniający, że P. P. S. jest partią robotniczą i za członków jej nie mogą być uważani ci, którzy nie popierają utarczek robotników z fabrykantami, a zajmują się tylko kolporterką wydawnictw patriotycznych z odcieniem socjalistycznym. Wyjaśnienie to miało na celu odgrodzenie P. P. S. od robót Ligi Narodowej, która zaczęła ulegać prądom pozytywizmu i wyrzekać się akcji rewolucyjnej, silnie podkreślanej w programie 1893 r. W ślad za tym zapadła na naszym zjeździe uchwała, że członek Związku nie może należeć do żadnej innej organizacji politycznej, tajnej czy jawnej. Z tego powodu wystąpił ze Związku Balicki.

Pierwszy zjazd Związku odbył się w Zurychu w czasie świąt Bożego Narodzenia. Uprzednio ważniejsze sprawy, jak zatwierdzenie statutu i połączenie z grupą „Przeglądu Socjalistycznego“, były załatwiane przez powszechne głosowanie członków. Na kilka

dni przed zjazdem przyjechał do Londynu Piłsudski jako delegat kraju. Przywiózł materiały do wydania nowej jednodniówki. Od niego dowiedziałem się, że musieli zawiesić wydawanie „Robotnika“, ponieważ zecer Głowacki wdał się w romans ze służącą Parniewskich, w których mieszkaniu przy aptece w Lipniszkach była drukarnia, i wyjawił jej, co tam robi. Dziewczyna wyzyskała tę wiadomość, żeby zmusić Głowackiego do ożenku. Ten wykręcał się, projektował wysłanie jej do Londynu, ale ostatecznie stanęło na tym, że kto piwa nawarzył, sam musiał je wypić. Głowacki musiał wyszukać sobie zajęcie w Rosji i zabrać tam dziewczynę. Tymczasem drukarnię wywieziono z Lipniszek i ukryto w bezpiecznym miejscu. Obiecałem po zjeździe w Zurychu wrócić do kraju na stałe i uruchomić drukarnię na nowo.

Na zjazd w Zurychu pojechało nas z Londynu pięciu, ale osobno, żeby na granicy nie zwrócić na siebie uwagi policji niemieckiej. W zjeździe wzięło udział 18 osób, wszyscy byli mężami zaufania, wobec tego nie trzeba było urządzać osobnych posiedzeń. Najwięcej delegatów było od dwóch sekcji w Zurychu i paryskiej, która w tym czasie była najliczniejsza, wskutek napływu studentów wydalonych z warszawskiego uniwersytetu. Delegatami z Genewy byli Zygmunt Balicki i Stanisław Grabski. Z Berna był Stanisław Bądzyński (profesor warszawskiego uniwersytetu), z północnych Niemiec Mierzejewski, z południowych Stefan Bartoszewicz, z Belgii Mielczarski, który zdobywał wiedzę w akademii handlowej w Antwerpii.

Przedmiotem obrad zjazdu były głównie sprawy organizacyjne, ocena sprawozdania zarządu i plan

działalności na przyszłość. Programowych sporów nie było, wszyscy bez zastrzeżeń uznawali program paryski. Trochę kwasów wynikło z powodu omijania komisji redakcyjnej, wybranej w sierpniu zeszłego roku na konferencji w Zurychu. De facto komisja ta najwięcej zajmowała się redagowaniem „Gazety Robotniczej“ w Berlinie, a dla „Przedświtu“ okazała się urządzeniem niepraktycznym. Dlatego zecerzy w Londynie, będący jednocześnie członkami zarządu, uważali siebie za redaktorów, dopóki nie przyjechał Jodko. Przy wyborze redaktora na rok następny głosy podzieliły się: 9 otrzymał Jodko i tyleż Grabski. Rozstrzygnąć miało powszechne głosowanie członków Związku, ale nie doszło do tego, ponieważ Grabski zrzekł się kandydatury.

Pomimo że P. P. S. od swego powstania wyraźnie zaznaczała, że jest partią robotniczą, młodym wyznawcom Marksa to nie wystarczało. Sekcja paryska wydała broszurę Luśni (Kelles Krauza) „Klasowość naszego programu“, oskarżającą P. P. S. o wspólność taktyczną ze stronnictwami nacjonalistycznymi i kaptowanie nierobotniczych klas, a „Przedświt“ o dążenie do jak najszerszej unii z innymi klasami w walce o niepodległość. Zjazd udzielił nagany sekcji paryskiej za wydanie tej broszury i polecił pozostałe egzemplarze odesłać do archiwum Związku, uważając za szkodliwe wytaczanie sporów wewnętrznych na forum publiczne. Sekcja zastosowała się do tej uchwały i Luśnia się uspokoił.

Z uchwalonych na zjeździe nowych wydawnictw bardzo pożytecznym okazał się „Bulletin Officiel du Partie Socialiste Polonais“, wydawany nieperiodycz-

nie w celu informowania prasy zagranicznej o ruchu w Polsce. Powołane na zjeździe dwie komisje: górnicza, w celu zebrania materiałów o położeniu górników polskich na Śląsku i opracowania odpowiednich broszur, oraz chłopska dla wyjaśnienia programu agitacji wśród ludu wiejskiego, okazały się mało żywotne. Do zarządu wybrano Dębskiego, Jędrzejowskiego i Jodkę z obowiązkiem mieszkania w Londynie i dwóch członków zamiejscowych: Bądzyńskiego i Perla.

Po zjeździe Piłsudski wrócił do kraju, a ja do Londynu, żeby skończyć jednodniówkę i zlikwidować swoje interesy. Jednodniówkę wysłaliśmy do „Gazety Robotniczej“ w Berlinie, skąd miałem ją zabrać do kraju razem z czcionkami zamówionymi w Lipsku. Wyruszyłem z Londynu 10 marca żegnany, jakbym już nie miał wrócić. Na pamiątkę po mnie obiecano żywić kota, który asystował mi przy pracy i, jak tylko usłyszał wołanie na ulicy „meat“ (mięso dla kotów), właził na kasztę i przeszkadzał składać, dopóki nie kupiłem mu tego smakołyku.

Wybrałem drogę przez Rotterdam. Spotkała mnie tutaj przygoda. Wypuszczono wszystkich ze statku, a mnie zatrzymano i osobnym tramwajem w asyście policjanta odstawiono na dworzec. Zaniepokoiło mnie to, ale prędko wyjaśniło się, że przezorni Holendrzy w ten sposób chronią cudzoziemców od oszustów, którzy w porcie czyhają na głupich, zaciągają do różnych spelunek i ogałacają z pieniędzy. Asystujący policjant spodobał mi się: wiedział, co to jest Polska, i wymienił Kościuszkę jako naszego bohatera narodowe-

go. Poradził mi jechać do Arnhem nad granicą niemiecką, przenocować tam i nazajutrz jechać dalej.

W Berlinie zatrzymałem się, żeby przepakować czekające tam na mnie paczki z drukami i czcionkami do dwóch walizek. Jechałem do Tylży, ponieważ Sulkiewicza przeniesiono z Władysławowa do Taurog. Potrafił i tutaj wynaleźć pośrednika w osobie Fryderyka Subata w Tylży. Zostawiłem u niego walizki, a sam przez przykomórek w Kibartach ruszyłem wprost do Wilna.

III

W KRAJU NIELEGALNIE

1895—1899

Przyjechałem do Wilna 20 marca. Piłsudskiego nie zastałem; pojechał do naszych studentów w Petersburgu po pieniądze. Wobec tego udałem się do Warszawy, żeby wyjaśnić przyczyny sygnalizowanej stamtąd trwogi. Okazało się, że z wypuszczonych na wolność agitatorów jeden (Bilski) zgodził się pomagać żandarmom i rzeczywiście zdradzał, jak o tym zawiadamiali siedzący w cytadeli. Drugi (Paulin Klimowicz) użył tego samego sposobu, co Bilski, żeby wydostać się na wolność, ale nikogo nie zdradził i zaraz po wyjściu z cytadeli przyznał się Pietkiewiczowi do wszystkiego. Trzeba go było zaraz wyprawić za granicę i odgrodzić się od przyjaciół Bilskiego. Widocznie motto we wskazówkach Pietkiewicza dla działaczy rewolucyjnych: „Bądź odważny jak lew i chytry jak wąż“ komentowano opatrznie. W najbliższym numerze „Robotnika“ umieściliśmy ostrzeżenie, że nawet pozorna zgoda na propozycję żandarmów zostawia na człowieku hańbiącą plamę i powoduje natychmiastowe wykluczenie z partii.

Znowu, jak po aresztowaniach Falskiego i Stróżeckiego, wszystkie stosunki w Kongresówce opierały

się na jednym człowieku: Pietkiewiczu. Pomimo uwolnienia od jawnego dozoru policyjnego, był skrępowany w swoich ruchach i tylko dorywczo mógł załatwiać najpilniejsze sprawy ukrywając się nadal w Brzegach. Nowy członek C. K. R., Kulczycki nie nadawał się do żadnej innej pracy prócz literackiej. Stosunki z prowincją były utrzymane, ale dorywcze, nie ujęte w węzły organizacyjne, które by zapewniały trwałość. Kolporterkę wydawnictw rozszerzono, ale prawie wszędzie dawano je darmo, stąd brak funduszów na nowe. W celu poznania stanu organizacji pojechałem do kilku miast na prowincji; zebrałem za wydawnictwa zaledwo 23 rubli. Składki robotników były znikome, podstawę finansową partii stanowiły ofiary sympatyków i studentów. Oprócz wznowienia „Robotnika“ należało zająć się rozbudową organizacji.

Wróciłem do Wilna 4 kwietnia w celu uruchomienia drukarni. Miałem teraz ułatwiony pobyt, ponieważ osiadł tutaj adwokat Zygmunt Kruszewski, mój kolega z więzienia za manifestację 3 maja, zawsze chętnie przyjmujący mnie na nocleg. Przed wyszukaniem miejsca dla drukarni musiałem przede wszystkim zlikwidować sprawę służącej Parniewskich w Lipniszkach. Zecer Głowacki przy pomocy naszych sympatyków dostał posadę na Uralu i po dziewczynę mógł przyjechać tylko do Moskwy. Należało wyprawić ją tak, żeby w razie spóźnienia się Głowackiego nie została sama na dworcu i „nie rozkleiła się“. Chodziło o bezpieczeństwo osób nam drogich. Nikt z przyjeżdżających do Parniewskich nie mógł się tego podjąć, ponieważ dziewczyna znała ich i bała się. Rola

stróża bezpieczeństwa przypadła mnie. Kiedy przyszła od Głowackiego wiadomość o dniu spotkania w Moskwie, wyruszyłem z Wilna koleją. W drodze na stacji Bastuny Parniewscy ulokowali dziewczynę w tym samym wagonie, w którym ja jechałem i miałem z dala czuwać nad nią. Całą drogę łamałem sobie głowę, co zrobić, jeżeli Głowacki skrewi. Na szczęście dotrzymał słowa, spotkał dziewczynę na dworcu i zabrał z sobą. Tak nareszcie 10 kwietnia skończyła się trapiąca wszystkich obawa nieszczęścia; mogłem spokojnie zająć się ulokowaniem drukarni w nowym miejscu.

Wybrałem Wilno, ponieważ tutaj mogłem zameldować się za byle jakim dokumentem i najmniej miałem znajomych. Żeby nie stykać się z nimi, wyszukałem mieszkanie na przedmieściu Nowy Świat i tak się urządziłem, żeby nie domyślano się, że mam siedzibę w Wilnie. Wadą dawnego urządzenia drukarni było to, że za wiele osób kręciło się przy niej, a przez to więcej szans wykrycia. Dlatego postanowiłem zamieszkać sam, a dla zabezpieczenia się od złodziei w czasie moich wyjazdów wybrać dom dobrze strzeżony. Odpowiedni lokal znalazłem przy ulicy Tombakowej (obecnie Szeptyckiego 8) w sąsiedztwie urzędu poborowego (Woinskoje Prisutstwie), którego komendant był właścicielem domu i stawiał przy nim szyldwacha. Obecnie dom ten należy do Żyda, zamiast ogrodu pełno tam smrodliwych przybudówek. Dzielnica była mało zaludniona. Jedyni odwiedzający mnie, Piłsudski i Sulkiewicz, łatwo mogli sprawdzić, czy nie przyprowadzają za sobą szpiega. Dla uprzątania mieszkania zgodziłem przychodnią służącą, lecz klu-

cza od mieszkania nigdy jej nie zostawiałem, żeby nie miała pokusy szperania podczas mojej nieobecności. Przychodziła tylko wtedy, kiedy ją wezwałem. Nazywała się Michałowa.

Do licznych pseudonimów (Wacław, Vorhoff, Latający Holender, Adam, Długi, Edmund) przybył mi nowy — Kazimierz Paszkiewicz. Tak głosiło świadectwo szlacheckie (Dworianskoje swidietielstwo), za którym zameldowałem się u gospodarza domu. Ten dokument, wątpliwej wartości, zawsze pozostawał w mieszkaniu. Nie nosiłem go przy sobie, żeby w razie aresztowania poza domem nie wykryto mojej siedziby. Nazwisko to i adres, zgodnie z wymaganiami „żelaznej“ konspiracji, znane było tylko Piłsudskiemu i Sulkiewiczowi. Gospodarzowi domu dla wytłumaczenia częstych wyjazdów powiedziałem, że jestem ajentem towarzystwa ubezpieczeń na życie. Najbardziej szpetną właściwością konspiracji jest to, że często zmusza do kłamstwa.

Po wynajęciu mieszkania pojechałem po drukarnię, która była schowana w dwóch koszach u Napoleona Czarnockiego w Mirze. Przywiozłem ją szczęśliwie do Wilna i ulokowałem w moim mieszkaniu. Okna były tak nisko nad ziemią, że w czasie pracy musiałem zasłaniać je prześcieradłem, żeby zabezpieczyć się od ciekawości szyldwacha pilnującego domu. Pierwszy od wejścia pokój służył za kuchnię i jadalnię; stał tutaj tapczan, na którym spałem, jeżeli Piłsudski albo Sulkiewicz pozostawali u mnie na noc. W drugim pokoju stała szafa, w której ukryłem maszynę, a w dolnych szufladach i komodzie składane kaszty i czcionki. Oprócz tego był stół do pracy, łóżko

i opróżnione kosze, które służyły teraz za skład papieru i wydawnictw. Papier kupowałem częściami w miejscowych sklepach materiałów piśmiennych. Na 12-stronicowy numer „Robotnika“ przy nakładzie 1300 egzemplarzy potrzebowałem 9 ryz formatu kancelaryjnego. Arkusze były nieco za długie dla maszyny; obcinanie ich zwykłym nożem trwało dość długo, na palcach występowały bolesne bąble.

Pracę zaczynałem o 9 rano, po wyjściu Michałowej, a kończyć musiałem przed zapaleniem lampy, dlatego druk 12-stronicowego numeru trwał prawie 2 tygodnie. Zwykle zaczynałem od środkowego arkusza, od piątej stronicy. W tym czasie Piłsudski jeździł do Warszawy po ostatnie wiadomości do kroniki krajowej, umawiał się o datę dostarczenia numeru i po powrocie pomagał mi w jego dokończeniu. Do Piłsudskiego należało pisanie wstępnych artykułów i odbijanie złożonego tekstu, jeżeli zajęty byłem składaniem. Maszyna zajmowała niewiele miejsca: łokieć wysokości i szerokości, półtora długości; waga 100 kg. Mogłem ją sam wysuwać z szafy na czas odbijania. Ramiona, po których toczyły się kółka wałków, i palec obracający talerz z farbą okleiłem skórą tak, że przy odbijaniu słychać było tylko szelest nakładanych arkuszy. Co 50 egzemplarzy smarowało się talerz farbą drukarską sprowadzaną z zagranicy przez Sulkiewicza. Przy moim wzroście najwięcej męczyło nachylanie się i naciskanie rączki maszyny przy każdym egzemplarzu. Po złożeniu arkuszy i zapakowaniu do walizek w paczkach po 50 egzemplarzy odzyskiwaliśmy swobodę ruchów. Zwykle ja odwoziłem „Robotnika“ do Warszawy i na prowincję, Piłsudski do

kół młodzieży w uniwersytetach, skąd otrzymywaliśmy najwięcej pomocy finansowej.

Pierwszy na nowym miejscu numer „Robotnika“ (od założenia siódmy) wyszedł 7 czerwca. Uważałem te dwie siódemki za dobry prognostyk. W istocie od tego czasu datuje się nieprzerwane w ciągu 5 lat wychodzenie „Robotnika“, stały rozwój partii i brak wahań w akcentowaniu jej celów. Poprzednie numery pod tym względem były mało wyraźne, głównie dzięki warszawiakom, którzy straszyli Piłsudskiego, że „powstańcze zapędy“ mogą wywołać poważny konflikt w partii. Dlatego na trzecim zjeździe zmieniliśmy krępującą uchwałę drugiego zjazdu, która narzucała pismu charakter informacyjno agitacyjny, a sprawy programowe odkładała do jednodniówek i broszur.

Trzeci zjazd odbył się 29 czerwca 1895 r. w Ponarach pod Wilnem. Podstawową zasadę naszej taktyki wyraziliśmy w uchwale, że główną kwestią dla polskiej klasy robotniczej jest radykalna zmiana istniejących stosunków politycznych zgodnie z programem partii. Polecono C. K. R. częściej objeżdżać miejscowości objęte ruchem w celu ściślejszego zespolenia lokalnych organizacji, urządzać konferencje wybitniejszych agitatorów i zasilać nimi słabsze ośrodki prowincjonalne. W sprawie redagowania „Robotnika“ zgodzono się, że powinny być w nim umieszczane artykuły treści politycznej, chociażby częściowo dla szerszych kół niezrozumiałe. W celu odciążenia treści „Robotnika“ od ściśle lokalnych potrzeb postanowiono wydawać odezwy i ulotne pisemka. W sprawie tępienia denuncjacji i objawów znęcania się nad ro-

botnikami zjazd polecił propagować natychmiastowe karcenie winnych przez samych robotników, nie zrzucanie tego obowiązku na partię.

Uchwały zjazdu w sprawie stosunku do innych partii, narodowości i rosyjskich rewolucjonistów, potwierdzały dotychczasową taktykę. Nowością było żądanie porozumienia z bratnimi organizacjami spod zaboru austriackiego i pruskiego w celu podjęcia wspólnych prac. Wyraziło się to w następnym roku we wspólnym wydaniu broszury majowej, skonfiskowanej przez władze austriackie, w obchodzie dziesiątej rocznicy stracenia pierwszych proletariatczyków i w postawieniu przez delegację polską na międzynarodowym kongresie 1896 r. wniosku, że „niepodległość i samorząd Polski są postulatem politycznym równie niezbędnym dla całego międzynarodowego ruchu robotniczego, jak dla samego proletariatu polskiego“. Wniosek ten kongres przyjął w zmienionej formie, mianowicie: „Kongres oświadcza, że przyznaje każdej narodowości zupełne prawo stanowienia o swym losie i wyraża swe sympatie robotnikom wszystkich krajów, które jęczą dzisiaj pod jarzmem despotyzmu militarnego, narodowego lub innego“.

Sporo czasu na zjeździe zajęła sprawa konstytucji rosyjskiej, lansowana przez Kulczyckiego. Zjednał on dla swoich pomysłów warszawiaków, ale w toku dyskusji bardzo zmiękł i skończyło się na tym, że w jednym z programowych artykułów w „Robotniku“ będzie umieszczone zdanie, że żądanie niepodległości nie oznacza, byśmy byli przeciwnikami korzystnych zmian w ustroju państwa rosyjskiego, odnosimy się do nich przychylnie, a nawet możemy czynnie popie-

rać usiłowania Rosjan w tym kierunku. Odnośny artykuł w nr 9 „Robotnika“ napisał Piłsudski. Niestety mylił się, że „kwestię w ten sposób pogrzebaliśmy na zawsze“ (list z 21 sierpnia 1895 r.). Wypłynęła ona ponownie w 1905 r., kiedy większość w partii zdobyli nowi „młodzi“, uznający ruch polski za część składową rosyjskiego ruchu rewolucyjnego.

Na zjeździe 1895 r. miałem jeszcze jeden przykry incydent. Warszawiacy wycięli w „Przedświcie“ artykuł Jodki „Etapy“, krytykujący żądanie konstytucji rosyjskiej. Z tego powodu postawiłem wniosek, potępiający wycinanie części w rozpowszechnianych przez partię wydawnictwach; o rozpowszechnianiu wydawnictwa decyduje tylko C. K. R. Warszawiacy z Kulczyckim na czele wystąpili przeciw temu wnioskowi dowodząc, że pozbawia ich możności kontrolowania tego, co przysyła zagranica. W głosowaniu rozbili mój wniosek na dwie części: pierwszą odrzucili większością głosów, drugą przyjęli. Do C. K. R. wybrano Kulczyckiego, Piłsudskiego i mnie. Odmówiłem przyjęcia mandatu, ponieważ zachowanie się większości wobec mojego wniosku nie dawało rękojmi, że podobne wycinanie artykułów nie powtórzy się w przyszłości, i jako członek C. K. R. musiałbym odpowiadać za żakowskie wybryki innych. Większość chciała się cofać i jeszcze raz głosować nad moim wnioskiem. Odpowiedziałem, że to nie zmieni mojej decyzji, ponieważ nastrój dostatecznie ujawnił się, a ponowne głosowanie odbywałoby się pod presją mojej odmowy, czego sobie nie życzę. Wobec tego na moje miejsce wybrano Sulkiewicza. Dopiero po trzech miesiącach, kiedy zmienił się skład mężów za-

ufania w Warszawie, przyjąłem obowiązki członka C. K. R. na miejsce aresztowanego Kulczyckiego.

Na kilka dni przed zjazdem ujęto w Warszawie na ulicy Pietkiewicza. Była to dla nas ciężka strata. Z warszawiaków on jeden utrzymywał stosunki z prowincją, teraz wypadło mnie go zastąpić. Jako dawny prezes Koła młodzieży warszawskiej i członek Centralizacji Zetu miałem wielu przyjaciół na prowincji, którzy okazywali mi wiele usług w udzielaniu noclegu i przechowywaniu wydawnictw, ale nie mogli wyręczyć w utrzymywaniu stosunków z miejscowymi robotnikami, jako znani ze swych zajęć zawodowych (inżynierzy, chemicy, lekarze). Łatwiej było w Radomiu, gdzie do partii należało sporo urzędników kolejowych, i w Dąbrowie Górniczej, gdzie znalazłem pomocników w młodych sztygarach (Ćwierciakiewicz, Czerwiowski, Filipowicz, Rutkiewicz). W innych miejscowościach musiałem sam utrzymywać stosunki z agitatorami, dopóki nie powstały lokalne komitety robotnicze. Zabierało to wiele czasu, ponieważ z robotnikami mogłem widywać się tylko wieczorami po zamknięciu fabryk. Z rozwojem stosunków zaczęło to hamować moją pracę w drukarni. W 1895 r. „Robotnik“ wychodził co miesiąc, w następnych latach rzadziej, zwłaszcza kiedy przybyło wydawanie „Górnika“, ulotnych pisemek i więcej odezw.

Oprócz podziału pracy przy „Robotniku“, o którym mówiłem wyżej, ustaliliśmy następujący podział zajęć w C. K. R.: Piłsudski — centralna kasa, stosunki z Rosjanami, innymi narodowościami i kołami studenckimi w Rosji; Sulkiewicz — stosunki z Londynem, transport wydawnictw i dyrygowanie, kogo

przysłać mu do pomocy; ja — stosunki z komitetami robotniczymi i kołami agitatorów, prócz Wilna. Sprawy nieprzewidziane w tym podziale i sporne rozstrzygaliśmy wspólnie albo zasięgaliśmy zdania mężów zaufania. Łączyła nas serdeczna przyjaźń i wzajemne zaufanie; różnicę charakterów i poglądów łagodziło całkowite oddanie się pracy, która nie sprzyjała rozwojowi jakiegokolwiek egotyzmu.

Najwięcej hamował naszą działalność brak pieniędzy. W drugim półroczu 1895 r. przeciętny dochód miesięczny wynosił 230 rubli. Z tego pokrywać trzeba było koszty zagranicznych wydawnictw, transportów i rozjazdów, utrzymanie drukarni i dwóch nielegalnych: Piłsudskiego i mnie. Największy wydatek stanowiły rozjazdy. W miejscowościach objętych ruchem trzeba było być przynajmniej raz na miesiąc. Przejeżdżałem około 5000 km miesięcznie, Piłsudski jeszcze więcej, ponieważ musiał jeździć do Petersburga, Moskwy, Charkowa. Ciągłe jazdy zaczęły nadwerężać nasze zdrowie. Jeżeli środki pozwalały, braliśmy na noc bilety drugiej klasy, ale i tutaj nie można było spać spokojnie, bo na węzłowych stacjach pełno było złodziei. Wagony obchodzili żandarmi i głośno ostrzegali: „Karmany, wieszczi bieriegitie“, ale zostawiali drzwi otworem, z czego korzystali złodzieje. Raz ściągnęli Piłsudskiemu „sakwojaż“ z bibułą, wskutek czego musiał zmienić pociąg, bo nie było pewności, czy złodziej ze zdobyczą nie poszedł do żandarmów.

Rok 1895 zakończył się poważnym wzrostem naszych sił. Powstały komitety robotnicze w Białymstoku, Dąbrowie Górniczej, Pabianicach i Warsza-

wie. Przywrócona została jedność ruchu bez żadnych ustępstw programowych. Zbałamuceni w 1893 r. związkowcy powrócili do naszych szeregów. „Socjalna Demokracja Królestwa Polskiego“ przestała istnieć w kraju; inicjatorzy jej pozostali osamotnieni za granicą. W Warszawie ubytek kilku mężów zaufania wynagrodziło przybycie Aleksandra Malinowskiego z Charkowa, Stanisława Pękosławskiego i Władysława Adolfa z Petersburga, Stanisława Żmigrodzkiego z Mitweidy. Maria Paszkowska zorganizowała koło kobiet, pomagających w przechowywaniu i kolportowaniu wydawnictw. Niektóre z nich, jak Maria Chmieleńska, brały bardzo czynny udział w agitacji wśród robotników. Prowadzona przez Paszkowską tajna korespondencja z siedzącymi w cytadeli ułatwiała szybkie demaskowanie zdrajców i pomocników żandarmów wśród robotników. Nazwiska ich ogłaszaliśmy w „Robotniku“. Wskutek tych zdrad trzymano Falskiego na śledztwie prawie 4 lata, po czym zesłano na 5 lat do wschodniej Syberii; Stróżeckiego i Pietkiewicza na 8 lat.

Sulkiewicz, pomimo starań o przeniesienie do Wierzbołowa, mającego dobrą komunikację z Wilnem, musiał do kwietnia 1896 r. siedzieć w Taurogach. Droga do niego była uciążliwa, przeszło 100 km jazdy końmi od stacji kolejowej w Szawlach. Co pewien czas jeździł do niego Bielak, Piłsudski albo ja po odbiór zagranicznych wydawnictw. W tamtą stronę jeździliśmy karetką pocztową, z powrotem najętymi końmi, żeby uniknąć rewizji bagażu przy wsiadaniu do karetki w Taurogach. Traktem tym niegdyś jechała Katarzyna II. Urzędowe nazwy stacji poczto-

wych przypominały jej przejazd i wrażenia: Caricyno, Nieskucznaja. Dla mnie była to najnudniejsza droga. Bezleśna Równina Żmudzka; z nikim na wsi nie można było rozmówić się ani po polsku, ani po rosyjsku. W powrotnej drodze kładliśmy na głowę czapki urzędnicze z gwiazdką, jako najlepszy paszport. Byliśmy w nich nietykalni i nasze walizki również. Na stacji w Szawlach dyżurny strażnik celny sam pomagał znosić walizki do wagonu. Dziwny był urok tej gwiazdki na czapce. Poza Rosją, Prusami i Austrią nigdzie go nie dostrzegałem. Gwiazdkowanie odziedziczyliśmy po zaborcach. Na pierwszym zebraniu starostów, których jako minister w 1919 r. wezwałem do Warszawy, żądano wprowadzenia czapek z gwiazdką dla starostów. Marny to sposób wzbudzania szacunku w ludności dla przedstawiciela władzy. Dużo jeszcze czasu upłynie, zanim uwolnimy się od różnych spadków po zaborczych państwach policyjnych.

Niewola demoralizuje panujących i poddanych. Po obu stronach szerzy obłudę i strach, bezprawie i kult siły, represje i zemstę. Pozostało mi w pamięci zdanie Sidneya Webba, że charakter ruchu rewolucyjnego zależy przeważnie od natury sił poskramiających. Dlatego oburzyłem się, kiedy w Pamiątce majowej 1896 r. w artykule Jodki o międzynarodowym znaczeniu polskiego ruchu rewolucyjnego znalazłem zdanie, że polska klasa robotnicza jest zahartowana i wyszkolona przez długie lata niewoli. „Na miły Bóg — mówiłem w liście z 27 czerwca do Londynu — jak można pisać, że niewola wyszkoliła naszego robotnika. Niech diabli biorą takie wyszkalanie niewolą!“ Na każdym kroku musieliśmy zwalczać objawy upo-

dlenia, które rodziły ówczesne warunki. W „Robotniku“ często zwracaliśmy na to uwagę robotników: „Żeby jarzmo niewoli nie wpiło się nam w barki i nie upodliło naszego ducha cierpliwym znoszeniem zniewag i poniewierki, musimy zawsze stać na straży swej godności i odpierać wszystkie zamachy przeciw nam skierowane“.

W marcu 1896 r. Piłsudski wyjechał do Londynu w celu wydania paru broszur i uczestniczenia w międzynarodowym kongresie. Wrócił w połowie września. Podczas jego nieobecności musiałem utrzymywać stosunki z innymi narodowościami i Rosjanami. Co do pierwszych byliśmy jednego zdania, co do drugich różniliśmy się.

Na Litwie istniały dwa ugrupowania: narodowcy i socjaliści. Narodowcy prowadzili tajną akcję oświatową wśród ludności wiejskiej. W tym celu sprowadzali wydawane w Tylży pisma i broszury; pomagał im w tym przez pewien czas Sulkiewicz. O nich pisałem do Londynu: „Niechby tylko Litwinom pozwolono drukować czcionkami łacińskimi w kraju, a usłyszelibyśmy ładne rzeczy“. W istocie ciążyli ku Rosji, bali się asymilacyjnego wpływu kultury polskiej. Socjalistów wileńskich nazywaliśmy „tutejszymi“, przewodniczył im Andrzej Domaszewicz, nie mówiący po litewsku; program mieli bardzo zmienny. O nich pisałem do Londynu: „tutejszość jest dzieckiem zmanierowanych łbów inteligenckich“. Naprzód chorowali na „ekonomizm“, skarżyli się, że wileńscy robotnicy pod wpływem naszego „Robotnika“ zajęli się „politykanstwem“. Potem zaczęli mówić o konstytucji i federacji, ale nie wiadomo z kim: z Polską czy Rosją.

Narodowcy litewscy proponowali im wystąpić wspólnie z hasłem niepodległości Litwy, ale nie zgodzili się na to.

Początkowo dostarczaliśmy im bezpłatnie broszur agitacyjnych i „Robotnika“, w nadziei, że z czasem pójdą z nami ręka w rękę. Ale zawiedliśmy się. W miarę nabierania sił zaczęli okazywać coraz wyraźniejszą niechęć do nas, szkalowali nas przed robotnikami i żądali, żebyśmy wyrzekli się rozszerzania swej organizacji poza granice Kongresówki. W rezultacie wykłuła się z tego „Socjaldemokracja Litewska“, skupiająca w sobie ludzi, których większość nie mówiła po litewsku. Musieliśmy wyrzec się stosunków z nimi wobec ich wrogiego nastawienia.

Sprawa ta była przedmiotem obrad naszego zjazdu w 1897 r. Zjazd jednogłośnie aprobował stanowisko C. K. R., nie uznał racji bytu tej socjaldemokracji i polecił zająć się zjednaniem dla naszej partii proletariatu na Litwie, związanego z polskim wspólnością mowy i tradycji. Uchwała zjazdu nie wykluczała możliwości sojuszu z właściwą organizacją litewską. Mając na widoku odłam narodowców litewskich skłaniających się ku socjalizmowi, zjazd nasz uznał odrębność organizacyjną grup litewskich, posługujących się w agitacji wyłącznie językiem litewskim, i polecił dążyć do zawarcia z nimi najściślejszych stosunków, opartych na wzajemnej pomocy, o ile grupy te w swej działalności nie będą rozbudzały nienawiści do narodu polskiego, tak korzystnej dla zaborczych celów caratu. Niestety w następnych latach, pomimo starań z naszej strony, do trwałego porozumienia nie doszło. Litewscy inteligenci i księża

wciąż wrogo odnosili się do Polaków. W ludzie litewskim tej nienawiści nie napotykaliśmy, ale nie mieliśmy sił do prowadzenia działalności na wsi.

Lepiej układały się stosunki z Łotyszami. Początkowo radykalnej inteligencji łotewskiej wystarczała ustna agitacja w bardzo rozpowszechnionych tam kasach pośmiertnych. Roztoczenie rządowej kontroli nad kasami skierowało ruch łotewski na tory nielegalne. Bardzo czynny udział w nim wzięli nasi studenci w Rydze. Na ich żądanie dostarczaliśmy broszur niemieckich z braku łotewskich. Dla zorganizowanego przez nich komitetu robotniczego w Rydze wydrukowaliśmy dwie odezwy, jedną po łotewsku, drugą po niemiecku. Zjawienie się w Londynie emigrantów łotewskich umożliwiało stworzenie potrzebnej literatury agitacyjnej; niestety nieprzyjaźnie odnieśli się do naszego Związku w Londynie, co uniemożliwiło doprowadzenie do końca zobowiązań, jakie mieliśmy względem krajowej organizacji łotewskiej.

Na Rusi nie było żadnej organizacji i nic nie zapowiadało jej powstania. Kółko radykalnej inteligencji, z którym zetknęliśmy się w Kijowie, zajmowało się jedynie pomaganiem rusińskim radykałom w Galicji. W lutym 1897 r. pisałem do Londynu: „Rusini, o ile w ogóle kiedykolwiek obudzą się, to chyba wtedy, gdy my już niepodległą Polskę będziemy mieli... Gdyby tak Osarz (Leon Wasilewski) pokręcił się w Kijowie i na Rusi, musiałby przyznać, że jest grubym optymistą. Już to my nie mamy co rachować na te „nacje“, gdzie lud w najlepsze śpi snem politycznym, a inteligencja rewolucyjna, o ile istnieje tu i ówdzie, ma takie myszki we łbie, że chyba już nigdy

rozumu nie nabierze. Rezultat dotychczasowego mego przyglądania się tym „nacjom“ — całkowita niewiara, by mogły one kiedykolwiek odegrać czynną rolę w naszej walce z caratem, chyba że przedtem spolonizują się“.

Wśród Rosjan od upadku „Narodnoj Woli“ nie było poważnej organizacji, z którą można by traktować w myśl naszych uchwał. Natomiast mnożyły się grupy i kółka bardzo nietrwałe, zajęte „principialnymi“ sporami. Wśród nich obracał się w Petersburgu mój znajomy z redakcji warszawskiego „Głosu“, Aleksander Więckowski. „Wygłasza on teraz — pisałem do Londynu — dzikie zdanie, że P. P. S. zrobiła błąd wystawiając niepodległość Polski; należało wziąć za łeb ruch rosyjski i poprowadzić go pod swoją komendą. No, ładnie byśmy wyglądali“. Optymizm Więckowskiego co do możliwości pokierowania ruchem rosyjskim udzielił się Piłsudskiemu. Z tego powodu powstały między nami spory. Odtwarzam je na podstawie korespondencji.

Piłsudski pisał we wrześniu 1895 r. do Londynu: „Ogólne położenie, o ile je zrozumiałem, jest takie, że przy całej masie różnych grup w Rosji od nas będzie najzupełniej zależało nadanie tej lub innej przewagi. Dlatego też nie spieszę tak bardzo z tym interesem i rozglądam się, by wybrać kogokolwiek najodpowiedniejszego. Sądzę, że mamy w ręku dwa grube atuty: granicę i urządzenie im drukarni, którymi możemy stanowczo dać przewagę temu, komu zechcemy. Wybór co prawda trudny. Embarras de richesse ogromny. Mam w tym względzie obszerne plany, o których kiedykolwiek potem pogadam. Sojusznika

dla tych planów mam w Lolku (Kulczyckim), a przeciwnika w Adasiu (Wojciechowskim), który, jak wszyscy Kongresowiacy, geografii nie zna i przypuszcza, że centrum świata całego, jeżeli nie Warszawa, to przynajmniej Kongresówka. Zresztą obszerniej o tym z nikim nie gadałem. Chcę najpierw zapewnić sobie pomoc Aleksandra (Więckowskiego). W ogóle w stosunkach międzynarodowych w Rosji, którym ja, zdaje się, większą niż wy wszyscy nadaję wagę, trzymam się zasady, że centr polityki wewnętrznej w Rosji stanowczo przerzucić trza by znad Newy nad Wisłę i najwyraźniej to przeniesienie uwidocznić dla całego świata. Za łeb więc wziąć musimy każdą opozycję i zaprząc ją do naszego rydwanu. Przepraszam za kwiecistość. Musimy być gospodarzami nie tylko u siebie w domu, lecz i w całym państwie cara. Słowem „polskaja intryga“ musi oplątać całego kolosa. Ale, pardon, unoszę się w krainę fantazji“.

Ja pisałem do Piłsudskiego podczas jego pobytu w Londynie w czerwcu 1896 r.: „Co się tyczy Moskali, to wiesz, że zawsze bardzo niechętnie patrzę na wszelkie prace nad nimi i z nimi, bo teraz na to sił nie mamy. Zresztą rób, co chcesz“... Potem w odpowiedzi na propozycję sprowadzenia do Rosji Plechanowa: „Jestem stanowczo przeciwny, by ciągać się z nim naszą drogą. Za dużo w Tobie Aleksandra (Więckowskiego) siedzi. Już jeśli Tobie, pomimo braku sił dla naszej roboty, uśmiecha się wyzwalanie wschodu, to myślmy przede wszystkim o Kijowie, Rusinach, Łotyszach, nie mówiąc już o Litwinach. Nasz stosunek do Rosjan tak dziś sobie wyobrażam: a) jeżeli Plechanow i jego grupa poczynią w najbliż-

szej przyszłości kroki ku zlaniu kółek i grup soc. w jedną partię, jak my w 1893 r., b) jeżeli ta partia stanie względem nas na stanowisku bez zastrzeżeń uznającym nasze dążenia separatystyczne, jako też Litwinów i ewentualnie Rusinów (ci jeszcze nie wystąpili publicznie z tym), c) jeżeli zobowiążą się w swoich wydawnictwach zaznaczać takie stanowisko względem nas, piętnować zaborcze instynkty u swoich i zwalczać „państwowe instynkty" Żydów rosyjskich i ich kółek, jako wrogie dla sprawy wolności i naszej, i Rosjan, to my: a) zobowiążemy się zerwać wszelkie stosunki z innymi grupami opozycyjnymi w Rosji i wszystkie swoje stosunki, wpływy i znajomości skierować w stronę owej rosyjskiej partii socjalistycznej, dopomagając do scentralizowania wszystkich grup socjalistycznych w jedną, b) w miarę możności będziemy im pomagać i ułatwiać różne rzeczy, komunikując się w tym celu z ich głównym centrum organizacyjnym. Tak mi się przedstawia szkielet ewentualnej umowy z nimi".

Po powrocie Piłsudskiego z Londynu postanowiliśmy wystąpić z inicjatywą zwołania zjazdu przedstawicieli organizacji rosyjskich. Z propozycją tą Piłsudski zwrócił się do „Związku Walki o Wyzwolenie Klasy Robotniczej" w Petersburgu, ofiarując nasze usługi w skomunikowaniu się z rozprószonymi po innych miastach grupami. Pomoc naszą chętnie powitano, zastrzeżono tylko, że sprawa ta wymaga dłuższych rokowań, i proszono, żebyśmy do czasu zawiadomienia dalszych kroków w tym kierunku nie robili.

W oczekiwaniu tego zawiadomienia oddaliśmy pod obrady naszego zjazdu sformułowanie warun-

ków, jakie należy postawić przy zawieraniu umowy z przyszłą rosyjską partią. Zjazd uchwalił trzy warunki: 1) partia rosyjska uzna nasze dążenie do niepodległości Polski i zobowiąże się rozpowszechniać wśród Rosjan uznanie konieczności i słuszności tego żądania, 2) zobowiąże się nie wchodzić bez naszej zgody w stosunki z żadną organizacją rewolucyjną w Polsce i na Litwie z wyjątkiem litewskich, tj. takich, które w agitacji posługują się językiem litewskim, i 3) przyzna grupom, powstałym wśród narodowości nie rosyjskiej, prawo tworzenia odrębnych organizacji i swobodnego określania swego stosunku do państwa rosyjskiego.

Zjawienie się wkrótce potem „Manifestu socjalno-demokratycznej partii robotniczej Rosji“ było dla nas całkowitą niespodzianką. Fakt, że w zjeździe, o którym mówił „Manifest“, uczestniczyli przedstawiciele „Wszechżydowskiego Związku Robotniczego w Rosji i Polsce“, a nam nie przysłano żadnego zawiadomienia, mimo że zjazd urządził wspomniany wyżej „Związek Walki“, nie mógł nas nastroić dobrze względem nowej partii. Nakreślenie jej państwowych granic, mimo że w tworzeniu jej nie brały udziału ani polska, ani litewska, ani łotewska organizacja, oraz zbycie dwuznacznym frazesem sprawy odśrodkowych dążeń wśród narodowości przez carat ujarzmionych, nie pozwalały nam widzieć w nowej partii sojusznika. Prawie jednocześnie powstała druga partia socjalno-demokratyczna, zakreślająca sobie węższe granice („ruskaja“), ale również nie określająca wyraźnie swego stosunku do innych narodowości. Nie minął rok, a przekonaliśmy się, że partie te nie mają

spoistej organizacji: każda grupa prowincjonalna, podpisująca się jedną z tych nazw, działała na swój sposób. Znowu widocznym się stało, że daleko jeszcze rosyjskim rewolucjonistom do wytworzenia poważnej organizacji. Brak jej sprawiał, że powstające kółka powtarzały błędy poprzedników i zajęte były jałowymi sporami doktrynerskimi. Masowego ruchu wśród robotników rosyjskich nie było.

Najruchliwszymi przeciwnikami naszymi okazali się Żydzi rosyjscy. Kiedy w 1893 r. wzywaliśmy kółka żydowskie na Litwie i Rusi do zaprzestania agitacji w języku rosyjskim i prowadzenia jej raczej w żargonie, nie spodziewaliśmy się, że z czasem zwrócą się przeciwko nam z taką zaciekłością. Sam inicjator tej odezwy Mendelson po wystąpieniu ze Związku Zagranicznego przechodził dziwne ewolucje: zaczął pisywać korespondencje do konserwatywnych pism polskich, w końcu stał się syjonistą. Rząd rosyjski spychał Żydów na kresy, mimo to ciążyli ku Rosji zamiast ku uciśnionym narodom, u których znaleźli przytułek. Tylko Finlandia oparła się nasyłaniu do niej Żydów.

Żydowscy socjaliści, zarzucający wszystkim nacjonalizm, sami stanęli na gruncie nacjonalizmu żydowskiego i utworzyli odrębną organizację „Wszechżydowski Związek Robotniczy w Rosji i Polsce“, w skróceniu nazywany Bundem. Prawie we wszystkich ugrupowaniach rosyjskich mieli swoich współwyznawców, którzy szerzyli niechęć ku nam i naszemu programowi. Zewnętrznym wyrazem napaści, rozsiewanych tajnie i jawnie, była wydana w żargonie i po rosyjsku broszura „Wojna Polskiej Partii

Socjalistycznej przeciwko Żydowskiemu Związkowi Robotniczemu". Nazywali nas największymi antysemitami za to, że wytykaliśmy Żydom ich rusyfikatorstwo. W lipcu 1896 r. pisałem do Londynu: „Już i „Warszawskij Dniewnik" trąbi o nowej erze w życiu Polaków mojżeszowego wyznania, a zwrot ten polega na ciążeniu ku Rosji i uznaniu obecnego stanu rzeczy. Wyraziło się to w szopkach koronacyjnych, w których mieszczaństwo żydowskie przyjmowało udział znaczny. Były na prowincji zatargi z mieszczanami katolikami z tego powodu, np. w Wolbromiu. Zwrot ten w znacznej części zawdzięczać należy najazdowi Żydów rosyjskich".

Agitacja Bundu zaczęła odbijać się na zachowaniu robotników żydowskich, należących do naszej partii. W grudniu 1895 r. zwrócili się do C. K. R. z żądaniem druków w żargonie i utworzenia osobnej sekcji żydowskiej. Dotąd sprowadzaliśmy niewiele wydawnictw w żargonie ze Lwowa dla robotników żydowskich na Litwie, nie umiejących czytać po polsku. Znający język polski mogli korzystać z naszych wydawnictw i w celu rozszerzenia tego czytelnictwa ułatwialiśmy chętnym naukę języka polskiego w tajnych kółkach. Nic więcej dla nich zrobić nie mogliśmy, tym bardziej że nie mieliśmy w partii żadnego inteligenta znającego żargon. Po kilku miesiącach ponowili swe żądania. Ponieważ nie mogliśmy im zadość uczynić, wystąpili z partii i utworzyli osobną grupę, która przez pewien czas była w bliskich stosunkach z Bundem. W 1897 r. widząc się pozbawionymi i tych wydawnictw, jakie poprzednio otrzymywali od nas, po-

wrócili do partii i zostali przyjęci, jako pojedyncze jednostki, a nie jako osobna sekcja.

Sprawą żydowską zajmował się nasz zjazd i 1) uznał kierunek polityki Bundu za fałszywy, jako wyrzekający się solidarności z proletariatem polskim w jego walce o wyzwolenie spod panowania rosyjskiego, 2) polecił C. K. R. z chwilą pozyskania odpowiednich sił rozpocząć wydawanie za granicą nieperiodycznego pisemka w żargonie. Dopiero w 1898 r. udało się zebrać potrzebne rękopisy i wydać w Londynie nr 1 „Arbajtera“, sprowadzonego do kraju w 600 egzemplarzach.

Koło agitatorów żydowskich w Warszawie prowadził Aleksander Malinowski, po nim ja, gdy musiał opuścić Warszawę, a nikt z warszawiaków nie mógł go zastąpić. Początkowo robotnicy żydowscy wydali mi się dość sympatyczni, ale z czasem zaczęli mnie zrażać swoją wschodnią przesadą i natarczywością w domaganiu się wydawnictw. Raziło mnie, że przy każdej składce żądali zaznaczenia w „Robotniku“, że pochodzi od żydowskich robotników, i zaraz chcieli mieć za to masę wydawnictw. W 1898 r. oddałem to koło pod opiekę Horwitzowi, który okazał się złym nabytkiem: w 1905 r. stworzył lewicę idącą pod komendę rosyjską, po wojnie europejskiej stał się komunistą.

W celu rozszerzenia agitacji wśród robotników żydowskich za pomocą odezw sprowadziliśmy czcionki hebrajskie. Z trudem nauczyłem się rozróżniać je i składać. W ciągu 1898/9 r. wydaliśmy 6 odezw w żargonie na zamówienie naszych komitetów w Białym-

stoku i Warszawie. Teraz wiem, że z moich młodzieńczych porywów ten był najmniej celowy, że nie podobna nastawić Żydów na polski tryb myślenia i czucia, ale wówczas wszystko wydawało mi się możliwym. Byłem dzieckiem XIX wieku, jak Owen i inni racjonaliści, sądziłem, że „można każdego zrobić rozumnym i zgodnym w zasadzie i praktyce“.

W czasie pięcioletniego pobytu w kraju najcięższym dla mnie był rok 1896, kiedy wskutek kilkomiesięcznej nieobecności Piłsudskiego musiałem większość spraw załatwiać sam. Ówczesne kłopoty odtwarzam z moich listów do Piłsudskiego w Londynie, wstawiając prawdziwe nazwiska na miejsce pseudonimów:

„Były rewizje i w Zawierciu. Od faceta, którego tam posłałem, nic nie chcieli przyjąć. Dla wyjaśnienia muszę sam tam jechać... Moje rachuby na zużytkowanie facetów do rozjazdów zawiodły. Żmigrodzki akurat teraz dostał miejsce, a Malinowskiego śledzą...

„Wobec różnych gawęd na miejscu musiałem zmienić pośredników w Pabianicach i Zawierciu. Dawnym trzeba będzie dać spokój na jakie pół roku, zanadto już o nich gadano. Byłem po raz pierwszy w Kielcach. W partykularzu tym organizacyjnie chyba nigdy mocno nie staniemy, bo nie ma na czym. Obecnie jest tam jeden inteligent (zrobił na mnie dodatnie wrażenie) i paru rzemieślników...

„W Kijowie zastałem rzeczy gorzej, niż myślałem. Sarcewicz nie połapał się, dokąd zmierzają ci, z którymi szedł ręka w rękę, a my nie wiedzieliśmy, że rzekomi „nasi“ są tamtejszymi „tutejszymi“ najczystszej wody. Wobec całkiem głupiej sytuacji na-

szej na tamtejszym gruncie musiałem zdecydować się na chwilowy kompromis, który należy w ciągu miesiąca zmienić, tj. rozstrzygnąć rzecz stanowczo. Sytuację nazywam głupią, ponieważ oprócz „tutejszych“, którzy na nas przynajmniej nie napadają, są tam socjaldemokraci...

„W uniwersytetach wszystko idzie ślicznie z wyjątkiem warszawskiego, gdzie skutki 17 kwietnia (1894 r.) dotychczas dają się nam we znaki. Przez nie dość energiczne postawienie się wówczas naszych straciliśmy sporo wpływu, tj. porządnych studentów, których wywieźli, i teraz trzeba zaczynać od młodego przychówku, a to idzie powoli...

„Skandal miałem z wałkami, trzeba było przelać, akurat wypadły straszne upały i ani rusz wyjąć z formy. Straciłem 5 dni na to, przez co nr 16 jeszcze bardziej opóźni się. Większość korespondencji idzie do kosza, inaczej zapełniłyby cały numer. Upały strasznie wpływają na osłabienie mojej energii...

„Stosunki z Częstochową rozpoczęte i idzie tam robota już stale, faceci (tymczasem 2) bardzo zacni. Tego, cośmy dawniej szukali, pozostawiamy na boku... Malinowski od miesiąca przeszło w Łodzi, zdałem na niego Pabianice...

„W Warszawie Komitet odnowiony: 7 robotników zacnych z gnatami, nie ma młodszego niż 30 lat, najmłodszy jest w ruchu od trzech lat, najstarszy pochodzi z czasów Waryńskiego. Okrutnie mi się spodobali, byłem na pierwszym posiedzeniu. Gadaliśmy, jak postawić organizację robotniczą, cały plan nakreślony fest. Szkoda tylko, że nie mogę częściej z nimi widywać się, bo warto poświęcić 3—4 dni dla

omówienia całej taktyki naszej. Przystawiłem do nich Żmigrodzkiego, jako jedynego inteligenta do pośredniczenia. Zresztą o tym pogadam z Tobą obszernie po powrocie. Przekonawszy się dobitnie o ujemnych stronach naszej roboty, chcę możliwie najwięcej czasu poświęcić pracy organizacyjnej, a nie bibule. Z prowincji mam pięciu kandydatów na mężów zaufania i chciałbym przedtem poznajomić ich z Tobą...

„W Radomiu bunt, mówią mi: jest u nas monarchia, a chcemy, żeby C. K. R. dał nam konstytucję, a przynajmniej triumwirat. Wkrótce będzie tam zebranie, na które i ja mam przyjechać. Wybiorą nowy komitet, pewnie z trzech, w którym rozumie się Młocki swoją drogą będzie. Z buntu jestem zadowolony, bo jest dowodem, że robota rozrosła się tam i co do ilości członków ścisłej organizacji...

„Dotarli nasi i do Zgierza, wyszukali nawet facetów z dawnego „Proletariatu“ sprzed kilkunastu lat. Cóż, kiedy ci dwa tygodnie upierają się, że wolą trzymać się w rezerwie, bo „wieszali“. Zdaje się, że nic już z nich nie będzie, choć socjalistami pozostali. Tak się przelękli szubienic...

„Bieda z Dąbrową, doprawdy nie wiem, jak usadzić tam choćby dwóch facetów. Ci, co są, potrafią bibułę puszczać, ale poza tym nic więcej, a tam rzecz nieodzowna postawić jako tako organizację. W Hucie, choć przestraszeni, jako tako się trzymają. W Warszawie wszystko w porządku, mam trochę obawy o robotnika (męża zaufania) ze względu na wizytę, jaką nam złożyło dwóch facetów wątpliwych, którzy jednak umówione hasło wymienili...

„Jeżeli dawniej towar panował nad wytwórcą, to

teraz staliśmy się całkowitymi niewolnikami bibuły, a ja od trzech tygodni dzień w dzień nic innego nie mam do roboty, jak ciąganie się z bibułą. Naturalnie najlepsze moje chęci co do nr 17 w łeb wzięły. Dotychczas dla niego absolutnie nic nie byłem w stanie zrobić. Taki kontrast między moją „teorią“ a życiem. Doprowadza mnie to do wściekłości, która przechodzi teraz w splin. Pierwszy to raz w kraju zdarza mi się coś podobnego. Żeby nie martwić się przypuszczeniem, że to całkowity brak energii, tłumaczę sobie to moim pustelniczym życiem. Ciągle z sobą i swymi myślami jedynie, boć bibuły za towarzysza uznać nie mogę. Pocieszam się, że z Twoim przybyciem przejdzie to jakoś, bo będę miał przynajmniej do kogo gębę otwierać, a czasem popiłować swymi teoriami“.

Moje refleksje, nazywane w listach teoriami, wyrażały się w twierdzeniu, że nie możemy wciąż być „spółką wydawniczą i kolporterami“, że musimy więcej zająć się organizacją, bo to pierwszy warunek nadania walce z caratem bardziej energicznego charakteru. „Strajki i ich reklamowanie — pisałem do Londynu — dobre na początek ruchu, ale nie później, kiedy nareszcie zaczyna się wyrastać z wyłącznej robotniczości i polityka wyłazi na plan pierwszy“. Trzeba było rozszerzyć pole działania przez użycie nowego środka — manifestacji publicznych. W kraju, gdzie wszystkie zarządzenia władz zmierzały do trzymania ludzi w odosobnieniu i strachu, żywioły rewolucyjne musiały nauczyć się zbiorowo manifestować swoje pragnienie wolności i odwagę. Wtedy szczególnie potrzebna będzie sprężysta organizacja, żeby nie dopuścić do masowego aresztowania manifestujących,

jak to miało miejsce 17 kwietnia 1894 r. na Podwalu. Grupa zdecydowanych ludzi mogłaby przerwać kordon policji i zmniejszyć ilość zatrzymanych do minimum; niestety inicjatorzy manifestacji na cześć Kilińskiego nie pomyśleli o tym zawczasu. Dlatego proponowałem, żeby niezależnie od istniejącej organizacji stworzyć „drużynę bojową“ dla czynnej obrony manifestujących.

P. P. S. nie miała pisanego statutu. Szliśmy w ślad za rozwojem ruchu i ujmowaliśmy czynne siły w takie formy organizacyjne, jakich potrzebę wykazywały względy bezpieczeństwa i warunki miejscowe. Pod wpływem „buntu“ w Radomiu, o którym mówiłem wyżej, zjawił się projekt dopuszczenia wyborów do komitetów i zjazdu partyjnego. Dwie konferencje mężów zaufania wypowiedziały się stanowczo przeciw temu, opowiadając się za utrzymaniem dotychczasowego systemu powoływania od góry, ze względu na bezpieczeństwo organizacji. Tylko C. K. R. mógł być wybierany przez zjazd mężów zaufania, których liczba za moich czasów nie przekraczała 20, ponieważ stosowaliśmy bardzo wysoki cenzus przy ich dobieraniu. Komitety, wśród członków których nie było męża zaufania, nie mogły być reprezentowane na zjeździe. Nie było również podziału na organizację polityczną i zawodową wobec niemożności tworzenia związków zawodowych według wzorów zagranicznych.

Wprowadzony w Radomiu system wyborczy nie wytrzymał próby życia. Po roku powrócili do dawnego systemu powoływania od góry przez członków wyższych szczebli. Radomska organizacja składała się z czterech szczebli: 1) komitet powołany przez

C. K. R., potem uzupełniający się sam, 2) ścisła grupa zaufanych towarzyszy, około 15, 3) członkowie partii, około 50, i 4) członkowie grup zawodowych, około 200. Członkiem partii można było zostać po co najmniej półrocznej pracy w grupie zawodowej lub kółku samokształcenia. W podobny sposób budowano organizację w innych miejscowościach, nieraz z ominięciem jednego lub dwóch szczebli. Członkowie C. K. R. komunikowali się z członkami komitetów i ściślejszych grup; wyjątkowo pozwalaliśmy sobie na udział w większych zebraniach, które najczęściej odbywały się poza miastem.

W 1897 r. urządziliśmy w Warszawie, Radomiu i Częstochowie okręgowe konferencje najlepszych agitatorów ze wszystkich miejscowości objętych ruchem, w celu nadania większej celowości pracy agitacyjnej i organizacyjnej. Konferencje jednomyślnie wypowiedziały się przeciw żądaniu w dniu 1 maja natychmiastowych ustępstw od fabrykantów, ponieważ przez to świętowanie traciło charakter protestu przeciw panującym stosunkom i nabierało znaczenia strajku z małymi szansami powodzenia. Wszyscy również wypowiedzieli się przeciw zakładaniu tajnych związków zawodowych i kas oporu, natomiast zalecali rozwijanie organizacji partyjnej, opartej o grupy zawodowe, samodzielnie kierujące akcją poprawiania warunków pracy w swoim fachu. Zakładanie wśród członków partii kas wzajemnej pomocy, głównie na wypadek aresztowania, pozostawiono uznaniu miejscowych komitetów. W rzeczywistości rozbudowa organizacji nie nadążała za postępami ruchu budzonego naszymi wydawnictwami.

W kwietniu 1897 r. zmieniłem mieszkanie w Wilnie. Przeniosłem się do domu Komockiego po drugiej stronie urzędu poborowego z frontem do ulicy Aleksandrowskiej (obecnie Piłsudskiego 15). W starym mieszkaniu dokuczył mi brak światła (musiałem pracować przy zasłoniętych oknach) i obecność szyldwacha, który czepiał się Piłsudskiego, gdy przychodził do mnie wieczorem. Nowe mieszkanie było weselsze i również bezpieczne. Okna pokoju, w którym pracowałem, były dość wysoko nad chodnikiem, wystarczało zasłonięcie tylko dolnych szyb (obecnie w tym pokoju mieści się polski sklep spożywczy). Wejście było od podwórza na wprost okien mieszkania gospodarza w ogródku, obecnie zabudowanym brudnymi szopami. O czujności domowników przekonałem się, gdy do piwnicy obok mego mieszkania zakradł się w nocy złodziej: zaraz go tam zamknięto i sprowadzono policjanta. Na nowym miejscu wyszedł nr 1 „Górnika“, nr 23 „Robotnika“ i następne. Mieszkałem tutaj do końca mego pobytu w kraju. Usługiwała w dalszym ciągu poczciwa Michałowa.

Wszystko szło tak dobrze, że mogłem w sierpniu 1897 roku wyrwać się na dwa tygodnie do Londynu. W Związku Zagranicznym zaczęły występować scysje, które znalazły swój wyraz na zjeździe w Zurychu, gdzie wbrew stanowisku naszego delegata, którym był Piłsudski, wybrano do zarządu nowych ludzi. Z tego powodu musieliśmy oddzielić od nowego zarządu komisję konspiracyjną dla stosunków z krajem, utrzymując jej skład osobowy bez zmiany (Dębski, Jędrzejowski, Jodko).

Zmiana na tronie cara, zapowiedziany przyjazd

jego do Warszawy, mianowanie warszawskim generał-gubernatorem Szuwałowa, a po nim Imeretyńskiego dały asumpt do powstania stronnictwa konserwatywnego, otwarcie uznającego panowanie rosyjskie w Polsce. Organami jego były: warszawskie „Słowo“ i petersburski „Kraj“. 1 września 1898 r. konserwatyści warszawscy prześcignęli krakowskich w lojalizmie. Wręczając carowi milion rubli na urządzenie instytucji jego imienia, Wielopolski powiedział: „Przyjm również w darze, najmiłościwszy monarcho, miliony serc naszych, ufających Ci bez granic. W Twym wspaniałomyślnym samowładztwie, w pokoju wewnętrznym państwa, w sławie i potędze monarchii cały naród polski widzi promienistą przyszłość i gotów jest tak w szczęściu, jak i doświadczeniach losu, wiernie i niezachwianie służyć Tobie, ukochanemu monarsze swemu“.

W przewidywaniu tych wynurzeń odezwa nasza, rozpowszechniona 30 sierpnia, mówiła: „Hańba ta nas nie dotknie — zostanie ona w całości udziałem tych, którzy zawsze szukali u władzy oparcia dla swych samolubnych celów“. Obóz konserwatystów zasilali ludzie, których pisma rosyjskie trafnie nazwały „zasiewszyje w promyszlennosti“. Urok samowładztwa i rozległego rynku zbytu jednakowo nęcąco działał na zwyrodniałą artystokrację, bankierów i fabrykantów. Gdy oni zadzierzgali z caratem „złotą nić serdecznych uczuć“ (wyrażenie „Słowa“), na lud polski spadały ciosy świadczące, że w polityce najeźdźcy nic się nie zmieniło.

Od roku górnicy i hutnicy w Zagłębiu Dąbrowskim prowadzili walkę o wybory delegatów i zmiany

w Kasach Brackich z różnym powodzeniem. Najgorzej było w Hucie Bankowej, której zarząd samowolnie wyznaczał delegatów i używał funduszów Kasy na pomoc lekarską, choć według prawa fabrycznego huta powinna była leczyć robotników swoim kosztem. Na wystąpienie robotników w tej sprawie zarząd obiecał dać odpowiedź za dwa tygodnie. Zamiast odpowiedzi w nocy 28 września wpadli do Dąbrowy żandarmi z Kozakami i wywieźli do Piotrkowa 8 robotników. Nazajutrz wszyscy robotnicy porzucili pracę oświadczając, że nie wrócą, dopóki aresztowani nie zostaną wypuszczeni. Sprowadzono wojsko, przyjechał pomocnik Imerytyńskiego gen. Onoprienko, który wezwał robotników przed hutę i oświadczył, że zostali wydaleni za samowolne porzucenie pracy. Zanim zdumieni tym oświadczeniem robotnicy rozeszli się, dano rozkaz strzelania. Na placu pozostało 7 trupów.

Mówiono potem, że Onoprienko i naczelnik powiatu Danilczuk byli pijani, ale fakty nie pozostawiały żadnej wątpliwości, że mord był z góry uplanowany za to, że robotnicy ośmielili się żądać uwolnienia aresztowanych. Nazajutrz przyjechałem do Dąbrowy ze świeżym numerem „Robotnika“ i z ust naocznych świadków dowiedziałem się wszystkich szczegółów tej rozprawy. Serca pałały pragnieniem zemsty, ale poza wydaniem odezwy, piętnującej postępowanie władz, nic więcej nie mogliśmy zrobić. Z tego powodu na zjeździe mężów zaufania postawiono nam zarzut bezczynności, ale po wyjaśnieniach zgodzono się, że była usprawiedliwiona. Na przyszłość polecono C. K. R. organizować specjalną grupę dla czynnej samoobrony.

Zjazdy mężów zaufania zajmowały się oceną sprawozdania C. K. R. i ustalaniem wytycznych dalszej działalności. Czwarty zjazd odbył się w Warszawie w listopadzie 1897 r. Jako delegat Związku Zagranicznego był obecny Jodko. Większość spraw, stanowiących przedmiot obrad zjazdu, wyjaśniłem wyżej, z pozostałych zasługują na wspomnienie dwie: 1) wydawanie za granicą pisma popularno-naukowego pt. „Światło“ w celu zastąpienia braku inteligentów do prowadzenia kółek samokształcenia i 2) urządzanie 1 maja manifestacji tam, gdzie to uzna za możliwe miejscowy komitet w porozumieniu z centralnym. Do C. K. R. wybrano Piłsudskiego, mnie i Malinowskiego na miejsce Sulkiewicza, który zrzekł się mandatu zachowując nadal kierownictwo transportami. Wzrost dochodów do 450 rubli miesięcznie pozwolił zaangażować jeszcze jednego nielegalnego w osobie Malinowskiego i osadzić w Eydkunach na nasz koszt Subata, żeby pomagał Sulkiewiczowi w przyjmowaniu zagranicznych przesyłek. Wśród miast dostarczających najwięcej pieniędzy pierwsze miejsce zajęła teraz Warszawa (poprzednio Petersburg), ale jeszcze tylko 20% dochodów pochodziło od robotników; reszta z ofiar i składek inteligencji.

Zdrowie Piłsudskiego zaczęło szwankować, coraz częściej dokuczał mu w stopie reumatyzm nabyty w Syberii i występowały objawy zmęczenia wskutek ciągłych rozjazdów. Nie dał się jednak namówić na dłuższy wypoczynek. Wprawdzie przybył do pomocy Malinowski, ale jeszcze więcej rozwinęły się stosunki i każdemu z nas wciąż przybywało roboty. Tylko w Warszawie kolporterka wydawnictw była znacznie ułatwiona dzięki pomocy kobiet, zorganizowanych

przez Paszkowską; o noclegi też było łatwiej. Ja najczęściej korzystałem z gościnności Żeromskiego, z którym zaprzyjaźniłem się, kiedy był w Raperswilu. Teraz pracował w bibliotece Zamoyskich i dostęp do jego mieszkania przy bibliotece był „konspiracyjny“ dzięki drugiemu wejściu od ulicy Żabiej.

„Serce mi rośnie — pisałem na początku 1898 r. do Londynu — jak widzę wciąż potężniejący wpływ partii na wszelką opozycję tutejszą. Bieda tylko, że nas, inteligentów, tak wściekle mało, a Piłsudski i ja powoli dochodzimy do zera energii. Przybywa wprawdzie w tym roku nowy przychówek, ale strasznie jeszcze nieobtarty. Mamy całe setki inteligencji socjalistycznej, ale niedołężnej, której nie podobna brać do organizacji i żywszej roboty. „Wszechstronność“, dekadentyzm, estetyzm i inne, że tak powiem, paskudztwa obezwładniają ją i czynią niezdolną do jakiejkolwiek stałej roboty. Najwyżej zdobędą się od czasu do czasu na jakąś drobną przysługę“.

W 1898 roku 1 maja przypadł w niedzielę. Komitety w Warszawie i Zagłębiu Dąbrowskim uznały za możliwe urządzić pierwsze pochody majowe. W Warszawie, w dzielnicach robotniczych rozlepiono kartki komitetu, zapraszające na zgromadzenie w Alejach Ujazdowskich o godzinie 4. Nazajutrz pisałem do Londynu: „W alejach byłem obecny od 3 do 6. Pomimo rzęsistego deszczu zebrało się około 2.000 wyłącznie robotników. Spacerowali od placu Aleksandra do Belwederu. Wobec niepogody bałem się, że będzie znacznie gorzej. Około 7 było więcej. Próbowano skupić się na placu Aleksandra i ruszyć Nowym Światem. Na tłum natarły dwa oddziały konnych żandar-

mów. Kilkadziesiąt osób zepchnięto na podwórze gimnazjum... Przekonaliśmy się, że można zebrać porządny tłum i zaśpiewać też“.

W Zagłębiu Dąbrowskim komitet naznaczył zgromadzenie w parku Sieleckim na godzinę 4. Park zamknięto, ulokowano w nim wojsko i żandarmów. Zbierający się dokoła parku robotnicy uszeregowali się w czwórki i z dwóch stron ruszyli w kierunku kościoła. Tutaj nastąpiło połączenie obu grup i całą masą ruszono z powrotem śpiewając „Czerwony sztandar“ aż do parku, gdzie wszyscy spokojnie rozeszli się do domów. Przez ten czas wojsko i żandarmi, nie spodziewając się takiego obrotu rzeczy, pilnowali parku i dopiero w godzinę po rozejściu się pochodu rzucili się szukać manifestantów przed kościołem. Wrażenie w mieście było ogromne. Sosnowiec po raz pierwszy widział pochód śpiewający hymn robotniczy.

W następnym roku pochody majowe przybrały bardziej imponujące rozmiary i zachowanie się uczestników było bardziej śmiałe. Pogrzeby ofiar samowoli żandarmskiej dały nową okazję do manifestacji. Rocznicę mordu w Hucie Bankowej uczczono tłumnym zgromadzeniem na mogiłach ofiar. Po raz pierwszy publicznie wygłoszono tutaj mowę, nawołującą do walki z caratem. Tak stopniowo ujawniał się wzrost sił i odwagi.

W czerwcu 1898 r. miałem nieprzyjemną przygodę. Wiozłem do Zagłębia nr 6 „Górnika“. Jechałem drugą klasą, żeby wyspać się przed czekającym mnie bieganiem po kopalniach. Przed Sosnowcem jadący w tym samym przedziale przemysłowiec polski Rauh zauważył, że skradziono mu pugilares z pieniędzmi

i paszportem zagranicznym. Inni pasażerowie wysiedli na poprzednich stacjach. Myślałem, że pożyczką 25 rubli wybawię go z kłopotu i na tym się skończy. Niestety prosił, żebym towarzyszył mu do biura żandarmów na stacji i zaświadczył o kradzieży paszportu. Nie wypadało odmówić. Przy wejściu do dyżurnego oficera musiałem zostawić w przedpokoju mój sakwojaż z „Górnikiem“ i byłem niespokojny, czy nie przyjdzie komu ochota zajrzeć do środka. Na szczęście obeszło się bez spisywania protokołu. Dla odesłania pożyczonych pieniędzy dałem Rauhowi bilet wizytowy z fałszywym nazwiskiem i adresem do Mińska. Obawiając się dalszych komplikacji, wysłałem do niego list z prośbą, żeby pieniądze odesłał do Mielczarskiego w Raperswilu, ponieważ jako chwilowo przebywający w kraju emisariusz, nie mogłem wyjawić prawdziwego nazwiska i adres podałem zmyślony. Po miesiącu Mielczarski zawiadomił mnie, że Rauh wysłał 25 rubli do Mińska, ale po otrzymaniu mego listu wycofał, przesłał do Raperswilu i, przepraszając za sprawiony kłopot, życzy powodzenia sprawie, której służę.

W tym czasie byłem znowu osamotniony. Malinowski musiał na pewien czas ukryć się za granicą, Piłsudski wyjechał na dwa miesiące do Londynu w celu wydania tajnego memoriału Imeretyńskiego, który udało się nam zdobyć w Petersburgu. W sierpniu pisałem do Londynu: „Coraz bardziej chylę się ku starości. Dawne odradzanie się moje po paru dniach wypoczynku należy już do szczęśliwej przeszłości. Jeżeli po dwóch dniach drogi nie wyśpię się trzeciego, jestem do niczego niezdolny. Poważnie my-

ślę o dłuższym wypoczynku w przyszłym roku za granicą. Tak zasmakowałem w życiu, że chcę się rozłożyć na raty, a nawet doczekać czegoś lepszego niż puszczanie bibuły. Podczas obecnej, iście klasztornej samotności łeb mi się tłucze takim nawałem planów na przyszłość, że i sypiać nawet na łóżku nie mogę. Byle mi tylko mózg posłuszeństwa nie odmówił, jak to u nas bywa. I ja teraz, choć niby na ciele silny i zdrów, najgłupszej korespondencji dla „Robotnika“ nie jestem w stanie przerobić. Dziwny strajk myśli. Sarcewicz (doktor) mówi, że to stan przemęczenia nerwowego“.

Rozpowszechnienie memoriału Imeretyńskiego z opinią cara zdemaskowało całą obłudę nowego kursu polityki rosyjskiej w Polsce i głupotę konserwatystów. Wpadli w cielęcy zachwyt, kiedy na wynurzenia Wielopolskiego car odpowiedział, że wierzy zupełnie w ich szczerość, a Imeretyński zaczął wprowadzać „reformy“. Ogłaszali to, jako zdobycz polityki „realnej“. Tymczasem cały memoriał Imeretyńskiego przeniknięty był jedną myślą: obawą przed wzrostem sił rewolucyjnych w Polsce. Widocznym stało się, że nie wiernopoddańcze wynurzenia, lecz agitacja rewolucyjna skłaniała rząd do ustępstw. Do nich zaliczano zakładanie biblioteczek z ocenzurowanymi książkami polskimi. W tej sprawie pisał Imeretyński: „W ostatnich latach za pomocą zręcznych agitatorów setki i tysiące niecenzurowanych broszur nader tendencyjnego charakteru dostają się do ludu. Polski włościanin, a jeszcze bardziej polski robotnik fabryczny chętnie zaczynał już czytać te wydawnictwa“. Jeżeli rząd nie wynajdzie na to środków sku-

teczniejszych niż dozór policyjny — dowodził Imeretyński — to „nic nie pozostanie, jak tylko bezsilnie przyglądać się wpływowi socjalno-rewolucyjnej propagandy wśród niższych klas tutejszej ludności“. Taka była geneza biblioteczek, zakładanych przez kuratoria trzeźwości.

Owcze pędy ugodowców zaczęły ogarniać i ludzi spod znaku Ligi Narodowej i jej emanacji — stronnictwa narodowo-demokratycznego. Coraz wyraźniej szli na prawo, wyrzekając się akcji rewolucyjnej, zalecanej w programie 1893 r. Modnym stało się mówienie o porozumieniu z Rosją na podstawie ustępstw. Już w 1895 r. odezwa Ligi mówiła: „Gdy rząd wyczerpie wszelkie środki ku stłumieniu rosnącego szybko ruchu narodowego, musi uciec się do ustępstw... Przekona się, że i chytrość dyplomaty (mowa o Szuwałowie) nie pozyska Polaków dla Rosji, że jedyna droga, jaka pozostaje, to droga rzetelnych ustępstw“. W czasie wizyty cara w Warszawie wśród narodowych demokratów panowało zdanie, że ugodowcy są potrzebni, żeby realizować ustępstwa, do których skłania rząd agitacja rewolucyjna. Wyrażali też obawę, żebyśmy jakim „nierozważnym“ czynem nie zaszkodzili dokonywanej transakcji ugodowej. Bezczynność swą pokrywali frazesem, że umiejętność czekania końca wypadków jest oznaką dojrzałości politycznej.

Józef Potocki, wydający po powrocie z wygnania „Walkę“, w rozmowie ze mną nazwał taktykę narodowych demokratów poszukiwaniem figla, za pomocą którego można by odzyskać niepodległość Polski. Mnie przypominali oni raczej „naukowych“ socjali-

stów z uniwersytetu, którzy swoją bezczynność usprawiedliwiali tym, że rozwój społeczny sam przez się doprowadzi do socjalizmu. Doktrynerzy socjalizmu i nacjonalizmu mieli to wspólne, że jednakowo wierzyli w nieuchronność zwycięstwa swych idei: czas dla nich pracuje. Dlatego nie przejmowali się objawami upodlenia, jakie rodziła niewola.

Początkowo Liga odnosiła się sympatycznie do naszego programu; w broszurze „Nasz patriotyzm" przyznawano mu wielkie znaczenie dla rozwoju świadomości politycznej polskich robotników. Sympatie te jednak szybko topniały, ustępując miejsca jawnej niechęci, a z czasem wprost nienawiści. Po raz pierwszy wyraziło się to w odezwie „Komitetu stronnictwa demokratyczno-narodowego", omawiającej odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie. W odpowiedzi na tę napaść wydaliśmy dodatek do „Robotnika" pod tytułem „Dzieje pomnika Mickiewicza w Warszawie".

Pozwolenie na budowę pomnika Mickiewicza uważano za poważne ustępstwo ze strony rządu rosyjskiego. Narodowi demokraci chcieli sprowadzić na uroczystość odsłonięcia pomnika jak najwięcej chłopów, rzemieślników i robotników. My byliśmy stanowczo przeciwni jakiemukolwiek udziałowi w tej uroczystości, ponieważ miała być połączona z wyrażeniem wiernopoddańczych uczuć dla cara w mowie prezesa Komitetu, Radziwiłła. Cały nr 30 „Robotnika" wypełniliśmy wyjątkami z pism Mickiewicza: O sprawie polskiej, Reduta Ordona, scena z III części Dziadów, Car, Do przyjaciół Moskali, Do matki Polki. W słowie wstępnym mówiliśmy: „Sądzono, że

pomnik Mickiewicza będzie widomym znakiem łaski carskiej dla narodu polskiego i synom jego mówić będzie: nie buntujcie się przeciwko najazdowi, bo oto we mnie macie dowód, że uszanują wasze życie narodowe. Pomylono się jednak w wyborze. Mickiewicz nie dał się użyć za narzędzie do tej ohydnej komedii... Mickiewicz żywy głosił, a dziś z wysokości swego pomnika przypominać nam będzie, że nie ma pełnego życia narodowego bez samoistności narodu".

Rozpowszechniliśmy w całym kraju 2500 broszur i 12 000 odezw wyjaśniających, czym jest Mickiewicz dla narodu i jakie było jego stanowisko wobec caratu. O tym poza nami nikt nie przypominał narodowi. Głównym celem naszym było, żeby nie dopuścić do hańbienia pamięci Mickiewicza przez wiernopoddańcze wynurzenia u stóp jego pomnika. Gdy zrezygnowano z mowy Radziwiłła i rząd wziął obchód w swe ręce (nawet zawiadomienie o odsłonięciu pomnika redagował Imeretyński), pozostawało wywołać w Warszawie wzburzenie i urządzić manifestację. Pierwsze powiodło się zupełnie, ale demonstracyjny pochód pod pomnik nie udał się wskutek zatrzymania robotników w fabrykach przez niespodziewane zarządzenie wypłaty w godzinach, wyznaczonych na manifestację.

Pod koniec 1898 r. sensację wśród najbliższych przyjaciół wywołało moje oświadczenie, że zamierzam ożenić się i na dłuższy czas wyjechać za granicę, gdy znajdę zastępcę. Dotąd miałem opinię najbardziej zdecydowanego przeciwnika ożenku. Ale uczucie okazało się silniejsze niż moja teoria o celibacie działacza rewolucyjnego. Narzeczona moja, Maria Kiersnowska, uczennica Paszkowskiej i znajoma

Piłsudskiego z czasów szkolnych, była już przyzwyczajona do konspiracji i często pomagała w przewożeniu i ukrywaniu naszych wydawnictw. Chciałem jeszcze nauczyć ją zecerki w Londynie, żebyśmy mogli razem pracować w kraju. Tymczasem wyprawiono do Londynu Kazimierza Rożnowskiego, żeby nauczył się drukarstwa i po powrocie mnie zastąpił. Chciałem sam dociągnąć do nr 31 „Robotnika“ i zdobyć rzadki rekord wydania 25 numerów tajnego pisma bez „wsypy“.

Miałem kłopot z przekonaniem rodziców narzeczonej, żeby powierzyli córkę nieznanemu emisariuszowi. Nacierpieli się dosyć w czasie powstania 1863 r. Brata matki, ks. Iszorę rozstrzelano w Wilnie, dziadka Kiersnowskiego, przywiązanego do konia wysłano na Syberię, a majątek Łabejki skonfiskowano. Rodzice narzeczonej mieszkali w odziedziczonych po babce Kupryszkach pod Giedrojciami. Upewniłem ich, że jestem dobrze zakonspirowany i nie sprowadzę na nich nowego nieszczęścia. Szlachetna krew przemogła obawy, lody mojej pierwszej wizyty w Kupryszkach stopniały i od tej pory serdecznie byłem witany w Kupryszkach. Pojechałem z narzeczoną do Częstochowy, do kolegi szkolnego ks. Helbicha, żeby dał nam ślub, ale mógł dać tylko kościelny. Wobec tego rodzice zgodzili się wypuścić córkę za granicę, żebyśmy tam otrzymali akt ślubu, który nie mógłby być kwestionowany przez żandarmów w razie mego aresztowania.

W styczniu 1899 r. wrócił do kraju Malinowski. Ponieważ był skompromitowany wśród robotników jako „łysy“, nosił teraz perukę. W lutym rozchorowa-

łem się tak ciężko, że w ciągu marca mogłem wydać tylko nr 8 „Górnika“. W tym czasie Piłsudski wyjechał do Londynu w celu przejęcia na własność partii drukarni i wydawnictw Związku Zagranicznego. Po jego powrocie miałem być wolny. W kwietniu wydałem jeszcze dwa pisemka i 7 odezw, a w maju z pomocą Piłsudskiego wykończyłem nr 31 „Robotnika“ z datą 4 czerwca 1899 r. Był to ostatni twór mojej pracy drukarskiej w kraju. Plon jej wyrażał się w 25 numerach „Robotnika“, 8 numerach „Górnika“, 4 pisemkach i 47 odezwach.

Opuszczając mieszkanie w Wilnie powiedziałem właścicielowi domu i Michałowej, że wyjeżdżam na dłuższą kurację, a przez czas mej nieobecności mieszkanie zajmować będzie mój kuzyn (Piłsudski). Miał on zameldować się za dokumentem podobnym do mojego, wystawionym na nazwisko Korsaka. Po moim wyjeździe wyszedł jeszcze w tym mieszkaniu nr 32 „Robotnika“ przy pomocy Rożnowskiego. Po przeniesieniu drukarni do Łodzi, pozostał w mieszkaniu wileńskim tylko skład wydawnictw. Moje miejsce w Centralnym Komitecie zajął Sulkiewicz.

Nr 31 „Robotnika“ odwiozłem do Zagłębia Dąbrowskiego. Za otrzymaną tam przepustką przedostałem się 14 czerwca do Krakowa, gdzie oczekiwała mnie żona. Przed powrotem do Londynu postanowiłem zatrzymać się w Raperswilu. Żeromski wiele opowiadał mi o znajdujących się tam dokumentach z czasów powstania i wypraw partyzanckich do Polski po 1831 r. Chciałem je przeczytać i pogłębić moje doświadczenie dla dalszej działalności.

IV

ZNOWU NA EMIGRACJI

1900—1905

W Raperswilu zastałem Mielczarskiego. Po skończeniu akademii handlowej w Antwerpii pracował tutaj jako bibliotekarz, w oczekiwaniu chwili, kiedy będzie mógł wrócić do kraju. Poza porządkowaniem biblioteki muzeum zajęty był pisaniem artykułów historycznych dla wydawanego w Londynie „Światła“ i zbieraniem materiałów do historii demokracji polskiej, której, niestety, nie skończył; nostalgia przyspieszyła jego powrót do kraju, gdzie aresztowano go na granicy i osadzono w więzieniu w Petersburgu. Razem z nim szperałem w nie ogłoszonych dokumentach i listach uczestników wypraw partyzanckich do Polski, pisanych chemicznymi atramentami, a nieraz krwią. Pobyt w Raperswilu mogłem przedłużyć dzięki temu, że Zjednoczenie Młodzieży we Lwowie przysłało mi 60 reńskich na napisanie broszury o Szymonie Konarskim. Broszura ta zaraz po wydrukowaniu we Lwowie została skonfiskowana za „całą treść“ i tylko część jej przedrukowano w nr 8 „Światła“.

Uczestnicy wypraw partyzanckich łudzili się nadzieją, że lud polski gotów jest do walki i brak mu tylko przewodników, którzy daliby hasło powstania.

W rzeczywistości na głos wołających do broni nie było odpowiedzi i lud był biernym widzem walki. Bohaterstwo powstańców wystrzelało wysokim, ale wąskim płomieniem, łatwo gaszonym przez zaborców. Oczywistym stało się, że bez poprzedniej propagandy i długich przygotowań powstanie udać się nie może. W listach Konarskiego do Lelewela czytałem: „Trzeba propagandy, książek... Piszcie do serca, nie do rozumu, serce nie rozum przekonywujcie... Im trzeba uczuć siłę, jaka w nich jest, przekonać o tej sile... Obudzić trzeba w nich duszę, bo jej nie czują w sobie i dlatego swym siłom nie wierzą“.

Utrwalałem się w przekonaniu, że bez pozyskania szerokich mas dla sprawy wyzwolenia nie można inicjować walki zbrojnej. Potwierdzały to teoretyczne wywody Abramowskiego w świeżo wydanej książce „Zagadnienia socjalizmu“: „To tylko staje się faktem historycznym, rzeczywistością życia społecznego, co przejdzie jako idea przez świadomość mas ludowych; zasada ta, będąc jaskrawym przeciwieństwem jakobinizmu, wyraża się powszechnie przez dewizę, że proletariat sam siebie tylko oswobodzić może“.

Refleksje te doprowadziły mnie z czasem do zajęcia się organizacją ruchu spółdzielczego, kiedy znaleźliśmy się razem w Warszawie po rewolucji 1905 r.

W czasie pobytu w Raperswilu wystąpiłem z projektem użycia rozporządzalnej części skarbu narodowego na wydawanie celniejszych utworów naszych poetów i pisarzy, nie wyłączając bardziej wartościowych rzeczy z publicystyki Towarzystwa Demokratycznego, w celu rozpowszechnienia ich w zaborze rosyjskim. Galicyjskie wydawnictwa nie nadawały się

do tego ze względu na swoją objętość; zawierały obok zakazanych w rosyjskim zaborze utworów rzeczy legalne; drukowane dużymi czcionkami na grubym papierze nie mogły być przemycane w większych ilościach.

Memoriał mój w tej sprawie Mielczarski przesłał Bukowskiemu w Sztokholmie, jako członkowi zarządu muzeum i skarbu narodowego. Bukowski aprobował mój projekt, porozumiał się z drugim członkiem zarządu skarbu i postawił wniosek wyasygnowania na ten cel 4000 fr. na ręce Karola Lewakowskiego, znanego posła do parlamentu wiedeńskiego, mieszkającego w tym czasie w Raperswilu. Dobór dzieł do przedruku miał być powierzony Mielczarskiemu. W głosowaniu inicjator skarbu Miłkowski i Adam ze Lwowa wypowiedzieli się za subwencjonowaniem Ligi Narodowej; Bukowski, Gierszyński i Laskowski z Genewy przeciw temu, domagając się podjęcia własnych wydawnictw. Miłkowski uczuł się bardzo dotknięty wynikiem głosowania, podał się zaraz do dymisji ze stanowiska prezesa, wobec czego Laskowski oświadczył, że zmienia swoje zdanie i głosuje za daniem pieniędzy Lidze Narodowej z zastrzeżeniem, że użyte będą tylko na oświatę ludową.

W pierwszych dniach września przyjechałem do Londynu. Zająłem się zecerką w naszej drukarni i z polecenia kraju opracowaniem sprawozdania z działalności P. P. S. za ostatnie 5 lat. W sprawozdaniu, oprócz zestawienia faktów z tego okresu, miałem wyrazić poglądy partii na ważniejsze kwestie programowe, taktyki i stosunku do innych stronnictw i narodowości. Dlatego niektóre rozdziały przed odda-

niem do druku posyłałem Piłsudskiemu do aprobaty. Zgłosił obiekcje tylko do pierwszego rozdziału, w którym wyraziłem pogląd, że niepodległa Polska nie będzie burżuazyjną. Pogląd ten opierałem na fakcie usuwania się opozycji patriotycznej z pola walki w najważniejszych chwilach, a więc nie mogliśmy liczyć na współdziałanie innych stronnictw w ostatecznej rozprawie z caratem. Piłsudski sprzeciwił się temu pisząc do mnie w październiku: „Nie mogę wprowadzić do programu punktu głoszącego, że bez Polski burżuazyjnej obejdziemy się, ominiemy ją". Wobec tego usunąłem moje uwagi z pierwszego rozdziału i ograniczyłem się do powtórzenia uchwał zjazdu paryskiego.

Sprawozdanie to, w postaci osobnej broszury, wyszło z druku w maju 1900 r. Przytaczam z niego kilka liczb, ilustrujących rozwój naszej działalności i poniesione ofiary. W czasie od 1 stycznia 1895 r. do końca 1899 r. wydrukowano w kraju tajnie 184 000 egzemplarzy różnych wydawnictw i sprowadzono z zagranicy 123 000. Z wydanych 52 odezw 28 zajmowało się sprawą poprawienia warunków pracy. Strajków było 186, z tego 47 ogarniały cały zawód. Strajków, mających na celu zdobycie lepszych warunków pracy, było 153, a obronnych 33. Zupełnym lub częściowym zwycięstwem robotników zakończyło się 127 strajków; w 59 nie osiągnięto żadnych ustępstw. W okresie tym 289 towarzyszy skazano łącznie na 988 lat więzienia i zesłania na Syberię.

Na doroczny zjazd Związku Zagranicznego w grudniu nikt nie mógł przyjechać z kraju, dlatego polecono mnie i Jędrzejowskiemu, jako nie należącym do

zarządu Związku, reprezentować P. P. S. na zjeździe i bronić wniosku o przekształcenie go na oddział zagraniczny partii, a zarządu Związku na Komitet zagraniczny, mianowany przez C. K. R. Wniosek ten zjazd przyjął wszystkimi głosami z wyjątkiem Władysława Studnickiego, który obstawał za utrzymaniem niezależności Związku.

W drukarni londyńskiej więcej było zecerów niż rękopisów do składania. W dodatku żona moja nie znosiła klimatu londyńskiego, szczególnie przykrego w zimie. Dlatego skorzystałem z okazji, że potrzebny był zecer w drukarni tołstojowców we wsi Purleigh, odległej od Londynu o 3 godziny jazdy koleją, i przeniosłem się tam w pierwszych dniach stycznia 1900 r. Wynająłem opuszczoną chatę o dwóch izbach z małym ogródkiem za opłatą 3 szylingów tygodniowo.

Ledwo ulokowaliśmy się na nowym miejscu, rozkoszując się wiejskim powietrzem, przyszła z kraju smutna wiadomość o aresztowaniu Malinowskiego i Piłsudskiego z drukarnią w Łodzi. Jedyny pozostały członek C. K. R. Sulkiewicz, zawiadamiając o tym, pisał: „Zważywszy, że Edmund (Wojciechowski) wyjechał czasowo i w razie potrzeby gotów jest powrócić i nadal pełnić obowiązki C. K. R., nie uważam siebie za uprawnionego do dopełnienia składu C. K. R., a więc proponuję, żeby Sarcewicz, Rożnowski i Sachs razem ze mną pełnili czasowo obowiązki C. K. R. do powrotu Edmunda, z którym będę mógł dobrać trzeciego stałego członka C. K. R. Postanowiliśmy wydać w Londynie nr 36 „Robotnika“, napisanie numeru polecić Witoldowi (Jodko), a ostateczną redakcję i wykonanie Edmundowi. Kupno nowej maszyny, wybór

takowej i ekspedycję polecamy Edmundowi. Zaraz po wydaniu „Robotnika“ za granicą i wyekspediowaniu drukarni sprowadzić Edmunda do kraju. Pospiesz się, Edmundzie, z całym tym interesem. Robotę swoją rzuć z punktu, gdyż w przeciwnym razie nic nie będzie z naszych planów“.

W kilka dni potem przyszła druga alarmująca wiadomość. Rożnowski, uciekając z Łodzi, schronił się w moim mieszkaniu w Wilnie i tutaj został aresztowany z moim dokumentem, wystawionym na nazwisko Paszkiewicza. W ten sposób oprócz drukarni straciliśmy główny skład wydawnictw i bazę wileńską dla szybkiego odbudowania straconych placówek. Zrobiono rewizję i u naszego przyjaciela, adwokata Kruszewskiego, w czasie której o mało nie wpadł Sulkiewicz i Jodko, wezwany z Krakowa dla zebrania materiałów do nr 36 „Robotnika“. Wskutek tego upadł mój plan szybkiego wznowienia drukarni w dawnym mieszkaniu.

Pojechałem do kraju 20 marca sam, żeby wyjaśnić rozmiary klęski i wybrać nowe miejsce dla drukarni. Po raz pierwszy jechałem przez Kraków, żeby tam dostać przepustkę austriacką, ponieważ sytuacja Sulkiewicza w Wierzbołowie była bardzo niepewna. Zostawił swój paszport na oknie w mieszkaniu Kruszewskiego i lada dzień spodziewał się aresztowania. Potem wyjaśniło się, że żandarmi w czasie rewizji nic zauważyli paszportu, mógł więc Sulkiewicz wrócić do domu spokojnie i kontynuować swoją działalność na granicy.

W Warszawie zastałem towarzyszy, po chwilowym oszołomieniu aresztowaniami, pracujących ze zdwo-

joną energią. Prawie wszystkie stosunki utrzymano; koło studenckie w Petersburgu zapowiedziało przyjazd 6 inżynierów do pomocy z końcem roku akademickiego; wśród sympatyków w Warszawie utworzyło się pogotowie ratunkowe dla zasilania partii funduszami. Z Sulkiewiczem spotkałem się u Sarcewicza w Białymstoku, ponieważ baliśmy się pokazywać w Wilnie wobec skompromitowania naszej starej siedziby. Ze względu na stan odmienny żony mogłem wrócić do kraju na czas dłuższy dopiero w sierpniu, dlatego postanowiliśmy wydać za granicą nie jeden, lecz dwa numery „Robotnika", zachowując jego szatę zewnętrzną tak, jakby w dalszym ciągu był drukowany w kraju. Przez ten czas mieliśmy sprowadzić nową drukarnię, a w sierpniu urządzić zjazd mężów zaufania dla omówienia spraw bieżących i wybrania nowego C. K. R.

W drodze powrotnej zatrzymałem się w Niemczech, aby zakupić czcionki i odwieźć wydrukowany w Londynie nr 36 „Robotnika" z datą 26 kwietnia. Doręczyłem go Sulkiewiczowi w Eydkunach 20 kwietnia, żeby mógł być rozpowszechniony w Warszawie 26 i wywołać wrażenie, iż oprócz łódzkiej mieliśmy drugą drukarnię w kraju. Następny numer, 37, z datą 8 lipca odwiózł do Eydkun Jędrzejowski 30 czerwca. Druga granica, urządzona przez Jadwigę Gulińską w Aleksandrowie dla drobnych przesyłek, funkcjonowała niedługo. W końcu maja aresztowano Gulińską z bibułą na dworcu wiedeńskim w Warszawie.

Po powrocie do Purleigh sprowadziłem z Paryża starego znajomego Ant. Burkota, żeby mnie zastąpił w drukarni tołstojowców i opiekował się moją żo-

ną w czasie mej nieobecności. Uczyła się zecerki, a ja wykańczałem sprawozdanie i nr 37 „Robotnika“ z dodatkami dla Warszawy i Łodzi na podstawie nadsyłanych z kraju materiałów. Z tego powodu często musiałem jeździć do Londynu.

W czerwcu dotknęła mnie nowa klęska. Miejscowy doktor okazał się lichym akuszerem, dziecko udusiło się w czasie operacji, a żona zaniemogła tak ciężko, że o przeniesieniu się naszym do kraju nie mogło być mowy. Sulkiewicz pisał, że nie uśmiecha mu się pozostawanie w Wierzbołowie i gotów jest sam zamieszkać z drukarnią. Wszystko to spowodowało zmianę moich planów. Mogłem jechać do kraju tylko na czas krótki, żeby pomóc Sulkiewiczowi w urządzeniu drukarni i zjazdu.

W lipcu wyekspediowałem przez Grimpego w Elberfeld do Subata w Eydkunach maszynę drukarską typu Boston i składane kaszty. Maszyna była wysłana w dwóch skrzyniach: grubsze części zapakowane tak, żeby mogły iść dalej, jako „Eisenwaren“, lżejsze i dodatki z napisem „Photografische Platten“ poszły pospiesznym pociągiem, żeby Sulkiewicz mógł je przewozić częściami przez granicę. Wszystko to, razem z uprzednio otrzymanymi czcionkami, Sulkiewicz umieścił u Ludwika Zajkowskiego w Maciejkach za Dyneburgiem.

Po załatwieniu tych zleceń wyjechałem z Purleigh do kraju 1 sierpnia, znowu przez Kraków, żeby od Jodki dostać paszport austriacki, z którym mógłbym zatrzymywać się w hotelach. Jechałem do Warszawy przez Kijów, gdzie zamierzał się osiedlić Sulkiewicz po opuszczeniu komory w Wierzbołowie.

W kraju nowe zamieszanie wywołał Kulczycki, który po ucieczce z Syberii zamieszkał we Lwowie i stąd inspirował swoich przyjaciół w Warszawie, by domagali się wznowienia taktyki terrorystycznej dawnego „Proletariatu“. Intrygi te wzmogły się po aresztowaniu Piłsudskiego. Grupa Kulczyckiego wystąpiła z partii i nazwała się „Polska Partia Socjalistyczna Proletariat“; w listach nazywaliśmy ją secesją. Najwięcej niepokoili się tym starzy proletariatczycy, dlatego z kraju pisałem do Jodki: „Secesjoniści znaleźli na razie posłuch wśród robotników w Łodzi (poza plecami naszych inteligentów), ale gdy im wytłumaczono, wyrzekli się warcholstwa. Dla nas w części ma to dobre strony, bo oczyści organizację od różnych warchołów“. W Warszawie przeszło do secesji tylko dwóch inteligentów z wydziału technicznego, zajmującego się przyjmowaniem i przechowywaniem bibuły.

Kiedy Sulkiewicz wynajął mieszkanie w Kijowie, pojechałem po drukarnię do Maciejek, gdzie była schowana w starym spichlerzu w ogrodzie. Zapakowałem ją do trzech koszów, które przywiozłem ze sobą, i nadałem na stacji w Dyneburgu, jako bagaż do Kijowa. Tam odebrał je Sulkiewicz i ulokował w swoim mieszkaniu. Trzymaliśmy się starej zasady, żeby jak najmniej osób chodziło do drukarni, w obawie przyprowadzenia za sobą szpiega. Mieszkałem w hotelu francuskim na Kreszczatiku i tutaj redagowałem nr 38, a rękopisy doręczałem Sulkiewiczowi przy spotkaniach w umówionych restauracjach. Jako zecer zamieszkał u niego Rutkiewicz z Zagłębia Dąbrowskiego; jak większość ówczesnych nielegalnych nauczył

się drukarstwa w Londynie. Nie szło mu z początku: złożenie maszyny i rozebranie nowych czcionek zajęło dwa tygodnie. Pracę trzeba było przerwać na czas zjazdu, który odbył się w Skierniewicach w pierwszych dniach września 1900 r.

W zjeździe wzięło udział 15 mężów zaufania, w tym dwóch nowych z Petersburga (Jan Piotrowski i Ksawery Prauss); 5 było nieobecnych. Sprawozdania ze zjazdu umieściłem w nr 38. Żadnych zmian w działalności partii zjazd nie wprowadził. Odzywające się pod wpływem secesji głosy, że środki, jakich chwyta się rząd, wymagają zmian w taktyce partii, zniewoliły nas znowu do zajęcia się sprawą terroru. Zjazd jednogłośnie zdecydował, że: „uchwały poprzednich zjazdów i wyjaśnienia C. K. R. w broszurze sprawozdawczej za 5 lat, sprawę odpowiedzi na gwałty rządowe rozstrzygają całkowicie i nie ma potrzeby zmieniania dotychczasowej taktyki“. W sprawie manifestacji majowych postanowiono iść dalej w wytkniętym kierunku, ale zwrócono uwagę towarzyszy na niewłaściwość posługiwania się każdym pogrzebem dla celów manifestacyjnych. Pogrzeby towarzyszy powinny być urządzane pod kontrolą organizacji partyjnej, żeby zapobiegać masowemu aresztowaniu uczestników pogrzebu.

W sprawie C. K. R. uchwalono, że ma nadal składać się z trzech członków. W razie wyjazdu jednego z nich za granicę, powinien być mianowany zastępca, a w wypadku rozbicia C. K. R. zastępstwem jego staje się dawna komisja konspiracyjna w Londynie. Obowiązkiem jej było co prędzej zorganizować nowy C.

K. R. i zwołać zjazd. Na członków C. K. R. wybrano Sulkiewicza, Sachsa i mnie. Sachs, nazywany dla swej zimnej krwi Anglikiem, był pierwszym marksistą w C. K. R.; mało przejmował się naszymi aspiracjami niepodległościowymi, pilnował klasowości ruchu i razem z Horwitzem doprowadził potem do rozbicia P. P. S. na prawicę i lewicę.

Musiałem wracać do ciężko chorej żony. Na szczęście znalazłem zastępcę w starym znajomym z czasów mojej pracy wśród mularzy warszawskich, Bolesławie Czarkowskim, który w tym czasie wrócił z Syberii. Pod koniec września znowu ubyło z naszych szeregów dwóch mężów zaufania (Adolf i Surawski), aresztowanych w Warszawie, ale przypływ nowych sił był tak liczny, jak nigdy przedtem. Szybko wypełnialiśmy powstające w organizacji luki. Kandydatów na nielegalnych było teraz więcej, niż pozwalały na to fundusze partii.

W pierwszych dniach października wróciłem do Purleigh. Zastałem żonę tak osłabioną, że parę kroków nie mogła zrobić o własnych siłach. Głównym powodem był marny doktor i akuszerka, a potem to, że za wcześnie zostawiłem ją samą na tym pustkowiu. Moja teoria o celibacie działacza rewolucyjnego okazała się słuszną; wypadki niezależne od jego woli zmuszają zaniedbywać obowiązki rodzinne. Byliśmy młodzi i te pierwsze smutne refleksje prędko minęły. Zabrałem się do pracy w drukarni na dobre, żeby uwolnić się od długów, których namnożyło się z powodu choroby żony. Dlatego zaniechałem wyjazdów, choć niepokoiło mnie bardzo milczenie Sulkiewicza.

Nr 38 miał być gotowy najpóźniej 8 października, a wyszedł dopiero 15 listopada. Mieszkanie Sulkiewicza w Kijowie okazało się bardzo nieodpowiednie. Z treści numeru przekonałem się, że ktoś ocenzurował moje rękopisy; widocznie zrobił to Sachs.

Drukarnia, w której pracowałem w Anglii, należała do Włodzimierza Czertkowa, byłego oficera gwardii, obecnie wyznawcy Tołstoja, z wielkim pietyzmem wydającego jego dzieła, zakazane w Rosji. Nie wiem, co skłoniło Czertkowa, po wygnaniu z Rosji w 1897 do tego, że osiedlił się w tym pustkowiu. Przypuszczam, iż sprawiła to bliskość kolonii, którą o milę stąd utworzyła grupa wyznawców Tołstoja. Zastałem ją w stanie likwidacji. Dzieje jej przypominały komuny, zakładane w pierwszej połowie XIX wieku przez owenistów. Inicjatorem był jakiś zamożny dziennikarz, Anglik. Przy założeniu kolonii, w obecności wszystkich jej członków, spalił dowody nabycia posiadłości. Miała być wspólną własnością: każdy miał pracować według sił i po bratersku dzielić się owocami pracy. Obok szczerych wyznawców, przypominających pierwszych chrześcijan, znaleźli się tutaj i próżniacy, korzystający z pracowitości innych. Pierwotna wyrozumiałość dla słabości ludzkich i niesprzeciwianie się złu nie mogły ostać się długo; pracowitsi zaczęli odseparowywać się od leniuchów, przechodzić do indywidualnej uprawy ziemi przy swoich chatach. W Purleigh zastałem dwóch kawalerów z tej kolonii: dobrodusznego Holendra Lamberta, który pracował za dwóch przy kręceniu maszyny drukarskiej, i nieodstępnego jego towarzysza, wesołego Anglika, który nie pomagał mu, tylko bawił nas

swymi piosenkami. Kiedy Lambert wrócił do swej ojczyzny, Anglik powędrował za nim.

Czertkow z żoną, synem i kucharką zajmował dom po młynarzu; wiatrak stał jeszcze, ale zniszczony. Czertkow prowadził życie ascetyczne, nie uznawał pieniędzy, wszyscy współpracownicy byli wynagradzani w naturze, jedli przy jednym stole z Czertkowymi, kuchnia była jarska. Płatni byli tylko zecerzy i maszynista Czech. Sprawy finansowe załatwiała Czertkowowa przy pomocy sekretarza Łotysza. Drukarnia i pracownicy mieścili się w sąsiednich domach. Najdalej stała nasza chatka w polu.

Nie wyobrażałem sobie, że w bliskości Londynu rolnictwo mogło znajdować się w takim zaniedbaniu. Na wsi spotykaliśmy tylko starych ludzi; młodzież uciekała do miast. Pola, otoczone żywopłotami z jeżyny, leżały odłogiem, tu i ówdzie pasły się na nich nieliczne krowy i owce. Po zachodzie słońca na polach harcowały tysiące królików, znajdujących bezpieczne ukrycie w rozrośniętej jeżynie. W naszej chatce zastaliśmy kota, który żywił się tylko królikami. Nieraz odbierałem mu je, gdy wracał z wieczornego polowania. Oprócz mleka, które otrzymywałem z sąsiedniej farmy, nic na wsi nie można było dostać. Po wszystkie produkty udawaliśmy się w sobotę do odległego o kilka kilometrów miasteczka Maldon nad płytką zatoką, która przy odpływie zamieniała się w błotniste jezioro. W niedzielę panowała całkowita cisza; nie można było dostać żadnego wózka, a pociągi do Londynu nie chodziły; miejscowi ludzie oburzali się, jeżeli kto z cudzoziemców jeździł na rowerze. W Purleigh, oprócz starego kościoła anglikań-

skiego, były dwa domy modlitw różnych sekt. Członkowie ich całą niedzielę spędzali na czytaniu i komentowaniu Biblii.

Mimo wszystkie niewygody czuliśmy się w Purleigh dobrze. Żona powoli odzyskiwała siły. Dokuczał nam tylko wiatr od morza; nieraz trudno było zasnąć, chatka nasza trzeszczała, jakby zaraz zwalić się miała. Na dole była kuchnia, która jednocześnie służyła za pokój stołowy; do sypialni na górze wchodziło się po stromych schodkach przypominających drabinę. Przy silnych wiatrach szukało schronienia w naszym ogródku stado kuropatw, które nie bały się nas, jakby tu nikt nie polował na nie. Parę razy spotkałem na drodze kawalkadę jeźdźców w czerwonych frakach ze sforą psów myśliwskich, polujących na lisy. Ciekawy byłem, jak konie przesadzać będą te rozrośnięte żywopłoty z jeżyny, ale nie doczekałem się tego widoku; w naszym sąsiedztwie lis się nie ukazał.

W grudniu Czertkowowie przenieśli się na południowy brzeg Anglii, gdzie matka Czertkowa kupiła dla nich duży dom w Tuckton blisko Christchurch. My zostaliśmy jeszcze parę tygodni w Purleigh dla spakowania drukarni. Burkotowi wymówiono miejsce z powodu braku pracy. Z zecerów zatrzymano tylko Łotysza Vesmana i mnie. W połowie stycznia 1901 przenieśliśmy się na nowe miejsce. Drukarnię i maszynistę z rodziną ulokowano w zabudowaniach po starym wodociągu nad rzeką. Z żoną i Łotyszami zamieszkaliśmy w odległości pół kilometra od drukarni w bliźniaczym domku, który Czertkow nazwał Friends Cottage (chata przyjaciół). Jedną połowę zajmowa-

łem ja, drugą Łotysze. Od morza oddzielał nas las sosnowy, w którym pełno było will dla londyńczyków, przyjeżdżających tutaj na wywczasy latem i zimą. Do Christchurch było 20 minut drogi piechotą; za przejście mostu, ku memu zdumieniu, pobierano jeszcze myto: pół pensa (4 grosze) od osoby w jedną stronę.

Miejscowi ludzie, widocznie mało stykali się z cudzoziemcami, gdyż zjawienie się nasze wywołało różne plotki. „Obecnie — pisałem do Jędrzejowskiego — uważają nas za Turków, którzy tu skupują ziemię na to, żeby wybudować fort (sic), paki z bibułą wzięli za amunicję, a jak przyjedzie maszyna, to pewnie już powiedzą, że to działo“. W żaden sposób nie mogli wymówić mego nazwiska, dlatego zacząłem się nazywać po prostu Pole i wiele trudu miałem z wytłumaczeniem im, że Polak to nie Turek ani Rosjanin. Bardzo słabo władałem językiem angielskim. Kiedy prosiłem w sklepie o papier (paper), odsyłano mnie do sklepu kolonialnego myśląc, że chodzi mi o pieprz, a tam zamiast pieprzu (pepper) dawano mi papier do opakowania. Gdy subiekci bardzo śmieli się z mojej wymowy, dla satysfakcji pisałem moje nazwisko (Wojciechowski) na kartce i prosiłem przeczytać głośno: nie mogli wymówić prawidłowo, wtedy ja się z nich śmiałem.

Południowy brzeg Anglii ma najwięcej dni słonecznych w ciągu roku. Bliskość Golfstromu sprawia, że nie ma tu zimy, zaś jesień łączy się z wiosną. Kąpaliśmy się w morzu prawie co dzień, od pierwszych dni maja do października, a bardziej zahartowani Rosja-

nie nawet w grudniu. Przedłużyłem sobie życie przez ten pobyt nad morzem; wyszły ze mnie wszystkie reumatyzmy, tak się wysoliłem.

Komunikacja z Londynem była łatwiejsza niż w Purleigh. Częste tanie pociągi dla wycieczkowiczów umożliwiały naszym emigrantom, uczącym się zecerki w Londynie, przyjeżdżanie do nas na wypoczynek. Między innymi bawił u mnie stary kolega z uniwersytetu — Wernyhora. Po powrocie z wygnania w północnej Rosji sposobił się teraz na przyszłego gospodarza drukarni w kraju i nazywał się Zieliński. W lecie przyjeżdżały z dziećmi Jędrzejowska i Sikorska. Żona zaczęła mi pomagać w zecerce. Dla urozmaicenia monotonnego życia zajęliśmy się uprawą warzyw i hodowlą kur w zagrodzie z siatki drucianej. Przy wysokiej tutaj cenie świeżych jaj kury dawały nam dochód, ale sprowadzone z Krakowa nasiona nie aklimatyzowały się: noce były za chłodne; nie mogliśmy w naszym ogródku wyhodować ulubionych ogórków i pomidorów.

Z kraju zaczęły przychodzić niewesołe wieści. Ciągłość pracy mocno szwankowała. Po nr 38 musieli przerwać wydawanie „Robotnika“, ponieważ stróż i właściciel domu, w którym mieszkał Sulkiewicz, nazbyt zaczęli się interesować jego osobą i tym, co robi u niego Rutkiewicz. Trzeba było zmienić siedzibę. W końcu marca przyjechał do mnie Sulkiewicz z Czarkowskim na naradę. Serce i rozum ciągnęły mnie do kraju, ale nie mogłem jechać zaraz, bo chciałem, żeby przedtem żona zupełnie odzyskała zdrowie. Obiecałem Sulkiewiczowi przenieść się do kraju, jeżeli i w nowej siedzibie wydawanie „Robotnika“ nie pój-

dzie pomyślnie. W tej sprawie pisałem do Jędrzejowskiego: „Prosiłem Bertranda (Czarkowskiego) i Roberta (Sulkiewicza), a teraz i Ciebie, by to, że mam wrócić do kraju, było trzymane w tajemnicy, bo przy takim demokratyzmie w konspiracji, jaki teraz zapanował wśród naszych, nie mam nadziei utrzymać się dłużej nad rok, a to trochę dla mnie za mało... Stanowczo utwierdziłem się w przekonaniu, że ten „nowy okres“ manifestacji, jako okres był przedwczesny. I za parę lat powstania nie urządzimy, a te manifestacje oddałyby nas na pastwę wypadków, gdzie nie C. K. R. kierowałby ruchem, ale kierowałaby nim trochę za wcześnie ulica, nie patrząca dalej w przyszłość“.

Od Sulkiewicza dowiedziałem się, że przygotowują uprowadzenie Piłsudskiego ze szpitala w Petersburgu. Plan ten wykonano znakomicie. W końcu maja otrzymałem od Sulkiewicza wiadomość, że Piłsudski jest już w zupełnie bezpiecznym miejscu, redaguje nr 39 „Robotnika“, po czym przyjedzie do Lwowa. Nr 39 wyszedł z datą 26 czerwca, następne numery były redagowane przez Feliksa Perla; do końca roku wyszły cztery (40—43). Perl był jedynym Żydem, któremu ufaliśmy zupełnie; w Londynie nazywaliśmy go „cudownym dzieckiem“.

W tym czasie większość mężów zaufania w Warszawie była szpiegowana, dlatego musieli przerwać swoją działalność. Cała praca oparła się na Czarkowskim i Paszkowskiej, która miała wiele kłopotów z przenoszeniem bibuły z miejsca na miejsce wskutek ciągłych alarmów i obaw rewizji. Osłabło tempo ruchu, w części spowodowane brakiem wydawnictw.

Szukano nowych dróg dla transportów od strony Galicji, gdzie władze policyjne przestały tropić emigrantów z zaboru rosyjskiego. Austria coraz wyraźniej tolerowała „irredentę polską“ w nadziei, że uda się jej użyć do walki z Rosją. Stopniowo placówka londyńska traciła swoje pierwotne znaczenie. Jodko osiedlił się we Lwowie i stał się głównym pośrednikiem pomiędzy krajem i emigracją. W końcu 1902 r. przeniesiono do Krakowa „Przedświt“ z redaktorem Wasilewskim, a w rok potem i główny skład wydawnictw z Jędrzejowskim.

Pod wpływem Abramowskiego wśród inteligencji warszawskiej powstała grupa „etyków“, oddziaływająca na młodzież i robotników w kierunku moralnego przeobrażenia życia codziennego, uspołecznienia indywidualnych interesów, zwalczania wszelkich objawów egoizmu i serwilizmu, rozbudzania pragnienia nowego życia, w którym powinno rządzić ludźmi jedynie braterstwo i poczucie sprawiedliwości. Etycy różnili się od socjalistów głównie negowaniem jakobinizmu i państwa, jako akuszera nowego świata. Nie tworzyli odrębnej organizacji politycznej, ale pozyskali wielu zwolenników, co zaczęło niepokoić partię. Redaktor Wasilewski, umieszczając w „Przedświcie“ artykuł Abramowskiego „Etyka a rewolucja“, zastrzegł się, że nie solidaryzuje się z autorem, i nieopatrznie umieścił w następnym numerze krytykę Abramowskiego pióra Kulczyckiego, który właśnie w tym czasie zaczął tworzyć secesję, domagającą się prowadzenia akcji terrorystycznej. Etycy byli bardzo pożyteczni w zwalczaniu tego kierunku, ostro przeciwstawiali się teorii socjalizmu państwowego

i wywierali dobroczynny wpływ na robotników, nadając ich aspiracjom bardziej idealistyczny kierunek.

Z tego powodu pisałem do Londynu: „Etycy nie są szkodliwi dla nas, a wielu ich „etyka“ nawet pomoże, zwłaszcza tam, gdzie robotników pcha do nas nadzieja natychmiastowego wybicia się na wierzch czy zapełnienia swego żołądka“. Nieraz, poprawiając nadsyłane do „Robotnika“ korespondencje z fabryk i wierszyki, konstatowałem, że brutalne postępowanie i materializm fabrykantów ujemnie wpływa na psychikę robotników, wywołuje wzrost tylko materialnych pożądań i rewanżu. Przypominam sobie odrzucony wierszyk jakiegoś agitatora z Warszawy, kończący się zwrotką: „będziem im obijać pyski“, jakby walka o wyzwolenie sprowadzała się do zmiany jednych panów na drugich.

W czasie nielegalnego pobytu w kraju miałem kilka przykrych rozczarowań w moich stosunkach z robotnikami. Po aresztowaniach w Zawierciu dowiedziałem się, że główny agitator, do którego przywoziłem bibułę, miał pod Zawierciem małą cegielnię i wyzyskiwał wiejskich robotników, mimo że sam, jako tkacz, narzekał na wyzysk w fabryce i inicjował strajki o podwyższenie płacy. W Warszawie jeden z naszych agitatorów okazał się lichwiarzem, wypożyczającym drobne sumy kolegom na procent. W czasie strajku szewców z 18 aresztowanych 6 uległo namowom żandarmów i zdradzało towarzyszy. Po aresztowaniu Malinowskiego i Piłsudskiego w Łodzi kilku robotników, korzystając z chwilowego zamętu w organizacji, roztrwoniło pieniądze, zebrane na listę składkową. Miał rację Abramowski twierdząc, że no-

wy ustrój musi poprzedzać rewolucja moralna, inaczej zmiana będzie powierzchowna. Z ludzi goniących za zyskiem nie może narodzić się sprawiedliwość społeczna; z natur niewolniczych nie mogą powstać instytucje wolnościowe.

Refleksje te pogłębiały się w toku składania pism Tołstoja. Nie stałem się tołstojowcem, o co mnie posądzano, gdyż nie mogłem pogodzić się z tołstojowską zasadą „niesprzeciwiania się złu“. Pozostałem zwolennikiem rewolucyjnego hasła Ody do młodości: „gwałt niech się gwałtem odciska“. Tołstojowi zawdzięczam tylko to, że odzyskałem wiarę, utraconą pod wpływem racjonalistycznych nowinek. Odżyły we mnie wspomnienia nauk matki w dzieciństwie i księdza Szafnickiego w gimnazjum, odpadły ateistyczne zwątpienia, powstałe z powierzchownych studiów naukowych.

Mieszkający obok mnie Łotysze, Rosen z żoną i Vesman, urządzili u siebie małą zecernię dla składania w języku łotewskim broszur, które Czertkow pozwolił tłoczyć na jego maszynie. Za naszym przykładem urządzili tajną drukarnię w Rydze, ale nie dali się przekonać, że powinni również za naszym przykładem wystawić w swoim programie postulat niepodległości Łotwy. Uważali to za utopię. Przypomniał mi te spory Vesman, kiedy w grudniu 1924 r. odwiedził mnie w Spale, jako prezydent sejmu łotewskiego w Rydze. Utopie jednak ziszczają się.

W pierwszych dniach grudnia 1901 r. przyjechał do mnie Piłsudski z żoną na wypoczynek. Omawialiśmy bieżące kłopoty krajowej organizacji i plany na przyszłość. Znowu jako główna przeszkoda występo-

wał brak pieniędzy. Ponieważ Piłsudski nie mógł teraz pokazywać się w kraju, a Sulkiewicz zajęty był urządzaniem nowej granicy w Lubelskim, uradziliśmy, że ja pojadę zbierać pieniądze od naszych kół studenckich i sympatyków w Rosji. 7 stycznia Piłsudski wrócił do Londynu, a ja udałem się na wyprawę po pieniądze. Byłem w Petersburgu, Moskwie, Charkowie, aż pod Donem. Wróciłem do domu 14 lutego, nie zatrzymując się w Londynie, ponieważ żona bardzo niepokoiła się i depeszowała do Jodki prosząc o wiadomość, co się ze mną stało.

Sprawozdanie z tej wyprawy przesłałem Piłsudskiemu listownie. Cytuję z niego wyciągi, zastępując pseudonimy nazwiskami: „Monety nie zdobyłem wiele... Pękosławski zgodził się objąć kierownictwo przemysłem, mającym w przyszłości utrzymywać P. P. S... „Narodnoje Prawo“ znów obrosło w pióra i chce robić dalej. Struve drapnął za granicę i ma kierować ich działalnością wydawniczą. Przez Więckowskiego zaproponowali, byśmy zajęli się transportowaniem ich wydawnictw. Ponieważ czasy ciężkie, więc zdecydowałem się od razu w Petersburgu w imieniu C. K. R. podjąć się tej nieprzyjemnej roboty (na urządzenie granicy 2000 rb. z punktu, na utrzymanie 200 rb. miesięcznie, bibułę Struve dostarcza do Londynu na ich koszt, a my bezpośrednio do Petersburga na wskazany adres; pierwszy raz ja to mam uskutecznić); więcej nad 2 pudy miesięcznie nie obowiązujemy się dostarczać. Odpowiedź ma nadesłać Struve z Bazylei do Ciebie w Londynie... Większość naszych w Warszawie szpiclowana i Paszkowska też. W ogóle bigos w robocie porządny. Dziś oświadczyłem Czertkowym,

że osiedlam się na stałe w Galicji. I tak mówcie wy wszystkim... Właściwie dawny C. K. R. — dyktatura — znikł z horyzontu. Trzeba to będzie odbudować... Sulkiewicz wsypał się z 600 rb., ale nie skonfiskowali. Sprawa jego niewyraźna“.

Po Sulkiewiczu opiekę nad nową granicą objął Prauss. Nr 44 „Robotnika“ wyszedł z dużym opóźnieniem 10 kwietnia, następny 6 czerwca. Miałem wyruszyć do kraju z żoną w pierwszych dniach maja; zlikwidowaliśmy już nasz kurnik, ale w ostatniej chwili abdykowałem z roli emisariusza. Przytaczam odnośny ustęp z mego listu do Piłsudskiego, który bawił jeszcze w Londynie:

„Przez cały ten tydzień odbywał się w naszym domu kryzys, który skończył się tym, że ja ani czasowo, ani na stałe do kraju nie jadę. Rzecz powstała stąd, że Marysia doszła do przekonania, że jest albo chora, albo brzemienna. Z tego powodu zastanawialiśmy się nad szczegółami naszego przyszłego życia w kraju, z czego ja doszedłem do następujących wniosków: 1) Marysia jedzie tylko dlatego, że ja marnieję od tutejszej orki bez sensu, ale dla niej przyszłe życie nie przedstawia żadnego uroku, przeciwnie, będzie jednym niepokojem, a prawdziwą męczarnią wtedy, kiedy będę poza domem. Ostatecznie długo tego wszystkiego by nie wytrzymała i znów stanęłaby przed nami kwestia przesiedlenia się ze względu na nią. 2) Ja w takich warunkach wobec coraz zjawiających się niepokojów to o jej zdrowie, to widząc ją płaczącą i zdenerwowaną, nie miałbym ani humoru, ani lotności w robocie, czując się skrępowanym to tym, to owym względem na nią, co ostatecznie sprowadziłoby

do minimum moje służenie P. P. S., bo poza zecerką, do której nie trzeba żadnego nastroju ducha, nie byłbym w stanie skleić żadnego artykułu w takim stanie... Wszystkie te refleksje skończyły się tym, że postanowiłem swoje instynkty społeczne zdusić i pozostać zwykłym robociarzem i przeciętnym związkowcem. Raz ostatecznie trzeba skończyć to moje zrywanie się, a potem opadanie ze względów osobistych. Wyrzekam się godności emisariusza... Niech Zieliński jedzie do Petersburga i załatwi interes z Moskalami... Wyobrażam sobie, jak zdziwi was ten niespodziewany nawrót, no, ale człek nie jest taki swobodny, jak był nim dawniej".

Odtąd do 1905 roku siedziałem bez ruchu w Tuckton, zajęty składaniem dzieł Tołstoja. Doszedłem do takiej wprawy, że pracując na akord zarabiałem około 2 funtów szterlingów tygodniowo. Zaczęliśmy z żoną robić oszczędności z myślą o przeniesieniu się do Galicji. Od czasu do czasu otrzymywałem wiadomości z kraju. W czerwcu 1902 r. doprowadzono do skutku od dawna planowaną ucieczkę Malinowskiego z drogi na Syberię. Miał wkrótce przyjechać do nas. W lipcu odbył się szósty zjazd P. P. S., na którym uchwalono demokratyzację C. K. R., wyrażającą się w zwiększeniu liczby jego członków i wymaganiu kolegialnego załatwiania spraw, jak w 1893 r. Nowi ludzie powtarzali stare błędy. Obok nich zaczęła się odradzać „Socjaldemokracja Królestwa Polskiego", bardzo popierana przez Żydów.

Sensację w monotonnym życiu naszej kolonii w Tuckton wywołało okradzenie maszynisty. Dotąd sądziliśmy, że w Anglii na wsi nie ma złodziei. Wy-

chodząc z domu, zostawialiśmy drzwi niezamknięte; mleczarz, piekarz, sklepikarz stawiali zamówione produkty na progu; nigdy nic nie zginęło. Maszynista Czech zawiadomił o kradzieży posterunek policji w Christchurch. Czertkow był tym tak oburzony, że zaraz wymówił maszyniście miejsce i interweniował w policji, żeby złodzieja nie szukano, gdyż sam pokryje stratę. Oświadczono mu, że złodziej musi być wykryty i ukarany. Do drukarni przyszedł policjant i spisał ukradzione rzeczy. Na wychodnym ku naszemu zdumieniu oświadczył, że złodziejem na pewno okaże się cudzoziemiec, nie Anglik. Istotnie, nazajutrz ujęto w wiosce, oddalonej od drukarni o kilka kilometrów, Niemca, który zwrócił na siebie uwagę tym, że zapłacił swojej gospodyni zaległe komorne i miał na sobie nowe spodnie maszynisty. Przekonałem się, że policja angielska, mimo że nie wymagała żadnych paszportów ani meldowania się, miała doskonałe wiadomości o wszystkim, co się dzieje.

Po wyjeździe maszynisty otrzymałem po nim mieszkanie przy drukarni. Dogadzało mi to bardzo, ponieważ wkrótce żona miała zostać matką i bałem się zostawiać ją samą w dawnym mieszkaniu. W tym czasie przyjechał do nas na czas dłuższy Malinowski w nadziei, że nad morzem prędzej wyleczy się z trapiącej go gruźlicy. Umieściliśmy go u najbliższego farmera, gdzie za bardzo niską opłatą otrzymał wygodny pokój z dobrym utrzymaniem. Po kilku tygodniach poprawił się znacznie, gorączka znikła, mógł wrócić do Londynu dla dokończenia likwidacji placówki londyńskiej. Cała działalność zagranicznego oddziału partii skoncentrowała się teraz w Krako-

wie. W Londynie pozostawiono tylko mały składzik wydawnictw na miejscowe potrzeby pod opieką Tytusa Filipowicza. Do mnie przeniesiono archiwum, zawierające w kilku kufrach listy i kopiały z ostatnich dziesięciu lat.

Nauczyłem się obchodzić z dużą maszyną drukarską i motorem naftowym, który sprowadził Czertkow, ponieważ ochotników do kręcenia maszyny było coraz mniej. Motor był stary, często kaprysił i dużo miałem kłopotu z puszczaniem go w ruch. Do nowych obowiązków moich należało i robienie stereotypów na wypadek wyczerpania pierwszego nakładu. Praca ta, wykonywana w osobnej szopie przy pomocy prymitywnych narzędzi, najmniej mi się podobała. Materialne położenie moje bardzo się poprawiło, zarabiałem już 4 funty szt. tygodniowo, ale nie wytrzymałbym tutaj długo, gdyby nie przyjście na świat syna, którego nazwaliśmy Edmundem dla upamiętnienia mego ostatniego pseudonimu.

Mieszkanie nad rzeką było przyjemne: mieliśmy łódkę, jeździliśmy nią po zakupy do Christchurch; zamiast kur hodowaliśmy kaczki; na łąkę obok nas często przylatywały łabędzie; widocznie szanowano je tutaj, jak u nas bociany. Na sąsiednich polach uprawiano głównie kapustę i rzepę pastewną. Sprzedawano ją na pniu rzeźnikom, którzy tutaj dopasali nabyte gdzie indziej barany. Trzymali je dniem i nocą na polu w przenośnych opłotkach z wikliny. Gdy stado doszczętnie wyjadło kapustę na wydzielonej części pola, ogradzano sąsiednią i przepędzano na nią stado. Czynność tę powtarzano, dopóki całe pole nie zostało zjedzone. W ten sposób osiągano dużą oszczę-

dność w sprzątaniu, wożeniu paszy i uprawie roli. Po postoju baranów pole było gładkie jak stół i unawożone; pozostawało tylko przeorać je dla następnej uprawy. Baranina, zwłaszcza kotlety baranie, była ulubioną potrawą Anglików. W tym celu hodowano specjalną mięsistą rasę, bardzo wytrzymałą na zmiany pogody i chłody.

W oryginalny sposób przeprowadzono nową drogę w nadbrzeżnym lesie sosnowym. Parowy walec do ugniatania szosy służył równocześnie za maszynę do karczowania. Na wysokości trzech metrów od ziemi obwiązywano sosnę łańcuchem przymocowanym do walca i wyciągano z ziemi razem z korzeniami. Przy tej okazji dowiedziałem się, że Anglicy uważają wszystkie grzyby za niejadalne. Gdy kilka znalezionych w lesie dobrych grzybów niosłem do domu, wyrwano mi je z rąk i rozdeptano krzycząc, że to trucizna. Dlatego, gdy znajomi z Litwy prosili o znalezienie w Anglii nabywców na suszone grzyby, odpowiedziałem, że to daremny trud.

W niedzielę tak samo, jak w Purleigh, ustawał wszelki ruch; omnibusy i pociągi nie chodziły. Gospodynie nie pozwalały swoim lokatorom przyjmować gości, nawet dzieciom nie wolno było bawić się piłką. Gdy kto z cudzoziemców nie stosował się do tego zwyczaju, wymawiano mu lokal. Nie pozostawało nic innego, jak siedzieć w domu albo wylegiwać się na brzegu, bo i kąpanie się w morzu w niedzielę uważano za „shocking“ (rażące). Dalsze wycieczki mogliśmy robić w dnie wolne od zajęć, tzw. bank holidays, kiedy banki i sklepy były zamknięte, ale ruch omnibusów i pociągów wzmożony, bary i restauracje ot-

warte. Najwięcej lubiliśmy wycieczki statkiem spacerowym do Swanage, gdzie w nadbrzeżnych skałach były tajemnicze groty, i dokoła wyspy Wight, na której była letnia rezydencja królowej Wiktorii.

Wśród cudzoziemców, odwiedzających naszą drukarnię, najwięcej było teozofów i adoratorów Tołstoja. Wszystkie jego dzieła, drukowane u nas, były zaraz tłumaczone na język angielski przez osobną spółkę wydawniczą i rozchodziły się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy w Anglii i Ameryce. Z sekciarzy rosyjskich, odwiedzających Czertkowa, pozostał mi w pamięci tylko Piotr Wierigin, głowa sekty duchoborów, których tołstojowcy uważali za bliskich sobie. Przyjaciele Tołstoja wyjednali u cara pozwolenie na wyjazd całej sekty, liczącej kilka tysięcy głów, do Ameryki, gdzie rząd kanadyjski zgodził się przyjąć ich i wyznaczył odpowiedni teren kolonizacyjny. Sekta składała się z samych chłopów, bezwzględnych przeciwników służby wojskowej i zabijania wszelkich zwierząt; odżywiali się tylko roślinnymi produktami. Wierigin wybił się wśród nich na wodza dzięki swej nieprzeciętnej inteligencji i praktyczności w urządzaniu życia sekty. Miał kłopoty z grupą fanatyków, którzy na nowym osiedlu wyzbywanie się potrzeb materialnych doprowadzili nawet do nieuznawania potrzeby ubrania. Wywołali represje ze strony policji kanadyjskiej, kiedy zaczęli się pokazywać w mieście nadzy.

Stryj Czertkowa został mianowany generał-gubernatorem warszawskim. Myślałem, że z tego powodu zaczną się zjawiać w Tuckton różni petenci. Raz tylko przyjechał jakiś elegant Polak, który przedsta-

wił się, jako krewny znanego w Warszawie przemysłowca. W rzeczywistości okazał się często spotykanym na emigracji typem łazika, wyłudzającego pieniądze na dalszą włóczęgę.

Mechanik, reparujący nasz motor naftowy, zaprosił mnie na zebranie kółka „Progres“ w mieszkaniu jakiegoś bogatego Anglika w Bournemouth. Poszedłem tam raz, ale nie pozostało mi w pamięci nic z tego, o czym tam dyskutowano, tylko to, że z zachowania się obecnych w salonie nie mogłem wywnioskować, kto był robotnikiem, a kto inteligentem. Wszyscy, nie wyłączając gospodarza, robili wrażenie ludzi z jednej sfery. Zazdrościłem Anglikom takiego zrównania stanów.

Monotonię moich zajęć w Tuckton po dawnym ruchliwym życiu zacząłem sobie urozmaicać fotografią. Drukowanie ze stereotypów nasunęło mi myśl zastąpienia ich negatywami na błonach, które łatwo można by przesyłać do kraju i tam robić odbitki na płytkach cynkowych dla drukowania. W Anglii zużytkowano już dla celów ilustracyjnych tę właściwość żelatyny, że zmieszana z roztworem soli chromu stawała się nierozpuszczalną pod wpływem promieni światła. Próby moje nie dały praktycznych rezultatów, ale na pewien czas powstrzymały występującą we mnie nostalgię.

Mieszkanie nad rzeką i łąką, zalewaną przy większych przypływach morza, okazało się niezdrowe. W połowie 1904 r. przeniosłem się wyżej, bliżej lasu, gdzie na Irving Road wybudowano szereg nowych domków. Jako pierwszemu lokatorowi przysługiwało mi prawo nadania nazwy domkowi; numerów tu-

taj nie używano. Na cześć naszych wspomnień wileńskich nazwaliśmy go Belmont.

Żona zaczęła się niepokoić moim zdrowiem. Doktor powiedział jej, że powinienem oszczędzać serce i jak najmniej chodzić. W rzeczywistości było to zwykłe osłabienie po świeżo przebytej febrze. Na wszelki wypadek ubezpieczyłem się na życie. Potem żałowałem wydanych na ten cel pieniędzy. Kiedy w końcu 1905 r. zawiadomiłem towarzystwo ubezpieczeń, że przenoszę się do Warszawy i stamtąd będę przysyłać składkę asekuracyjną, otrzymałem odpowiedź, że uważają to za złamanie umowy i nie mogą ponosić ryzyka mego pobytu w kraju „ogarniętym rewolucją“. Nie chcieli mi zwrócić nawet części wpłaconych składek.

Wojna rosyjsko-japońska rozbudziła nadzieję rychłego odzyskania niepodległości Polski. Rosyjski kolos na glinianych nogach, w naszej wyobraźni, mógł się rozsypać w tym starciu. W nadziei bliskiej klęski caratu ożywiły się siły rewolucyjne. Z inicjatywy finlandzkiej partii czynnego oporu odbył się w Paryżu w październiku 1904 r. zjazd, w którym wzięli udział przedstawiciele rosyjskich konstytucjonalistów i socjalrewolucjonistów, Finów, Łotyszów, Gruzinów i Ormian. Z Polski byli obecni delegaci Ligi Narodowej i P. P. S. (Jodko, Kelles Krauz, Malinowski i Piłsudski). Nie wzięli udziału w zjeździe tylko rosyjscy i polscy socjaldemokraci, przeciwni wszelkiemu współdziałaniu z innymi partiami, które uważali za burżuazyjne. Na zjeździe tym uchwalono: 1) zniesienie samowładztwa, 2) ustrój demokratyczny i 3) prawo narodowości decydowania o swym losie.

W tym czasie odwiedziłem w Londynie starego rewolucjonistę rosyjskiego Piotra Kropotkina. Czułem do niego sympatię, ale trudno było rozmawiać z nim spokojnie o sprawach polskich, gdyż zaraz się unosił, bo widocznie miał coś na wątrobie. Był uprzedzony do Polaków, uważał nas za naród szlachecki, pogardzający chłopami. Z poznanych na emigracji Rosjan on jeden martwił się porażkami wojsk rosyjskich na Wschodzie; u wszystkich innych uderzał mnie brak jakiegokolwiek patriotyzmu. Z pism Kropotkina wydaliśmy w drukarni londyńskiej „Do młodzieży“ w wolnym przekładzie z francuskiego.

Wojna z Japonią przyspieszyła powstanie w kraju, obok istniejącej organizacji partyjnej, osobnej organizacji bojowej, napół wojskowej, obowiązanej do posłuszeństwa i występowania na rozkaz. Tworzeniem jej i ćwiczeniem zajmował się Piłsudski. „Sprężystość jej — pisał — dotąd nie wypróbowana, ale na papierze wygląda dostatecznie szybką, wyprobujemy ją i postaramy się z niej zorganizować swoją policję, by tej organizacji dać robotę“. Urządzona w listopadzie 1904 r. manifestacja na placu Grzybowskim w Warszawie była pierwszą, w której organizacja bojowa użyła broni w obronie manifestujących.

Pierwszy kontakt z Japończykami nawiązał Jodko dzięki Finom, którzy byli już w stosunkach z kapitanem Akashi. Potem zaczęły się rozmowy z majorem Utsunomiya, attache przy ambasadzie japońskiej w Londynie. Pertraktacje szły opornie. Japończykom chodziło głównie o dostarczenie wiadomości o mobilizacji i przewozie wojsk rosyjskich, nam — o broń i utworzenie w Japonii legionu polskiego, do którego

Piłsudski i Jodko zaczęli werbować oficerów rezerwy spośród naszych sympatyków i mężów zaufania.

„W utworzeniu legionu — pisał Jodko — widzimy dwie korzyści: 1) pomoc, co prawda dość nieznaczną, Japończykom, zwycięstwo których ma dla nas pierwszorzędne znaczenie. Pomoc ta może okazać się bardzo poważną, jeżeli fakt pojawienia się legionu wraz z odpowiednimi odezwami rozpowszechnią nasi wśród armii i wywołają dezercję Polaków żołnierzy. Jakiekolwiek będą rozmiary tej dezercji, sam jej fakt wniesie dezorganizację do armii rosyjskiej i może doprowadzić do bardzo poważnego wyniku i obrzydzenia Moskalom wysyłania rekrutów Polaków do Mandżurii. 2) Jeżeli uda się dopiąć tego ostatniego celu, to efekt byłby olbrzymi i nie byłoby Polaka, który by nam za to nie był wdzięczny. Rozgoryczenie z powodu możliwej zguby mnóstwa Polaków w służbie caratu jest tak wielkie, że nikt nie będzie nam brał za złe, jeżeli ich złączymy z szeregami Japończyków".

Utsunomiya zawiadomił nas, że jego władze zapraszają przedstawicieli P. P. S. do Tokio. W tej sprawie przyjechał do Londynu Piłsudski i po paru tygodniach czekania na dogodną komunikację morską ruszył w maju 1904 r. z Filipowiczem, jako tłumaczem, do Tokio przez Nowy Jork i San Francisco. Wrócił w końcu sierpnia. Rząd japoński nie zgodził się na utworzenie polskiego legionu; widocznie liczył na możliwość zawarcia pokoju i nie chciał go sobie utrudniać przez wywołanie widma legionu polskiego, powstającego pod jego protektoratem.

W dalszych rozmowach z Utsunomiyą w Londynie stanęło na tym, że Japończycy będą nam dawać pie-

niądze na zakup broni i ułatwiać jej odbiór w Hamburgu, a my będziemy zbierać dla nich wiadomości o ruchach i nastroju wojsk wysyłanych na Wschód. Stosunki te były otoczone największą tajemnicą; wiedział o nich tylko Piłsudski, Jodko, Filipowicz i ja. Filipowicz tłumaczył na język angielski nadsyłane z kraju informacje, składające się przeważnie z wycinków z gazet rosyjskich. Ja odbierałem pieniądze i kupowałem broń w Londynie, głównie Mauzery ze składaną kolbą i rewolwery Savage. Odbiorem ich w Hamburgu i przemycaniem przez granicę austriacką zajmował się Jodko.

W związku z tymi sprawami wypadło mi kilkakrotnie jeździć do Krakowa. W marcu 1905 r. polecocono mi w drodze powrotnej wstąpić do Genewy i porozumieć się z rosyjskimi rewolucjonistami co do terminu konferencji, na której miały być ustalone główne postulaty polityczne. Zorganizowana w styczniu przez młodego popa Gapona wielotysięczna procesja z petycją do cara, krwawo stłumiona, i wybuch strajku powszechnego w Petersburgu zrodziły wiarę w siły rewolucyjne Rosji. Wprowadziło to zamieszanie do szeregów P. P. S. „Młodzi“, z Buyno i Horwitzem na czele, oślepieni Gaponadą, zaczęli przystosowywać się do ruchu w Rosji i wysuwać postulat autonomii Polski, „bo teraz nie czas na niepodległość“. „Starzy“ z Piłsudskim na czele, zajęci organizacją wydziału bojowego, nieopatrznie zaniedbali stosunki z robotnikami, kierownictwo akcją strajkową dostało się w ręce młodych, którzy uważali za swój obowiązek każdy wybuch w Rosji popierać strajkiem u nas. W ślad za Petersburgiem wybuchł strajk powszechny

w Warszawie, Łodzi, Zagłębiu Dąbrowskim. „Wcale nas to nie zachwyca — pisał do mnie Jodko — postaramy się skończyć to prędko, ale teraz to poszło, więc trzeba konsekwencje wyciągnąć. My teraz napieramy, żeby wydali odezwę zwiastującą koniec strajku, ale na to się jeszcze nie zanosi".

W Genewie na zebraniu z Rosjanami poznałem Gapona; zrobił na mnie wrażenie demagoga, odurzonego swoją sławą. Ucieczkę z Rosji ułatwili mu i przygarnęli do siebie socjalrewolucjoniści, ale trzymali to w tajemnicy, żeby na projektowanej międzypartyjnej konferencji mógł występować jako przedstawiciel osobnej organizacji i wzmocnić ich wpływ na wynik obrad. Wśród zebranych był i osławiony Azef, który potem okazał się prowokatorem i zginął z ręki rewolucjonistów tak samo, jak Gapon, który swoją karierę rewolucyjną zakończył oddaniem się na usługi carskiej policji. Czułem się bardzo nieswojo wśród zupełnie obcych mi ludzi i zaraz po ustaleniu terminu konferencji i ilości delegatów, jaką każda partia ma prawo przysłać, opuściłem zebranie.

Od Rosjan dowiedziałem się, że w Genewie jest mój stary znajomy z uniwersytetu Machajski, który uciekł z Syberii i wydawał jakieś pisemko po rosyjsku, ale trzymał się z dala od innych rewolucjonistów. Poszedłem go odwiedzić w drukarni, w której sam składał swoje pisemko. Zmienił się do niepoznania; stał się jakiś ponury, przyjął mnie zimno, mówił niewiele. W uniwersytecie był pełnym życia narodowcem, kierował akcją rugowania trupy rosyjskiej z polskiego teatru, a teraz pałał niechęcią do inteligencji, robił wrażenie sekciarza, opętanego jakąś manią. Po-

dobno na Syberii stworzył osobną sektę rewolucyjną, którą Rosjanie nazwali „machajszczyzną“. Życie w osamotnieniu z dala od wpływów cywilizacji zachodniej dziwnie oddziaływało na wielu wygnańców; zatrzymywało ich rozwój umysłowy albo cofało wstecz, upodobniając do otaczających ich pierwotnych ludzi.

Międzypartyjna konferencja w Genewie odbyła się 1 kwietnia. Z relacji Jodki dowiedziałem się, że zaraz na wstępie socjaldemokraci i bundowcy wystąpili z obiekcjami, mającymi na celu usunięcie z konferencji delegatów, których uważali za nieprawowiernych marksistów. Gdy to im nie udało się, opuścili konferencję; pozostali tylko socjalrewolucjoniści i delegaci Polaków, Finlandii, Łotyszów, Gruzinów i Ormian. Uchwalono żądanie nie jednej konstytuanty, lecz trzech: rosyjskiej, polskiej i finladzkiej, z prawem suwerennego stanowienia o swym losie, a więc i o oderwaniu się od Rosji. Dla Kaukazu również uznano potrzebę osobnej konstytuanty, ale bez praw suwerennych, na podstawie federacyjnego złączenia z Rosją. Delegaci nie zobowiązywali się do ruchu jednoczesnego z Rosjanami. Delegatami P. P. S. byli Buyno i Horwitz od C. K. R., Jodko od Komitetu zagranicznego. Z tego składu delegacji wnioskowałem, że w kraju większość zdobyli młodzi, nie dający żadnej gwarancji samodzielności akcji polskiej w razie wybuchu rewolucji w Rosji.

W maju pisał do mnie Jodko: „Piłsudski pojechał do kraju. Plan nasz jest taki: tworzyć organizację spiskową i uzależnić ją od C. K. R. tylko u góry przez wydział. Do wydziału nabrać ludzi odpowiednich. Tę

organizację pchać monetą i ludźmi, żeby rozrosła się jak najbardziej. Druga sprawa to doprowadzić do nowej Rady, która by wróciła wszystko na dawne tory, zmieniając jednocześnie do pewnego stopnia C. K. R. i głupią fikcję „kolegialnego“ załatwiania spraw... Co się tyczy kraju, to nie ulega wątpliwości, że robota kolosalnie się rozrosła, ale ogromnie szwankuje centrum. Popełniają mnóstwo głupstw, które się na całości prędzej czy później odbiją“.

Moja rodzina powiększyła się; przyszła na świat córka, którą na cześć siostry żony nazwaliśmy Zosią. Wskutek niedbalstwa akuszerki żona dostała gorączki połogowej; sprowadzony doktor Anglik z trudem uratował jej życie. Po raz pierwszy w Anglii wzięliśmy do pomocy służącą spośród polskich emigrantek w Londynie. Zamiast pomocy przysporzyła nam nowych kłopotów. W czasie choroby żony nakarmiła młodego Edmunda jakimś niestrawnym serem, co spowodowało długotrwały nieżyt kiszek. Pocieszała mnie tym, że sama straciła dwoje dzieci. Należało ją zaraz odprawić i szukać młodszej. Na szczęście żona poprawiła się o tyle, że mogła sama dopilnować karmienia dzieci. Nowa pomocnica okazała się bardzo dobrą dziewczyną, została u nas do końca pobytu w Anglii i wróciła razem z nami do kraju.

W końcu maja musiałem znowu wyruszyć z domu, żeby odebrać w Hamburgu ostatni transport broni, ponieważ Jodko, zajęty innymi sprawami, nie mógł tego wykonać. Broń i amunicja były złożone w składach towarowych przy porcie, w których nasz znajomy Japończyk miał pomieszczenie. Broń przenosiłem w ręcznych walizkach do hotelu i ładowałem do duże-

go kosza. Z tym bagażem pojechałem do Wrocławia i zatrzymałem się w hotelu najbliższym dworca. Tutaj przychodzili do mnie: Dąbrowski (Comber), Rożen (Barnaba), Wróblewska i Szrejberówna (obecnie Janowa Piotrowska). Zabierali broń i amunicję na sobie dla przewiezienia przez granicę. Gdy kosz i walizki zostały w ten sposób opróżnione, pojechałem do Krakowa, a stąd, za paszportem austriackim, do Warszawy, jako delegat Komitetu zagranicznego na zwołaną w tym czasie Radę.

Na siódmym zjeździe P. P. S. w lutym 1905 r. młodzi, korzystając z nieobecności wielu starych, zrobili pierwszy wyłom w dotychczasowym programie; uchwalili prowadzenie walki ręka w rękę z Rosjanami o zwołanie konstytucyjnych zgromadzeń w Petersburgu i Warszawie, „które wypowiedzą się co do dalszego stosunku zaboru rosyjskiego do reszty państwa cara". Uchwała ta wywołała niezadowolenie w partii, dlatego zwołano Radę, którą zjazd utworzył na wypadek dezorganizacji C. K. R. albo różnic w poglądach na najważniejsze sprawy.

Pierwsze zebranie Rady odbyło się 15 czerwca w Józefowie pod Warszawą. Zaraz na wstępie uderzył mnie lekceważący stosunek młodych do starych i obecność kilku Żydów, którzy byli inspiratorami schowania postulatu niepodległości do archiwum. Szczególnie raziła mnie fanfaronada Buyny, popisującego się magazynami z nabojami w kieszonkach kamizelki, choć wiadomym było, że w akcji bojowej udziału nie brał. Zebranie w porównaniu z dawnymi zjazdami było dwa razy liczniejsze, ale brak było tego serdecznego koleżeństwa, które cechowało daw-

nych mężów zaufania, zastąpionych teraz przez delegatów wydziałów i okręgów, mało się znających.

Na porządku dziennym było wiele spraw, obrady trwały trzy dni, co dzień w innym miejscu. W dyskusji czuć było, że odbywa się jakaś walka podjazdowa, ale niewiele z niej pozostało mi w pamięci. Całą uwagę miałem zwróconą na sprawę stosunku do rewolucjonistów rosyjskich, do których zawsze odnosiłem się pesymistycznie, a tutaj panował przesadny optymizm. Jakiś nowy członek C. K. R. dowodził, że ruch w Polsce może być tylko częścią składową ogólnopaństwowej rewolucji; celem powinno być przekształcenie państwa rosyjskiego na zasadach federacyjnych, nie zaś oderwanie się od Rosji; myśl o powstaniu narodowym należy odrzucić jako utopię. Starzy z Piłsudskim na czele nie kwestionowali faktu wzmożenia się sił rewolucyjnych w Rosji i potrzeby odpowiednich zmian w taktyce na dziś, ale nie mogą one iść tak daleko, żeby wystawiać postulat federacji z Rosją zamiast niepodległości. Wzrost sił w Rosji może okazać się przejściowym, a nas czeka długa walka, której pomyślny wynik więcej zależy od okoliczności zewnętrznych niż od układu sił w Rosji. Kłamstwem było twierdzenie, jakobyśmy chcieli urządzać powstanie zaraz; prawdą było tylko to, że nie chcieliśmy wyrzekać się powstania i uważaliśmy za potrzebne poważnie przygotować się do niego.

Żadne argumenty nie mogły powstrzymać młodych od zupełnego zsolidaryzowania się z ruchem rosyjskim. Większością 21 głosów przeciwko 13 uchwalili deklarację polityczną, z której cytuję dwa ustępy: „Rada uważa, że powinniśmy zmierzać do zespo-

lenia ruchu rewolucyjnego całego proletariatu we wszystkich częściach państwa rosyjskiego... Rada uważa, że hasłem na dziś powinno być obalenie samowładztwa i przekształcenie ustroju obecnego imperium rosyjskiego z usamodzielnieniem naszego kraju. Usamodzielnienie to ma ustanowić zwołana do Warszowy na podstawie powszechnego, równego, tajnego i bezpośredniego głosowania konstytuanta, równoległa do konstytuanty petersburskiej, w porozumieniu z tą ostatnią".

Po tej uchwale Piłsudski podał się do dymisji z C. K. R. Zarządzono nowe wybory, w wyniku których weszło do C. K. R. 3 Żydów (Horwitz, Kon, Sachs) i 2 Polaków (Buyno i Rutkiewicz).

Wracałem z Warszawy do domu jak struty. Postanowiłem wystąpić z P. P. S. i utrzymywać stosunki osobiste tylko ze starymi towarzyszami. Upadł mój projekt przeniesienia się z rodziną do Galicji, bo przy obecnym stanie rzeczy nie mogło być mowy o jakiejkolwiek współpracy z partią, a na instruktora do wydziału bojowego, utrzymanego w rękach starych, zupełnie nie nadawałem się. Stosunki z Japończykami skończyły się z chwilą rozpoczęcia rokowań pokojowych. Nie pozostawało nic innego, jak dalej pracować w drukarni Czertkowa albo przenieść się do Ameryki. Napisałem list do Aleksandra Dębskiego, który od kilku lat siedział w Nowym Jorku, żeby wyszukał jakie zajęcie dla mnie, bo na niepewne nie mogłem zaraz jechać z rodziną.

W tym czasie osłabła działalność wydawnicza tołstojowców. W drukarni pozostałem sam jeden, jako zecer i maszynista. Vesman wyjechał do Rygi, jako

emisariusz swojej partii. I u nich powstał rozłam na prawicę i lewicę, która związała się z grupą rosyjskich socjaldemokratów, nazywanych bolszewikami.

Znajomy inżynier (nazwiska zapomniałem), prowadzący kopalnię wosku ziemnego w Galicji, zwrócił się do mnie z prośbą o wyszukanie nabywcy w Anglii. Z nadesłanymi próbkami udałem się do paru firm w City. Próbki uznali za bardzo dobre, ale nie chcieli dalej traktować ze mną, gdy powiedziałem, że pochodzą z Galicji. Ponieśli straty na transportach stamtąd pochodzących; przysyłano parafinę gorszą niż próbki, na podstawie których zrobili umowę; nie dotrzymywano terminów, dlatego wyrzekli się wszelkich stosunków z Galicją. Gdy zapytałem o nazwiska dostawców, którzy narazili ich na straty, okazało się, że byli to sami Żydzi. Z parafiną stało się to samo, co z jajami z Polski. Żadna firma nie chciała ich sprowadzać, żeby nie narazić się klientom towarem w połowie zepsutym, źle opakowanym i brudnym. Żydzi, uchodzący u nas za wytrawnych kupców, w Anglii uważani byli za najbardziej zacofanych wschodnich handlarzy, mogli operować tylko na przedmieściach wśród najmniej wybrednej, biednej ludności. Pod wpływem własnych doświadczeń stawałem się antysemitą, zacząłem uważać Żydów za szkodników i w polityce, i w handlu.

W lecie mieliśmy niespodziewanego gościa z rodzinnych stron żony, młodego księdza Sawickiego. Służył w zakładzie salezjanów w Londynie, adres nasz dostał od swoich rodziców z Giedrojć. Przez niego zaprzyjaźniliśmy się z księdzem Kalinowskim, który również pracował u salezjanów i przyjeżdżał do

nas na wypoczynek nad morze. Dzięki niemu mogliśmy nareszcie ochrzcić nasze dzieci, bo w Christchurch nie było księdza katolickiego. Po powrocie do kraju ks. Kalinowski osiadł w Łodzi i stąd również zaglądał do nas w Warszawie.

Wiadomości o tym, co się dzieje w kraju, czerpałem głównie z gazet. Raz tylko przyjechał na pożegnanie z Utsunomiyą Jodko. Od niego dowiedziałem się, że w sierpniu cały C. K. R. oprócz Sachsa dostał się do więzienia. Malinowski i Piłsudski odbywali kurację w Zakopanem. Rada, zwołana dla uzupełnienia C. K. R., nie przyniosła nic nowego. Wniosek Jodki, wzywający do energiczniejszej propagandy niepodległości Polski, przepadł 12 głosami przeciwko 9. Młodzi, nazywani teraz lewicą, bojkotowali zawzięcie starych, nie dopuszczali ich ani do „Robotnika“, ani do „Gazety Ludowej“, wydawanej dla włościan. Zaczęli propagować ruch strajkowy na wsi. Byli w dalszym ciągu zwolennikami poddawania się żywiołom. Według nich zadanie rewolucjonistów polegało na nawoływaniu ludu do strajków i walki, a jak ta walka ma być prowadzona, o to ich głowa nie bolała; wszystko jakoś samo się ułoży. Niedawno „Robotnik“ wytykał to „Socjaldemokracji Królestwa Polskiego“, a teraz P. P. S. szła w jej ślady.

Angielskie gazety były przepełnione wiadomościami o wciąż wybuchających strajkach pod nagłówkiem „Rewolucja w Rosji“. W rzeczywistości był to zupełnie nieskoordynowany ruch żywiołowy, wymykający się spod kontroli wszystkich partii. Korzystali z tego nieraz prowokatorzy, przyspieszając lokalne wybuchy dla ułatwienia rządowi rozprawy z nimi. Na

każdy wybuch w Rosji P. P. S. zaraz odpowiadała wezwaniem do strajku powszechnego, choć na Radzie czerwcowej Piłsudski tłumaczył im, że strajkiem caratu się nie obali. Od lipca do końca roku naliczyłem cztery strajki powszechne w Warszawie. Mania strajkowania przechodziła wszelkie granice. Znajomy mechanik Anglik zaczął mnie drażnić kpinami, że niedługo Polacy przestaną jeść na złość rządowi rosyjskiemu. I Daszyński w Krakowie nie wytrzymał tego, ogłosił w „Naprzodzie“ list otwarty do C. K. R., potępiający nadużywanie strajku powszechnego, „który stał się jedynym środkiem na wszystkie dolegliwości i na długie lata zdemoralizował politykę polską“. Spotkała go za to ostra odprawa w nr 72 „Robotnika“. Lewicę ogarnął owczy pęd, którego nie mogły powstrzymać żadne argumenty.

30 października ogłoszono manifest konstytucyjny cara. Dowcipni chłopcy, sprzedający gazety na ulicach Warszawy, krzyczeli: „manifest fest mani“, jednak rosyjscy rewolucjoniści dali się wywieść w pole, zaczęli występować jawnie na wiecach i zebraniach, co ułatwiło żandarmom ich wyłapanie i zgniecenie rewolucji.

Carat triumfował nawet w opinii zagranicy. Anglikom imponowało to, że Rosja wytrzymała parotygodniowy strajk poczt i kolei, bez których Anglik nie może obejść się nawet 3 dni. Objeżdżający w tym czasie zachodnią Europę minister skarbu Kokowcew, dla uzyskania pożyczki, wyjaśnił kapitalistom tajemnicę siły caratu: „Panowie zapominacie, że naród rosyjski umie głodować“.

W grudniu Jodko zaczął wydawać w Krakowie

niezależny tygodnik „Nowe Życie“ i zwrócił się do mnie z propozycją zajęcia się na nowo działalnością polityczną. „Bardzo ważną placówką będzie — pisał — organizowanie klubu politycznego warszawskiego z filiami we wszystkich cyrkułach. To jest przyszła forma naszej organizacji i dziś już należałoby ją tworzyć na wpół jawnie, tymczasem nie widzę, kto by to robił, jak nie Ty. Warszawiacy to prędzej czy później zrobią, ale źle i my do tego dostępu nie będziemy mieli. Proponuję Ci więc najprzód przyjazd tu (Kraków) i do Warszawy na parę dni dla rozejrzenia się, później zaś przeniesienia się na stałe“.

Powrót do działalności politycznej po świeżych rozczarowaniach nie uśmiechał mi się wcale. Postanowiłem iść inną drogą, zająć się tworzeniem zrzeszeń robotniczych. „Jest to moim zdaniem — pisałem do Jodki — przy obecnym stanie rzeczy najważniejsza rzecz, bo prowadzi do usamodzielnienia tych chaotycznych dziś rzesz i oparcia z czasem ich polityki na trwalszych podstawach, niż obecne falowania pod wpływem zręcznej mówki lub osobistych sympatii“. Miałem na myśli przede wszystkim zakładanie związków zawodowych za przykładem angielskich trade unionów, zupełnie niezależnych od partii politycznych.

W styczniu 1906 r. dowiedziałem się, że konsulat rosyjski w Londynie wydaje emigrantom paszporty na powrót do kraju bez żadnych upokarzających formalności. Zaraz skorzystałem z tego, prędko zlikwidowałem mieszkanie w Southbourne, a archiwum P. P. S. oddałem na przechowanie Wojniczowi, który miał antykwariat w Londynie. 25 stycznia ruszyłem

z całą rodziną do Wilna przez Wierzbołów, po raz pierwszy legalnie. Na komorze panował niezwykły liberalizm, kufry moje przepuszczono bez otwierania. Byłem przygotowany na długą rewizję i indagacje, tymczasem wszystko poszło bardzo gładko, o nic mnie nie pytano, jakbym był zwykłym przejezdnym.

Mieliśmy zamiar jechać wprost do rodziny w Kupryszkach, ale musieliśmy zatrzymać się w Wilnie, ponieważ mały Edmund był ciężko chory i należało go podleczyć przed wyjazdem na wieś. Nająłem dwa pokoje na Snipiszkach, żeby być najdalej od dawnego nielegalnego mieszkania na Nowym Świecie i nie narazić się na spotkanie z ludźmi, którzy mogliby poznać we mnie dawnego Paszkiewicza, skompromitowanego w czasie dawnych aresztowań 1900 r.

W Wilnie nie widać było zmian na lepsze. Na poczcie w dalszym ciągu wisiało ogłoszenie, zabraniające mówić po polsku. Po ostatnim strajku powszechnym panowała dawna cisza, żadnych wieców i zebrań nie urządzano. Obawiano się pogromu ze strony „czarnej sotni", organizowanej przez żandarmów i policję. Zanosiło się na długą reakcję. W centrum Rosji widoczny był upadek sił rewolucyjnych, wyczerpanych ciągłymi strajkami i krwawymi represjami. Poza zamożnym ziemiaństwem i mieszczaństwem nikt nie wierzył, żeby zwołana na 10 maja Duma państwowa mogła przynieść jakąś poważniejszą dla Polaków zmianę panujących stosunków. Kolportowano odezwy, nawołujące do bojkotowania wyborów do Dumy. Był to jedyny znak istnienia radykalnej opozycji.

Mnożyły się tajne szkółki polskie. W drodze do Kupryszek na popasie w Podbrzeziu dowiedziałem

się o oryginalnym sposobie rugowania szkoły rosyjskiej przez miejscowych włościan. Uchwalali tak niską pensję dla nauczycieli naznaczanych przez władze rosyjskie, że żaden z nich nie mógł z niej wyżyć i uciekali ze wsi. Natomiast składano się na sprowadzenie rzemieślnika Polaka, krawca albo szewca, żeby tajnie uczył dzieci czytać i pisać po polsku.

Czekając na wyzdrowienie Edmunda, rozpisywałem listy do znajomych w Kongresówce w celu otrzymania jakiego zajęcia. W uniwersytecie przez dwa lata studiowałem chemię i pracowałem w laboratorium, więc myślałem, że dostanę się do jakiej fabryki albo cukrowni, gdzie pracowali moi koledzy z wydziału przyrodniczego. Odpowiedzi były nie pocieszające: wszędzie wymagano dyplomu. Musiałem szukać jakiegoś innego zajęcia. Zostawiłem żonę w Kupryszkach, a sam pojechałem do Warszawy. Tutaj zaczął się nowy okres mego życia.

V

W RUCHU SPÓŁDZIELCZYM

1906—1914

Poszukując zajęcia zarobkowego w Warszawie chciałem w wolnym czasie pomagać w organizowaniu związków zawodowych, które teraz mogły powstawać jawnie na podstawie nowych przepisów o stowarzyszeniach. Od znajomych z P. P. S. dowiedziałem się, że akcją zakładania związków zawodowych w Warszawie kieruje z jej ramienia Szapiro. W rozmowie z nim doszedłem do przekonania, że mój plan stworzenia jednolitego ruchu zawodowego, zupełnie niezależnego od partii politycznych, nie może być zrealizowany. Szapiro, zawzięty marksista, zgadzał się na bezpartyjność związków zawodowych z zastrzeżeniem, że muszą opierać się na zasadach walki klasowej i międzynarodowej solidarności proletariatu. Postulat taki w zarodku niweczył możliwość zjednoczenia związków zawodowych za przykładem angielskich trade unionów. Obok związków klasowych, zakładanych przez P. P. S., socjaldemokratów i Bund, powstawały związki robotników chrześcijańskich i narodowców, odrzucające postulaty socjalistyczne.

W moim rozumieniu bezpartyjność związków powinna była wyrażać się w niepoddawaniu ich żadnej

kontroli z góry, pozostawieniu im całkowitej samodzielności w określaniu metod i środków poprawienia położenia zależnie od stanu świadomości członków. Przy partyjnym zacietrzewieniu, spotęgowanym przez nadużywanie strajków w 1905 r., cel ten stał się nieosiągalny. Daremnym trudem było przekonywanie, że związki, zakładane przez różne partie, zrażą masę robotników, będą wlec żywot suchotniczy, jako twory niesamodzielne. Musiałem wyrzec się myśli współdziałania na tym polu.

Przebywający w tym czasie w Warszawie Abramowski zwrócił moją uwagę w kierunku pracy społecznej na innym polu. Z jego inicjatywy powstał w 1905 r. Związek Towarzystw Samopomocy Społecznej, łączący stowarzyszenia stojące poza partiami politycznymi. Pierwsze miejsce wśród nich miały zająć stowarzyszenia spółdzielcze, jako najlepsza szkoła samopomocy i uspołecznienia robotników i włościan. W tym celu Abramowski utworzył w Związku Towarzystw osobną sekcję, która przekształciła się w Towarzystwo Kooperatystów, zajmujące się krzewieniem idei i praktyki kooperacji.

Założenia Abramowskiego, przyjęte przeze mnie i rozwijane w dalszej działalności, streszczały się w następujących tezach:

1. Rewolucja może dać jedynie polityczne ramy demokracji, duchowa treść ich rodzi się w praktyce życia codziennego. Nie można wychować prawdziwej demokracji tylko na arenie politycznej, ponieważ sfera oddziaływania na pojedyncze jednostki jest tutaj bardzo wąska i mało jest sprawdzianów moralnej wartości jednostek, wysuwających się na przewód-

ców. Prawdziwa demokracja powstaje nie z organizacji dla walki, lecz z organizacji samorządu i samopomocy społecznej, rozwijającej ducha samodzielności i solidarności, bez zacieśniania jej do granic partyjnych czy klasowych. Dlatego pierwszym krokiem na drodze politycznego odrodzenia narodu powinno być wytwarzanie samodzielnej kultury, opartej na samorządzie i zrzeszeniach wzajemnej pomocy. W nich typ niewolniczy, chodzący dotąd luzem lub w stadzie, jako bierny pionek w rękach przewódców i biurokracji, przekształca się na typ demokratyczny, umiejący zbiorowo ulepszać życie z pełnym poczuciem odpowiedzialności i obowiązków społecznych.

2. Stowarzyszenia spółdzielcze podnoszą kulturę gospodarczą i dobrobyt materialny ludu przez wprowadzanie nowych metod gospodarzenia i usuwanie wszelkiego marnotrawstwa i wyzysku w wymianie i produkcji. Ułatwiają nagromadzanie oszczędności ludowych, które mogą być użyte na spotęgowanie sił wytwórczych i dalszy rozwój instytucji wzajemnej pomocy. Nie ma lepszego środka pozyskania potrzebnych nam kapitałów niż własna oszczędność. Dlatego stowarzyszenia muszą zwalczać lekkomyślne życie na kredyt, niweczące indywidualne i zbiorowe oszczędzanie — myśl o przyszłości.

3. Stowarzyszenia spółdzielcze stanowią ewolucyjne przejście do doskonalszego ustroju ekonomicznego, opartego na zharmonizowaniu wszystkich czynników powstawania bogactwa. Wprowadzając sprawiedliwy podział zysku odpowiednio do położonych zasług, usuwają możność zawłaszczania owoców cudzej pracy i podział ludzi na wyzyskujących i wyzyskiwanych,

kapitalistów i proletariuszy. Ograniczając procent od kapitału i nagromadzając kapitały społeczne, stowarzyszenia nie mają na celu zniesienia własności prywatnej, jak to głosili przeciwnicy spółdzielczości, lecz prowadzą do jej uspołecznienia i upowszechnienia, ograniczenia przerostów szkodliwych dla dobra powszechnego.

Dzięki Abramowskiemu moje refleksje, snute na emigracji pod wpływem własnych doświadczeń i obserwacji życia Anglików, skrystalizowały się teraz w decyzji zajęcia się w całości pracą krzewienia spółdzielczości. Ona najskuteczniej przeobrażać będzie ludzi i życie w reformach drobnych, usuwać sztuczny podział spraw na powszednie i odświętne, materialne i idealne, wychowywać doskonalszy typ Polaka, nie pełzający po ziemi i nie bujający w obłokach. Przestałem szukać zajęcia zarobkowego, postanowiłem na własne ryzyko założyć tygodnik, poświęcony sprawom kooperacji, choćby znowu wypadło stanąć przy kaszcie i być równocześnie redaktorem i zecerem, jak to nieraz zdarzało się na emigracji.

Towarzystwo Kooperatystów nie miało jeszcze charakteru osoby prawnej i nie rozporządzało żadnymi funduszami dla podjęcia działalności wydawniczej. Skromne jego środki wyczerpało wysłanie 4 nauczycieli na Śląsk i Morawy w celu nauczenia, jak prowadzić ludowe stowarzyszenia spółdzielcze. Jodko pomógł mi pożyczką, a drukarnia Rubieszewskiego udzieliła kredytu dwumiesięcznego. Główni współpracownicy, Abramowski i Mielczarski, nie wymagali honorarium za swoje artykuły. Dr Radziwiłłowicz, znajomy z czasów nielegalnego pobytu w kraju, zgo-

dził się podpisywać tygodnik, jako wydawca i redaktor, ponieważ na zewnątrz nie mogłem jeszcze występować w tym charakterze, jako niedawny rewolucjonista. Dopiero w lutym 1910 r. zacząłem podpisywać tygodnik, jako wydawca i redaktor, a w 1915 r. wydawnictwo przejął Związek Stowarzyszeń Spożywczych.

Na emigracji stykałem się z działalnością spółdzielni pobieżnie. Sprowadziłem teraz książki, traktujące o kooperacji, i z zapałem zająłem się gruntownym przygotowaniem do nowej pracy. W końcu lata przyjechała żona z dziećmi z Kupryszek, mieszkanie najęliśmy na ulicy Wspólnej pod nr 79. Tutaj również mieściła się redakcja i administracja tygodnika. Początkowo sam byłem ekspedientem, adresowałem numery i odnosiłem na pocztę, co nowi znajomi uważali za poniżanie godności redaktora. W Warszawie panowały jeszcze staroświeckie uprzedzenia: nosić paczki samemu „nie wypada".

Za poradą Żeromskiego nadałem tygodnikowi nazwę „Społem". Jako dewizę pod tytułem umieściłem cytatę z Ody do młodości: W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele. W rozesłanym prospekcie mówiłem: „Choć słyszymy głosy, że w chwili obecnej wszystko inne, aniżeli walka, oczekiwanie reform z góry, powinno zejść na bok, za obowiązek sobie poczytujemy podjąć pracę w innym kierunku, dotąd u nas zaniedbanym, a dziś mającym wszelkie widoki rozwoju nie krępowanego. Tą inną drogą, drugim łożyskiem pracy dla dobra publicznego jest zrzeszanie się dla celów zbiorowej samopomocy... Nie kierują nami żadne względy postronne. Nie chcemy i nie bę-

dziemy służyć za narzędzie żadnej partii czy klasie... Wszelkie kwestie polityki i walki z programu naszego są wykluczone, nie masz więc tutaj przyczyn do rozdźwięku, dzielącego dziś ludzi na wrogie sobie obozy partyjne... Torując drogę dla planowej i systematycznej działalności kooperacyjnej w kraju naszym, zarówno w miastach jak i wśród ludności wiejskiej, czujemy dobrze, że nie dość jest nawet najlepiej pismo redagować, podawać dokładne informacje i wzory doskonałe — trzeba jeszcze całego zastępu bezinteresownych pracowników inteligentnych, którzy by na miejscu dawali inicjatywę, słowem i czynem pomagali powstającym zrzeszeniom spółdzielczym. Skromna to, niegłośna dziedzina pracy, nie dająca zmian natychmiastowych, tym niemniej zapewnia istotne zadowolenie moralne, płynące z przekonania, że wypełniamy swój obowiązek obywatelski i zakładamy trwałe podstawy ekonomicznego i kulturalnego rozwoju naszego ludu“.

Nr 1 „Społem“ wyszedł 6 października 1906 r. Odtąd nie miałem chwili wolnej. W prospekcie zapowiedziałem, że pismo zajmować się będzie teorią i praktyką, główny dział stanowić będą praktyczne wskazówki dla członków i kierowników wszelkich zrzeszeń spółdzielczych. Nie wyobrażałem sobie, że sprowadzi to taki nawał zajęć. Pokój redakcyjny od razu zamienił się w biuro porad, oblęgane przez inicjatorów zrzeszeń, żądających szczegółowych wskazówek. Nie byłem przygotowany na taką popularność kooperacji w Polsce.

Przed rozpoczęciem wydawnictwa byłem u Bolesława Prusa i Aleksandra Świętochowskiego, aby za-

sięgnąć ich zdania o możliwościach ruchu spółdzielczego w Kongresówce. Obydwaj pochwalali moje zamiary, ale nie rokowali powodzenia, wskazując na wady narodu szlacheckiego: niechęć do organizacji i lenistwo. Pozostały mi w pamięci słowa Świętochowskiego, że Polak gotów jest rzucić się do Wisły, żeby ją wypić, jeżeli upatrzy w tym zbawienie Polski, ale nie zgodzi się dla tego samego celu co dzień chodzić do Wisły i wypić szlankę wody. Równie pesymistyczna była opinia Prusa. Odtwarzam ją z jego Kroniki: „Nasze spółki ledwie dyszą, a jeżeli nie pomarły dotychczas, to tylko z obawy, że nie byłoby im za co pogrzebu chrześcijańskiego wyprawić... My wszyscy jesteśmy ludźmi „szerokich poglądów“, „niezmiernych poświęceń“, „wielkich działań“. Każdemu łatwiej (we własnym przekonaniu) kierować państwem lub armią, aniżeli jednokonną biedką. Każdy dla wielkiego celu pozwoliłby sobie głowę uciąć, zapominając, niestety, że dotychczas nie mógł się zdobyć na regularne strzyżenie włosów... Spod wielu owych poglądów szerokich wyszczerza zęby zwykłe, barbarzyńskie lenistwo“.

Z powodu tych pesymistycznych uwag umieściłem w nr 1 artykuł „Czyśmy niezdolni?“ Przytoczyłem w nim odmienne zdanie Wolffa, który po zwiedzeniu polskich spółek w Wielkopolsce na kongresie angielskich kooperatystów w Birmingham powiedział, że Polacy są urodzonymi kooperatystami (born cooperators).

Mimo nie zachęcającego przykładu wegetujących w Kongresówce spółek, zaczął się jednak i tutaj ruch spółdzielczy naprawdę zdrowy. Nie był to przysło-

wiowy słomiany ogień. Zainteresowanie kooperacją i budowa nowych spółdzielni wzrastały nieustannie. Złożyło się na to wiele przyczyn, między innymi i porewolucyjne rozczarowania, jak w Anglii po upadku ruchu czartystów, ale przede wszystkim to, że do pracy spółdzielczej stanęli teraz włościanie i robotnicy. Przedtem spółki opierały się na inteligencji, łatwo zapalającej się, ale równie łatwo gasnącej.

Liczba prenumeratorów „Społem“ z 40 w pierwszym miesiącu podniosła się w końcu kwartału do 500, a w następnym do 800. Jeszcze szybciej rosła liczba zgłaszających się o wskazówki albo przyjazd na miejsce dla pouczenia członków. Jak za czasów studenckich, kiedy prowadziłem kółka oświatowe, nie miałem teraz wolnej niedzieli, musiałem w dniu tym jeździć na zebrania i odczyty. Potrzebnym stało się osobne biuro informacyjne, bo praca przerastała siły jednostki. W dawaniu wskazówek pomagał mi doświadczony prezes stowarzyszenia pracowników kolei warszawsko-wiedeńskiej, Antoni Mędrecki, ale zajęcia służbowe nie pozwalały mu wiele czasu na to poświęcać. Mielczarski pochłonięty był stawianiem na nogi spółki „Urania“, założonej w celu zaopatrywania powstających w tym czasie szkół polskich w pomoce naukowe. Poza pisaniem artykułów o rachunkowości i polityce handlowej stowarzyszeń, nic więcej na razie zrobić nie mógł. Pocieszałem się nadzieją, że będzie można zaangażować instruktora, gdy Towarzystwo Kooperatystów wzmoże się na siłach.

Statut Towarzystwa zarejestrowano 9 listopada 1906 r. Na podstawie jego Towarzystwo mogło utrzy-

mywać biuro informacyjne, urządzać konferencje i zjazdy przedstawicieli stowarzyszeń spółdzielczych, organizować oddziały i zakładać instytucje pomocnicze. Na zebraniu organizacyjnym w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa zapisało się 30 nowych członków. Do Rady Towarzystwa powołano Edwarda Abramowskiego, Stanisława Berenta, dr Pawła Jankowskiego, Antoniego Mędreckiego, dr Antoniego Natansona, Leona Supińskiego i Alojzego Wierzchlejskiego. Do zarządu — Mielczarskiego, Radziwiłłowicza i mnie.

W tym czasie, niezależnie od Towarzystwa Kooperatystów, odbywały się prowincjonalne zjazdy spółek wiejskich w Łomży, Turku, Kaliszu, Łodzi, Makowie, Żyrardowie, Lublinie. Wszystkie za najpilniejszą sprawę uważały tworzenie związków dla zakupów hurtowych, ale miały mało szans zrealizowawania ich, ponieważ hurtownia z natury rzeczy wymagała szerszej podstawy i większego kapitału, niż to mógł dać lokalny związek kilkunastu spółek. W „Społem" ogłosiłem projekt statutu Stowarzyszenia Współdzielczego Dostaw Hurtowych, opracowany na posiedzeniach Towarzystwa Kooperatystów według wzoru podobnej organizacji w Anglii (Cooperative Wholesale Society). Według tego projektu dla rozpoczęcia działalności należało zebrać co najmniej 15 000 rb. ze sturublowych udziałów od każdych 20 członków stowarzyszenia. Z mniejszą liczbą członków i mniejszym kapitałem nic poważnego stworzyć nie było można.

Na pierwszą naradę, zwołaną w tej sprawie przez Towarzystwo, przybyło 13 delegatów od 12 stowarzy-

szeń. Delegaci wiejscy oświadczyli, że proponowany udział 100 rubli od każdych 20 członków jest dla wielu spółek wprost niedostępny, ponieważ same one opierają się na pięciorublowych udziałach. Wobec tego uznano za minimum, nadające prawa członka hurtowni, wpłatę po rublu od członka. Dalsze wpłaty na udział miały być uskuteczniane ratami i z dywidendy od zakupów w hurtowni, dopóki na rachunku stowarzyszenia nie zbierze się suma odpowiadająca 5 rb. od członka.

Na drugą naradę, zwołaną dla ostatecznego zatwierdzenia projektu statutu, stawiło się już 37 delegatów od 26 stowarzyszeń, między innymi ks. Wacław Bliziński z Liskowa i ks. Romuald Jałbrzykowski z Sejn, obecny arcybiskup wileński. Po zatwierdzeniu projektu zebrani wyrazili życzenie, żeby do czasu zalegalizowania hurtowni Towarzystwo Kooperatystów utworzyło biuro zakupów. Nazajutrz zebrali się delegaci wiejskich spółek, zaproszeni przez ks. Grabowskiego z Turku, i oświadczyli, że nie mogą czekać na legalizację hurtowni, gdyż od szybkiego ułatwienia zakupów zależy ich przyszłość, dlatego proszą Towarzystwo, żeby wynalazło jaki prędki sposób zaspokojenia ich potrzeb, choćby przez prywatną firmę pod kontrolą Towarzystwa.

Pod naciskiem tych żądań Rada i Zarząd Towarzystwa uznały, że najodpowiedniejszą formą takiej tymczasowej instytucji będzie ajentura handlowa, pozostająca pod zarządem komisji, której do pomocy przydany będzie ajent. Do komisji powołano Mędreckiego, Mielczarskiego i Pruszaka; na ajenta zaangażowano Tadeusza Krąkowskiego, który skończył

szkołę handlową w Hamburgu. Potrzebny fundusz uzyskano przez zaciągnięcie pożyczki w Banku Handlowym za poręką członków Towarzystwa, lokal wynajęto na ulicy Nowogrodzkiej pod nr 42.

Ajentura rozpoczęła czynności w lutym 1907 r. Po 6 miesiącach komisja, powołana dla czuwania nad jej działalnością, doszła do przekonania, że przy małym zainteresowaniu większych stowarzyszeń i słabym wyrobieniu handlowym mniejszych, ajentura nie może należycie spełniać swego zadania i dawać będzie straty. Większość zamówień wiejskich spółek nie podobna było wykonać w sposób ajenturowy, a mały kapitał obrotowy (Towarzystwo pożyczyło 1300 rb., spółki 940 rb.) nie pozwalał rozwinąć operacji składowych. Prowizje od drobnych zamówień, często zawierających kilkadziesiąt pozycji na ogólną sumę około 100 rb., nie mogły pokrywać kosztów utrzymania ajentury. Wobec tego komisja postanowiła ajenturę zamknąć, a środki, zużywane na pokrywanie jej niedoborów, zużytkować na danie spółkom wiedzy umiejętnego prowidowania się. Stratę pozostałą po ajenturze (1075 rb.) Towarzystwo przyjęło na swój rachunek.

Ta pierwsza próba, dokonana pod naciskiem wiejskich spółek, dała nam wiele cennych wskazówek dla oparcia przyszłej hurtowni na niewzruszonych podstawach. Szerzący się z żywiołową siłą ruch spółdzielczy, przy małej jeszcze znajomości techniki handlu, potrzebował przede wszystkim wytężonej pomocy instrukcyjnej dla usuwania błędów w gospodarce spółek i przygotowania ich do należytego korzystania z usług hurtowni.

„Społem“ i Towarzystwo Kooperatystów miały na celu pomaganie spółdzielniom wszelkiego typu, a w rzeczywistości zajęły się głównie wysuwającymi się w tym czasie na pierwsze miejsce spółdzielniami spożywców. W ciągu niespełna roku powstało ich przeszło 300, w tym więcej niż połowa wśród ludności wiejskiej. Zakładane uprzednio przez oświeconych rolników spółki włościańskie miały na celu nabywanie lepszych nasion, narzędzi i nawozów sztucznych, jednak przy niskim stanie oświaty rolniczej i karłowatości gospodarstw szybko przekształcały się w sklepy z artykułami spożywczymi. Zachodziła obawa, żeby znaczna część żywiołowej siły, tkwiącej w tym ruchu, nie została zmarnowana tak, jak to miało miejsce w Małopolsce, gdzie Kółka rolnicze przekształciły się w wegetujące sklepiki, ponieważ nie postarano się dość wcześnie skierować tego ruchu na drogę właściwej organizacji. Dlatego w Kongresówce rychło nastąpił podział pracy: Centralne Towarzystwo Rolnicze utworzyło u siebie biuro porad dla spółek rolniczych, Komisja Współdzielcza przy Towarzystwie Popierania Przemysłu i Handlu zajęła się spółdzielniami kredytowymi w miastach, a Towarzystwo Kooperatystów — spożywczymi miejskimi i wiejskimi. „Społem“ przez pewien czas było też organem Komisji Współdzielczej.

Na terenie miejskim trzeba było zwalczać kontragitację, prowadzoną przez socjalistyczną lewicę. Z tego powodu w artykule „Nasza droga“ mówiłem: „Dość mamy pięknych obrazów „państwa przyszłości“ — dziś czynów, czynów chcemy. Daleko bliższym urzeczywistnienia nowego ustroju jest zakładanie

instytucji samopomocy i spółdzielczości niż oczekiwanie w buntowniczym skupieniu tej ułudnej chwili, która za jednym powiewem wiosny stworzy warunki nowego życia. Nowe życie tworzyć musimy dziś, krok za krokiem w jego szarych codziennych przejawach, a nie zapewniać siebie i innych, że je kiedyś stworzymy... Do bohaterskich wysiłków dla dobra ogólnego jest zdolną tylko niewielka mniejszość ludzi i wysiłki te są krótkotrwałymi. Na nich opierać nadziei przebudowy dzisiejszych społeczeństw, w ciągu wieków kształtujących się, nie podobna. Mogą one burzyć, łamać pewne przeszkody na drodze ku przyszłości, ale tworzyć nowych, trwałych form współżycia nie mogą, bo same nie są trwałymi. Ażeby nowy świat — owo Królestwo Boże, o które od dzieciństwa się modlimy — przestał być utopią, marzeniem, musimy dziś zakładać jego fundamenty i w tych drobnych instytucjach samopomocy spółdzielczej składać dowody, że do wymagań tego lepszego świata dorastamy, stajemy się umysłowo i moralnie wyżsi i potrafimy swój egoizm godzić z interesami naszych bliźnich bez przymusu, jedynie z popędu dobrej woli z rozumu płynącej". („Społem" 1906 r. nr 12).

Najlepiej program nasz wyjaśniał Abramowski w licznych artykułach, wydanych następnie w dwóch broszurach: „Idee społeczne kooperatyzmu" i „Kooperatywa jako sprawa wyzwolenia ludu pracującego". W zakończeniu tej ostatniej pisał: „Ważną sprawą, którą kooperatyzm rozstrzyga, jest oswobodzenie się od przewagi kapitałów obcych i przemysłu obcego, a specjalnie: oswobodzenie od zależności ekonomicznej, w jakiej jesteśmy w stosunku do żywiołów

napływowych, obcych narodowi polskiemu i idących wyraźnie przeciw niemu. Aby wyzwolić się od tego niewolnictwa ekonomicznego i uzyskać zupełną samodzielność w tej sferze, samodzielność tak niezbędną dla rozwoju każdego narodu, do tego nie wystarczą organizowane czasowo bojkoty towarów obcych, ani napomnienia i moralizowania polskiego społeczeństwa. Jedyny środek na to, niezbędny i pewny, jest to zawładnięcie rynkiem krajowym przez organizacje ludowe, zawładnięcie całkowite, w miastach i po wsiach, a to się robi właśnie przez kooperatywy... Dla innych narodów kooperatyzm jest tylko siłą dalszego rozwoju społecznego w kierunku sprawiedliwości; dla nas zaś jest czymś więcej, bo jest także siłą obrony narodowej, siłą mogącą ustrzec przed zagładą i zniszczeniem“.

Podług spisu jednodniowego 1897 r., opracowanego przez Wacława Kryńskiego, udział Polaków w handlu zbożem wynosił 5%, w handlu innymi produktami rolniczymi nie przekraczał 10%, w handlu przedmiotami użytku domowego 14%, w pośrednictwie handlowym 17%. W ogóle panami w handlu byli Żydzi, nie cofający się przed żadnymi środkami, żeby utrzymać swój stan posiadania. Na zebraniu Towarzystwa Kooperatystów w lutym 1908 r. podałem fakty wrogiego zachowania się na prowincji Żydów, uciekających się do denuncjacji, a nawet terroru dla powstrzymania dążenia ludu do samodzielnego prowadzenia handlu. W odpowiedzi jednemu oponentowi zaznaczyłem, że nie widzę potrzeby zwalczania antysemityzmu w spółkach, ponieważ wynika on nie z pobudek rasowych, lecz z nienaturalnego układu stosunków handlowych w naszym kraju.

Nie ominęły nas nawet wyroki śmierci z tej strony. Przytaczam tutaj anonimową pogróżkę, otrzymaną w czasie, kiedy pomagałem robotnikom fabryki Rudzkiego w Mińsku Mazowieckim założyć stowarzyszenie spożywcze. Ortografię tego dokumentu, ogłoszonego w nr 5 „Społem“ 1907 r., zachowuję w całości: „Doniesiono nam że wy jeden z głuwnych przycyńców do urządzenia sklepu wzajemnego, zasłaniacie robotnikom oczy fałszywymy faktamy, pomimo że robotnicy nie będą mieli z tego korzyści, jest to przeciwnie interesu proletariatu tym chciecie go odwrucicz od walki klasowej i przywlec go aby miał cóż wspulnie z drobnym przemysłem takiem sposobem pomagacie stłumić rewolucyi, zawiadamiamy wam jeżeli tylko będzie ten szklep wykonany postąpiemy z wamy jako główne przyczyńcy jak z satrapamy którzy przeszkadzają rewolucyi i wykonamy zasłużonej wam szmierci“. Pod tym była czerwona pieczęć z napisem w otoku: „Komitet robotniczy w Warszawie“, a pośrodku: „Bojowej organyzacyi“. Podobne groźby żydowskiego pochodzenia otrzymywali i działacze na prowincji, szczególnie w okresie tworzenia Związku Stowarzyszeń Spożywczych.

Od 1 lipca 1907 r. musiałem przekształcić „Społem“ na dwutygodnik, żeby podołać pracy, jaką rozwijający się ruch wkładał na moje barki. Niezależnie od zwykłej korespondencji, związanej z prowadzeniem pisma, otrzymałem w ciągu pierwszego roku 727 listów z prośbą o wskazówki dla różnych spółek, przeszło drugie tyle zgłoszeń było załatwionych w lokalu redakcji osobiście. W ciągu tego roku miałem 55 odczytów w 36 miejscowościach i 17 razy wyjeżdżałem na zjazdy i zebrania organizacyjne. Lista

spółek, których adresy gromadziłem dla zebrania statystyki, wykazywała liczbę 670. Jeżeli dodać do tego około 100 sklepów robotniczych, założonych w postaci spółek komandytowych w Łodzi i okolicy, to otrzymamy obraz ruchu, którego potrzebom nie mogło podołać ani „Społem“, ani Towarzystwo Kooperatystów. Nie wątpiliśmy, że za 2—3 lata stowarzyszenia zdołają utrzymać potrzebny ośrodek informacyjny i lustracyjny; tymczasem trzeba było odwołać się do pomocy z zewnątrz.

Towarzystwo zwróciło się z odezwą do osób prywatnych o składanie ofiar na „Fundusz kooperacji“. Z zebranych w ten sposób w 1907 r. 1848 rb. wyasygnowano 1000 rb. na utrzymanie lustratora i 700 rb. dla mnie na zorganizowanie działu informacyjno-handlowego w „Społem“. Na lustratora Towarzystwo zaangażowało Feliksa Turowicza, który uprzednio pracował w Związku Stowarzyszeń we Lwowie. Ja uprosiłem Mielczarskiego, żeby się rozdwoił: połowę dnia pracował w „Społem“, a drugą połowę w „Uranii“, która już tak się wzmocniła, że nie musiał całego czasu jej poświęcać. Od początku 1908 r. stale pracowaliśmy razem nad zakładaniem fundamentów hurtowni, Mielczarski prowadził dział handlowy, ja organizacyjny. Turowicz niedługo pomagał, po kilku miesiącach został aresztowany za udział w tajnej drukarni „Robotnika“, ale zachował się tak konspiracyjnie, że nie pociągnęło to złych skutków dla nas.

Uzyskana w 1905 r. wolność stowarzyszania się nie dotyczyła spółdzielni. Mogły one nadal powstawać tylko na zasadzie pozwolenia gubernatora i dzia-

łalność ich szczegółowo normowały statuty, wydawane przez różne ministerstwa: dla spółdzielni kredytowych — ministerstwo skarbu, dla zarobkowych i wytwórczych — ministerstwo handlu i przemysłu, dla rolniczych — ministerstwo rolnictwa, dla spożywczych — ministerstwo spraw wewnętrznych. Na żadne związki spółdzielni nie pozwalano.

Wobec tego, po zlikwidowaniu ajentury w Warszawie, próbowano tu i ówdzie zakładać małe hurtownie na podstawie normalnego statutu stowarzyszenia spożywczego z mieszanym składem członków: spółek i drobnych sklepikarzy. Nie były one długotrwałe, prowadziły sprzedaż detaliczną i hurtową, wskutek czego spółki w dalszym ciągu rozdrabniały swoje zakupy, pozbawiając się możności osiągania niższych cen. Celem działu informacyjno-handlowego w „Społem“ było nauczyć stowarzyszenia robienia zakupów. W dziale tym Mielczarski dawał wiadomości z dziedziny towaroznawstwa, o zafałszowaniach, o jednostkach hurtowych obowiązujących dla otrzymania ceny fabrycznej, o stawkach przewozowych dla ładunków wagonowych i drobnicowych, kiedy najlepiej dany towar kupować i jakie są ceny w pierwszorzędnych firmach. W notowaniach cen zamiast nazwy firmy podawaliśmy jej numer w rejestrze, komunikowanym tylko zarządom tych stowarzyszeń, które lojalnie popierały naszą akcję poprawiania zakupów.

W 1907 r. Towarzystwo Kooperatystów pozyskało cennego członka w osobie Antoniego Donimirskiego, redaktora warszawskiego „Słowa“. Urodzony na Pomorzu, uczestnik pierwszych sejmików spółek w Wielkopolsce, był jednym z najbardziej wymow-

nych rzeczników potrzeby zorganizowania Związku Stowarzyszeń, nie pozwalał wątpić w możliwość jego urzeczywistnienia, mimo srożącej się dokoła reakcji i apatii. „Byleśmy mocno stali na gruncie ściśle ekonomicznym, rzecz da się zrobić“ — zachęcał, gdy zjawiały się wątpliwości. On był autorem odezwy Towarzystwa, nawołującej do zbierania „Funduszu kooperacji“ w celu utworzenia biura informacyjnego dla spółdzielni. Stał na czele komisji Towarzystwa, czuwającej nad działalnością tego biura, ułatwił uzyskanie pozwolenia na zwołanie pierwszego krajowego zjazdu stowarzyszeń w 1908 r. i jednogłośnie wybrany był na przewodniczącego.

Wystrzegaliśmy się zawsze bardzo stanowczo wszystkiego, co mogłoby nadać naszej działalności jakiekolwiek zabarwienie partyjne. Powołując na przewodniczącego zjazdu redaktora „Słowa“, organu stronnictwa konserwatywnego, nie baliśmy się posądzenia o naruszenie neutralności naszego ruchu, ponieważ Donimirskiego nikt nie mógł posądzić, że na stanowisku przewodniczącego będzie mieć na widoku wzmocnienie wpływów swego stronnictwa. Był żywym przykładem zupełnie bezinteresownego oddania się sprawie publicznej. Podeszły wiek nie ostudził w nim gorącego serca, nie plamił go cień samolubstwa, nie znał zwątpienia, krzepił nas swoją wiarą w lepszą przyszłość. Otwierając nasz pierwszy zjazd mówił: „Nie ludzie, których nazwiska są wam mało znane, zwołali was tutaj — zwołała was praca. Praca w kooperatywach może nas wszystkich połączyć razem bez względu na różnice, barwy i kierunki społeczne. Dlatego, otwierając zjazd dzisiejszy, mam to głębo-

kie przekonanie, żeśmy się zebrali tutaj dla dobrej sprawy, dla zachęcenia siebie wzajem ku pracy dla dobra kraju, który wszyscy zarówno tak bardzo i tak szczerze kochamy".

Przygotowywaliśmy się do zjazdu od początku roku, ponieważ miał spełnić dwa ważne zadania: 1) dać kierownikom stowarzyszeń niezbędną w ich działalności wiedzę przez urządzenie w czasie zjazdu odpowiednich wykładów, 2) rozstrzygnąć sprawę organizacji związku i hurtowni oraz różne kwestie sporne, jak zniesienie sprzedaży na kredyt, powiększenie udziałów w stowarzyszeniach, sprawę pracowników sklepowych i inne.

Dla powodzenia pracy należało przede wszystkim poznać stan stowarzyszeń i rozmiary ich zapotrzebowania na główne artykuły handlu. W tym celu wysłaliśmy do 670 stowarzyszeń kwestionariusz z odpowiednimi pytaniami. Otrzymaliśmy odpowiedzi od 268 stowarzyszeń, które wykazały 38 409 członków, 576 881 rubli kapitału udziałowego i 5 924 436 rb. rocznego obrotu towarowego. Na podstawie tych danych wnioskowaliśmy, że 670 stowarzyszeń posiada około 90 000 członków, milion rubli kapitału udziałowego i 10 milionów rubli obrotu rocznego, z czego prawie połowa przypadała na cukier, mąkę i kasze. Gdyby tylko połowa stowarzyszeń przystąpiła do związku, hurtownia miałaby obrót wystarczający na pokrycie kosztów handlowych i danie stowarzyszeniom poważnej oszczędności na ich zakupach. Na podstawie tych danych układaliśmy plany na przyszłość.

Uprzednio był zamiar, by za przykładem Anglików stworzyć dwie naczelne organizacje: Związek

dla celów instrukcyjno-lustracyjnych i Stowarzyszenie Dostaw Hurtowych w celach wyłącznie handlowych. Po powrocie z Moskwy i Petersburga, dokąd jeździłem, aby dowiedzieć się, w jaki sposób sprawę tę załatwili rosyjscy kooperatyści, doszedłem do przekonania, że przy ówczesnym reżimie plan nasz nie da się zrealizować. Dlatego postanowiliśmy założyć jeden związek, który by równocześnie był instrukcyjnym i handlowym.

Zjazd odbył się w końcu października 1908 r. z udziałem 423 delegatów z 248 stowarzyszeń spożywczych. Trwał 5 dni, ponieważ 3 dni zajęły wykłady i obrady w komisjach, przygotowujących wnioski na ogólne zebranie delegatów. Uchwalono, do czasu zalegalizowania Związku, utworzyć przy Towarzystwie Kooperatystów Biuro Informacyjne. Na utrzymanie jego stowarzyszenia opodatkowały się składką roczną, przyjętą dla Związku, po rublu od tysiąca rubli obrotu. Biuro miało opracować statut Związku i przedstawić go do zatwierdzenia delegatom stowarzyszeń, które zgłoszą przystąpienie do Związku. Kapitał zakładowy miał powstać z udziałów, deklarowanych przez stowarzyszenia w stosunku 5 rubli od członka, z czego zaraz płatnych będzie po rublu od członka. Biuru polecono obmyśleć środki, żeby niezwłocznie po zalegalizowaniu Związku hurtownia mogła rozpocząć działalność. Dla ułatwienia tej działalności przy stacjach kolejowych, dokoła których grupowała się dostateczna liczba stowarzyszeń, należało organizować wspólny zakup i odbiór towarów.

W innych sprawach zjazd uchwalił: 1) Stowarzyszenia, praktykujące sprzedaż towarów na kredyt,

powinny w ciągu roku na ogólnych zebraniach członków przeprowadzić uchwałę o zniesieniu kredytu, jeżeli chcą należeć do Związku. 2) Udziały członków w stowarzyszeniach nie powinny być niższe niż 10 rubli, z możnością wpłacania ratami, a dywidendę od zakupów członkowie powinni obracać na nabycie nowych udziałów. 3) Pracownikom sklepowym, oprócz wystarczającej pensji, należy wyznaczać pewien procent od obrotu i unormować czas ich pracy, tak żeby mieli dostateczny odpoczynek. (Nie było jeszcze prawa, ograniczającego czas pracy w handlu, i sklepy spożywcze były otwarte od 6 rano do 10 wieczór).

Na sekretarzy Biura Informacyjnego zjazd powołał Mielczarskiego i mnie, a do kontrolowania działalności Biura — Donimirskiego, ks. Chełmickiego, Stefana Dziewulskiego, Mędreckiego i Radziwiłłowicza.

Z dniem 1 stycznia 1909 r. Mielczarski opuścił stanowisko kierownika handlowego „Uranii“ i w całości, razem ze mną, zajął się wykonaniem uchwał zjazdu. Zgodnie z zadaniami przyszłego Związku działalność Biura miała na celu: 1) udzielanie stowarzyszeniom porad i lustrowanie ich na miejscu, 2) badanie warunków prowidowania się stowarzyszeń i skupianie zamówień na te towary, które można wykonać w sposób ajenturowy. W tym celu Biuro zawarło umowy z 20 firmami, które zobowiązały się dawać jednakowe rabaty dla stowarzyszeń związkowych. Jednocześnie zajmowaliśmy się urządzaniem okręgowych konferencji w celu organizacji wspólnych zakupów i przygotowania w ten sposób prowincjonalnych ogniw hurtowni związkowej.

Początkowo Biuro mieściło się przy redakcji „Społem“ na ulicy Wspólnej. Gdy czynności tak się rozrosły, że nie podobna było zmieścić się w jednym pokoju, Biuro przeniosło się do dwupokojowego lokalu na ulicy Zgoda 4. Co kwartał ogłaszaliśmy w „Społem“ sprawozdanie z działalności. W zestawieniu za cały 1908 rok wyraziła się ona w następujących liczbach: Biuro otrzymało 2225, wysłało 1906 listów, ustnych porad udzieliło przeszło 600; sekretarze wyjeżdżali 58 razy dla uczestniczenia w ogólnych zebraniach; lustracji dokonano w 116 stowarzyszeniach; konferencji okręgowych było 18, wzięło w nich udział 502 delegatów 233 stowarzyszeń; przez Biuro przeszło 1908 zamówień towarów, za co otrzymano 1740 rb. komisowego. Dochody Biura razem ze składkami stowarzyszeń wyniosły 7163 rb., wydatki 5756 rb., zaoszczędzone 1407 rb. odłożono na kapitał zapasowy przyszłej hurtowni.

W czerwcu 1909 r. odbyła się w Warszawie narada 18 pełnomocników stowarzyszeń, wybranych na konferencjach okręgowych dla zatwierdzenia projektu statutu Związku. Opracowaliśmy go po gruntownym przestudiowaniu organizacji podobnych związków na Zachodzie. Chcieliśmy nadać mu nazwę „Związek Polskich Stowarzyszeń Spożywczych“, ale z wywiadu w kancelarii generał-gubernatora okazało się, że takiego Związku władze nie zatwierdzą. Dlatego nazwaliśmy go „Warszawski“ od miejsca siedziby zarządu. Chcieliśmy objąć stowarzyszenia polskie, powstające na Kresach. W tym celu umieściliśmy w statucie przepis, że członkiem Związku może być każde stowarzyszenie, które „przez swoje operacje handlowe związane jest z terenem przemysłowym

Królestwa Polskiego". I tę furtkę zamknięto nam przy legalizacji statutu, zastrzegając, że członkami Związku mogą być tylko stowarzyszenia, „działające w granicach gubernii Królestwa Polskiego".

Statut i podanie, podpisane przez pełnomocników stowarzyszeń, występujących w charakterze założycieli Związku, złożyłem w kancelarii generał-gubernatora w sierpniu 1909 r. Starając się o przyspieszenie legalizacji Związku, dowiedziałem się, jakie znaczenie w państwie rosyjskim miała policja. Ona przede wszystkim decydowała o zatwierdzeniu statutu. Kancelaria generał-gubernatora zwróciła się do gubernatorów z zapytaniem, jaką opinię u nich mają osoby podpisane na podaniu. Gubernator pytał o to naczelnika powiatu, a ten z kolei strażników „ziemskich". Opinia strażnika tą drogą wracała do wyższej władzy i miała decydujące znaczenie w sprawie dalszego traktowania podania. Prawie wszyscy pełnomocnicy, podpisani na podaniu, okazali się „niebłagonadiożnymi", podejrzanymi pod względem politycznym. Tylko dzięki uprzejmości Jaczewskiego, dyrektora kancelarii, udało się uniknąć odrzucenia statutu Związku. Zgodził się zwrócić podanie dla wstawienia nowych nazwisk na miejsce podejrzanych. Zmniejszyłem liczbę założycieli do połowy, ale jeszcze dwa razy musiałem zmieniać podpisy, żeby zebrać potrzebny komplet „niepodejrzanych". Trwało to 8 miesięcy. Dopiero wtedy statut Związku odesłano do Petersburga z przychylną opinią generał-gubernatora. Dalszym popychaniem sprawy Związku w Petersburgu zajęli się polscy posłowie do Dumy państwowej, Dymsza i Żukowski.

W „Społem" zajmowałem się również kooperacją

kredytową, umieszczałem artykuły o zadaniach i działalności banków ludowych w Wielkopolsce i Małopolsce, o ich niedomaganiach w Kongresówce. Kiedy w Rosji władze administracyjne bardzo życzliwie odnosiły się do każdej próby założenia spółdzielni kredytowej na wsi, u nas ludność wiejska była pozbawiona prawa zakładania takich spółdzielni. Władze rosyjskie uważały, że kasy gminne wystarczają dla zaspokojenia wszystkich potrzeb kredytowych włościan i niepotrzebna jest żadna inicjatywa społeczna. Istniejące w miastach towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowe torowały sobie drogę wśród całego łańcucha przeszkód, gdyż nie pozwalano im werbować członków wśród okolicznych włościan. Dopiero po 1904 r. zaczęto pozwalać na rozszerzenie działalności towarzystw na sąsiednie gminy i zakładanie nowych na wsi. Najwięcej powstało ich w ziemi płockiej i tutaj z inicjatywy miejscowych działaczy odbył się pierwszy zjazd prowincjonalny, ponieważ krajowy był niemożliwy. W trzech guberniach utrzymywał się jeszcze stary pogląd, że spółdzielnie kredytowe zagrażają interesom państwowym na wsi. Szczególnie upartym pod tym względem był warszawski urząd gubernialny.

Zjazd w Płocku odbył się w czerwcu 1908 r. Głównym przedmiotem obrad była krytyka obowiązującego statutu normalnego, krępującego nawet w drobiazgach działalność spółdzielni kredytowych, oraz sprawa utworzenia ich związku. W konkluzji uchwalonych zmian w statucie normalnym zjazd uznał, że tylko wydanie specjalnego prawa o kooperatywach, nie zaś normalnych statutów, pozwoli spółdzielniom

kredytowym całkowicie przystosować się do potrzeb ludności. W sprawie związku uchwalono, że powinien on mieć charakter patronacki, jak istniejące w Wielkopolsce i Małopolsce związki spółek zarobkowych i gospodarczych. Łączenie w jednej organizacji czynności patronackich i bankowych uznano za nieodpowiednie, tym bardziej że Komisja Współdzielcza przy Towarzystwie popierania przemysłu wszczęła już starania o założenie w Warszawie banku akcyjnego z udziałem spółdzielni i osób prywatnych na wzór Banku spółek w Poznaniu.

Byłem przewodniczącym zjazdu w Płocku, z tego powodu w listopadzie tegoż roku otrzymałem z Petersburga zaproszenie do wzięcia udziału w obradach Komitetu do spraw drobnego kredytu nad projektem nowego statutu dla związków kredytowych. Oprócz mnie w obradach brali udział przewodniczący kilku związków rosyjskich, a większość stanowili przedstawiciele różnych ministerstw. Nasze postulaty, żeby dopuszczalne było tworzenie związków o szerszej podstawie niż powiat i gubernia, by mogły prowadzić działalność tylko instrukcyjno-rewizyjną, nie finansową, jak tego wymagał projekt rządowy, i wreszcie, żeby nie krępowano działalności związków zbyt rygorystycznymi i drobiazgowymi przepisami — nie znalazły uznania u przedstawicieli ministerstw.

Wytworzyła się paradoksalna sytuacja. My, przedstawiciele spółdzielni, występujący w obronie ich żywotnych interesów, byliśmy atakowani przez przedstawicieli ministerstw, jakobyśmy nie przestrzegali czystości zasad kooperacji, a powodowali się innymi względami. W rzeczywistości biurokratom chodziło

nie o czystość zasad, lecz o uzależnienie związków od najbliższej władzy administracyjnej: naczelnika powiatu względnie gubernatora, oraz o zachowanie instytucji rządowych inspektorów, którzy przy nadaniu związkom patronackiego charakteru okazaliby się niepotrzebni; wreszcie o to, żeby przez małe związki finansowe ułatwić oddziałom Banku Państwa dawanie pożyczek na zakładowe kapitały spółdzielni i odpowiedzialność za pożyczki włożyć na związki. Ten ostatni wzgląd trafiał do przekonania rosyjskich działaczy, ponieważ ich spółdzielnie kredytowe chorowały na brak kapitałów. Dla polskich spółdzielni wzgląd ten nie miał znaczenia, ponieważ opierały się na samopomocy, a wiele miało nadmiar wkładów i dla uruchomienia ich potrzebna była krajowa centrala finansowa, nie lokalny związek.

Wróciłem z tych obrad do Warszawy z przekonaniem, że o utworzeniu krajowego związku spółdzielni kredytowych o charakterze patronackim na razie nie może być mowy, więc trzeba stworzyć jakiś jego surogat przez zjednoczenie zabiegów Komisji Współdzielczej, Biura Porad przy Centralnym Towarzystwie Rolniczym i Towarzystwa Kooperatystów. Na szczęście w 1909 r. po długich staraniach udało się dr Antoniemu Rządowi uzyskać zatwierdzenie statutu banku akcyjnego w Warszawie pod nazwą „Bank Towarzystw Spółdzielczych". Według statutu do obowiązków Rady Banku należał również ogólny nadzór nad prawidłowym prowadzeniem rachunkowości i stanem interesów towarzystw spółdzielczych, utrzymujących stosunki z Bankiem. Na tej podstawie Bank mógł częściowo zastąpić brak związku patronackiego. Potrzebne dla rozpoczęcia czynności Banku 500 000 rb.

zebrano w ciągu pół roku, a większość akcji nabyły spółdzielnie kredytowe. Do zarządu zostali wybrani: Antoni Rząd (prezes), Stanisław Karpiński (dyrektor zarządzający) i Tadeusz Piasecki.

Jednocześnie posuwała się naprzód sprawa legalizacji Związku Stowarzyszeń Spożywczych. Zawiadamiając o tym pisałem w „Społem“: „Wpłaty na kapitał zakładowy hurtowni związkowej wkrótce będziemy składać już w spółdzielczym Banku. Dwie te centralne instytucje: jedna kredytowa, druga handlowa staną się trwałą ostoją całego ruchu spółdzielczego i znakomicie przyczynią się do ekonomicznego odrodzenia kraju“.

W czerwcu 1909 r. Mielczarski i ja, jako sekretarze Biura Informacyjnego, rozpoczęliśmy lustrację stowarzyszeń spożywczych, które zgłosiły przystąpienie do Związku. Badaliśmy książki rachunkowe i stan majątkowy każdego stowarzyszenia, dawaliśmy wskazówki, jak usunąć zauważone w jego działalności usterki. Z każdej lustracji spisywaliśmy protokół, którego jeden egzemplarz pozostawał w stowarzyszeniu, drugi przechowywaliśmy w Biurze, żeby w przyszłości można było sprawdzić, w jakim stopniu zarząd stowarzyszenia skorzystał z udzielonych mu wskazówek i jakie środki należy przedsięwziąć, żeby gospodarkę stowarzyszenia doprowadzić do doskonałości. W tym celu również wydaliśmy dwa podręczniki: „Rachunkowość stowarzyszenia spożywczego“, opracowaną przez Mielczarskiego, i „Jak założyć stowarzyszenie spożywcze“, opracowane przeze mnie. Jak te podręczniki były potrzebne, wskazuje fakt, że doczekały się trzech wydań do 1915 r.

Z urządzeniem drugiego zjazdu chcieliśmy zacze-

kać na zatwierdzenie statutu Związku. Gdy to przewlekało się i nagromadziło się sporo spraw, wymagających wspólnej decyzji, zwołaliśmy zjazd na 6 czerwca 1910 r. Obrady, połączone z wykładami, wypełniły trzy dni. Brało w nich udział 261 delegatów od 147 stowarzyszeń, które zgłosiły przystąpienie do Związku. Kiedy na pierwszym zjeździe w 1908 r. zdawałem sprawę ze stanu ruchu w kraju, wyraziłem obawę, że trzecia część stowarzyszeń jest chora, a więc należy oczekiwać licznych upadłości. Z przyjemnością mogłem teraz skonstatować, iż byłem pesymistą. Z liczby 268 stowarzyszeń, o których była mowa na pierwszym zjeździe, upadło tylko 12. Ze sprawozdań 179 stowarzyszeń za 1909 r. okazało się, że tylko 9 dały stratę w ogólnej sumie 5094 rb., zaś pozostałe 170 dały 141 739 rb. czystego zysku.

Z zestawienia tych liczb z obrotem stowarzyszeń wynikało, że mogą one przeciętnie dawać 6 groszy oszczędności na każdym rublu, a przy całkowitym uporządkowaniu ich gospodarki i uruchomieniu hurtowni oszczędność tę będzie można podnieść do 10 groszy. Wzrost liczby członków, kapitału udziałowego i obrotu w stowarzyszeniach uprawniał do pewnego optymizmu, dlatego w końcu mego referatu wyraziłem nadzieję, że kiedyś będę mógł stanąć przed delegatami ze sprawozdaniem Związku, które wykaże 10 milionów rubli obrotu w hurtowni. Niestety, wojna powszechna powstrzymała rozwój spółdzielni, ale obecnie obrót roczny hurtowni związkowej przekroczył 90 milionów złotych.

Mielczarski zdawał sprawozdanie z działalności Biura Informacyjnego i zauważonych w czasie lustra-

cji braków w gospodarce stowarzyszeń. Uczył w „Społem“ i na konferencjach okręgowych, że najpospolitszą przeszkodą w tworzeniu hurtowni jest prowidowanie się z dnia na dzień i brak lojalności. „Tam tylko hurtownia może mieć powodzenie — mówił — gdzie zarówno wśród zarządów stowarzyszeń, jak i wśród pracowników panuje zupełnie czysta atmosfera moralna. Gdzie obok, a co gorsza, na interesie publicznym usadowi się interes prywatny, tam wszelkie usiłowania, dążące do centralizacji handlowej, będą napotykały na opór... Gdy nas pytają, kiedy będziemy mieli własną hurtownię, odpowiadamy: będziemy ją mieli wtedy, gdy wasza solidarność zdobędzie się na milion rubli obrotu. Jeżeli wam tak na prędkim założeniu hurtowni zależy, czyńcie tak, jak lojalne stowarzyszenia, a chwila ta nie będzie wcale daleka“.

W sprawie administracji stowarzyszeń zjazd zalecił zwoływać w ciągu roku przynajmniej trzy zebrania członków, oprócz zwyczajnego dorocznego. Sprawozdanie zarządu, przed zwołaniem dorocznego zebrania, powinno być przysyłane do Biura Informacyjnego dla zrobienia uwag. Zjazd uznał za niewłaściwe wynagradzanie członków zarządu w formie stałej pensji. Tylko w małych stowarzyszeniach wybranym spośród członków zarządu skarbnikowi i gospodarzowi można wyznaczać wynagrodzenie za stałe prowadzenie rachunkowości i sprowadzanie towarów. W większych stowarzyszeniach należy angażować zarządzającego — rachmistrza, który prowadzić będzie gospodarkę pod kontrolą i kierownictwem zarządu. Dla przygotowania takich zarządzających trze-

ba urządzić specjalne kursy. Zjazd uznał potrzebę częstszych lustracji i w tym celu polecił Biuru zwołać naradę osób, wybranych na konferencjach okręgowych, w celu pouczenia ich, jak należy robić lustrację, i wyznaczenia, jakie stowarzyszenia potrzebują stałej opieki, niezależnie od lustracji dokonywanej przez sekretarzy Biura.

Po zjeździe pojechałem z Mielczarskim do Helsingforsu, Sztokholmu, Kopenhagi i Hamburga dla zaznajomienia się z działalnością istniejących tam hurtowni spółdzielczych. Wróciliśmy z tej wycieczki utwierdzeni w przekonaniu, że droga wytknięta na naszych zjazdach niezawodnie doprowadzi do upragnionego celu: hurtownia związkowa stanie na niewzruszonych podstawach. We wrześniu odbyła się narada z członkami zarządów, powołanymi na okręgowych lustratorów, a w marcu 1911 r. pierwszy dwutygodniowy kurs dla pracowników stowarzyszeń. Stawiło się 42 słuchaczy z różnych okolic kraju. Wykłady odbywały się od 9 rano do 5 po południu. W godzinach wieczornych słuchacze zajęci byli praktycznymi ćwiczeniami, które w grupie korzystających ze wspólnych noclegów przeciągały się do późnej nocy. Głód wiedzy był wielki: dla następnych kursów należało wyznaczyć termin co najmniej dwumiesięczny.

Dopiero w lutym 1911 r. otrzymaliśmy z Petersburga statut Związku, zatwierdzony przez ministerstwo spraw wewnętrznych. Oprócz zwężenia terenu działalności Związku do granic Kongresówki, o czym mówiłem wyżej, wykreślono wyraz „sprawiedliwość“ z art. 1 statutu, który mówił, że celem Związku jest

„przeprowadzanie zasady sprawiedliwości, uczciwości i porządku w handlu i przemyśle“.

Po dwuletniej działalności Biura Informacyjnego zorganizowanie hurtowni nie przedstawiało trudności. Mieliśmy już przeszło sto stowarzyszeń, które nie tylko uznawały potrzebę solidarności, lecz i praktykowały ją przez zakupy za pośrednictwem Biura. Bez żadnej przesady mogliśmy liczyć, że obrót hurtowni w pierwszym roku dosięgnie miliona rubli. W końcu marca odbyła się narada okręgowych pełnomocników stowarzyszeń, na której termin pierwszego zebrania Związku wyznaczono na 10 czerwca. Uczestniczyć w nim mogły tylko te stowarzyszenia, które przed 20 maja wpłaciły do Banku Towarzystw Spółdzielczych przypadającą od nich pierwszą ratę na udział. Wobec dobrych wyników, jakie dały konferencje okręgowe w 1909 r., postanowiono wznowić je w tych okręgach, które ze względu na znaczne skupienie stowarzyszeń miały specjalne znaczenie dla hurtowni i przyszłych oddziałów jej w Zagłębiu Dąbrowskim, Częstochowie, Ostrowcu, Łodzi. Żeby Związek, przy zawieraniu umów z dostawcami i zapełnianiu składu towarami, mógł działać bez ryzyka, rozesłaliśmy w kwietniu do stowarzyszeń odpowiedni kwestionariusz towarowy, który wyjaśnił, jakie towary na początek będą stanowić główny przedmiot operacji hurtowni.

Na pierwsze zebranie organizacyjne Związku przybyło 237 delegatów od 140 stowarzyszeń z liczby 178, które wpłaciły pierwszą ratę na udział. Postanowiono zamknąć Biuro Informacyjne i zaoszczędzone przez nie 5079 rb. przelać na kapitał zapasowy Związku.

Kapitał udziałowy, złożony przez stowarzyszenia po rublu od członka, wynosił 21 453 rb. Termin otwarcia hurtowni wyznaczono na 1 października 1911 r. Budżet roczny Związku ustalono w wysokości 24 500 rb. w dochodach i 20 000 rb. w wydatkach. Do Rady Nadzorczej zostali wybrani: ks. Wacław Bliziński, Piotr Danysz, Seweryn Horodyski, ks. Józef Mężnicki, Stanisław Mitraszewski, Stanisław Moskalewski, dr Władysław Podczaski, Wojciech Polc, Andrzej Rodowicz, Edward Wichura, Kazimierz Wolicki i Stanisław Żabicki. Na dyrektorów Związku wybrano Mielczarskiego i mnie.

Lokal dla hurtowni najęliśmy w nowym domu na Smolnej pod nr 14. Obszerne sutereny i dwie sale na parterze przeznaczyliśmy na skład towarów, 4 małe pokoje na biuro. Pierwszy personel Związku łącznie z dyrektorami składał się z 8 pracowników; po miesiącu trzeba było dobrać jeszcze 4 pracowników, bo pracy przybyło ponad siły już zatrudnionych. Szczególnie ciężkie były pierwsze miesiące. Opisałem je w nr 1 „Społem“ 1912 r.:

„Dziś z uśmiechem wspominam, jak ze zmarszczonymi poważną troską czołami pochyleni ślęczeliśmy nad cennikami i setkami próbek ryżu i pieprzu, zadając jeden drugiemu trwożliwe pytanie: no, kupić teraz czy jeszcze czekać, może stanieją? Postanowiliśmy sobie za zasadę trzymać się cenników dotychczasowych dostawców stowarzyszeń, nie być od nich w niczym droższymi, przeciwnie, o ile możności, sprzedawać taniej. Tymczasem trafiliśmy na rok wyjątkowy, ceny z dnia na dzień szły w górę; już decydowaliśmy się kupić, kiedy znowu przychodziła depesza

z odpowiedzią, że teraz cena inna, wyższa. Ładnie będzie nasza hurtownia wyglądała — myśleliśmy — jeżeli zarządy zechcą porównywać ceny Związku z cenami zeszłego roku. Przy tym wszyscy „przyjaciele“ warszawscy nie radzili wdawać się w import, za słabi jesteście, za mało doświadczeni, to się wam nie opłaci, ogromne manco na komorze i kolejach, nie dacie sobie rady, masa kłopotów i zwłoki — kupujcie od nas na miejscu“.

„Ostatecznie wybrnęliśmy z tych pierwszych trudności, postawiliśmy na swoim i okazało się, że kupiliśmy dobrze: nikt w Warszawie nie mógł nam taniej sprzedać, niż nam wypadło... I stowarzyszenia dotrzymały słowa ponad wszelkie oczekiwania. Wszystkie wykazały wielką solidarność i już pierwszego dnia hurtowni, kiedy ceny jej nie były jeszcze znane, mieliśmy 60 obstalunków do wykonania... Słyszałem nieraz pod wieczór w biurze i składzie ciężkie westchnienia, narzekania, że plecy bolą od ciężarów, i nową nazwę: hurtownia to mordownia. Ale nie było w tym złości, tylko radosna, życzliwa uwaga dla powracających z objazdów jednego i drugiego lustratora. Zjawiał się w biurze, to zamiast z nim gadać, co tam słychać, gdzie jeszcze pojechać, z miejsca zaprzęgaliśmy go do biurka. Dość ci, bracie, „podróżować“, zasiądź do tej paki rachunków, trzeba je sprawdzić i zaksięgować...

„Dziś, robiąc przegląd paromiesięcznego szamotania się nas wszystkich z nową skomplikowaną maszynerią handlu hurtowego, tak dla nas Polaków dotąd obcego, czuję, że zwyciężyła tutaj nie tyle sama organizacja we wszystkich szczegółach dobrze pomyślana,

ale w praktyce często zawodna, ile właśnie ambicja nas wszystkich, pracowników i stowarzyszeń, dokonania tego, co rywalizujący z nami kupcy zawodowi uznali za nie mające szans powodzenia. Zawzięliśmy się — i rzecz została zrobiona".

Pierwsze sprawozdanie Związku za 3 miesiące 1911 r. i cały 1912 rok wykazało półtora miliona rubli obrotu towarowego i 28 958 rb. czystego zysku. Zdaliśmy pierwszy egzamin sprawności handlowej dobrze. Sprowadzenie 400 beczek śledzi wprost ze Szkocji z pominięciem Żydów, którzy byli dotąd jedynymi importerami tego towaru, napawało również dumą, że stajemy się pionierami emancypacji Polaków w handlu.

Przez cały ten okres próby nie prowadziliśmy żadnej agitacji za pozyskaniem nowych członków dla Związku, pozostawiając to inicjatywie stowarzyszeń i ograniczając się do informowania o warunkach należenia do Związku. Pomyślny rozwój hurtowni, pewność, że powierzonego nam majątku nie narazimy na straty, pozwoliły wznowić agitację i konferencje okręgowe w celu pozyskania większej ilości stowarzyszeń dla wspólnej pracy. Po przezwyciężeniu pierwszych trudności podzieliliśmy się zajęciami w ten sposób, że Mielczarski kierował hurtownią, ja — agitacją i lustracjami; mieliśmy już 3 lustratorów, wykształconych praktycznie na stanowiskach członków zarządu w stowarzyszeniach.

Miałem kłopot z dostosowaniem „Społem" do potrzeb ruchu. Jedni chcieli, żeby było pismem agitacyjnym dla członków stowarzyszeń spożywczych, drudzy, żeby zajmowało się teorią kooperacji i było porad-

nikiem dla kierowników wszelkich kooperatyw. W celu zadośćuczynienia tym żądaniom od 1 stycznia 1911 r. zmieniłem „Społem“ na popularny tygodnik, o 4 stronicach dużego formatu, dla członków, z dodatkiem miesięcznym w formacie książkowym dla kierowników. Dla stowarzyszeń, chcących rozpowszechniać „Społem“ wśród członków bez dodatku, wprowadziłem tańszą prenumeratę zbiorową. W praktyce trudno było dogodzić jednym i drugim, tym bardziej że coraz więcej czasu zabierała praca w Związku. W 1914 r. skasowałem tę dwoistość „Społem“. Dla zadośćuczynienia potrzebom agitacji Związek zaczął wydawać popularne broszury, co ułatwiła ofiara Kazimierzowej Sobańskiej 3000 rb na fundusz wydawniczy. Przedtem w wydaniu podręcznika „Jak założyć stowarzyszenie“ pomogła mi kasa im. Mianowskiego.

W 1911 r. skonfiskowano nr 38 „Społem“; za treść jego pociągnięto mnie do odpowiedzialności sądowej i pozbawiono prawa występowania w charakterze wydawcy i redaktora. Zastąpił mnie w tym znowu dr Radziwiłłowicz. U sędziego śledczego dowiedziałem się, że oskarżają mnie o nawoływanie do rewolucji socjalnej. Powodem było umieszczenie w nr 38 mowy kooperatysty belgijskiego Anseelego przy zakładaniu kamienia węgielnego pod budowę przędzalni spółdzielczej w Gandawie. Mowa ta kończyła się słowami: „Kiedy nasze kapitały utworzą stos złota wysoki jak dzwonnica, wówczas zakupimy fabryki, warsztaty i będziemy mieli prawo powiedzieć do kapitalistów: ustąpcie nam! Ach! gdyby robotnicy zechcieli — w dwadzieścia pięć lat zmienilibyśmy oblicze świata. Zechciejcie!“ Powiedziałem sędziemu, że nie upatruję w tym

nawoływania do rewolucji, lecz do gromadzenia oszczędności w spółdzielniach w celu zastąpienia kapitalistów. Sam mówiłem nieraz w „Społem“ i odczytach o konieczności zmiany ustroju społecznego w drodze ewolucji, nie rewolucji. Po kilku miesiącach otrzymałem zawiadomienie, że sprawę umorzyła izba sądowa i mogę nadal podpisywać „Społem“, jako wydawca i redaktor.

Agitację prowadziliśmy głównie za pomocą odczytów, ilustrowanych przeźroczami, pokazującymi rozwój i urządzenia spółdzielni w zachodniej Europie. Odczyty urządzaliśmy tylko tam, gdzie uprzednio dokonana lustracja wykazała dobre prowadzenie miejscowego stowarzyszenia i mieliśmy pewność, że pozyskani dzięki odczytom nowi członkowie nie będą narażeni na straty. Ustało masowe zakładanie spółek bez liczenia się z szansami ich utrzymania; nowe powstawały tylko po gruntownym przygotowaniu ludzi i środków. W miastach, gdzie był nadmiar drobnych spółek, w Łodzi, Pabianicach, Częstochowie, Żyrardowie, przeprowadzano łączenie ich w jedno większe stowarzyszenie z prawidłowo rozmieszczonymi filiami. Mimo że tu i ówdzie sklepy spółdzielcze powstawały pod wpływem innych organizacji: Związku Katolickiego, Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich, Narodowego Związku Robotniczego, prawicy P. P. S. — przeważały względy gospodarcze; łączenie drobnych stowarzyszeń w większe i w Związku szło dość łatwo. Pierwotne rozdrobnienie stowarzyszeń wynikało częściowo z tego, że wolne były od podatku dochodowego tylko stowarzyszenia, w których kapitał udziałowy nie przekraczał 10 000 rb. Gdy władze

skarbowe zgodziły się nie zaliczać do zysku podatkowego dywidendy od zakupów, obawa podatku dochodowego przestała hamować tworzenie większych stowarzyszeń.

W czasie lustracji szczególną uwagę zwracaliśmy na to, żeby w zarządzie przeprowadzono należyty podział pracy i aby wszyscy członkowie spełniali włożone na nich obowiązki. Początkowo w wielu stowarzyszeniach wybierano do zarządu ludzi, znanych ze swego stanowiska społecznego albo działalności na innym polu, ale nie mających dość czasu na rzetelne wypełnienie nowych obowiązków. Tacy ludzie, po rozdzieleniu się tytułami prezesa, skarbnika, sekretarza, najczęściej składali całą pracę na jednego, głównie sklepowego. Dlatego w protokółach lustracyjnych i w przedmowach do podręczników podkreślaliśmy, że „w stowarzyszeniach spożywczych, instytucjach demokratycznych, ludowych, nie ma miejsca ani dla malowanych, ani dla niemych członków zarządu; miejsce w nim należy tylko prawdziwym oraczom i siewcom“. Jeżeli upomnienia osobiste nie skutkowały, to na ogólnym zebraniu członków stawialiśmy wniosek wybrania do zarządu nowych ludzi, bardziej chętnych i zdolnych do wspólnej pracy.

Kiedy w Paryżu ujawniono olbrzymie sprzeniewierzenia w towarzystwie budowy Kanału Panamskiego, prasa rosyjska zaczęła powtarzać starą gadkę o zgniłym Zachodzie i zdrowym Wschodzie. Satyryczna „Mucha“ warszawska zrobiła uwagę, że u nas ludzie są, tylko kanału nie ma. W urzędach, gminach, na kolejach, w handlu szerzyło się wschodnie łapownictwo. Żywiono nadzieję, że nas ta zaraza nie dotknie. W rze-

czywistości łapownictwo zaczęło żerować i na spółdzielniach. Zaraz postawiliśmy mu tamę wymagając, żeby wszystkie wydatki stowarzyszenia były poparte pokwitowaniem imiennym odbiorcy, w przeciwnym razie skarbnik musi z własnej kieszeni pokryć bezimienne zapisy w księdze kasowej, ukrywające różne łapówki. Tak samo w stosunku do dostawców, przekupujących pracowników, zastosowaliśmy rygor, że firma, dająca potajemne prowizje, nie może być dostawcą stowarzyszeń i Związku. Walka z łapownictwem i przekupstwem była jednym z pierwszych etapów wprowadzania uczciwości i porządku w handlu.

W celu wyjaśnienia wpływu stowarzyszeń na otaczający je handel prywatny, w rozesłanym w 1914 r. kwestionariuszu było pytanie, czy od czasu otwarcia sklepu stowarzyszenia upadł lub powstał na miejscu jaki sklep prywatny. Z odpowiedzi, otrzymanych od 356 stowarzyszeń, okazało się, że w sąsiedztwie ich upadło 266 sklepów żydowskich i 81 chrześcijańskich, razem 347; powstało nowych 28 żydowskich i 256 chrześcijańskich, razem 284. Tak więc w sferze bezpośrednich wpływów stowarzyszeń zmniejszała się ilość drobnych sklepów, głównie żydowskich. Liczby te były również najlepszą odpowiedzią na zarzuty pewnego odłamu prasy, jakoby stowarzyszenia uniemożliwiały powstawanie polskich sklepów prywatnych. Rzeczywistość mówiła co innego: w sferze wpływów 356 stowarzyszeń powstało 256, a upadło 81 sklepów polskich. Nieraz nowe sklepy zakładali byli pracownicy i członkowie stowarzyszenia, którzy przypatrzyszy się działalności sklepu spółdzielczego próbowali szczęścia w handlu na własną rękę, a nawet domagali

się, żeby Związek zaopatrywał ich w towary. Radziliśmy im założyć własną hurtownię, bo nasza służy tylko dobru publicznemu.

W 1912 r. Związek przeszedł pierwszą ogniową próbę neutralności. Od samego początku trzymaliśmy się wskazówek pionierów kooperacji w Anglii: 1) nie pytać zgłaszających się na członków o ich poglądy polityczne i religijne, 2) nie dopuszczać w uchwałach i działalności stowarzyszeń i Związku niczego, co mogłoby być uważane za forytowanie jakiejkolwiek partii. To samo zalecał patron spółek w Wielkopolsce, ks. Wawrzyniak na kursach społecznych 1907 r. w Warszawie i kiedy byłem u niego w Mogilnie, prosząc o wskazówki. „Bacznie wystrzegać się należy — mówił — mieszania do spraw związkowych wszelkich spraw innych. Stoimy wyłącznie na podstawie ekonomicznej. W tej pracy spotykamy się wszyscy bez różnicy i bez względu na zapatrywania religijne i polityczne". Trzymanie się tych zasad szczególnie ważne było nie tylko ze względu na ówczesne warunki polityczne, lecz i ze względu na skłonność Polaków do kłótni i rozłamów. Stojąc na gruncie ściśle ekonomicznym, zmniejszaliśmy pole starć z innych powodów. Poglądy swoje w innych sprawach mógł każdy wypowiawać osobiście poza stowarzyszeniem i Związkiem.

W tym czasie tygodnik „Zaranie", wydawany przez Maksymiliana Malinowskiego, propagował zakładanie kółek rolniczych z wykluczeniem ziemian i duchowieństwa. Przeciw temu wystąpiło pięciu biskupów z listem pasterskim, ogłoszonym z ambon. W obronie „Zarania" stanęła „Prawda", redagowana przez Wincentego Rzymowskiego, i ogłosiła protest przeciwko

zarządzeniu biskupów oraz listę kilkuset osób, które przyłączyły się do protestu. Wśród podpisanych były nazwiska 5 pracowników Związku; przy nazwisku Mielczarskiego wbrew jego woli jakaś złośliwa ręka dopisała: „dyrektor Związku Stowarzyszeń Spożywczych w Królestwie Polskim“. Przy innych nazwiskach nie wymieniano stanowiska podpisujących. Widocznym było, że ktoś chciał wnieść niezgodę w nasze szeregi i wciągnąć Związek do walki wbrew jego podstawowym założeniom.

Wkrótce potem nadszedł do dyrekcji Związku list ks. biskupa Łosińskiego, żądający wyjaśnienia stosunku Związku do Kościoła i usunięcia pracowników, podpisanych na proteście. Odpowiedziałem, że Związek nie może składać żadnych oświadczeń w sprawach, nie związanych bezpośrednio z jego działalnością, że podpisani na proteście nie występowali w imieniu Związku i nie mogę ich pociągać do odpowiedzialności za poglądy wyrażone poza Związkiem. Rada Nadzorcza Związku, po stwierdzeniu na podstawie dokumentów, że podpisy pracowników były złożone bez żadnego tytułu, uznała również wystąpienie ich za sprawę czysto osobistą, nie wchodzącą w zakres kompetencji Rady. Odpowiedź moja i orzeczenie Rady, zakomunikowane stowarzyszeniom, nie zadowolniły biskupa Łosińskiego, natomiast wywołały napaści prasy postępowej na mnie i Radę Nadzorczą, jakobyśmy naruszyli zasadę neutralności przez tłumaczenie się przed biskupem.

Dostaliśmy się teraz w dwa ognie: Z jednej strony „Polak Katolik“, redagowany przez ks. Kłopotowskiego, atakował Związek, jako „zespół przeciw-

religijny“, żądał zmiany dyrektorów Związku i oddania pisma „Społem“ w inne ręce. Z drugiej strony „Prawda“ i „Myśl Niepodległa“, redagowana przez Niemojewskiego, dolewały oliwy do ognia nawołując stowarzyszenia do protestów. Zastanawialiśmy się, co wobec tego naporu z dwóch stron robić. Rada była jedna: pracować dalej wytrwale i cierpliwie milczeć. Burza musi przejść. Związek i poczucie solidarności w stowarzyszeniach były dostatecznie silne, mogły napór wytrzymać. Ograniczyłem się do powtórzenia w „Społem“ artykułu sprzed 6 lat „Nasza neutralność“. Prasa znalazła lepszą strawę w wyborach do trzeciej Dumy. W Warszawie walczyły dwa obozy: narodowa demokracja (kandydat Dmowski) i postępowa (kandydat Kucharzewski), zwyciężył przysłowiowy trzeci, popierany przez Żydów Jagiełło. Powyborcze refleksje osłabiły gwałtowność ataków na Związek.

Szybki rozwój operacji hurtowni kazał zająć się budową domu dla niej. Lokal na Smolnej, nawet po donajęciu kilku pokoi w sąsiednim domu, nie wystarczał. W styczniu 1913 r. nabyliśmy plac na Mokotowie, 19 kwietnia zaczęto kopać fundamenty, 20 października odbyło się poświęcenie i otwarcie własnego domu. Za szybkie wykończenie dziękowałem staremu towarzyszowi w akcji nielegalnej Stanisławowi Pękosławskiemu, który złożył najkorzystniejszą ofertę i wykonał budowę tak solidnie, że dotąd nie wymaga żadnych poprawek. Nad oficyną mieszczącą składy umocowaliśmy w cemencie nasze hasło: Społem! Policja żądała usunięcia tego napisu albo podania nad nim rosyjskiego, ale nadaremnie. Koszt całej nieru-

chomości, łącznie z placem i wybrukowaniem ulicy, wyniósł 105 000 rb. Mogliśmy ponieść ten wydatek bez uszczerbku dla operacji handlowych tylko dzięki temu, że Bank Towarzystw Spółdzielczych udzielił kredytu Związkowi. Nowej ulicy nadaliśmy nazwę Mickiewicza (obecnie ulica Grażyny).

W dniu otwarcia domu należało do Związku 274 stowarzyszeń z 40 000 członków; mieliśmy 52 000 rb. kapitału udziałowego i 18 000 rb. zapasowego: obrót składu w porównaniu z poprzednim rokiem wzrósł o 52%. Liczby te świadczyły, że idziemy raźno naprzód. Ale daleko radośniejszym było stwierdzenie faktu, żeśmy wytrzymali burzę i dowiedli, że Polacy jednak mogą i umieją iść razem. Po raz pierwszy w uroczystości naszej wzięli udział przedstawiciele spółek z Wielkopolski: Hącia i Tomaszewski. Cieszyłby się Prus, gdyby dożył tej chwili.

W uznaniu ważności naszej pracy Eugenia Kierbedziowa, wdowa po twórcy pierwszego mostu żelaznego w Warszawie, ofiarowała Związkowi 50 000 rb. na budowę szkoły z internatem dla kształcenia pracowników. Odpowiedni plac nabyliśmy w Ołtarzewie, budynek szkolny wykończono całkowicie w lipcu 1914 r., na jesieni miał się rozpocząć pierwszy kurs dwumiesięczny dla zarządzających stowarzyszeń. Na przeszkodzie stanęła wojna, budynek szkolny zamieniono na punkt opatrunkowy dla rannych pod Warszawą.

W wolnych od zajęć chwilach chodziłem na pogawędkę do Abramowskiego. Mieszkał obok, na Smolnej przy laboratorium psychologicznym, którego był założycielem i kierownikiem. Dzielił się ze mną wynika-

mi swych badań i namawiał do nowych poczynań. Nie zadowalał go rozwój spółdzielni i Związku, obawiał się, że ruch zasklepi się w potrzebach materialnych. Życie stowarzyszeniowe — mówił — osiągnie największą siłę, jeżeli wynikać będzie nie ze względów utylitarnych, lecz z potrzeb moralnych. Chciał, żebym zajął się propagandą nowego typu zrzeszeń, uczących przyjaźni. Umieściłem w „Społem“ 1912 r. dwa jego artykuły w tej sprawie. Streszczam je tutaj w kilku zdaniach:

Upadek moralności, znikczemnienie serc i umysłów, zanik szlachetności i rycerskości wynika z tego, że w ciągu całego życia ludziom szczepiony jest egoizm. Niszczy on i religię, bo dla odnalezienia Boga w sobie trzeba umieć kochać bliźnich. Hodowli egoizmu trzeba przeciwstawić życiową szkołę przyjaźni, takie ogniska, które by w ludziach rozwijały przyjaźń, uczyły jej praktycznie. Obok spółdzielni, w których z konieczności główną rolę gra ekonomiczny interes, powinny być zakładane związki przyjaźni, obejmujące małe grupy znających się osobiście ludzi i mające na celu wzajemną pomoc, materialną i moralną, we wszystkich wypadkach życia, gdzie pomoc staje się potrzebną, oraz zażegnywanie wszelkich sporów, mogących wyniknąć pomiędzy członkami.

Myśl Abramowskiego, skonkretyzowana w projekcie statutu Związków Przyjaźni, ogłoszonym w nr 7 „Społem“, nie znalazła wielu zwolenników. Tu i ówdzie powstało kółko przyjaciół albo składkowa pomoc pieniężna w razie nieszczęścia w rodzinie członka stowarzyszenia. Bardziej trwałym wynikiem było tworzenie wydziałów społeczno-wychowawczych, ale ogra-

niczały się one do propagandy na rzecz stowarzyszenia: przysporzenia mu członków i zwiększenia obrotów. W rzeczywistości spółdzielczość u nas, jak zresztą w innych krajach, nie doszła jeszcze do bardziej głębokiego pojmowania jej zadań etycznych. Poza nielicznym zastępem przodowników, entuzjastów, olbrzymia większość członków widziała w spółdzielniach przede wszystkim dobry interes. Bezinteresowna praca przodowników udoskonaliła gospodarkę tak, że spółdzielnie mogły dawać dość pokaźne oszczędności — to decydowało o rozwoju ruchu.

Zabiegając o zwiększenie oszczędności ludowych, napotkaliśmy na swej drodze zmowy żydowskich hurtowników. Syndykat solny „Kriga“ nie zgadzał się wykonywać zamówień bez pośrednictwa małomiasteczkowych komisjonerów, którzy pobierali za to 5 do 6 procent. Mielczarski chciał sprowadzać sól z Wieliczki i Inowrocławia, ale obliczenia wykazały, że przy wysokim cle rosyjskim ceny nasze byłyby wyższe niż „Krigi“. Na szczęście znalazł na południu Rosji małą kopalnię soli, której właściciel Polak zgodził się sprzedać swoją produkcję Związkowi z pominięciem syndykatu. W ten sposób sprowadziliśmy w 1913 r. 250 wagonów soli, wolnych od podatku na rzecz Żydów.

Syndykat rosyjskich fabryk tytoniu oddał hurtową sprzedaż swoich wyrobów w Kongresówce kilku firmom żydowskim; poza nimi sprzedawał tylko w wyjątkowych wypadkach i to po wyższych cenach. Wobec tego wezwaliśmy stowarzyszenia do skasowania w swoich sklepach sprzedaży wyrobów tych fabryk i zastąpienia ich wyrobami krajowych fabryk

„Noblesse“ i „Union“, z którymi Związek zawarł umowę. Akcja ta rozwijała się bardzo wolno, ponieważ operujący na prowincji hurtownicy reklamowali wyroby syndykatu, rozdając bezpłatnie na jarmarkach specjalnie przygotowane próbki tytoniu i papierosów, których poza nimi nie można było dostać. Przywiązanie konsumentów do rozpowszechnionych w ten sposób etykietek ogromnie utrudniało scentralizowanie zakupów stowarzyszeń.

Bardzo pomyślnie rozwijał się zapoczątkowany w 1911 r. import śledzi wprost ze Szkocji. W pierwszym roku Związek sprowadził 7 wagonów śledzi, w drugim 13, w trzecim 24. Zachęciło to do podjęcia importu towarów kolonialnych i suszonych owoców południowych z pominięciem firm niemieckich i żydowskich. W tym celu ja jeździłem do Odessy i Besarabii dla zakupu produktów tureckich i wołoskich, zaś Mielczarski do Włoch i Francji dla zakupu korzeni, ryżu, migdałów, oliwy i innych. Dla towarów, pochodzących z południowej Azji, wynalazł jakiś dom handlowy w Szwajcarii. Wielka była radość w naszym domu na Mokotowie, gdy w 1914 r. nadszedł pierwszy transport pieprzu i cynamonu, nabytych bez pośrednictwa Hamburga, który dotąd był jedynym dostawcą tych produktów dla Kongresówki. W sierpniu spodziewaliśmy się otrzymać w ten sam sposób pierwszy transport ryżu; część jego kazał Mielczarski wysłać na Śląsk drogą wodną Odry, żeby przewóz dla oddziału Związku w Dąbrowie Górniczej wypadł taniej. Dwa wagony ryżu były już w Mysłowicach, ale zabrały go wojska niemieckie, wkraczające w tym czasie do Kongresówki.

Drugie sprawozdanie Związku, przedstawione na zjeździe w czerwcu 1914 r., wykazało dwa miliony rubli obrotu towarowego i 34 366 rb. czystego zysku. Kapitał udziałowy Związku wzrósł do 79 000 rb., zapasowy do 29 000 rb. Dzięki własnej hurtowni stowarzyszenia osiągały większe oszczędności, co wyrażało się we wzroście stopy procentowej czystego zysku: w 1911 r. wynosiła 3,4%, w 1912 r. 3,6%, w 1913 r. 3,9%. Dochodziliśmy już do 8 groszy oszczędności na rublu zakupów, a na zjeździe 1910 r. wytknęliśmy, jako cel, doprowadzenie do 10 groszy.

Mielczarski zdawał sprawozdanie z działalności handlowej, ja — z lustracyjnej. Obydwaj mogliśmy stwierdzić, że gospodarka Związku i stowarzyszeń stale postępuje naprzód we wszystkich kierunkach. Jedyną troską było wzmocnienie finansowych podstaw. Związek miał 108 000 rb własnych kapitałów, a winien był Bankowi Towarzystw 118 000 rb. Stowarzyszenia związkowe miały milion rubli własnych kapitałów, a winne były 1 170 000 rb. Bez zwiększenia własnych kapitałów niemożliwe było dalsze rozszerzanie operacji Związku i stowarzyszeń.

Sprawa ta stała się głównym przedmiotem obrad. Zjazd zobowiązał stowarzyszenia wpłacić drugą ratę na udział w Związku po rublu od członka, a dla zwiększenia kapitału udziałowego w stowarzyszeniach zalecił przeprowadzić na ogólnych zebraniach uchwałę, że dywidendy od zakupów i procentu od udziałów nie wypłaca się członkom dopóty, dopóki na rachunku członka nie zbierze się 25—30 rubli. W tym czasie przeciętny udział członka w stowarzyszeniu wynosił 17 rb. Nagromadzenie oszczędności członków w posta-

ci udziałów dotąd ma pierwszorzędne znaczenie dla zapewnienia samodzielności i ciągłości rozwoju ruchu. Członkowie muszą dostarczać swoim spółdzielniom coraz więcej kapitału, inaczej wszystkie zamierzenia na przyszłość pozostaną czczą gadaniną.

Nr 14 i 15 „Społem", wypełnione sprawozdaniem z obrad zjazdu, były ostatnimi w 1914 r. Żona moja z dziećmi pojechała na lato do Kupryszek, ja wyrwałem się na kilka dni do Zakopanego. Tutaj zaskoczyła mnie wiadomość o wypowiedzeniu wojny Serbii przez Austrię. Należało spodziewać się, że w obronie Serbii lada chwila wystąpi Rosja. Przyspieszyłem powrót do Warszawy, przejechałem granicę na trzy dni przed jej zamknięciem.

Od czasu wystąpienia w 1905 r. z P. P. S. nie należałem do żadnej partii politycznej, byłem tylko sympatykiem obozu niepodległościowego, bojkotującego wybory do Dumy. W 1906 r. dokonał się w P. P. S. rozłam na frakcję rewolucyjną i lewicę marksowską. Frakcja obstawała przy programie niepodległości Polski, przygotowywała umysły do zbrojnego powstania przeciwko Rosji w razie wojny. Piłsudski przeprowadził likwidację dawnego wydziału bojowego partii i tworzył organizacje ściśle wojskowe, mające stanowić pierwsze kadry polskiej siły zbrojnej. Widziałem się z nim ostatni raz w 1913 r. W planie jego było, z chwilą wybuchu wojny pomiędzy Austrią i Rosją, zająć południową część Kongresówki, utworzyć tam rząd narodowy i ogłosić powstanie przeciw Rosji. Zgodziłem się na ten czas przyjechać do Zagłębia Dąbrowskiego i pomagać w tworzeniu rządu narodowego. Sygnałem dla mego wyjazdu do Zagłębia

miała być mobilizacja keksholmskiego pułku gwardii, kwaterującego w Mokotowie. Mobilizację ogłoszono 31 lipca, ale sytuacja od ostatniej rozmowy z Piłsudskim zmieniła się gruntownie. Za Austrią stały Prusy, co dla mnie oznaczało nowy rozbiór Kongresówki w razie zwycięstwa Prus. Postanowiłem zostać w Warszawie.

VI

W CZASIE WOJNY POWSZECHNEJ

1915—1918

W dniu ogłoszenia mobilizacji prezes Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, Włodzimierz Czetwertyński, zaprosił do siebie przedstawicieli organizacji społecznych na naradę w sprawie obmyślenia środków, zapobiegających brakowi żywności w mieście. W naradzie tej brałem udział, jako przedstawiciel Towarzystwa Kooperatystów. Obrady zakończyły się utworzeniem Komitetu Obywatelskiego m. Warszawy w składzie 30 osób. Pracę Komitetu podzielono na sekcje; mnie powierzono zorganizowanie sekcji żywnościowej, która miała zabezpieczyć prawidłowy rozdział podstawowych artykułów: mąki, kaszy, ziemniaków, słoniny, soli, drzewa i węgla; dwa ostatnie przydzielono potem osobnej sekcji opałowej.

Mogłem w całości zająć się organizacją sekcji żywnościowej, ponieważ działalność Związku bardzo skurczyła się wskutek przerwania stosunków ze stowarzyszeniami w południowej części Kongresówki, zajętej przez wojska austriackie i niemieckie. Z tego powodu musiałem przerwać wydawanie „Społem“, zwłaszcza że w Warszawie wystąpił głód papierowy, dzienniki zmniejszyły swoją objętość, miesięczniki

przestały wychodzić. Na czas mobilizacji przerwano na kolejach ruch pasażerski i towarowy, zaczęła się spekulacja, wyrażająca się w gwałtownym skupywaniu produktów i ukrywaniu ich zapasów. Niektórych artykułów, jak np. soli, od razu zabrakło w sklepach.

4 sierpnia wyszedł rozkaz zniszczenia zapasów spirytusu i wódek. Skorzystałem z tego, żeby uzyskać od prezesa warszawskiego oddziału Banku Państwa, Tiesenhausena, natychmiastowe oddanie naszej sekcji żywnościowej wszystkich sklepów monopolowych i budynków b. Banku Polskiego przy ulicy Nowogrodzkiej na skład potrzebnych produktów. W ten sposób mogłem od razu uruchomić 68 sklepów we wszystkich dzielnicach miasta. Dla zapobieżenia wykupowaniu produktów sprzedawaliśmy je w paczkach funtowych; kupujący mógł nabyć tylko jedną paczkę danego produktu, a oczekujący w ogonku sami gorliwie pilnowali, żeby kto nie stawał w ogonku po raz drugi.

W celu ułatwienia szybkiej sprzedaży w sklepach i kontroli, paczkowanie produktów odbywało się w składzie na Nowogrodzkiej. Pierwszy zapas soli otrzymałem przejmując rządowy skład soli kamiennej w bryłach. Mielenie jej odbywało się na Nowogrodzkiej w sposób prymitywny za pomocą śrutowników, wypożyczonych przez warszawski syndykat rolniczy. Dyrektor syndykatu, Zygm. Chrzanowski oraz Mielczarski ułatwili nabycie innych produktów, tak że 7 sierpnia można było rozpocząć detaliczną sprzedaż przy pomocy pracownic dawnych sklepów monopolowych. Otwarcie sklepów sekcji od razu powstrzymało spekulacyjną zwyżkę cen, ogonki w śródmieściu

znikły, ale w dzielnicach robotniczych popyt na nasze paczki był wciąż wielki, często dwa razy na dzień trzeba było dowozić je do sklepów. W ten sposób w ciągu pierwszych trzech miesięcy sekcja sprzedała przeszło 600 wagonów produktów.

We wrześniu zaproszono mnie na członka Centralnego Komitetu Obywatelskiego, który powstał z inicjatywy Centralnego Towarzystwa Rolniczego dla kierowania działalnością prowincjonalnych komitetów, wyjednywania dla nich zasiłków pieniężnych, rejestrowania strat wojennych, organizowania pomocy żywnościowej i sanitarnej. Prezesem był Seweryn Czetwertyński, wiceprezesem i głównym kierownikiem wszystkich prac Komitetu Władysław Grabski. Z rozszerzaniem się terenu działań wojennych coraz więcej przybywało wygnańców, zmuszonych opuścić swoje siedziby. Centralny Komitet musiał zająć się organizacją oddziałów, których zadaniem było niesienie bezpośredniej pomocy wygnańcom. Trudno było pogodzić zajęcia w dwóch komitetach, dlatego w listopadzie złożyłem mandat kierownika sekcji żywnościowej Komitetu m. Warszawy. Zastąpił mnie tutaj Mielczarski.

Sympatie mieszkańców Warszawy od początku wojny były po stronie armii rosyjskiej; świadczyło o tym ochocze stawianie się rezerwistów na punkty zborne i witanie przechodzących przez Warszawę pułków syberyjskich. Od dawna uważaliśmy Niemców za wrogów gorszych od Moskali. Pruski system germanizacyjny, wyrażający się w eksterminacyjnej działalności komisji kolonizacyjnej i szkoły niemieckiej, doprowadzającej do katowania dziatwy polskiej

we Wrześni, wywoływał w Kongresówce bojkotowanie Niemców, zwalczane przez władze rosyjskie, i Żydów, gorliwie rozpowszechniających towary niemieckie. Zbombardowanie i spalenie bezbronnego Kalisza przez wkraczające wojska niemieckie spotęgowało nienawiść do nich. Podział zajętej części Kongresówki na dwie okupacje: austriacką i niemiecką, świadczył również, że Austria, w której niektórzy upatrywali sprzymierzeńca niepodległości Polski, nie jest samodzielnym partnerem, tylko narzędziem polityki pruskiej.

Wroga postawa ludu polskiego w stosunku do Niemców wynikała z jego zdrowego instynktu narodowego, nie osłabionego kalkulacjami politycznymi. Wśród inteligencji warszawskiej, mimo prawie identycznych enuncjacji 4 stronnictw: narodowej demokracji, polityki realnej, partii postępowej i zjednoczenia postępowego, w odpowiedzi na odezwę w. ks. Mikołaja, zapowiadającą złączenie w jedną całość ziem polskich — nie było jednomyślności. Sympatycy P. P. S. upatrywali głównego wroga w Rosji. Postępowców, uznających wyższość kultury niemieckiej, nie straszyła perspektywa zwycięstwa Niemiec. Ludzie małoduszni zajmowali stanowisko neutralne i obojętnie odnosili się do wszelkiej akcji zbrojnej.

W wojnie, która miała decydować o losie ziem polskich, nie mogłem być neutralny. Przeszłość wiązała mnie z Piłsudskim i jego towarzyszami, teraźniejszość dzieliła: oni wystąpili przeciw Rosji razem z Niemcami, a mnie nieomylny instynkt mówił, że zwycięstwo Niemiec to klęska Polski. Gdy w październiku nikomu nieznany Gorczyński wystą-

pił z odezwą, nawołującą do formowania legionu polskiego po stronie rosyjskiej, poszedłem do jego kwatery przy dworcu wiedeńskim z zamiarem zapisania się na ochotnika. Zraziła mnie tutaj fanfaronada i nieodpowiedni dobór ludzi. Postanowiłem zaczekać na ukonstytuowanie się Komitetu Narodowego, który miał zająć się sprawą polskiej siły zbrojnej.

Narady w sprawie utworzenia Komitetu Narodowego przeciągały się wskutek chwiejnego stanowiska zaproszonych postępowców. Chodziło o treść pierwszej odezwy, w której podpisani mieli zająć wyraźne stanowisko wobec zmagających się potęg, z pominięciem różnic poglądów w innych sprawach. Głównym postulatem było zjednoczenie wszystkich ziem polskich. Gdy nie można było dłużej zwlekać, 25 listopada Komitet Narodowy ogłosił odezwę, której końcowy ustęp mówił: „Rodacy! Od stu lat dzielą nas nietknięte przez kolej dziejów granice; synowie naszej ziemi zmuszeni są dziś do przelewania krwi bratniej, walcząc we wrogich sobie szeregach. Ta wielka epokowa wojna granice te znosi, otwiera przed nami promienne jutro zjednoczenia narodu, który w duchu swym nigdy podzielić się nie dał. Tę naszą jedność potwierdzimy dziś niezbicie, gdy postawa naszego narodu zaświadczy, że Polacy we wszystkich dzielnicach swej wielkiej ojczyzny jedną myśl mają, jeden cel — zjednoczenie Polski i założenie podwalin swobodnego rozwoju narodu“.

Odezwę podpisało 27 osób, rekrutujących się ze stronnictwa polityki realnej, narodowej demokracji i bezpartyjnych, do których należałem i ja. Na prezesa Komitetu wybrano Zygm. Wielopolskiego, ponie-

waż realiści sprzeciwili się kandydaturze Romana Dmowskiego. Ciężkim dla mnie był ustęp odezwy, mówiący o zjednoczeniu Polski pod berłem monarchy rosyjskiego, ale bez tego w ówczesnych warunkach Komitet nie mógłby podjąć żadnej akcji. O zjednoczeniu i niepodległości mogliśmy głośno mówić dopiero po rewolucji rosyjskiej w 1917 r. Niektórzy znajomi zarzucali mi, że przez podpisanie tej odezwy wyrzekam się niepodległości. Odpowiedziałem im, że nie wierzę w żadną niepodległość Polski, zdobywaną z udziałem Niemiec.

Sekcja wojskowa Komitetu Narodowego pod przewodnictwem Zygmunta Balickiego zajęła się sprawą tworzenia legionu polskiego. Stawiany przez nią warunek, żeby legioniści mieli prawa kombatantów, jak żołnierze regularnej armii, wydał mi się przewlekaniem sprawy. Sądziłem, że należy jak najprędzej dać czynny wyraz naszym uczuciom, choćby w postaci oddziałów partyzanckich, zapewniając im dobre kierownictwo wojskowe. Kiedy delegaci Komitetu, Zygmunt Balicki i Konstanty Plater, jechali do kwatery w. ks. Mikołaja, zabrałem się z nimi, żeby wyjednać pozwolenie na werbowanie ochotników w rejonie przyfrontowym.

Z uzyskaną od władz wojskowych przepustką udałem się w znajome strony kaliskie przez Łowicz, Piątek, Łęczycę w ślad za cofającymi się wojskami niemieckimi. Wszędzie widać było straszne spustoszenie; pozostali przy spalonych siedzibach starzy pałali nienawiścią do Niemców, ale młodych nie było; zaciągnęli się do przechodzących oddziałów rosyjskich albo zabrali ich Niemcy do robót ziemnych. Za

późno było na werbowanie ochotników. W paru miejscach dostałem wiadomości o legionistach polskich z tamtej strony frontu. Mieli jakąś utarczkę z Niemcami pod Sieradzem. W Małszycach pod Łowiczem znajomy gospodarz zwierzył mi się z rozmów z legionistami, którzy kwaterowali u niego w czasie październikowego natarcia Niemców na Warszawę. Pozostała mi w pamięci konkluzja jego opowiadania: to ludzie nieszczęśliwi! Kolizja ich pragnień z niechętną postawą ludu i koniecznością poddania się niemieckiej komendzie czyniła ich nieszczęśliwymi.

Po powrocie do Warszawy zająłem się pracą w Centralnym Komitecie Obywatelskim. Przybywało jej coraz więcej, bo napływała nowa fala wygnańców pod naporem ponownego natarcia wojsk niemieckich. W styczniu Komitet Narodowy uzyskał zgodę naczelnego dowództwa na przekształcenie legionu Gorczyńskiego na odrębną formację polską na zasadach pospolitego ruszenia, z prawem przenoszenia się do niej oficerów Polaków z armii rosyjskiej. W skład komitetu, mającego czuwać nad tą formacją, weszli generałowie Swidziński (prezes), Stempowski i Szymanowski. Otwarto biuro werbunkowe przy ulicy Wspólnej, ochotników odsyłano do Puław, gdzie formował się tzw. legion puławski, przekształcony w następnym roku na brygadę strzelców polskich. Intrygi ministra spraw wewnętrznych Makłakowa, generał-gubernatora Engałyczewa i jego pomocnika Essena, z pochodzenia Niemca, sprawiły, że Komitet Narodowy wkrótce zamknął zapisy do legionu.

Po raz pierwszy w naszych dziejach porozbiorowych zerwane zostały tradycyjne węzły przyjaźni po-

między Rosją i Prusami. Biurokracja rosyjska, przepojona na wyższych szczeblach wpływami niemieckimi, nie mogła tego strawić i dokładała starań, żeby w kołach wojskowych, sympatyzujących z Polakami, wytworzyć nastrój antypolski i nie dopuścić do żadnych zmian na lepsze. Można twierdzić, że od początku wojny biurokracja rosyjska skrycie zabiegała o doprowadzenie do ponownego zbliżenia z Niemcami, do oddzielnego pokoju z nimi kosztem Austrii i Polski, przez tak zwane wyrównanie granicy zachodniej: oddanie Niemcom części Kongresówki w zamian za część Galicji. Biurokracja nie chciała wojny z Niemcami zaostrzać, a bała się ją przegrać, stąd pochodziły intrygi, sprzyjające polityce niemieckiej w stosunku do Polaków.

Po drobnych zabiegach, wyrażających się w zatrzymaniu odezwy w. ks. Mikołaja, w rozesłaniu do gubernatorów tajnego okólnika, że odezwa nie dotyczy „przywiślańskiego“ kraju, lecz ziem, które w. ks. Mikołaj „może zdobyć“, w opóźnianiu wysiedlenia kolonistów niemieckich, w nieuznawaniu Komitetu Narodowego i przeszkadzaniu w tworzeniu polskiego legionu — nastąpiło posunięcie, demaskujące tajne plany biurokracji. W marcu 1915 r. w rozporządzeniu rady ministrów o wprowadzeniu samorządu miejskiego w Królestwie Polskim umieszczono przepis o wyłączeniu ziemi chełmskiej z Królestwa. W. ks. Mikołaj zapowiadał złączenie ziem polskich w jedną całość, tymczasem rząd dzielił je.

Osobista interwencja Zygmunta Wielopolskiego u cesarza zapobiegła ogłoszeniu przygotowanego przez reakcyjnych ministrów manifestu, który wyko-

nanie odezwy w. ks. Mikołaja ograniczał do wprowadzenia prowincjonalnego samorządu. Zwołana w tej sprawie z polecenia cesarza polsko-rosyjska narada, w której z naszej strony brali udział Dmowski, Dobiecki, Grabski, Harusewicz, Szebeko i Wielopolski, nie doprowadziła do żadnego porozumienia. W ogóle biurokracja rosyjska, mając na widoku pokój z Niemcami, robiła, co mogła, żeby zniechęcić Polaków, i akcja Komitetu Narodowego z konieczności ograniczała się do przeciwdziałania tym zabiegom.

Wobec spodziewanego zajęcia Warszawy przez Niemców, żona moja z dziećmi pozostała u matki w Kupryszkach. Rzeczy nasze w Warszawie oddałem na przechowanie i zamieszkałem z Mielczarskim, z którym łączyła mnie nie tylko przyjaźń osobista, lecz i całkowita wspólność poglądów. Żadne szykany i klęski Rosji nie mogły zachwiać naszego przekonania, że najgroźniejszym wrogiem są Niemcy i że niepodległość Polski niewiele byłaby warta, gdyby nie miała silnej podstawy w zjednoczonych ziemiach polskich i niezależności gospodarczej.

Jako członek Centralnego Komitetu Obywatelskiego opiekowałem się żywnościowymi i sanitarnymi oddziałami Komitetu, niosącymi pomoc wygnańcom, tam gdzie lokalne komitety nie mogły podołać temu zadaniu. W tym czasie było czynnych 280 komitetów miejskich, powiatowych i gminnych. Serce radowało się na widok energii i ofiarności ich członków, nie poddających się żadnemu pesymizmowi mimo coraz cięższych warunków pracy. Przypominały się słowa poety: „w ciągłej przykładu i słowa postaci rozdawali siebie samych swej braci i mnożyli się

przez czyny żyjące". Jeździłem wzdłuż całego frontu od Tomaszowa Lubelskiego do Sejn, a nigdzie nie brakło ludzi do służby społecznej. Jako naród o głębokiej kulturze chrześcijańskiej, o ileż wyżsi byliśmy duchowo od narodu rosyjskiego, wśród którego znaleźliśmy się w kilka miesięcy potem.

Ostatni raz przed zajęciem Warszawy przez Niemców byłem w Sejnach z powodu srożącej się w tamtych stronach epidemii tyfusu plamistego. Dowoziłem z Grodna samochodem ciężarowym środki dezynfekcyjne i wapno dla naszego oddziału sanitarnego. Miejscowy doktor, Stanisław Urban, prawdziwy samarytanin, poległ w walce z tą straszną epidemią. Przewodniczący komitetu obywatelskiego, ks. kanonik Jałbrzykowski zaznajomił mnie z generałem rosyjskim, kwaterującym w Sejnach, Niemcem z pochodzenia. Od niego zależała swoboda naszych ruchów w tym okręgu; okopy były niedaleko. Z rozmowy z generałem wyniosłem wrażenie, że obojętne mu są losy wojny; bardziej interesował się wintem. Zaprosił mnie do gry, ale była bardzo nieprzyjemna, gdyż beształ swego partnera, adiutanta, za każde wyjście nie po jego myśli. Wymówiłem się od dalszej gry pod pretekstem rychłego wyjazdu. Szosa była rozbita pociskami armatnimi, ale nikt jej nie reparował. Pod Grodnem na gwałt budowano nowy fort z betonu. To samo widziałem między Jabłonną i Modlinem, potem pod Brześciem n. Bugiem... Budowanie fortów w ostatniej chwili świadczyło o zupełnym nieprzygotowaniu Rosji do wojny z Niemcami; myślano o wojnie tylko z Austrią.

W DRODZE Z WYGNAŃCAMI

Po klęsce pod Gorlicami zaczął się odwrót armii rosyjskiej na całym froncie. Zastosowano przy tym taktykę z czasów wojny z Napoleonem: zostawiania za sobą pustkowia, niszczenia wszystkiego, co mogłoby pomagać armii nieprzyjacielskiej w posuwaniu się naprzód. Na skutek starań Centralnego Komitetu Obywatelskiego naczelne dowództwo zgodziło się wstrzymać przymusową ewakuację ludności, ale żadne rozporządzenia nie mogły już pomóc. Wojska rosyjskie, zachowujące się dotąd bardzo poprawnie, nabrały teraz niszczycielskiego pędu: palono po drodze wsie i zboże na pniu, wyrzuconą z siedzib ludność pędzono przed sobą.

W ten sposób na traktach, prowadzących do Rosji, znalazły się setki tysięcy Polaków. Groziło niebezpieczeństwo, że władze cywilne skierują ich na daleki wschód dla osiedlenia na bezludnych obszarach za Wołgą. Centralny Komitet postanowił zapobiec temu niebezpieczeństwu i polecił Czetwertyńskiemu, Grabskiemu i mnie zorganizować opiekę nad wygnańcami w Rosji i nie dopuścić do wywiezienia ich na daleki wschód razem z Rusinami i Białorusinami. Grabski, jako główny pełnomocnik Komitetu, pojechał do Piotrogrodu wystarać się o potrzebne fundusze i zwerbować instruktorów dla organizowania naszych wygnańców, tak żeby utrzymać ich w naturalnych skupieniach według miejsca pochodzenia. Mnie oddano pod opiekę lotne oddziały sanitarne i żywnościowe, które szły razem z wygnańcami okazując im doraźną pomoc. Moim obowiązkiem było zaopatrywać oddziały

w produkty i pieniądze, które otrzymałem w Warszawie w przeddzień wkroczenia do niej patroli niemieckich.

Obrałem sobie za pierwszą kwaterę Siedlce, ponieważ stąd mogłem dojeżdżać samochodem do traktu Ostrów—Zambrów, na którym pracował jeden oddział żywnościowy, a z drugiej strony do oddziałów, które szły traktami prowadzącymi do Brześcia n. Bugiem. Każdy oddział miał samochód ciężarowy, kuchnię polową i kotły dla przyrządzania gorącej strawy dla tych wygnańców, którzy nie zdążyli zabrać ze sobą żadnych zapasów na drogę. W Siedlcach w zakupie kaszy, soli, słoniny pomógł mi miejscowy syndykat rolniczy. Zaledwie kilka dni mogłem tutaj kwaterować. Po powrocie z ostatniego wyjazdu do Ostrowa zbudził mnie rano szofer wiadomością, że lada chwila mogą nadejść niemieckie patrole. W nocy przeleciał nad miastem samolot niemiecki zrzucając kilka bomb. Ostatnie oddziały rosyjskie wyszły, po ulicach kręcili się jeszcze nieliczni Kozacy, ale nie rabowali. Miasto wyglądało jak wymarłe, choć ludności nie ewakuowano. Wszyscy się pochowali, wszędzie okiennice i drzwi były szczelnie zamknięte. Uprzednio umówiłem się z zarządem syndykatu rolniczego, że wszystko to, czego nie zdążę zabrać, zostaje do dyspozycji miejscowego komitetu obywatelskiego. Mogłem więc bez zwłoki wyjechać w stronę Brześcia, gdzie miałem spotkać się z naszymi oddziałami.

W Brześciu, mimo gorączkowego wykańczania nowych fortów, nie zanosiło się na obronę twierdzy. Wojsko rosyjskie cofało się dalej, podobno zabrakło amunicji. Wygnańcom nie pozwolono przechodzić

przez miasto i okólnymi drogami skierowywano do Kobrynia. Udałem się do Włodawy. Dzikie zarządzenia lubelskiego gubernatora Sterligowa sprawiły, że tędy napływała największa fala wygnańców. Nasze komitety i księża katoliccy robili, co mogli, żeby klęskę przymusowej ewakuacji zmniejszyć do minimum. Większość ludności polskiej uniknęła męki pobytu w Rosji, schodząc z traktów do lasów, gdzie ukrywała się do czasu przejścia wojsk i wracała do swoich siedzib. Natomiast ludność prawosławna z Chełmszczyzny pod wodzą popów całą masą śpieszyła na wschód tworząc miejscami zatory nie do przebycia. Przy przeprawie przez Bug we Włodawie panowało istne piekło; ludzie zamieniali się w zwierzęta, nie znające miłosierdzia.

Doktor, prowadzący nasz oddział sanitarny, upewniał mnie, że taki ścisk ludności na szosie, otoczonej mokradłami, musi doprowadzić do zjawienia się zarazy, wobec której będziemy bezsilni. Wzdłuż szosy nie było studzien, a te, które zaczęto kopać dla wojska, zasypywano. Nasze przestrogi, żeby nie pić wody z przydrożnych rowów bez przegotowania, nie znajdowały posłuchu wśród Rusinów. Nie było czasu na rozpalanie ognisk; wszyscy spieszyli się, żeby najprędzej wydostać się z tego piekła.

W Kobryniu pracował nasz oddział żywnościowy. Zjawił się też oddział „Siewieropomoszczi“ Zubczaninowa, który zaopiekował się ludnością prawosławną. Wygnańcy z Mazowsza łomżyńskiego szli traktami, schodzącymi się w Prużanach. Tutaj w połowie sierpnia był Grabski, aby wskazać dalsze sposoby niesienia pomocy wygnańcom. Z jego inicjatywy powstała

komisja, złożona z wygnańców ziemian pod przewodnictwem Józefa Dangla. Otrzymane od Grabskiego fundusze komisja użyła na dawanie doraźnych zapomóg pieniężnych i urządzenie stacji obrokowych w Prużanach, Różanach, Słonimiu oraz stacji żywnościowej w Słonimiu, udzielającej gorącej strawy wygnańcom. Kiedy od spotkanego na szosie prużańskiej Seweryna Czetwertyńskiego dowiedziałem się o pobycie Grabskiego i komisji, pomagającej wygnańcom na tym trakcie, nadal opiekowałem się tylko szlakiem Bereza Kartuska—Siniawka—Słuck.

Po upadku Brześcia tym szlakiem posuwała się największa fala wygnańców, zasilana napływem masy Białorusinów. Dziwiło mnie zachowanie się duchowieństwa prawosławnego. Zamiast powstrzymywać ludzi, pierwsze opuszczało swoje siedziby, pociągając za sobą parafian. Szosę na całej szerokości zajął nieprzerwany sznur wozów tak naładowanych, że nawet dzieci musiały iść piechotą. Złe odżywianie się i brak czystej wody spowodowały, że za Kossowem dotknęła nas nowa klęska — epidemia cholery. Pierwsze ofiary jej wywołały taki popłoch na szosie, że ludzie, jak oszalali, rzucili się do ucieczki, tratując jedni drugich. Porzucone ze zmarłymi wozy bez koni zagradzały drogę następnym, potworzyły się zatory, hamujące ruch wozów całymi godzinami. Najwięcej ofiar było wśród Rusinów i Białorusinów, nie przestrzegających czystości w jedzeniu i piciu wody. Polscy włościanie, zgodnie z naszymi wskazówkami, zjeżdżali na bok dalej od szosy, gdzie tylko były suche miejsca, i tam czekali, aż panika minie i przerzedzi się sznur wozów na szosie.

Zaraza najsrożej grasowała tam, gdzie był największy ścisk ludzi. Unikanie go, zaniechanie picia zimnej wody, chronienie żywności od pyłu przydrożnego, płukanie ust, mycie rąk i naczyń przed jedzeniem były jedynymi środkami, chroniącymi od zarazy. Nie jest ona straszna dla ludzi, umiejących zachować czystość. Przekonałem się o tym w naszym oddziale sanitarnym, który pracował w Miłowidach w opuszczonym przez właścicieli domu nad szosą. Wszystkie pokoje, nawet sień były zapełnione chorymi na cholerę, nie było osobnego pomieszczenia dla pracowników, mimo to nikt z nich nie zaraził się. Doktor zalecił mi w drodze przed jedzeniem wycierać ręce i chleb ręcznikiem, zwilżonym w słabym roztworze sublimatu, i zażywać parę razy na dzień salol.

Oddział żywnościowy na postojach ogradzaliśmy, tak żeby poza obsługą nikt nie miał dostępu do kotłów, w których przyrządzano gorącą strawę. Zgłaszający się po nią wygnańcy musieli przynosić ze sobą czyste garnki, inaczej zupy do nich nie nalewano. Najbardziej wyrzekali na to Białorusini, ale prędko przekonali się, że mamy na celu ich dobro, bo czystość — to zdrowie. Białe krzyże wzdłuż drogi mówiły, jak wiele ofiar pochłonęła zaraza. Powoli oswajano się z tą klęską; nie wydawała się już nieprzezwyciężoną, gdy poznano środki zaradcze. Ustał również napływ nowych wygnańców; widocznie wojska rosyjskie zatrzymały się nad rzeką Szczarą. Dłuższy postój urządziliśmy w Siniawce, gdzie napływali wygnańcy z Mazowsza, zepchnięci z szosy, kończącej się w Baranowiczach.

W celu skomunikowania się z oddziałem żywno-

ściowym, który szedł tą szosą, pojechałem do Baranowicz bocznym traktem przez Lachowicze. Zastałem oddział przy pracy w lesie pod Baranowiczami. Wygnańców było tutaj znacznie mniej. Większość Białorusinów „Siewieropomoszcz“ wyprawiła pociągami, opróżnionymi przez nadsyłane z głębi Rosji pułki zapasowe. Przygnębiający był widok żołnierzy, idących w stronę Słonimia bez broni: mieli ją otrzymać dopiero na froncie po zabitych i rannych. Stałem na szosie przy zepsutym samochodzie czekając na konie, które miały dociągnąć nas do stacji towarowej w Baranowiczach. Widocznie i tutaj grasowała cholera: przy opuszczonych barakach leżał martwy Białorusin, którego omijano z daleka. Pozwolono mi załadować zepsuty samochód na platformę, którą doczepiono do pociągu ewakuacyjnego, odchodzącego do Mińska. Wlókł się kilkanaście godzin, ponieważ przed nami szły pociągi z obsługą sanitarną, zabierające po drodze skupionych na stacjach wygnańców, nazywanych tutaj „bieżeńcami“.

W Mińsku zastałem Czetwertyńskiego, Władysława Glinkę, Mariana Lutosławskiego, Adolfa Swidę i kilkunastu instruktorów, przysłanych przez Grabskiego. Zgodnie z jego planem wyznaczyliśmy na wszystkich drogach, prowadzących na wschód, punkty, w których należy umieścić instruktorów. Obowiązkiem instruktora było stać na drodze i przechodzących przez ten punkt polskich wygnańców organizować w partie, czyli grupy 30 do 200 osób, pochodzących z tej samej wsi albo okolicy, w celu wzajemnej pomocy w drodze i na miejscu osiedlenia. Wybrany przez partię przewodnik otrzymywał od instruktora

opaskę na ramię ze znakiem C. K. O., sto rubli na pierwsze potrzeby partii, książkę dla zapisywania wydatków i członków partii oraz kartę korespondencyjną z adresem Centralnego Komitetu Obywatelskiego dla zawiadomienia, gdzie partia zatrzymała się na stałe. Do pomocy przewodnikowi wyznaczała partia dwóch członków, nazywanych ławnikami.

Według instrukcji, przygotowanej przez Grabskiego, przewodnik obowiązany był „dbać o całą partię, jak ojciec o rodzinę, wyznaczać drogę i postoje, dowiadywać się, gdzie można dostać pożywienie, starać się o zarobki dla członków swej partii tak, żeby pracowali w jednym miejscu lub w pobliżu siebie. O zarobek i zapłatę umawiać się powinien przewodnik w imieniu partii“. Złączenie w partii ludzi, związanych wspólnym pochodzeniem i dobrze znających się, uczyniło ją ośrodkiem ich życia na wygnaniu, chroniącym od rozproszenia w obcym środowisku i jego zgubnych wpływów. Dzięki takiej organizacji Centralny Komitet mógł roztoczyć skuteczną opiekę nad polskimi wygnańcami na całym obszarze Rosji w zakresie ich materialnych i moralnych potrzeb.

Instruktorzy zdawali sprawozdanie ze swych czynności okręgowym pełnomocnikom i przez nich otrzymywali wskazówki i pieniądze dla dalszej pomocy. W październiku zorganizowali 280 partii, obejmujących 25 000 wygnańców, w następnym miesiącu 1880 partii z 110 000 wygnańców. Pierwszym pełnomocnikiem C. K. O. na okręg miński był Adolf Swida, na okręg bobrujski — Józef Dangel, który przeniósł się tam po ewakuacji Słonimia w pierwszych dniach września.

Po naradzie w Mińsku wróciłem samochodem na szosę, prowadzącą z Siniawki do Słucka i Bobrujska. W Słucku był przede mną Jan Glinka, członek komisji utworzonej w Prużanach, i zorganizował stację obrokową, zaopatrującą wygnańców w owies i siano dla koni. Gdy główna fala naszych wygnańców przeszła Słuck, udałem się w stronę Bobrujska. Przyjechałem tutaj w końcu września.

W Bobrujsku zastałem przy pracy wszystkich członków komisji prużańskiej z Danglem na czele. Prawie równocześnie ze mną przyjechał instruktor Edward Rettinger, organizujący wygnańców w partie. Daliśmy mu do pomocy kilku młodych ludzi, żeby przyspieszyć tę pracę. Groziło niebezpieczeństwo wsadzenia naszych wygnańców do pociągów, odchodzących na daleki wschód. Namawiali do tego ajenci rosyjskiego urzędu przesiedleńczego i „Siewieropomoszcz“, skupująca od wygnańców konie i wozy. Namowom tym ulegli Rusini i Białorusini, nie mający własnych organizacji opiekuńczych. Z naszych wygnańców nieliczne rodziny uległy panice i zgodziły się siadać do pociągów, które miały ich zawieźć nie wiadomo dokąd. Olbrzymia większość, wiedziona zdrowym instynktem, nie chciała wyzbyć się wozów i koni, zabezpieczających możność zarobkowania na wygnaniu i powrót do ojczyzny. Zgodnie z naszymi wskazówkami włościanie szli dalej szosą z Bobrujska do Rohaczewa i Dowska. Na tę drogę skierowaliśmy wszystkie oddziały sanitarne i żywnościowe, które w tym czasie nadciągały do Bobrujska. Oddałem je pod zarząd komisji razem z funduszami, pozostałymi z otrzymanych w Warszawie.

Ogólne zebranie C. K. O. wyznaczył Grabski na 1 października w Piotrogrodzie. Pojechałem na nie z Bobrujska z Danglem. Oprócz 8 członków z Warszawy (Czetwertyński, Grabski, Juriewicz, Leśniowski, Lutosławski, Rutkowski, ja i Załęski) w skład C. K. O. weszli prezesi lubelskiego i suwalskiego komitetu (Zdziechowski i Gallera), pełnomocnicy rejonowi (Dangel, Górski, Gutowski, Jasiukowicz, Swida), dawni reprezentanci C. K. O. i Komitetu Obywatelskiego miasta Warszawy na Rosję (Glezmer, Kronenberg, Lednicki, Nowodworski, Żukowski), posłowie polscy do Dumy i Rady państwa oraz kilka zaproszonych osób. Ogólne zebranie zajmowało się sprawą stosunku C. K. O. do władz rządowych, ustaleniem zasad organizacji i form pomocy dla wygnańców oraz wyborem organów wykonawczych.

Głównym kierownikiem i przedstawicielem C. K. O. na wewnątrz i zewnątrz był Grabski. Pod jego przewodnictwem sprawy bieżące prowadził zarząd główny, złożony z osób, wybranych przez ogólne zebranie, i pełnomocników rejonowych. Oprócz biura Zarządu w Piotrogrodzie czynne były dwa wydziały: 1) oświaty i opieki nad dziećmi, 2) stosunków z krajem. Dla ułatwienia działalności i pomocy wygnańcom utworzono 7 zarządów rejonowych: 1) frontowy z siedzibą w Mińsku, 2) zachodni z siedzibą w Bobrujsku, potem w Rosławiu, 3) północno-zachodni z siedzibą w Mohylewie, 4) południowo-zachodni w Kijowie, 5) południowy w Charkowie, 6) środkowy w Moskwie, 7) północny w Piotrogrodzie. Kierowali nimi pełnomocnicy, odpowiedzialni przed zarządem głównym i ogól-

nym zebraniem C. K. O. za wszystkie sprawy rejonu i fundusze asygnowane na jego potrzeby. Głównym kontrolerem był Stanisław Leśniowski. Prezesem komisji rewizyjnej, sprawdzającej rachunki Zarządu głównego i rejonów, był Jan Żarnowski, późniejszy prezes Najwyższej Izby Kontroli w Warszawie.

C. K. O. zapewnił sobie 200 000 rb. miesięcznie od Komitetu w. ks. Tatiany, oprócz tego Grabski wyjednywał bardzo znaczne fundusze ze skarbu państwa. Udało mu się na specjalnej naradzie dla spraw wygnańców, powołanej w drodze ustawodawczej, przeprowadzić uchwałę, potępiającą przymusowe wysiedlenie ludności z terenu wojny, i uznanie wygnańców nie za „bieżeńców“, dobrowolnie opuszczających swe siedziby, lecz za ofiary barbarzyńskiego sposobu wojowania, którym należy się odszkodowanie, a nie tylko filantropijna pomoc. Uchwały narady stały się podstawą dla otrzymania ze skarbu państwa funduszów na dawanie wygnańcom stałych zasiłków miesięcznych i ulgowych pożyczek na poczet poniesionych strat majątkowych.

Organizacje rosyjskie, opiekujące się wygnańcami, wystąpiły z projektem okazywania pomocy w naturze: lokowania wygnańców w barakach i żywienia ze wspólnych kotłów. Projektu tego zaniechano wobec stanowczej opozycji z naszej strony. Prowizoryczne baraki i kotły były usprawiedliwione, jako doraźna pomoc, dopóki wygnańcy byli w drodze. Utrzymane na stałe niszczyłyby życie rodzinne, uniemożliwiałyby rozmieszczenie wygnańców na wsi i walkę z epidemiami, pozbawiałyby możności utrzymania koni z wozami i zarobkowania przy ich pomocy. Sta-

nęło na tym, że pomoc będzie udzielana wygnańcom w gotowiznie z uwzględnieniem liczby dzieci i osób niezdolnych do pracy. W tym celu, po zakończeniu organizacji partii, nasi instruktorzy zajęli się przeprowadzeniem dokładnej rejestracji wygnańców i wypłacaniem zasiłków na życie i mieszkanie co miesiąc.

Po powrocie do Bobrujska przekształciliśmy komisję prużańską na zarząd rejonu zachodniego. W skład jego, jako stali członkowie, weszli: Dangel (przewodniczący), Jan Glinka, Edward Zaleski i ja. Zarząd miał siedzibę w Bobrujsku do połowy listopada; kiedy ustał ruch wygnańców na traktach, przenieśliśmy się na stałe do Rosławia. Oddziały nasze, umieszczone za Rohaczewem w Dowsku na skrzyżowaniu szos, wydawały z 6 kotłów przeszło tysiąc obiadów dziennie i około 4000 porcji herbaty z cukrem, co przy braku dobrej wody do picia znakomicie zapobiegało szerzeniu się epidemii. Zgodnie z planem C. K. O. rozmieszczenia wygnańców możliwie najbliżej kraju, skierowaliśmy z Dowska na południe w okolice Homla i Czernihowa 34 782 wygnańców, prowadzących z sobą 9834 koni i 1071 krów. Uprzednio w rejonie Mińska, Mohylewa i Bobrujska zatrzymało się około 80 000 wygnańców. Reszta szła dalej na wschód w stronę Rosławia, który wyznaczyliśmy jako ostatni punkt naszej wędrówki.

Do Rosławia przyjechałem w pierwszych dniach listopada. Znalazłem tutaj starego znajomego z czasów nielegalnego pobytu w Wilnie, Ludwika Zajkowskiego z rodziną. Od kilku lat pracował tutaj jako adwokat. Zamieszkałem u niego do czasu, kiedy będę mógł sprowadzić swoją rodzinę. Przedtem żonę mo-

ją z dziećmi zabrała z Kupryszek jej siostra, Zofia Łukaszewiczowa do Kotielnicza nad Wiatką, gdzie mąż jej był inspektorem lasów rządowych. W Rosławiu zastałem też kilka rodzin polskich z Litwy, które przyjechały koleją; między innymi Stanisławową Narutowiczową z dziećmi, siostrę Zajkowskiej. Miejscowa kolonia polska zajęta była organizacją opieki nad dziećmi wygnańców. Najgorzej przedstawiała się sprawa zaopatrzenia ich w bieliznę, zdartą w drodze, i ciepłą odzież na zimę. Mała szwalnia, prowadzona przez Zofię Narutowiczównę, nie mogła podołać temu zadaniu. Postanowiliśmy natychmiast rozszerzyć ją i sprowadzić potrzebne materiały na bieliznę i odzież w większej ilości z Moskwy. Na początek C. K. O. wyasygnował 50 000 rb.

W okresie największego zapotrzebowania odzieży w zimie 1915/1916 r. liczba zatrudnionych szwaczek, werbowanych spośród wygnańców w Rosławiu, doszła do 194 w 4 pracowniach. W ciągu pierwszych 9 miesięcy uszyły ogółem 163 887 sztuk bielizny i odzieży, 5586 kołder i poduszek. Użyte one zostały przede wszystkim na zaopatrzenie dzieci wygnańców w naszych ochronach, resztę rozdawali instruktorzy przy pomocy przewodników partii. Kożuchy i obuwie otrzymywaliśmy od zarządu głównego oraz z pracowni innych rejonów. Ogółem w naszym rejonie udzieliliśmy pomocy odzieżowej 78 390 osobom.

Przeprowadzona przy pomocy 90 instruktorów rejestracja wygnańców w naszym rejonie wykazała 127 129 osób. Po oddaniu okręgu mińskiego pod zarząd Adolfa Swidy w marcu 1916 r. pozostało pod naszą opieką 82 977 wygnańców, z czego 76 089 było

zorganizowanych w 1088 partii. W celu wszechstronnego i dokładnego obsłużenia wygnańców podzieliliśmy nasz rejon na 10 oddziałów. Na czele każdego oddziału stał pełnomocnik lub zarządzający, mający do pomocy sekretarza, skarbnika, magazyniera i odpowiednią ilość instruktorów. Pomoc religijną wygnańcom nieśli kapelani objazdowi, wyznaczani przez władzę duchowną. Urządziliśmy 28 posterunków ambulatoryjnych, udzielających porad i lekarstw oraz 10 małych szpitali na 200 łóżek. Dzieci, które potraciły rodziców i nabliższą rodzinę w drodze, w ogólnej liczbie 185 umieściliśmy w 7 wynajętych willach w Kozłówku pod Rosławiem. W 280 szkołach początkowych i ochronach, założonych w naszym rejonie, uczyło się 13 000 dziatwy wygnańczej, z czego 4000 otrzymywało całodzienne utrzymanie.

Całą tą działalnością opiekował się zarząd rejonu w Rosławiu. Zbieraliśmy się prawie co dzień, by dawać instrukcje, przyjmować sprawozdanie i asygnować pieniądze na dalszą pomoc. Biuro, kierowane przez członka zarządu Edwarda Zaleskiego, składało się z 5 wydziałów: 1) administracyjnego, 2) prawnego, dla sporządzania aktów o stratach w zasiewach i ruchomościach, 3) statystycznego, dla prowadzenia rejestru wygnańców i dzieci w szkołach, 4) potrzeb kulturalnych, opiekujących się szkołami i ochronami, 5) rachunkowości i kontroli.

Co miesiąc jeden z nas jeździł do Piotrogrodu na posiedzenia Zarządu głównego. Z przedstawianych tam sprawozdań widać było, że we wszystkich rejonach akcję ratowniczą prowadzono równie energicznie i wszechstronnie. Ogółem w C. K. O. zarejestro-

wano 334 000 wygnańców, z czego 253 000 zorganizowano w partie. Oprócz C. K. O. na terenie Rosji działały różne miejscowe organizacje polskie: Towarzystwa Dobroczynności, Komitety Polskie, Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny. Pod ich opieką znajdowało się 280 000 wygnańców, osiedlonych w miastach. W końcu 1915 r. wszystkie te organizacje łącznie z C. K. O. zrzeszyły się w Radzie Zjazdów Polskich Organizacji Pomocy Ofiarom Wojny w celu wspólnego reprezentowania potrzeb wygnańców wobec rządu rosyjskiego, zachowując poza tym swoją odrębność organizacyjną. W miastach, gdzie były polskie instytucje ratownicze, C. K. O. pozostawiał im opiekę nad wygnańcami.

Przyjeżdżając do Piotrogrodu w sprawach C. K. O. chodziłem również na posiedzenia Komitetu Narodowego. Po wyjeździe z Warszawy wzmógł się w nim wpływ kół ziemiańskich z Kresów, mało stanowczych w zwalczaniu niebezpieczeństwa niemieckiego. Większość bezpartyjnych została w kraju. Grabski i Leśniowski w całości oddali się pracy w C. K. O. i przestali przychodzić na posiedzenia Komitetu. Z podpisanych na odezwie bezpartyjnych pozostałem bodaj ja jeden. W listopadzie Dmowski wyjechał na Zachód, gdzie mógł oddać daleko większe usługi sprawie polskiej przez wpływanie na opinię publiczną w państwach koalicji przeciwniemieckiej. W samej Rosji właściwie nie było pola dla akcji politycznej Komitetu. W miarę kruszenia się militarnej potęgi Rosji rosły w niej wpływy reakcyjne, germanofilskie, zmierzające do odrębnego pokoju z Niemcami kosztem Polski. Wyraziło się to w mianowaniu

prezesem ministrów Stürmera, z pochodzenia Niemca i wroga Polaków. Tragizm Rosji polegał na tym, że na czele stał słaby cesarz, pragnący doprowadzić wojnę do zwycięskiego końca i dość daleko idący w sprawie polskiej, a równocześnie ulegający wpływom reakcyjnej kamaryli dworskiej, z cesarzową i Rasputinem na czele.

W Komitecie Narodowym przeważało zdanie, że nie można występować z programem maksymalnym w sprawie przyszłego ustroju Polski i należy to odłożyć na koniec wojny, tymczasem zaś popierać wszystko, co angażowało Rosję do dalszego prowadzenia wojny, przeciwdziałać intrygom germanofilów i korzystnie usposabiać członków Dumy i Rady państwa do Polaków. Moje osobiste wrażenia z rozmów z Rosjanami mówiły, że szczerych przyjaciół wśród nich mamy bardzo mało. Kiedy w grudniu 1916 r. cesarz w rozkazie do armii wymienił, jako zadanie Rosji, obok opanowania Konstantynopola „stworzenie wolnej Polski ze wszystkich jej ziem", wielu działaczy dumskich było z tego niezadowolonych. Wychowani na podręcznikach szkolnych głoszących, że Rosja uwolniła chłopów polskich od ucisku szlachty, nie żywili sympatii wobec naszych dążeń separatystycznych, raczej chcieli występować w roli obrońców ludu przed „polską reakcją", jak dawni carscy demokraci w rodzaju Milutina i Czerkasowa.

Dziwnie zagadkowy był naród rosyjski, z którym sprzęgły nas losy wojny. Pod cienką warstwą cywilizacji europejskiej, narzuconą przez Piotra Wielkiego, a utrzymywaną przez biurokrację i inteligencję, zachowały się pierwotne instynkty Azjatów, ujawnia-

jące swój pęd niszczycielski przy cofaniu się z Polski. Duchowieństwo prawosławne, zetatyzowane i nieszanowane, bardzo mały wpływ wywierało na złagodzenie tych instynktów. Wśród inteligencji, poza tołstojowcami, nie spotykałem ludzi religijnych; uderzał również brak patriotyzmu i hołdowanie najskrajniejszym doktrynom. Radykali, jak za czasów wojny rosyjsko-japońskiej, mało przejmowali się klęskami na froncie, więcej interesowało ich to, jaki ustrój zapanuje po wojnie. Lud prosty pozostał takim, jakim przed laty widział go Mickiewicz w drodze do Rosji: „Twarz każdego jest jak ich kraina, pusta, otwarta i dzika równina; i z ich serc jako wulkanów podziemnych jeszcze nie przeszedł ogień aż do twarzy... Gdy słońce wolności zaświeci, jakiż z powłoki tej owad wyleci? Czy motyl jasny wzniesie się nad ziemię, czy ćma wypadnie, brudne nocy plemię?“

W Rosławiu zarząd rejonu oddał pod moje kierownictwo wydział warsztatów wytwórczych, który obejmował następujące przedsiębiorstwa: składy żywnościowe i towarowe, 6 szwalni, warsztaty kołodziejskie w Ossowie, przedsiębiorstwo leśne w Miedwiedziówce dostarczające drzewa opałowego, farmę w Idalinie i folwark w Kleczetowie, dzierżawiony celem przetrzymania koni powierzonych naszej opiece. Z tego powodu musiałem jeździć po guberni smoleńskiej. Zdumiony byłem panującą tutaj ciemnotą i lenistwem. W ziemstwie dowiedziałem się, że przestali urządzać po wsiach odczyty o uprawie ziemi i hodowli, bo nieliczni słuchacze, którzy przychodzili, żądali, żeby płacono im za to po 50 kop.: „inaczej słuchać nie warto“. Po zamknięciu sklepów monopo-

łowych na czas wojny przestali przychodzić na roboty leśne, bo po co pracować, kiedy nie można przepić zarobionych pieniędzy. Wódka była tutaj bodaj jedynym bodźcem do pracy.

W Kleczetowie, dużej wsi posiadającej kilkaset krów, szklanki mleka nie mogłem dostać, bo „w zimie — mówiono — krowy mleka nie dają“. Kiedy powiedziałem im, że mieszkający przy stacji kolejowej wygnaniec Łotysz jednak miał mleko, odpowiadali mi, że to czarodziej! Ale Łotysz trzymał krowę w oborze i karmił ją, a u nich krowy wałęsały się po wsi, jak psy wygłodzone, szukając na śniegu słomy i siana, pozostawionych przez przejeżdżających. Podobno z tych stron zabierano młodzież do kopalń węgla na południu, skąd wracali rozpici ze zrujnowanym zdrowiem. W chatach widziałem niemowlęta, trzymające w ustach zamiast smoczków makówki, owinięte w płótno. Nie dziwiłem się już, że było tutaj tak dużo idiotów.

Dworów, które mogłyby wpływać na podniesienie kultury, nie spotykałem. Właściciele nie mieszkali na wsi, przyjeżdżali tylko na lato, a gospodarstwo oddawali połownikom. Nieco wyższą kulturę rolną i zdrowszą ludność wiejską zastałem w sąsiedniej guberni orłowskiej, gdzie w Domninie ulokowaliśmy szwalnię Suwalskiego Komitetu Obywatelskiego, ewakuowaną z Wilna. Powiększyliśmy liczbę pracujących w niej dziewcząt z 50 do 300; szyły bieliznę dla żołnierzy z materiału, dostarczanego przez intendenturę. Szwalnie w Rosławiu i Smoleńsku przygotowywały bieliznę i odzież tylko dla wygnańców. We wsi Nowosiółki pod Rosławiem urządziliśmy szkołę

rzemiosł dla kobiet pod kierunkiem Zofii Narutowiczówny. Przy szkole był internat dla 150 dziewcząt oraz duże ogrody, obrabiane przez wychowanki szkoły i dostarczające warzyw internatom. Altana lipowa w ogrodzie wskazywała, że kiedyś był tutaj dwór polski.

Z kraju zaczęły dochodzić wieści o wzmagającym się tam głodzie, spowodowanym zniszczeniem zbiorów przez cofające się wojska rosyjskie i zabieraniem resztek zapasów żywności przez władze niemieckie. Prezes Komitetu Obywatelskiego m. Warszawy, Zdzisław Lubomirski przysłał list z prośbą o poczynienie starań, aby rządy rosyjski i angielski pozwoliły na rozszerzenie działalności Amerykańskiego Towarzystwa Pomocy dla Belgii także na ziemie polskie. W tej sprawie C. K. O. wydelegował Eustachego Dobieckiego i mnie do Sztokholmu, jako do centralnego punktu neutralnego. Mieliśmy tam zająć się wysłaniem pierwszych transportów żywności do Warszawy, po uzyskaniu zgody ministra spraw zagranicznych Sazonowa i Londynu, gdzie o to zabiegali Maurycy Zamojski i Władysław Sobański.

Ponieważ Zatoka Botnicka była jeszcze pokryta lodem, jechaliśmy do Szwecji koleją przez Finlandię. Na stacji granicznej w Torneo urzędowali żandarmi rosyjscy, ewakuowani z Warszawy. Raziła mnie ich niezwykła uprzejmość i pytanie, kiedy będą mogli wrócić do „kochanej“ Warszawy. Czekając na pociąg, po drugiej stronie granicy, w Haparandzie, wyszedłem zobaczyć, jak wygląda szwedzkie miasteczko w zimie. Chociaż udeptany śnieg zaczynał topnieć, wszyscy jeszcze chodzili po ulicach na krótkich sze-

rokich nartach, pozostawianych przy wejściu do sklepów. W porównaniu z naszymi miasteczkami uderzała tutaj nadzwyczajna czystość ulic i placów, otoczonych małymi, schludnymi domkami. Blisko dworca był hotel z kawiarnią, której nie powstydziłaby się Warszawa. Prawie wszyscy goście pili poncz (punsch), rozpowszechniony tutaj, jak piwo w Niemczech. Z Haparandy do Sztokholmu jechaliśmy prawie całą dobą. Spotykane po drodze towarowe pociągi były naładowane tylko węglem drzewnym i rudą żelazną.

W Sztokholmie Dobiecki chodził do poselstwa rosyjskiego i angielskiego, a ja udałem się do znanej mi z poprzedniej bytności z Mielczarskim hurtowni szwedzkich spółdzielni (Kooperativa Forbundet). Zarząd jej chętnie podjął się kupowania i przesyłania żywności do Warszawy pod warunkiem, że wystaramy się o glejty na wywóz od rządu szwedzkiego. W ministerstwie powiedziano nam, że bez zgody rządu angielskiego takich glejtów dać nie mogą. Londyn uzależniał swą zgodę od tego, czy rząd niemiecki da należytą rękojmię, że nadsyłana żywność służyć będzie jedynie ludności polskiej. Ponieważ warunkowi temu nie stało się zadość, musieliśmy zaniechać aprowizacji Warszawy.

Po powrocie ze Sztokholmu pojechałem na Święta Wielkanocne do rodziny w Kotielniczu nad Wiatką. Miasto było czystsze niż Rosław, miało nawet wodociąg i ludność zdrowszą, nie tak ponurą i nieprzyjazną jak w gubernii smoleńskiej. Oprócz Łukaszewiczów, mieszkających tutaj od kilkunastu lat, było kilku Polaków, wydalonych z Warszawy, jako podda-

nych austriackich. Jeden z nich przygotowywał nasze dzieci do szkoły. O istnieniu wojny przypominały tutaj tylko przeprowadzane przez miasto partie jeńców wojennych, używanych do robót leśnych. Źle odziani i żywieni rybą ginęli dziesiątkami od mrozów i szkorbutu. Nikt się nimi nie opiekował. Jeńcy oficerowie trzymani byli osobno w Wiatce.

Żona postanowiła zostać z dziećmi w Kotielniczu do końca lata, a ja wróciłem do moich zajęć w Rosławiu. Zarządy rejonowe, bardzo potrzebne w pierwszych miesiącach organizowania wygnańców i tworzenia lokalnych instytucji pomocy, stały się zbyteczne z chwilą ukończenia tej pracy i ustalenia zasad i sposobów działania wszystkich organów pomocniczych. Dlatego na ogólnym zebraniu C. K. O. w Piotrogrodzie postanowiliśmy z dniem 1 października 1916 r. skasować zarządy rejonowe, a administrację, kierownictwo i kontrolę wszystkich organówześrodkować w Zarządzie głównym. Z dawnej organizacji utrzymany został podział na okręgi, odpowiadające przeważnie obszarowi gubernii, z pełnomocnikami na czele, odpowiedzialnymi bezpośrednio przed zarządem głównym za wszystkie fundusze, asygnowane na pomoc wygnańcom w ich okręgu. Z członków zarządu rejonowego w Rosławiu pozostałem ja tylko, by zaopiekować się założonymi przez nas warsztatami wytwórczymi. Dangel przeniósł się na stałe do Piotrogrodu, gdzie został przewodniczącym wydziału kontroli i rachunkowości w zarządzie głównym. Opiekę nad wygnańcami w Rosławiu objął pełnomocnik okręgowy w Smoleńsku, Seweryn Komorowski.

W kwietniu 1916 r. wszystkie zakłady wytwórcze

rejonu zachodniego, oddane pod mój zarząd, połączyliśmy w osobne przedsiębiorstwo z kapitałem zakładowym 500 000 rb., wypożyczonym przez C. K. O. Pożyczkę tę spłacałem głównie bielizną i odzieżą, produkowaną w naszych szwalniach dla wygnańców, oraz innymi świadczeniami w naturze, wykonywanymi na zlecenie pełnomocników. Na 1 października 1916 r. zakłady były winne C. K. O. już tylko 215 000 rb., na co miałem pełne pokrycie w remanentach odzieży, znajdujących się w magazynach, oraz w należnościach za wykonane roboty. W miarę wykańczania zamówień C. K. O. likwidowałem odnośne warsztaty, tak że w końcu 1917 r. dług zmniejszył się do 7245 rb. W pracy tej pomagali mi: Zofia Narutowiczówna, jako kierowniczka szwalni, A. Gromadzka jako buchalterka, kasjer Wileniec i magazynierzy: Skulski, Szmagier i Ziemski. Po wyjeździe Dangla i Zaleskiego z Rosławia, przeniosłem się do ich mieszkania z żoną, która w tym czasie przyjechała z dziećmi z Kotielnicza.

REWOLUCJA MARCOWA

W Rosji zaczynała dojrzewać rewolucja, wywoływana reakcyjną i germanofilską polityką rządu. Prawą ręką Stürmera, prezesa rady ministrów, był Protopopow, prowadzący konszachty z Niemcami w Sztokholmie. Gdy wiadomość o tym doszła do opozycyjnych kół Dumy, przedstawiciele ich wystąpili z publicznym oskarżeniem rządu o zdradę. Stürmer musiał ustąpić. Następcą jego cesarz mianował Trepowa, dotychczasowego ministra komunikacji, zdecydowanego zwolennika doprowadzenia wojny z Niem-

cami do zwycięskiego końca. Wbrew prośbom Trepowa cesarz na naleganie cesarzowej i jej złego ducha Rasputina, pozostawił w rządzie Protopowa na stanowisku zastępcy ministra spraw wewnętrznych. Popierany przez kamarylę dworską Protopopow prowadził dalej zakulisową działalność prowokatorską, żeby doprowadzić do wybuchu rewolucji, zdławić ją siłą i w ten sposób dać pretekst do zerwania zobowiązań Rosji wobec jej zachodnich sprzymierzeńców.

W grudniu Niemcy wystąpiły z propozycją rokowań pokojowych. Mikołaj II odpowiedział na to 25 grudnia rozkazem do armii i floty, w którym, między innymi, mówił: „Czas na to jeszcze nie nadszedł. Wróg jeszcze nie wypędzony z ziem przez niego zajętych. Jeszcze nie zapewnione osiągnięcie przez Rosję zadań stworzonych przez wojnę: opanowanie Konstantynopola i cieśnin, równie jak stworzenie wolnej Polski ze wszystkich jej ziem obecnie rozdzielonych“.

Dnia 30 grudnia padł z ręki patriotycznej frondy wielkoksiążęcej Rasputin. Trupa zabitego w pałacu w. ks. Dymitra wywieziono samochodem i wrzucono do rzeki. Dotknięta w najczulszym miejscu reakcja wymogła na cesarzu dymisję Trepowa i paru niemiłych ministrów oraz podniesienie Protopowowa do godności ministra spraw wewnętrznych. Dumę i Radę Państwa odroczono, a prezesem Rady ministrów cesarz mianował niedołężnego Golicyna. Kolizja pomiędzy bezwolnym cesarzem, otaczającą go kamarylą i Dumą doszła do najwyższego napięcia. Trudną do opanowania sytuację pogarszała zła aprowizacja stolicy i obecność w niej masy żołnierzy, oczeku-

jących wysłania na front. Stanowili oni razem z marynarzami bezczynnej floty główne kadry rewolucji. Protopopow w ostatniej chwili zawiódł nadzieje reakcji. Umiał wywołać ferment rewolucyjny, ale nie potrafił przygotować się do jego stłumienia. Gdy w pierwszych dniach marca wybuchła w stolicy rewolucja, okazał się zupełnie bezradnym i nic już nie mogło uratować starego porządku od zagłady.

Zaczęło się od rozruchów na przedmieściach z powodu braku chleba i mąki. Tłum zaatakował składy żywności, policja interweniowała, byli zabici i ranni. Na wieść o tym pozamykano wszystkie sklepy, tramwaje przestały chodzić, znikły nawet dorożki, w fabrykach i warsztatach zawieszono pracę, gazety przestały wychodzić. Protopopow poumieszczał policjantów z kulomiotami na dachach domów. Najwięcej ofiar było na placu przed hotelem Astoria, skąd policjanci strzelali do nadciągających z przedmieść pochodów. Hotel zdobyto szturmem i zdemolowano. Pierwsze na stronę rewolucji przeszły pułki zapasowe: wołyński, preobrażeński, litewski, keksholmski, saperzy i marynarze. W koszarach nie było konfliktów z oficerami, jedynie w Kronsztadzie marynarze zabili 5 dowódców. Ministrowie pochowali się albo zostali aresztowani. W. ks. Cyryl z przybocznymi Kozakami opowiedział się za tym, co postanowi Duma.

Byłem w tym czasie w Piotrogrodzie, mieszkałem w hotelu na Newskim Prospekcie, niedaleko od dworca kolejowego. Na odgłos strzałów wyszedłem na ulicę: okazało się, że strzelali policjanci, ukryci na poddaszu narożnego domu. Wkrótce przestali; rannych

nie było. Środkiem ulicy, w stronę śródmieścia, ciągnęła grupa robotników fabrycznych. Z przeciwnej strony nadjeżdżał oddział Kozaków, ale dziwnie spokojny i witany przez robotników owacyjnymi okrzykami. Zjawisko w stolicy carów niebywałe: lud bratał się z Kozakami, używanymi dotąd do jego poskramiania. Nic już nie stało na przeszkodzie swobodnego wyrażenia woli narodu rosyjskiego. Jaką się ona okaże? Kto ją będzie wyrażać i wykonywać?

W Dumie dnia 12 marca na naradzie seniorów wszystkich stronnictw wybrano Komitet Wykonawczy, z prezesem Rodzianką na czele, w celu natychmiastowego objęcia władzy w ministerstwach przez delegowanych komisarzy i sformowania nowego rządu. Do cesarza, przebywającego w Pskowie, Komitet delegował Guczkowa, umiarkowanego nacjonalistę, i Szulgina, prawicowca, ażeby skłonili go do abdykacji. Po rozmowie z nimi Mikołaj II wydał 15 marca manifest, zawiadamiający o zrzeczeniu się tronu na rzecz swego brata Michała. Ten nie przyjął tronu i w zrzeczeniu, podpisanym 16 marca, prosił wszystkich, „aby poddali się rządowi tymczasowemu, który powstał z inicjatywy Dumy Państwowej i korzysta z całej pełni władzy, dopóki zwołana możliwie rychło na zasadzie powszechnego, bezpośredniego, równego i tajnego głosowania Konstytuanta nie wyrazi woli narodu, uchwalając formę rządu“.

Komitet wykonawczy Dumy powołał Rząd Tymczasowy z księciem Lwowem na czele. Skład rządu tymczasowego wyrażał tendencję Dumy utrzymania władzy państwowej na poziomie kompromisu wszystkich stronnictw z wykluczeniem prawicowców.

W pierwszej odezwie rząd zapowiedział niezwłoczną amnestię we wszystkich sprawach politycznych i religijnych, swobodę słowa, druku, stowarzyszeń, zebrań i zmów, zniesienie wszystkich ograniczeń stanowych, wyznaniowych i narodowościowych, zwołanie Konstytuanty itd.

Polscy posłowie i Komitet Narodowy ogłosili 20 marca oświadczenie, kończące się następującymi słowami: „We własnym głęboko odczutym interesie, który zawsze łączył się ze sprawą powszechnej wolności, naród polski musi pragnąć, aby wolność wewnętrzna, którą Rosja teraz zdobyła, utrwaliła się i stała się źródłem wzmożonej siły dla niej i dla całej koalicji, będącej dzisiaj związkiem narodów wolnych przeciwko zaborczemu imperializmowi niemieckiemu. W dążeniu naszym do zjednoczenia i niepodległości Polski widzimy w odrodzonej Rosji nowy czynnik, zbliżający nas do tego wielkiego celu“.

Wróciłem do Rosławia pełen nadziei, że minęło niebezpieczeństwo odrębnego pokoju z Niemcami, do czego zmierzali reakcyjni ministrowie, i że zdobyta wolność podniesie ducha w narodzie rosyjskim. Utrwalały mnie w tym przekonaniu słyszane w drodze rozmowy wojskowych i cywilnych: „Teraz wiemy — mówili — za co mamy walczyć“. W Moskwie i innych miastach na prowincji przewrót był bezkrwawy. Wszędzie władze cywilne i wojskowe bez żadnego oporu wyraziły gotowość poddania się rozkazom nowego rządu. Z pierwszych dni powszechnego entuzjazmu wynosiłem wrażenie, że dokonała się rewolucja narodowa bez przymieszki haseł klasowych, które mogłyby stać się zarzewiem wojny domowej.

Żywiłem również nadzieję, że teraz łatwiej pójdzie zjednoczenie Polaków dla wspólnej akcji politycznej i wojskowej.

Wkrótce przyszła druga radosna wiadomość — odezwa Rządu Tymczasowego do Polaków, datowana 30 marca. Przytaczam z niej parę ustępów:

„Polacy! Dawny ustrój państwowy Rosji, źródło naszego i waszego ujarzmienia i rozdziału, obecnie obalony na zawsze. Oswobodzona Rosja w osobie Rządu Tymczasowego, posiadającego pełnię władzy, spieszy do was z braterskim pozdrowieniem i wzywa was do nowego życia, do wolności... Bracia Polacy! Nadchodzi i dla was chwila wielkich postanowień. Wolna Rosja wzywa was do szeregu bojowników za wolność narodów. Naród rosyjski, zrzuciwszy jarzmo, przyznaje i bratniemu polskiemu narodowi całą pełnię prawa stanowienia według własnej woli o swoim losie. Wierny umowom ze sprzymierzeńcami, wierny wspólnemu planowi walki z wojującym germanizmem, Rząd Tymczasowy uważa stworzenie niepodległego państwa polskiego, utworzonego ze wszystkich ziem, zaludnionych w większości przez naród polski, za niezawodną rękojmię trwałego pokoju w przyszłej odnowionej Europie“.

Odezwę podpisali wszyscy ministrowie. Ambasadorowie Anglii, Francji i Włoch wręczyli Milukowowi prawie jednakowej treści depesze swoich rządów, wyrażające pełną solidarność i gotowość współdziałania w sprawie polskiej. Depesza Balfoura mówiła, że wystąpienie Rosji „było podyktowane przez tego samego ducha wolności, który ożywia jej sprzymie-

rzeńców w wojnie obecnej. Rząd brytyjski szczęśliwy jest, iż może oświadczyć, że całkowicie przyłącza się do uznania zasad niepodległości i zjednoczenia Polski. Teraz Wielka Brytania gotowa jest do uczynienia wszelkich wysiłków, aby osiągnąć ten cel w zupełnej jednomyślności z Rosją".

W odpowiedzi na te deklaracje Komitet Narodowy ogłosił 2 kwietnia odezwę, która między innymi mówiła: „Prawo Polski do zjednoczenia i niepodległości, uznane przez państwa koalicji, proklamowane rozgłośnie wobec świata przez prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a dziś ogłoszone uroczyście przez bratni naród rosyjski — jest prawem, którego Polska nigdy i w żadnych warunkach się nie zrzeknie, o którego pełne urzeczywistnienie ze wszystkich sił dobijać się najświętszy ma obowiązek... Stają przed nami wszystkimi ogromne zadania. Przystępować do nich winniśmy z podniosłą powagą ducha, zjednoczeni miłością braterską, wyzbyci z namiętności partyjnych i niezdrowych ambicji, z surowym potępieniem wszelkiego ducha prywaty i małostkowej intrygi, gotowi do pomocy wzajemnej przy zużyciu dla narodowego dobra wszystkich sił intelektualnych i duchowych, jakimi możemy rozporządzać. Myśl polska pracować musi ze zdwojoną energią, a ze starcia zdań rodzić się powinien czyn zgodny, a nie waśń bezpłodna".

Niestety, wezwanie do zgody nie znalazło oddźwięku u wielu Polaków ze starszej emigracji w Rosji. Jasny początkowo horyzont polityczny zaczął się zaciemniać niepokojącymi chmurami nadciągającej

anarchii i rewolucji socjalnej. Z zagadkowej powłoki duszy rosyjskiej zaczęły wyłaniać się, zamiast jasnych motyli, brudne ćmy nocne.

Równocześnie z Rządem Tymczasowym, reprezentującym postępowe siły inteligencji rosyjskiej, powstała w Piotrogrodzie druga władza, nieoficjalna, ale posiadająca siłę fizyczną, „Sowiet raboczich i sołdatskich deputatow". Początkowo miał on być organem kontroli, zastępującym niepopularną wśród socjalistów Dumę, ale stopniowo coraz więcej wkraczał w atrybucje rządu i zmuszał do posunięć, dezorganizujących aparat państwowy i wojsko. Sowiet, złożony z 1200 prostych ludzi, był właściwie stale wiecującym tłumem, w którym dobre pierwiastki ludzkie ulegały siłom szatana. Jakiś Anglik powiedział, że tłum podobny jest do potwora, a różnica pomiędzy potworem i człowiekiem jest ta, że potwór ma poczucie siły, ale nie ma poczucia odpowiedzialności. Tłum rosyjski był gorszy od angielskiego, bo nie było w nim więzi społecznej, jaką daje wyższa kultura i religia. O rozpętanie destrukcyjnej siły tego tłumu postarał się rząd pruski, dostarczając ze Szwajcarii przewódców bolszewizmu z Leninen na czele. Sam widocznie bał się tej zarazy, bo przewiózł ją przez Niemcy w zaplombowanym wagonie.

Pierwszym łącznikiem pomiędzy Rządem Tymczasowym i Sowietem był minister Kiereński, uważany przez kolegów w rządzie za autorytet moralny, zdolny hamować uroszczenia tłumu, a w Sowiecie — za najlepszego agitatora: noszono go tam na rękach. W rzeczywistości przeprowadzał w rządzie wszystkie postulaty Sowietu. Zaczęło się od zamiany policji na

milicję ludową z władzą wybieralną, zatrzymania w stolicy pułków, które brały udział w przewrocie, i zniesienia w wojsku wszystkich ograniczeń żołnierzy w korzystaniu ze swobody słowa, zebrań i stowarzyszeń. Książę Lwow, mimo że wszyscy gubernatorowie poddali się jego władzy, usunął wszystkich razem z wicegubernatorami, zlecając ich obowiązki prezesom ziemstw, zupełnie nie przygotowanym do tej roli. Zły doradca, strach przed powrotem znienawidzonego reżimu, pobudzał do niszczenia istniejącego aparatu administracyjnego i karności. Organy wykonawcze zastępowano ciałami kolegialnymi z wyborów, wszędzie powstawały rady — sowiety. Wolność przeradzała się w samowładztwo tłumu.

Sam Rząd Tymczasowy okazał się tworem bardzo słabym i nietrwałym. W połowie maja powiększono skład jego o 4 socjalistów (Czernow, Ceretelli, Perewerzew i Skobelew). Ustąpili Guczkow i Milukow. Ministerstwo wojny objął Kiereński, sprawy zagraniczne Tereszczenko. Czernow, jako minister rolnictwa, zajął się pozyskaniem włościaństwa dla pogłębienia rewolucji.

W najbardziej interesującej nas, Polaków, sprawie polityki zewnętrznej, nowy rząd określił swe stanowisko w następujący sposób: „1) Rząd Tymczasowy odrzuca wszelką myśl o zawarciu oddzielnego pokoju, stawiając sobie otwarcie za cel jak najrychlejsze zawarcie pokoju wszechświatowego, który by nie miał w skutkach ani panowania jednego z narodów nad drugim, ani odjęcia komukolwiek narodowego stanu posiadania, ani przymusowego odebrania jakiegokolwiek terytorium, a który byłby zawarty bez aneksji

i kontrybucji na zasadzie samookreślenia narodów. 2) Rząd Tymczasowy przekonany, że porażka Rosji i jej sprzymierzeńców byłaby nie tylko powodem strat i nieszczęść narodu, ale i odwlekłaby zawarcie wszechświatowego pokoju na podstawie wyżej wymienionych zasad, wierzy głęboko, że rewolucyjna armia Rosji nie dopuści, aby niemieckie wojska pobiły naszych sprzymierzeńców na zachodzie i tym sposobem mogły zwrócić się całą siłą przeciwko wschodniemu wrogowi. Jako główne swe zadanie Rząd Tymczasowy będzie uważał dalszą demokratyzację armii oraz jej wzmocnienie i ścisłą organizację, tak w celu obrony jak i napadu“.

Oświadczenie to odpowiadało rosyjskiemu przysłowiu: „i Bogu swieczka i czortu swieczka“. Odrzucali myśl o zawarciu oddzielnego pokoju, ale chcieli jak najrychlejszego pokoju. Armia ma nie dopuścić do zwycięstwa wroga, ale musi ulec dalszej demokratyzacji, pozbawiającej ją siły. I w rewolucyjnej Rosji były żywioły, dążące do pokoju bez zwycięstwa; o wzmocnienie ich postarali się bolszewicy.

Tym bardziej naglącą stawała się potrzeba zjednoczenia Polaków, przebywających w Rosji. Niestety, stanęły temu na przeszkodzie stare animozje partyjne i ambicje osobiste, podsycane językiem sofistów, nie mających w sobie ducha polskiego.

Po marcowej rewolucji i odezwie Rządu Tymczasowego do Polaków, zdawało mi się, że odpadła ostatnia przeszkoda, dzieląca nas na dwa zwalczające się obozy. Wkrótce przekonałem się, że byłem optymistą. Szczególnie oporną wobec myśli zjednoczenia okazała

się inteligencja polska, z dawna osiadła w Rosji. Oderwana od pnia ojczystego utraciła instynkt, zniewalający uzgadniać swoje postępowanie z dążeniami narodu. Wskutek braku czucia z narodem inteligencja ta poddawała się wymowie sofistów. Typowym przedstawicielem ich był mój stary znajomy Aleksander Więckowski, który przed laty namawiał nas, żebyśmy nie tworzyli osobnej partii polskiej, lecz stanęli na czele opozycji rosyjskiej. Sam to robił od czasu wystąpienia z redakcji warszawskiego „Głosu" i zdobył duży wpływ osobisty we wszystkich ugrupowaniach rosyjskich, poczynając od liberałów do skrajnych socjalistów. Nigdy, ani dawniej, ani teraz nie mogłem dowiedzieć się od niego, do jakiego właściwie stronnictwa należał. Zdaje się, że stale należał tylko do masonerii, ale nie wiem, jakiego obrządku. Teraz stanął na czele Komitetu Demokratycznego, który rozpoczął swoją działalność od napaści na posłów polskich i Komitet Narodowy. Pomagał mu w tym zajadle „Dziennik Petrogradzki", redagowany przez Grossterna.

Komitet Demokratyczny był reprezentacją ugrupowań politycznych, które taktykę swoją opierały na przekonaniu, że w tej wojnie zwyciężą Niemcy. Dlatego z taką zaciekłością zwalczał politykę Komitetu Narodowego, który od początku wojny zajmował stanowisko przeciwniemieckie w przekonaniu, że tylko zwycięstwo koalicji może zapewnić pełne rozwiązanie sprawy polskiej. Po odezwie Rządu Tymczasowego do Polaków grupy socjalistyczne odwołały swoich przedstawicieli z Komitetu Demokratycznego i po-

szły ręka w rękę z rosyjskimi, jak w 1905 r. W Komitecie pozostali tak zwani niepodległościowcy i różnego rodzaju demokraci.

Aleksander Lednicki, po nominacji na stanowisko prezesa Komisji Likwidacyjnej Spraw Królestwa Polskiego, powołanej przez Rząd Tymczasowy, zaczął siebie uważać za ministra do spraw polskich i próbował skupić dokoła swej osoby wszystkie ugrupowania polityczne. Zabrał się do tego w sposób, który ja nazywałem próbą zlikwidowania polityki Komitetu Narodowego. Wszystkie koncepcje Lednickiego i jego przyjaciół politycznych zmierzały do stworzenia reprezentacji polskiej na podstawie klucza partyjnego, tak kombinowanego, żeby obóz polityczny, skupiający się dokoła Komitetu Narodowego, był zawsze w mniejszości. Gdy próby te zawiodły, Marian Lutosławski przedłożył Radzie zjazdów polskich organizacji pomocy ofiarom wojny, której prezesem był Lednicki, projekt zwołania zjazdu politycznego, opartego na proporcjonalnym przedstawicielstwie wszystkich odcieni w stosunku do liczebności ich wyznawców. Do projektu dołączył szkic regulaminu wyborczego. Nie spodobało się to demokratom: nie mając wpływu na masy wygnańców, niedawno przybyłych z kraju, bali się wyborów. Wobec ujemnych wyników narad pod przewodnictwem Lednickiego, postanowiliśmy nadal pertraktować z poszczególnymi ugrupowaniami oddzielnie.

W maju 1917 r. przestałem być bezpartyjnym. Młodzi narodowcy na emigracji, należący w kraju do grupy „Zarzewia“ (Anaszkiewicz, Gajewski, Kożuchowski, Widomski), utworzyli w kwietniu „Związek

Zjednoczenia i Niepodległości Polski" i zaprosili mnie na pierwszą swoją konferencję w Moskwie. Na tej konferencji powołano mnie do komisji organizacyjnej, której zlecono opracowanie deklaracji ideowej i zwołanie zjazdu w Piotrogrodzie. Zjazd odbył się w pierwszych dniach czerwca; brali w nim udział delegaci z Piotrogrodu, Moskwy, Saratowa, Charkowa, Omska i Jekaterynburga. Później powstały koła Związku wśród wygnańców w Kałudze, Niżnym Nowogrodzie i innych miastach. Na zjeździe panowała całkowita jednomyślność. Z uchwalonej deklaracji politycznej cytuję kilka wyjątków:

„Przełomowa dla naszego narodu chwila obecna wymaga skupienia i napięcia całej narodowej energii. Osiągnąć je można tylko przez organizację. Najwyższą formą organizacji politycznej narodu jest państwo, które jest tym silniejsze, im bardziej wspiera je samorzutne organizowanie się społeczeństwa. W warunkach, w których znajduje się nasz naród, stronnictwa polityczne i ich kooperacja muszą nie wspierać, lecz wprost zastępować tę najdoskonalszą organizację narodu, jaką jest państwo. Tym większe zadania organizacji politycznych i tym większa ich odpowiedzialność...

„W celu wzmocnienia politycznej organizacji wychodztwa polskiego powstaje Związek Zjednoczenia i Niezawisłości Polski. Związek walczyć będzie o urzeczywistnienie państwa polskiego, jego niezawisłość, trwałość i gospodarczą samodzielność, które zapewnić może jedynie zjednoczenie wszystkich ziem polskich i własny dostęp do morza...

„Podstawą działania Związku jest liczenie przede

wszystkim na własne siły narodu polskiego, wiara w nie i organizowanie ich dla walki o osiągnięcie wyżej wskazanych celów. Dobro Rzeczypospolitej winno być zasadą kierowniczą wszelkiego działania publicznego. Związek występować będzie przeciwko każdemu wywyższaniu interesów partykularnych, klasowych, partyjnych czy osobistych ponad dobro Rzeczypospolitej...

„Środki działania politycznego na wychodztwie w dobie obecnej Związek widzi w wytworzeniu kooperacji wszystkich organizacji, które staną na stanowisku walki o Zjednoczoną i Niepodległą Polskę. Wspólny ich organ w postaci Rady Narodowej winien stać się źródłem miarodajnej i jednolitej dyrektywy politycznej dla całego wychodztwa polskiego, a zarazem wyrazicielem nie pomniejszonych dążeń narodu polskiego wobec demokracji całego świata, do których wolny i nie skrępowany głos kraju odwołać się nie może.

„W demokracjach, złączonych dzisiaj w walce przeciwko państwom centralnym, ostatniej już w Europie ostoi systemu policyjnego i zaborczego militaryzmu, gwałcącego prawa narodów, Związek widzi sprzymierzeńców Polski.

„W wysiłkach, zmierzających do stworzenia po tej stronie kordonu polskiej siły zbrojnej, Związek widzi jedną z najważniejszych akcji, prowadzących do zjednoczenia ziem polskich i zabezpieczenia państwu polskiemu niezawisłości. Związek podziela i popierać będzie dążenie do przyznania przez koalicję polskiej sile zbrojnej praw armii sprzymierzonej.

„Wszystko dla Zjednoczonej i Niepodległej Pol-

ski! — oto naczelne hasło, pod którym wstępuje w życie publiczne Związek, skupiając w swoich szeregach zdecydowanych wyznawców wyżej sformułowanych celów, zasad i środków działania".

Zarząd Związku stanowili: Anaszkiewicz, Dybczyński, Gajewski, Jentys, Kożuchowski, Kwieciński, Rasiński, Strzemeski, Widomski, Winiarski i ja. Później skład jego uzupełnili: Romer, Makulski, Kauzik, Gromadzki, Byszewski i Rosiński.

Pod hasłem zjednoczenia i niepodległości działały również kluby narodowe w Piotrogrodzie, Moskwie i Kijowie, liczące setki członków. Na stale urządzanych zebraniach odczytowo-dyskusyjnych omawiano zagadnienia polityki polskiej i ważniejsze wypadki z życia wychodztwa polskiego. W Kijowie na ogólnym zgromadzeniu przedstawicieli polskich organizacji, istniejących w guberni kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej, powołano Komitet Wykonawczy dla kierowania polityką polską na Rusi; do jesieni 1917 r. nie było tutaj rozdźwięków na tle politycznym.

Stary rozłam najsilniej podniecany był w Piotrogrodzie i Moskwie. Tutaj Polacy, nie decydujący się na zajęcie wyraźnego stanowiska w sprawie zjednoczenia wszystkich ziem polskich, skupili się w klubach demokratycznych, które zajmowały się głównie dyskredytowaniem każdej akcji polskiej, wymierzonej przeciwko państwom centralnym.

W Moskwie z inicjatywy Radwańskiego, b. redaktora „Echa Polskiego", organu Lednickiego, powstał klub rewolucyjny, który na pierwszym swym zebraniu uchwalił, że „Polska odzyskać może zupełną i rzeczywistą niepodległość tylko od zwycięskiej rewolucji

powszechnej... Wobec tego naród polski musi jednoczyć się z rosyjską klasą robotniczą w jej dążeniu doprowadzania rewolucji aż do zwycięskiego końca“. Klub ten wsławił się na emigracji żądaniem likwidacji Centralnego Komitetu Obywatelskiego „jako instytucji dla sprawy narodowej szkodliwej“. Spoista organizacja ludu polskiego na wychodztwie zawadzała zwolennikom międzynarodowej rewolucji. Propagowaniem bolszewizmu bez żadnych obsłonek zajęła się „Trybuna“, organ polskich socjaldemokratów w Piotrogrodzie.

Demokraci i socjaliści pracowali nad tym, żeby nie dopuścić do powstania w Rosji armii polskiej. Zacietrzewienie ich w tym kierunku przekraczało elementarne wymagania przyzwoitości. Na posiedzeniu komisji wojskowej w rosyjskim sztabie generalnym dnia 26 maja 1917 r. przedstawiciele Komitetu Demokratycznego i Związku Wojskowych Polaków w Piotrogrodzie, opanowanego przez socjalistów, oświadczyli, że ruch żywiołowy wśród Polaków do skupienia się pod własnymi sztandarami, jest wywołany chęcią dezorganizowania armii rosyjskiej i uchronienia się od służby na froncie. Oprócz tego rodzaju oszczerstw, wypowiadanych w obecności przedstawicieli sztabu, który miał decydować o wydzieleniu Polaków w osobną formację, straszono ciemne masy rosyjskie tym, że armia polska stanie się narzędziem kontrewolucji.

Na dowód, jak fałszywym było takie przedstawianie nastroju wojskowych Polaków, podaję w skróceniu jednomyślne uchwały wiecu, który 26 kwietnia odbył się w Rosławiu z udziałem kilkunastu oficerów

i kilkuset żołnierzy Polaków z miejscowego garnizonu: 1) Polska, wierna swym odwiecznym tradycjom wolności i szczytnym ideałom, winna stanąć po stronie państw koalicji przeciw wrogowi Polski i swobody — Niemcom. 2) Polska powinna niezwłocznie powołać do życia swoją armię, aby na przyszłym kongresie międzynarodowym, gdzie będą się rozstrzygać losy Europy, mieć swój głos. 3) Armia polska powinna być wzorem dla innych pod względem porządku, karności i zespolenia się oficerów i żołnierzy dla obrony ukochanej Ojczyzny. 4) Prosić ministra wojny o pozwolenie na jak najszybsze sformowanie oddzielnych rot marszowych z Polaków i wcielenia ich do nowo formującej się armii polskiej. 5) W celu zrzeszenia wszystkich wojskowych Polaków utworzyć Polski Komitet Wojskowy garnizonu Rosławia w składzie dwóch oficerów, jednego doktora i trzech żołnierzy.

Podobne uchwały zapadały w innych miastach, gdzie tylko znalazła się większa ilość wojskowych Polaków. Tylko w garnizonach Piotrogrodu, Moskwy i Mińska, opanowanych przez żywioły skrajne, powstały związki Polaków, przeciwstawiające się dążeniu dc stworzenia armii polskiej.

Kiedy ministrem wojny był Guczkow, udało się uzyskać jego zgodę na sformowanie pierwszego korpusu polskiego, z dywizji strzelców, która powstała z dawnego legionu puławskiego, ale zwlekał z wyznaczeniem dowódcy korpusu. Oświadczył, że wszyscy proponowani przez nas generałowie — bracia Józef i Konstanty Dowbór Muśniccy, Henning Michaelis — są bardzo potrzebni w armii rosyjskiej. Z objęciem

ministerstwa wojny przez Kiereńskiego sprawa polskiego korpusu uległa dalszej zwłoce wskutek kampanii, prowadzonej przez polskich demokratów i socjalistów.

Najbardziej dziwiło mnie zachowanie się ludzi, należących do „Zrzeszenia Niepodległościowego“, któremu w Piotrogrodzie przewodniczył Skąpski. Stali oni po stronie przeciwników armii polskiej w Rosji. Coś w ich głowach było w nieporządku. Kiedy Piłsudski w kraju wypowiedział się przeciwko dalszemu prowadzeniu werbunku do legionów, uznali to za wskazówkę dla siebie, że w ogóle nie należy tworzyć armii polskiej. Usłużny „Dziennik Petrogrodzki“ pouczał ich, że skoro państwa centralne i Rosja uznały niepodległość Polski, to „nie ma żadnej potrzeby łamania sobie głowy, co dla Polski byłoby lepiej“, i że każdy Polak, zabity w tej wojnie, jest straconą jednostką dla swojej ojczyzny, „toteż nawoływanie Polaków do walki w obecnej chwili pozbawione jest co najmniej rozumu politycznego, tworzenie zaś legionów polskich, dla obecnej wojny, jest zbrodnią narodową“ (Dziennik z dnia 9/22 maja 1917 r.). Utwierdził ich w tym przekonaniu Skąpski po powrocie ze Sztokholmu, gdzie konferował z wysłannikami warszawskiej Rady Stanu, powołanej przez okupantów.

Stanowisko obozu politycznego, skupionego dokoła Komitetu Demokratycznego, streszczało się teraz w trzech tezach: 1) „Rada Stanu jest rządem polskim, który kieruje polityką polską“. 2) „Emigracja polska w Rosji nie może i nie powinna prowadzić samodzielnej i oderwanej od kraju polityki“. 3) „Jedy-

nym szafarzem krwi polskiej może być tylko Rada Stanu w Warszawie, a ona wypowiedziała się przeciwko tworzeniu armii polskiej".

ZJAZD WOJSKOWYCH POLAKÓW

W ogniu takiej agitacji zaczął obradować w Piotrogrodzie zjazd wojskowych Polaków dnia 7 czerwca 1917 r. Obrady trwały aż dwa tygodnie. Pierwsze 4 dni zajęły mowy powitalne i przemówienia przedstawicieli różnych stronnictw politycznych, zaproszonych dla wyrażenia swoich poglądów w sprawie armii polskiej. Wobec rozbieżności opinii wojskowi chcieli stworzyć sobie własną platformę polityczną. Byłem w tym czasie w Piotrogrodzie, ponieważ miałem powitać zjazd w imieniu Komitetu Narodowego, a przy deklaracjach stronnictw przedstawić poglądy Związku Zjednoczenia i Niezawisłości Polski.

Krótkie przemówienie powitalne, wyrażające potrzebę skupienia sił polskich, odrzucenia złych metod działania i kierowania się duchem poświęcenia, zakończyłem słowami: Niech wam duch hetmani! Ton zjazdowi nadawali delegaci z frontu, ale dręczyła mnie obawa, czy ich zdrowy instynkt żołnierski wytrzyma napór gazów trujących, które obezwładniały Rosję. Duch, wewnętrzny podkład moralny, był jedyną siłą, która mogła uchronić od poddania się rozkładowi i podnieść dla sprostania wielkiemu zadaniu, jakie ich czekało.

Przemówienia przedstawicieli stronnictw rozpoczęły się 10 czerwca od sprawozdania Skąpskiego z rozmów, prowadzonych w Sztokholmie z Kunowskim i Rostworowskim. Wychwalał działalność Rady

Stanu w Warszawie i z szczególnym naciskiem wyrażał jej wolę nietworzenia żadnej armii w Rosji. Gdy powiedział, że informował wysłanników Rady Stanu, iż na emigracji nie ma żywiołowego ruchu dążącego do stworzenia armii polskiej, na sali wszczęły się gorące protesty. Po Skąpskim przemawiał drugi uczestnik konferencji w Sztokholmie, generał Babiański, który zakończył swoje wywody słowami: „Niech rząd rosyjski zadecyduje, czy utworzenie tutaj armii polskiej wzmocniłoby front rosyjski".

W imieniu Komitetu Demokratycznego Dąbrowski wypowiedział się za słuchaniem opinii kraju. Ze strony socjalistów występowali Lewinson, Leszczyński, Radwański, nawołując do pozostania w szeregach rosyjskich, bo powstanie armii polskiej przedłuży wojnę i wyjdzie na korzyść kontrewolucji.

Gdy przyszła kolej na mnie, wyjaśniłem stanowisko Związku w sprawie stworzenia po tej stronie kordonu polskiej siły zbrojnej i przyznania jej praw armii sprzymierzonej, a dalej mówiłem: „Przecież honorowym prezesem zjazdu wybraliście Józefa Piłsudskiego, a on jest wyobrazicielem idei walki z nieprzyjacielem na ziemi polskiej... Skoro armia polska nie może teraz powstać w kraju, okupowanym przez nieprzyjaciela, obowiązkiem naszym jest stworzyć ją tutaj. Przypomnijcie sobie, co pisał Mickiewicz o bezpolitykowcach i ludziach rozsądnych: Rozsądek jest często w sprzeczności z miłością ojczyzny. W przedsięwzięciach śmiałych, wymierzonych przeciwko nieprzyjaciołom, człowiek pełen poświęcenia może siebie zgubić, ale względem ojczyzny jest nieomylny. Mówią niektórzy: już dosyć krwi przelano.

O, gdybyż tak było! Przecież dziadowie nasi bez przelewu krwi oddali tyle ziemi polskiej. Przecież Kiereński, na którego niektórzy się powołują, że nie chce przedłużania wojny, jednak organizuje armię dla obrony wolności. Jedyną wskazówką dla nas powinno być uczucie powinności względem ojczyzny, które nie poddaje się żadnemu rozumkowaniu".

Po mnie przemawiali Harusewicz i Stanisław Grabski z narodowej demokracji, Wielopolski z realistów. Opowiadali się za stworzeniem armii polskiej i z tego względu, że na kongresie pokojowym będziemy tylko wtedy, jeżeli będziemy reprezentowani przez własną armię na froncie. Albert z klubu demokratycznego przemawiał przeciwko dalszemu rozlewowi krwi. Delegaci młodzieży akademickiej mówili, że podzieliła się ona w poglądach: za armią — narodowcy, przeciw armii — niepodległościowcy.

Po wyczerpaniu listy mówców stronnictw, wojskowi prowadzili obrady w swoim gronie, nieraz przy drzwiach zamkniętych. W tym czasie spotkałem Więckowskiego. Nie występował na zjeździe publicznie, stał za kulisami i namawiał mnie, żebym zajął się pracą oświatową wśród żołnierzy polskich, których należy wydzielić z armii rosyjskiej tylko po to, żeby zarezerwować ich siły dla Polski; właściwie nie mają już o co walczyć. Dziwnie przewrotną była taktyka tego człowieka. Niedawno, na posiedzeniu w sztabie, oskarżał wojskowych Polaków o chęć dezercji, a teraz sam namawiał do zaniechania walki.

Na zjazd przyjechało 380 delegatów. W toku obrad podzielili się na 3 grupy: 1) prawica, czyli zwolennicy tworzenia armii polskiej dla walki z państwa-

mi centralnymi, 2) centrum, pragnące tylko wydzielenia Polaków z armii rosyjskiej, i 3) lewica, żądająca pozostania w szeregach rosyjskich. Z każdej grupy wybrano po 3 delegatów do komisji, która miała przygotować wnioski dla głosowania na plenum zjazdu.

Długotrwałe debaty doprowadziły wielu do upadku ducha. Poczciwi żołnierze z frontu, w imię zgody, ustępowali tyłowym frantom, poszukującym złotego środka. Przyjęta większością głosów platforma polityczna wyrażała „najwyższą cześć i uznanie Tymczasowej Radzie Stanu“, oświadczała, że „wojskowi Polacy wszystkimi siłami popierać będą Demokrację Rosyjską“, a dalej, że „wszelka samodzielna polityka, prowadzona przez emigrację w imieniu narodu polskiego, jest szkodliwa dla sprawy niepodległości Polski, że politykę polską może prowadzić tylko Kraj“, a „armia polska narodowa na emigracji może być tworzona tylko za zgodą uznanych przez naród władz krajowych“. Jak sobie autorzy tych wniosków wyobrażali prowadzenie polityki polskiej przez kraj okupowany, pozostało dla mnie zagadką. Przecież Rada Stanu i późniejsza Rada Regencyjna, mianowane przez państwa centralne, nie mogły wzywać do walki z Niemcami, a innej władzy w kraju nie było. Mityczna wola kraju była na emigracji różnie komentowana: jednych wzywała do boju, drugich do pokoju.

Lewica, pomagająca centrum w majoryzowaniu prawicy przy uchwalaniu tych wniosków, opuściła salę obrad, kiedy jej wniosek, pozostania w szeregach rosyjskich, został odrzucony większością głosów. Dla

charakterystyki ówczesnych obyczajów muszę dodać, że po opuszczeniu sali lewica odwołała się do pomocy rosyjskiej i urządziła demonstrację uliczną dla wywarcia nacisku na zjazd. Gdy to nie poskutkowało, secesjoniści w liczbie około 60 delegatów utworzyli osobny Komitet Wojskowy, popierany przez Lednickiego i Kiereńskiego.

Po wyjściu lewicy zjazd większością 230 głosów przeciw 8 przy 25 wstrzymujących się przyjął kompromisową rezolucję następującej treści: „Zjazd Polaków wojskowych zwraca się do rządu wolnej Rosji, aby uznając żywiołowe dążenie Polaków ku zrzeszeniu się, przystąpił niezwłocznie do złączenia Polaków wojskowych w oddzielną siłę zbrojną przez odnośne władze wojskowe łącznie z Komitetem wykonawczym Wojskowym przez zjazd wyłonionym“. Wskazówki zjazdu dla tego Komitetu mówiły, że: 1) siła ta winna być sformowana drogą dobrowolnego przenoszenia się i wstępowania do niej Polaków, 2) użyta być może jedynie na froncie austro-niemieckim i w żadnym razie nie może być użyta do jakiejkolwiek akcji wewnętrznej w Rosji, 3) winna pozostawać pod rozkazami dowódców Polaków i zwierzchniego wodza rosyjskiego i winna stanowić jednostkę nierozdzielną, składającą się ze wszystkich rodzajów broni.

W ostatnim dniu zjazdu utworzono Naczelny Polski Komitet Wojskowy, tzw. Naczpol, mający na celu reprezentowanie wojskowych Polaków wobec władz rosyjskich i społeczeństwa polskiego. Składał się on z 15 członków Komitetu Wykonawczego i 15 członków Centralnego Zarządu, mającego koordynować działalność związków wojskowych Polaków. Tak licz-

ny organ naczelny, złożony z elementów sprzecznych albo chwiejnych, nie rokował szybkiego i sprawnego działania. Za wiele czasu tracił na dyskusje dla powzięcia decyzji. Do Komitetu Wykonawczego zostali powołani przez aklamację: chor. Bisping, gen. Jacyna, urz. wojsk. Jamontt, płk. Jasieński, kap. Jaźwiński, kap. Przeździecki, chor. Raczkiewicz i płk. Żeligowski, a drogą głosowania por. Jakowicki, chor. Kiedrzyński, chor. Sołtyk, chor. Suszyński i żołnierze: Bieniewski, Brochocki i Maliszewski. Mieli oni wybrać spośród siebie komisję dla formowania polskiej jednostki wojskowej.

Wszystkie stronnictwa, opowiadające się na zjeździe za tworzeniem armii polskiej, poparły Naczpol. Wśród demokratów zdania były podzielone. Socjaliści popierali Komitet Wojskowy, utworzony przez secesjonistów i forytowany przez Kiereńskiego, który w liście do prezesa zjazdu stanowczo wypowiedział się przeciwko wszelkiemu naruszaniu jednolitości armii i wyraził nadzieję, że „wszyscy wypełnią swój obowiązek w szeregach armii rewolucyjnej rosyjskiej, jak to było dotychczas“.

W tym czasie Kiereński, jako minister wojny, mobilizował wszystkie siły, celem nadania armii zdolności bojowej, ale robił to nie przez przywrócenie karności, tylko przez płomienne mowy, apelujące do uczuć obywatelskich, których w zrewolucjonizowanych masach nie było. Pragnęły one jak najrychlejszego pokoju, tym bardziej że sam rząd w swojej deklaracji majowej podniósł to hasło, zrodzone w piotrogrodzkim Sowiecie. Tworzone po miastach „udarnyje bataliony“, drużyny ochotnicze dla wysłania na

front, były nieliczne i tłum patrzył na nie sceptycznie. Okazało się, że naród rosyjski to nie Francuzi, którzy wykazali tyle patriotyzmu po wielkiej rewolucji. W Rosji przeważały ciemne siły, podsycane przez „porażeńców" i bolszewików. W stolicy jacyś reakcjoniści rozrzucali z automobili odezwę, zaczynającą się od słów: „Osły, po co wy wojujecie?" Bolszewicy bez przeszkód agitowali w garnizonach i na froncie za zaniechaniem wojny, jako sprawy klas posiadających, i brataniem się z „proletariatem niemieckim — ofiarą imperialistów".

Skutki tej propagandy niedługo kazały na siebie czekać. Z wielkim hałasem przygotowywana ofensywa załamała się wskutek masowej dezercji w pułkach rosyjskich, które odmówiły posłuszeństwa swoim dowódcom. Zdemoralizowane żołdactwo rzuciło się do ucieczki, rabując wszystko po drodze. W tym czasie okrył się chwałą polski pułk ułanów, sformowany w kwietniu 1917 r. Obronił ludność Stanisławowa przed zdziczałą tłuszczą, a następnie, pod Krechowcami, sześć razy szarżował na atakującą piechotę niemiecką, zasłaniając odwrót dywizji rosyjskiej. Dowiedziałem się o tym z komunikatu sztabu i depeszy wodza naczelnego Korniłowa, dziękującego ułanom polskim za wskrzeszenie rycerskiej tradycji przodków. Był to jedyny jasny promień w tych ponurych czasach: Polacy nie ulegli demoralizacji.

Równocześnie z dezercją na froncie bolszewiccy żołnierze i marynarze wszczęli w Piotrogrodzie bunt przeciwko Rządowi Tymczasowemu i Komitetowi Wykonawczemu Sowietu, zarzucając mu brak stanowczości w propagowaniu pokoju „bez aneksji i kon-

trybucji“. Bunt został stłumiony przez oddziały wierne rządowi, ale pozostał po nim trujący osad, podrywający do reszty autorytet słabego rządu i powodujący zmianę jego składu w kierunku bardziej lewicowym. Minister sprawiedliwości Perewerzew wystąpił z oskarżeniem bolszewików o współdziałanie z Niemcami. Według dowodów, dostarczanych przez kontrwywiad angielski, pośrednikami pomiędzy poselstwem niemieckim w Sztokholmie i bolszewikami byli Fürstenberg, używający pseudonimu Haneckij, i adwokat Kozłowski, którego aresztowano w Piotrogrodzie wraz z współpracownikami „Trybuny“ i „Prawdy“. Lenin i Apfelbaum (pseudonim Zinowiew) ukryli się u marynarzy w Kronsztadzie. Kiereński, po powrocie z frontu, uznał postępowanie swych kolegów w rządzie za zbyt gwałtowne. Lwow, Perewerzew i bardziej zrównoważeni ministrowie usunęli się. Premierem został Kiereński, zatrzymując w rządzie Ceretellego jako mininistra spraw wewnętrznych, Tereszczenkę i Czernowa na dawnych stanowiskach oraz dobierając resztę spośród mało znanych osób. Kiereński na nowym stanowisku w dalszym ciągu zabiegał o popularność w masach, ale nie była ona długotrwałą: wkrótce przestano go nosić na rękach w Sowiecie, a na jesieni musiał uciekać z Piotrogrodu.

Naczelny Polski Komitet Wojskowy stracił cały miesiąc na pertraktacje z secesjonistami ze zjazdu, żeby ich nawrócić. Podobno potrzebne to było dla ułagodzenia Kiereńskiego. Ale lewica okazała się nieprzejednaną: żądała zlikwidowania Naczpolu i zaniechania myśli tworzenia polskiej siły zbrojnej.

Marksowska doktryna klasowości opętała mózgi polskich lewicowców; nawoływanie do jedności narodowej w tej wojnie uważali za zdradę ludu i wszędzie, gdzie byli narodowcy, widzieli niebezpieczeństwo kontrewolucji. Wśród żołnierzy, pod kościołami w Piotrogrodzie i Moskwie, rozpowszechniali ulotki głoszące, że „wojsko polskie tworzą panowie, lud nie ma po co się bić“. Najbardziej bolało mnie, że w tej przewrotnej agitacji brali udział i tzw. niepodległościowcy.

Po porażce, poniesionej na froncie, Kiereński nieco zmiękł w swej opozycji. Sawinkow, zastępca ministra wojny, oświadczył, że Kiereński zgodził się na sformowanie korpusu polskiego, przyrzeczonego przez Guczkowa, ale na więcej niż jeden korpus nie pozwoli. W Naczpolu zatrzymano się przy kandydaturze Józefa Muśnickiego na dowódcę korpusu, ponieważ brat jego Konstanty, uczestniczący w zjeździe, był znienawidzony przez lewicę za to, że w walce pod Rygą kazał rozstrzelać kilkunastu bolszewików, którzy odmówili pójścia do ataku.

W lipcu, będąc w Mińsku, wybrałem się z dr Kazimierzem Łubieńskim samochodem do Wołożyna, gdzie kwaterował Józef Muśnicki, dowodzący w tym czasie 38 korpusem rosyjskim. Chciałem go poznać i skłonić do objęcia dowództwa nad korpusem polskim. Zastałem go po rozprawie, jaką tego dnia miał z nadesłanym oddziałem żołnierzy rosyjskich, którzy chcieli tutaj stosować zwyczaje tyłowe: mieć swoje rady, komitety itp. Zmusił ich do wyrzeczenia się tego i poddania się dyscyplinie wojskowej, panującej w jego korpusie. Z rozmowy z nim wyniosłem wra-

żenie, że jest dzielnym dowódcą. Wątpliwości, czy wybór był trafny, powstały we mnie z innego powodu. Zaczął z nami rozmowę po rosyjsku, nie orientował się w nastrojach polskiego społeczeństwa, interesowała go tylko strona materialna: czy będą pieniądze na utrzymanie korpusu, czy oficerowie, służący dotąd w wojsku rosyjskim, nie stracą praw emerytalnych przy przejściu do polskiego korpusu itp. Odpowiedziałem, że przyszły rząd polski na pewno respektować będzie prawa, nabyte w wojsku rosyjskim, że tymczasem korpus polski czerpać będzie środki z tych samych źródeł, co korpusy rosyjskie, że powstająca teraz polityczna organizacja wychodztwa polskiego postara się o uzupełnienie tych środków, tak żeby korpus był wyposażony jak najlepiej pod względem technicznym. Tłumiłem rodzące się we mnie wątpliwości przekonaniem, iż teraz najważniejsze jest, żeby dowódca korpusu polskiego odznaczał się wojennym doświadczeniem i znajomością rzeczy, a pod tym względem Muśnicki miał bardzo dobrą opinię wśród generałów rosyjskich.

ZJAZD POLITYCZNY W MOSKWIE

W pierwszych dniach lipca, na zebraniu zwołanym z inicjatywy Komitetu Narodowego, powstał komitet organizacyjny zjazdu politycznego na wychodztwie. Przedmiotem obrad zjazdu miały być: 1) obecny stan sprawy polskiej, 2) sytuacja w kraju, 3) zadania polityki polskiej na wychodztwie, 4) wytworzenie stałego politycznego organu kierowniczego. Liczbę delegatów, których mogła przysłać każda

organizacja zgłaszająca swój udział w zjeździe, określono w następujący sposób: zorganizowane stronnictwa i związki polityczne miały prawo delegować na zjazd po 10 przedstawicieli, inne zrzeszenia, kluby polityczne i społeczno-polityczne po 2 przedstawicieli, a jeżeli liczyły więcej niż 100 członków, to po jednym przedstawicielu więcej za każdą następną setkę. W odezwie, zapraszającej do wzięcia udziału w zjeździe, komitet organizacyjny mówił:

„Niepodległość i zjednoczenie Polski nie może być jedynie darem z zewnątrz ani wyłącznym dziełem polityki i dyplomacji jednostek. Państwa i narody wzbijają się do wyższego życia przez zbiorowe wytężenie ogółu, zdrowego i krzepkiego w swojej całości, obejmującego szerokie widnokręgi narodowej samowiedzy, uczucia i czynu. Bez czynnego udziału, bez natężenia siły woli, bez skupionej energii w użyciu wszystkich sił i środków, jakimi naród rozporządza, urzeczywistnieniu jego dążeń poważne grożą niebezpieczeństwa... Najwyższy już czas, aby organizacje polityczne polskie po tej stronie wojennego kordonu, zgodne w uznaniu konieczności jednolitej polityki narodowej, stawiającej sobie za cel zdobycie zupełnej niepodległości i całkowitego zjednoczenia Polski z dostępem do morza, przystąpiły do zwarcia się w jeden szereg, jedną ożywiony wolą i ku jednemu celowi wspólną zwracający energię. Do takiego zszeregowania doprowadzić, wyraz tej woli ustalić, kierunek pracy politycznej określić, może jedynie zjazd przedstawicieli tych organizacji. W tym celu komitet organizacyjny zjazdu zwraca się do wszystkich, którzy bierność polityczną w takiej, jak obecna, chwili

uważają za zgubną, aby skupili się na wychodztwie do działania, które by było woli kraju uzupełnieniem i wzmocnieniem".

Jako członek komitetu organizacyjnego, brałem udział w rokowaniach z socjalistami i demokratami, żeby ich nakłonić do udziału w zjeździe. Socjaliści, należący do frakcji rewolucyjnej P. P. S., z miejsca odmówili. Z lewicą P. P. S. i socjaldemokratami nie próbowaliśmy nawet rozmawiać, ponieważ szli ręka w rękę z bolszewikami. Demokraci pogodzili się już z postulatem zjednoczenia ziem polskich, ale swój udział w zjeździe uzależniali od przyjęcia przez nas 3 warunków: 1) uznania warszawskiej Rady Stanu za reprezentację narodu, 2) nietworzenia w Rosji armii polskiej i 3) niewypowiadania wojny Niemcom. Warunków tych nie mogliśmy przyjąć. Dnia 19 lipca demokraci ogłosili odezwę, kończącą się następującymi słowami: „Polski Komitet Demokratyczny wzywa wszystkie kluby, zrzeszenia i stowarzyszenia demokratyczne i niepodległościowe oraz wszystkie żywioły, uznające zasadę solidarności z krajem i podporządkowania się woli politycznej narodu, by w zwołanym w Moskwie na dzień 3 sierpnia zjeździe udziału nie brały, by na zgromadzeniach publicznych ujawniały jego istotny charakter i podkład polityczny, by wreszcie zakładały energiczny protest przeciwko stałemu nadużywaniu przez obóz Komitetu Narodowego dla celów partyjnych nazw ogólnonarodowych polskich".

Najbardziej zależało mi na pozyskaniu dla zjazdu Zrzeszenia Niepodległościowego, skupiającego w sobie żywioły, z którymi sympatyzowałem w kraju.

Byli tak zdezorientowani wskazówkami, przywiezionymi przez Skąpskiego ze Sztokholmu, iż nie chcieli wierzyć moim zapewnieniom, że wskazówki te nie mogą pochodzić od Piłsudskiego, ponieważ, o ile go znam, gdyby znalazł się tutaj, zająłby się tworzeniem armii polskiej i nawoływałby do walki z państwami centralnymi. Na dowód, jak przewrotne były informacje demokratów o tym, co się dzieje w kraju, przytaczam, co ich organ „Dziennik Petrogradzki“ ogłosił z powodu wiadomości o wystąpieniu Piłsudskiego z Rady Stanu: „O tym, że gen. Piłsudski w porozumieniu z całą opinią krajową i Radą Stanu opuszcza urząd członka Rady Stanu, byliśmy uprzedzeni. Jest to krok, mający na celu wywarcie presji na okupantów niemieckich, czyniony z wiedzą i zgodą okupantów austriackich. Jesteśmy pewni, że poparty przez cały kraj gen. Piłsudski powróci na swe stanowisko i sprawę armii polskiej poprowadzi dalej zgodnie z interesem narodu polskiego“. Z bałamuconych w ten sposób niepodległościowców udało się pozyskać dla zjazdu tylko Polskie Towarzystwo Patriotyczne, reprezentowane przez Basińskiego i Sarankiewicza, ale nie na długo: po dwóch miesiącach wrócili na łono Komitetu Demokratycznego.

Na zjazd w Moskwie przyjechało 360 delegatów od kilkudziesięciu organizacji politycznych i społeczno-politycznych, mianowicie: demokracji narodowej, stronnictwa polityki realnej, demokracji chrześcijańskiej, Związku Zjednoczenia i Niezawisłości, Stronnictwa Pracy Narodowej na Rusi, Polskiego Towarzystwa Patriotycznego, Komitetu Wykonawczego na Rusi, Rad Ziemi Mińskiej, Mohylewskiej i na In-

flantach, Związków Wielkopolan i Małopolan, 14 klubów politycznych, 22 lokalnych związków politycznych, 30 kół włościańskich, 15 kół robotniczych „Jedności", kilku obozów jeńców wojennych.

Zjazd otworzył w imieniu komitetu organizacyjnego prof. Szymon Dzierzgowski. Na przewodniczącego zaproszono Stanisława Jezierskiego, prezesa Komitetu Wykonawczego na Rusi, na zastępców: Zygmunta Węcławowicza i Jana Mrozowskiego. Dla ułatwienia obrad i przygotowania wniosków powołano konwent seniorów, złożony z przedstawicieli grup po dwóch od każdej, oraz komisje redakcyjną i organizacyjną.

Sprawozdanie z działalności politycznej Komitetu Narodowego przedstawił Wielopolski i oświadczył, że Komitet uważa swoją misję za skończoną w przekonaniu, iż zjazd wytworzy organizację, która zespoli Polaków w dążeniu do urzeczywistnienia narodowych ideałów. Po przemówieniach powitalnych nastąpiły referaty, podzielone na trzy grupy: 1) sytuacja na emigracji i w kraju, 2) sprawa polska na terenie międzynarodowym i 3) sprawa akcji politycznej na wychodztwie w Rosji.

W pierwszej grupie były referaty: Rosja a sprawa polska (Seweryn Czetwertyński), Układ stosunków politycznych w zaborze austriackim (Teofil Anaszkiewicz), Mocarstwa centralne a sprawa polska (Stanisław Widomski) i Stosunki polityczne w Kongresówce i na Litwie (Jerzy Zdziechowski). Dwugodzinny referat Zdziechowskiego, oparty na dostarczonych z kraju wiadomościach i drukach, charakteryzujących sytuację w kraju i Radzie Stanu,

znakomicie przyczynił się do obalenia kłamstw, szerzonych na emigracji, i rozbudził w uczestnikach zjazdu pragnienie poparcia kraju w jego walce z okupantami. Dla wielu rewelacją były cytowane w referacie fakty: rozwiązanie legionów, rozłam w Radzie Stanu, wystąpienie Piłsudskiego z oskarżeniem okupantów o traktowanie Polski jak kolonii i jego aresztowanie.

Dalszym wyjaśnieniem sytuacji była druga grupa referatów, mianowicie: Koalicja a sprawa polska (Bohdan Wasiutyński), Sprawa polska jako sprawa międzynarodowa (Bohdan Winiarski) i Akcja polityczna na terenie państw koalicyjnych i neutralnych (Stanisław Grabski). Po tych wyjaśnieniach miałem bardzo ułatwione zadanie przekonania uczestników zjazdu o potrzebie powstania armii polskiej po tej stronie kordonu wojennego. Przemówienie moje podaję w skróceniu:

„Wytworzenie polskiej siły zbrojnej jest najważniejszą akcją, prowadzącą do urzeczywistnienia naszego celu. Uważam, że stosunek zebrania do tego wniosku jest zarazem probierzem siły dążenia do zjednoczenia i niezawisłości Polski. Odnoszenie się niechętne lub chwiejne do tego wniosku oznacza, że sprawę zjednoczenia i niepodległości Polski traktujemy raczej jako ideał platoniczny, a nie jako stanowczy program polityczny, jako realne zagadnienie polityki polskiej, która ma je w tej wojnie zrealizować. Kiedy mi wypadło prowadzić pertraktacje z członkami innych organizacji, to zawsze wysuwałem na front pytanie: czy wy stoicie na stanowisku walki o zjednoczenie i niepodległość? — ponieważ to

uważam za najważniejsze. Dlatego też zebranie nasze, jeżeli chce nadać siłę hasłu zjednoczenia i niezawisłości, w imię którego się zebrało, musi jasno i stanowczo zdeklarować swoje stanowisko w sprawie polskiej siły zbrojnej.

„Przypominam sobie, kiedy przed dwudziestu kilku laty znaleźliśmy się na ławach uniwersyteckich w Warszawie, z jakim zapałem rozpowszechnialiśmy broszurę z wezwaniem: Czynu, czynu naród czeka! Był to głos nowego młodego pokolenia, wyrastającego w otoczeniu wspomnień uczęstników ostatniego powstania, którzy dzieciom swoim przekazywali tradycję walki orężnej o sprawę polską. Dziś, kiedy nadeszła owa upragniona chwila, o której śnili nasi ojcowie, o którą modlił się nasz wieszcz narodowy: „O wojnę powszechną za wolność narodów prosimy Cię, Panie“ — ta sprawa: czynu, czynu naród czeka! — jest zagadnieniem najważniejszym i szkoda tylko, że tak późno możemy ją tutaj decydować.

„To jest pytanie przede wszystkim, czy my, jako naród, mamy w sobie silne podstawy moralne dla wytworzenia własnego państwa, czy możemy dać mu siłę i jaką posiadamy energię?... Trzeba sobie powiedzieć, że żadne rozumowanie nie zniszczy niewoli, że wyzwalają tylko akty wiary — czyny, nie marzenia i słowa...

„Słyszeliśmy nieraz i teraz na nabożeństwie za dzielnych ułanów, poległych pod Krechowcami, że narody stwierdzają swoje prawa tym, że są w nich ludzie, gotowi życie własne za nie oddać. To, że polska siła zbrojna walczyć będzie po tej stronie kordonu za zjednoczenie i niepodległość Polski, które

wszyscy pielęgnujemy w sercach, będzie stwierdzeniem na polach walki, że potrafimy dla tego celu umierać, więc mamy prawo do jego urzeczywistnienia. Polski nie można wytargować, wymusić żądaniami i rezolucjami — ją trzeba własnymi siłami i krwią budować, zdobyć wytrwałą energią i heroicznym udziałem w walce przeciwko dwom pozostałym zaborcom — państwom centralnym. W walkach narodów najwięcej znaczy ich ujawniona siła i energia, ona wchodzi w polityczną rachubę powojenną więcej niż dyplomatyczna akcja.

„Pod tym względem wśród emigracji polskiej w Rosji nie jest dostatecznie jasna myśl wszystkich. W pertraktacjach przedzjazdowych ujawniła się tak wielka skala poglądów i wahań, taka masa zastrzeżeń, drobiazgów co do nazwy, formy i innych szczegółów z zaciemnieniem zasadniczej myśli, że wytłumaczyć to mogę właściwym naszej inteligencji nastrojem i sposobem myślenia. Są ludzie, zgadzający się ostatecznie na pewien kompromis, mówiąc: niech sobie będzie jeden korpus — i tę najważniejszą akcję sprowadzają do stworzenia tylko symbolu, wyrażającego się w fakcie, że jest przecież jakiś korpus polski, który także walczy. Tej sprawy tak bagatelizować nie można. Chodzi tutaj o wykazanie rzeczywistej siły polskiej, znacznej, skupiającej wszystkich zdolnych do broni, którzy po tej stronie kordonu wojennego się znaleźli. Przecież na zjeździe wojskowych Polaków w Piotrogrodzie stwierdzono, że jest ich około 600 tysięcy. Siła ta, wydzielona z armii rosyjskiej, dobrze zorganizowana i dzielnie walcząca na froncie austro-niemieckim, będzie godną

wyrazicielką woli całego narodu, skrępowanego dziś na swej ziemi zbrojną ręką okupantów.

„Wspomniałem, że spory w sprawie polskiej siły zbrojnej są wyrazem nastroju, panującego wśród inteligencji... Nasze oglądanie się na lud — to oglądanie się za siłą, tęsknotą do tej siły państwowej i pewności siebie, które wykazała Polska za czasów Piastów, kiedy obok wolnego kmiecia stał rycerz-szlachcic w walce z nawałą niemiecką z Zachodu. Lud dotąd zachował w sobie zdrowe pierwiastki tej siły, nie osłabione przez epokę upadku Rzeczypospolitej. Nie uczestniczył w życiu politycznym tych przełomowych momentów, kiedy przewodnia warstwa — szlachta poczęła się wynaradawiać, nabierać ogłady cudzoziemskiej, kaleczyć język i obyczaje, materializować i demoralizować. Wszystko to składało się na zanik w niej poczucia państwowości, wytwarzało chwiejność uczuć i woli, brak wiary w swe siły i, kiedy nadeszła groza rozbiorów Rzeczypospolitej, szlachta, zamiast wsiadać na koń, sejmikowała!

„Lud stał z dala od tej atmosfery upadku, w swej masie pozostał zdrowym fizycznie i moralnie, patriotyzm jego nie wyświetlony politycznie pozostał instynktownym, nie jest krzykliwy, ale poważny, daleki od wszelkich fałszywych dekoracji i rozumowań politycznych... Kiedy sprawa wojska polskiego w kwietniu br. została podniesiona na zjeździe sokolstwa polskiego w Ameryce, gdzie główną masę wychodztwa stanowi lud polski, to rezolucja o utworzeniu osobnej jednostki bojowej polskiej w armii amerykańskiej pod nazwą „armia Kościuszki“ została przyjęta jednogłośnie bez dyskusji. Gdy ta sama

sprawa stała się przedmiotem obrad na zjeździe wojskowych Polaków w Piotrogrodzie, w atmosferze wpływów inteligencji, rozproszonej w obcym środowisku, zapisało się do głosu 168 mówców, zgłoszono 30 wniosków i obrady w tej sprawie zajęły blisko dwa tygodnie czasu. Warstwy ludowe rozstrzygały sprawę, kierując się instynktem i uczuciem powinności, inteligencja rozważała ją, wykazując swoje rozprószenie uczuć i woli, wątpliwości rozsądku i trzeźwości politycznej, tak dziwnie brzmiące w ustach ludzi młodych w czasie burzy dziejowej...

„Sprawa stworzenia polskiej siły zbrojnej po tej stronie kordonu wojennego powinna być traktowana przede wszystkim z punktu widzenia uczucia powinności, jako wypełnienie żołnierskiego obowiązku względem ojczyzny, zagrożonej przez nieprzyjaciela. Pod tym względem wojna obecna nikogo nie zastała bardziej nie przygotowanym niż inteligencję. Wychowanie obywateli-żołnierzy, gotowych każdej chwili stanąć w obronie swej ojczyzny, było u nas albo zaniedbane, albo całkowicie uniemożliwione... Przygotowania żołnierskiego nam przede wszystkim brakowało. Dlatego w sprawie polskiej siły zbrojnej taka różnorodność myśli i pytań: jak ta siła będzie się nazywała, czyich rozkazów będzie słuchała, czy sposobna do tego pora, co powiedzą na to obcy itp., a przy tym walka programów partyjnych i międzynarodowych z myślą polską...

„Muszę jednak przejść do wyjaśnienia tych wahań, jakich sprawa polskiej siły zbrojnej w czasie wojny doznała. Na pierwsze miejsce wysuwa się tutaj nazwisko Piłsudskiego. On wznowił tradycję le-

gionów Dąbrowskiego, akcję w tym kierunku jeszcze przed wojną zapoczątkował i w najbardziej krytycznym momencie zagrożony honor polskiego żołnierza uratował... Śmiała próba wskrzeszenia tradycji orężnej Polski musiała być w skutkach swych dla narodu naszego zbawienna, potęgując w nim dążenie do niepodległości i pobudzając do zbierania elementów zbrojnej siły, niezbędnej dla nadania mu realnej wartości. Co do tego nie mam żadnej wątpliwości. Tragizm stanowiska Piłsudskiego wynikał skądinąd: jego front polityczny był błędny... Piłsudski nieraz mi mówił, że jeśli dla dobra sprawy okaże się potrzeba zmiany frontu, to nie zawaha się tego zrobić. I tu był błąd, tkwiący w jego pojmowaniu zbliżającej się wojny, jako częściowego tylko zatargu pomiędzy Austrią i Rosją, nie wojny powszechnej, o którą modlił się Mickiewicz, w której staną przeciwko sobie nie dwaj zaborcy, ale dwa światy, za jednym z których trzeba stanowczo się opowiedzieć i do końca wytrwać. W czasie wojny nie może zmieniać swego frontu naród, to mogą robić tylko jednostki.

„W tym tkwił cały tragizm, który nieraz musiał targać duszę Piłsudskiego i jego szlachetnych towarzyszy... Koncepcja Piłsudskiego, streszczająca się w trzech założeniach: polska armia ochotnicza, powołany przez nią na terytorium Kongresówki rząd narodowy, jak w powstaniach, i zmienność frontu tej armii, zależnie od tego, jaki wróg zostanie na placu boju — nie mogła się ostać w całości i w zetknięciu z życiem wikłała się coraz bardziej. Utkwiła ona jednak silnie w umysłach tych, którzy szli za Piłsudskim, skomplikowała niezmiernie ich stanowisko,

co odbijało się na dyskusjach w sprawie polskiej siły zbrojnej po tej stronie kordonu. W kraju była łatwiejsza decyzja, bo był wódz, którego przyzwyczajono się słuchać. Tutaj rozkazy Piłsudskiego nie dochodziły i trudno było samym w zmienionych warunkach na zmianę frontu i taktyki się decydować.

„Legiony wygrały swój główny atut — podniosły hasło niepodległości Polski orężnie i tym nadały mu realną wartość. Dalej iść nie mogły — mówiła im to wyraźnie wola olbrzymiej większości narodu polskiego, nie chcącej angażować się po stronie Austro-Niemiec...

„Teraz kolej na nas po tej stronie kordonu wojennego... Sprawa stworzenia polskiej siły zbrojnej w Rosji została zdecydowana na zjeździe wojskowych Polaków w Piotrogrodzie... Wobec tego we wniosku, odnoszącym się do wykonania tej sprawy, mówię, że należy całą siłą poprzeć już istniejącą organizację, przez zjazd wojskowych Polaków powołaną w postaci Polskiego Naczelnego Komitetu Wojskowego. Zadaniem przez nas wybranej Rady będzie uzyskanie dla tej siły zbrojnej brakujących przedmiotów zaopatrzenia, aprowizacji i pomocy sanitarnej. Trzeba będzie wybadać, w jakim kierunku poparcie i pomoc nasza wojskowym Polakom winna być okazana, czego im brakuje, o co zabiegać tutaj i za granicą, przede wszystkim pod względem technicznym, ażeby polska siła zbrojna stanęła na wysokości, odpowiadającej jej wielkiemu znaczeniu.

„Wiem, że istnieją jeszcze pewne drażliwości i obawy, pozostałość smutnych waśni partyjnych i chwiejności stanowiska politycznego. Zjazd nasz

zebrał się nie dla wydawania sądów o przeszłości, ale dla wytknięcia i zainicjowania pracy na przyszłość, i można i należy mieć optymizm, że na wzajemnym zrozumieniu swych zadań oparty kontakt pomiędzy naszą Radą a Naczelnym Komitetem Wojskowym wyda najlepsze rezultaty i praca żwawo pójdzie naprzód. Dość słów i sporów o to, czy polska siła zbrojna potrzebna. Nadszedł czas czynów i pracy nad usunięciem wszelkich przeszkód“.

Na moje przemówienie zebrani odpowiedzieli powstaniem z miejsc i odśpiewaniem Roty: „Nie damy ziemi, skąd nasz ród“. Widocznym było, że wniosek w sprawie armii ma zapewnioną ogromną większość głosów. Tylko niektórzy ziemianie z Kresów wyrażali obiekcje co do wystawiania armii przeciwko państwom centralnym, ale publicznie nie przeciwstawiali się woli ogółu. Zrobili to później, na jesieni, kiedy zwycięstwo Niemiec wydało im się pewnym, a chłopi rosyjscy, zbuntowani przez bolszewików, zaczęli napadać dwory.

Po mnie Jerzy Gościcki referował wnioski komisji organizacyjnej. Przyjęto je bez dyskusji. Postanowiono utworzyć stały organ polityczny, reprezentujący zjednoczone na zjeździe stronictwa i organizacje, pod nazwą Rada Polska Zjednoczenia Międzypartyjnego. W celu zapewnienia wszystkim grupom reprezentacji w Radzie liczbę jej członków powiększono do 75 i przez aklamację zatwierdzono listę kandydatów, przedstawioną przez konwent seniorów. Zadaniem Rady było: 1) prowadzić w myśl uchwał zjazdu politykę polską wobec Rosji i państw koalicji, 2) starać się o zapewnienie Polsce własnej reprezentacji na kon-

gresie pokojowym, 3) popierać Polski Naczelny Komitet Wojskowy, 4) informować państwa koalicji o stanie rzeczy w Polsce i przeciwdziałać intrygom, mającym na celu poróżnienie Polski z koalicją i zawarcie przedwczesnego pokoju, 5) zabiegać u rządu rosyjskiego o usunięcie przeszkód w tworzeniu armii polskiej, danie całkowitej swobody jeńcom wojennym Polakom i nieprzeszkadzanie w werbowaniu ich do armii polskiej.

W ostatnim dniu obrad zjazd, na wniosek komisji redakcyjnej, przyjął deklarację polityczną, z której przytaczam główne punkty:

1) Niezłomnym dążeniem narodu polskiego jest zdobycie w bezpośrednim wyniku wojny obecnej niepodległego państwa polskiego, utworzonego przez zjednoczenie wszystkich ziem polskich, posiadającego własne wybrzeże morskie z ujściem Wisły. Osiągnięcie tego celu wymaga przełamania opartej na pruskim militaryzmie przewagi Niemiec w Europie i odebrania od państw centralnych znajdujących się w ich posiadaniu ziem polskich. W bezpośrednim zatem interesie Polski leży zwycięstwo koalicji przeciwniemieckiej.

2) Zjazd stwierdza, że w swym pojmowaniu zadań polityki polskiej zgodny jest z wolą ogółu polskiego wszystkich trzech zaborów... Zjazd wyraża wdzięczne uznanie ogółowi rodaków w kraju, przede wszystkim znajdującym się w najcięższych warunkach braciom z zaboru pruskiego, za wytrwałe i skuteczne wysiłki utrzymania samoistnej postawy. Zjazd stwierdza, że legioniści, którzy stawiali ofiarny opór przeciwko przysiędze, wiążącej siłę zbrojną polską z pań-

stwami centralnymi, spełnili czyn doniosły dla dobra ojczyzny.

3) Zjazd uznaje, że najważniejszą akcją, prowadzącą do całkowitego zjednoczenia i zupełnej niepodległości Polski, jest w obecnych warunkach stworzenie samodzielnej siły zbrojnej polskiej, walczącej przeciwko państwom centralnym, ostatniej już w Europie ostoi systemu policyjnego i zaborczego militaryzmu, gwałcącego prawa narodów.

4) Zjazd oświadcza, że niewątpliwym prawem polskiego narodu jest, by na przyszłym kongresie pokojowym sam mógł swej sprawy bronić.

Zaraz po zjeździe odbyło się 9 sierpnia pierwsze zebranie Rady, na którym wybrano Komitet wykonawczy w następującym składzie: prezes Stanisław Wojciechowski, wiceprezesi Stanisław Jezierski i Leon Łubieński, sekr. Józef Kożuchowski, skarbnik Paweł Górski, wydział wewnętrzny Teofil Anaszkiewicz i Jerzy Gościcki, wydział wojskowy Stanisław Widomski i Jerzy Zdziechowski, wydział zewnętrzny Stanisław Grabski i Józef Wielowiejski oraz członkowie: Seweryn Czetwertyński, Jan Harusewicz, Wiktor Jaroński, Jan Mrozowski, Henryk Skarzyński i Zygmunt Wielopolski. W sprawie akcji politycznej za granicą Rada uznała za swoich przedstawicieli: Romana Dmowskiego w Londynie, Maurycego Zamojskiego w Rzymie i Erazma Piltza w Paryżu. Siedzibę Komitetu wyznaczono w Piotrogrodzie; ponieważ ja, ze względu na zajęcia w Rosławiu, nie mogłem stale przebywać w Piotrogrodzie, zastępował mnie Jezierski po zlikwidowaniu swoich interesów w Kijowie. Wydatki Komitetu pokrywane były z ofiar

i kredytu w Banku Handlowym za poręką zamożniejszych członków Rady. Organem Rady stał się „Dziennik Polski“ w Piotrogrodzie.

Prasa Komitetu Demokratycznego nazwała nasz zjazd nacjonalistycznym i prawicowym, a szczególnie wyśmiewała naszą wiarę w możliwość złamania potęgi Prus i zwycięstwa koalicji. Wspominając kampanię, podjętą przeciwko naszemu obozowi, muszę jeszcze zaznaczyć jeden fakt znamienny. Na zjazd nie przyjechał ani jeden Żyd polski, mimo że komitet organizacyjny wzywał wszystkich, którzy uznają konieczność jednolitej polityki narodowej, mającej na celu zdobycie niepodległości i zjednoczenia Polski. Tradycja 1863 r., kiedy część Żydów stanęła po stronie polskiej, należała już tylko do przeszłości. Teraz wszyscy Żydzi znaleźli się w szeregach rewolucjonistów rosyjskich albo germanofilskich, atakując w prasie obelżywymi słowami społeczeństwo polskie, reprezentowane na zjeździe. Odżywały we mnie wspomnienia zjazdu 1905 r. w Warszawie, kiedy Żydzi spowodowali zmianę kierunku niepodległościowego P. P. S. i parli, jak teraz, w kierunku rozpalenia wojny domowej.

Po powrocie do Rosławia otrzymałem list od legionisty z obozu jeńców (nazwisko wyszło mi z pamięci) z zapytaniem, czy, jako stary przyjaciel Piłsudskiego, jestem pewny, że opowiedziałby się za tworzeniem armii polskiej w Rosji. Odpowiedziałem, że co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Trapiły mnie wątpliwości innego rodzaju. Czy Polacy zdołają się wydobyć z rozpadającej się armii rosyjskiej i stworzyć siłę, zdolną stawić opór Niemcom? Rosja znajdowała się

w stanie bezwładu: na froncie propagowano pacyfizm, na tyłach — wojnę domową. W wagonach, na stacjach, w mieście głośno mówiono, że teraz kolej na „graždanskuju wojnu“.

W Rosławiu nie było już żadnej władzy ani organizacji poza powiatowym sowietem. Wojskowi Polacy przenieśli się do Jelni, gdzie formowała się trzecia dywizja korpusu polskiego. Wałęsający się po ulicach rozpróżniaczeni młodzi ludzie w mundurach żołnierskich, dobrze odżywieni, robili na mnie wrażenie ludzi pijanych frazesami, których często sami nie rozumieli. Według nich rewolucja powinna wyrażać się w prymitywnym zrównaniu wszystkich ludzi: skasowaniu wszelkich stopni, szlif, tytułów, różnic w wynagrodzeniu za pracę itp. Inteligencja rosyjska, zrażona takim obrotem rzeczy, zamilkła i usunęła się. Wszystkich ogarniał jakiś strach czy tołstojowska zasada niesprzeciwiania się złu. Oficerowie pokornie ustępowali miejsca „towarzyszom“, którzy zdumieni byli, że całkowite zrównanie tak łatwo przychodzi. W tym czasie felietonista „Russkoj Woli“ pisał: „Uderzająca niezdarność wypływa na powierzchnię przewrotu rosyjskiego. Gdziekolwiek rzucić okiem, ani jednego wodza, to nawet nie mówcy, lecz deklamatorzy... Nie ma nie tylko organizatorów, ale nawet ludzi odważnych. Trafiają się ludzie podnieceni, ale w istocie są to ludzie podnieceni strachem... Wszyscy przywódcy i mówcy, deklamujący na arenach, są śmiertelnie, do histerii, przelęknieni. Swoim strachem zarażają publiczność... Histeryczni mówcy, zadowoleni z siebie chorążowie i nie dowierzająca masa — oto zasadnicze pierwiastki rewolucji rosyjskiej“.

Szczepieniem zarazków bezwładu rosyjskiego wśród wojskowych Polaków zajęła się lewica polska pod komendą Żydów. Szkoda, że nie było tutaj Wyspiańskiego dla uwiecznienia tych chochołów w pamięci polskiej. W moich notatkach zachowały się następujące fakty:

Na posiedzeniu piotrogrodzkiego sowietu 27 marca 1917 r. Bernard Mandelbaum, jako delegat Polskiego Stowarzyszenia Demokratycznego „Promień“, oświadczył: „Niepodległość Polski nie jest naszym celem ostatecznym tak samo, jak Rosyjska Rzeczpospolita Ludowa nie jest waszym ostatecznym dążeniem. Mamy przed sobą jeszcze długą ciernistą drogę walki o tryumf ostateczny socjalizmu“. W rzeczywistości droga do socjalizmu nie była ani długa, ani ciernista. Skrócił ją protektor, minister Kiereński, a wynagrodzili bolszewicy. W grudniu tegoż roku Mandelbaum został mianowany przez Stalina komisarzem do spraw oświaty w Komisariacie dla spraw Królestwa Polskiego.

Na wiecu, zwołanym w Mińsku przez Polskie Zjednoczenie Socjalistyczne, 27 czerwca pod przewodnictwem Bersona uchwalono wniosek Heltmana następującej treści: „Myśl tworzenia armii polskiej po stronie rosyjskiej jest wybitnym przejawem rodzącego się militaryzmu i imperializmu posiadających klas polskich... Tworzenie armii polskiej nosi charakter specjalnie reakcyjny i skierowany przeciwko idei wolnościowej, a zamierzona przyszła akcja armii polskiej byłaby klęską dla narodu polskiego i w pierwszym rzędzie dla proletariatu polskiego... Uznając za konieczne zniesienie armii stałych i zastąpienie ich przez

milicję ludową, zebrani zwracają się z wezwaniem do wojskowych Polaków istniejących już oddziałów polskich, aby przeciwdziałali zakusom wytworzenia z nich środka militaryzmu polskiego i stali na straży idei wolności i obrony klas pracujących".

Ci sami ludzie: Berson, jako komisarz ludowy do spraw narodowościowych zachodniego okręgu, i Heltman, jako komisarz do spraw polskich zachodniego okręgu, wydali w Mińsku 12 stycznia 1918 r. odezwę do żołnierzy korpusu polskiego, która między innymi mówiła: „Pamiętajcie, że tylko zwycięstwo rewolucji może wyzwolić was z tych kajdan, w które wy w korpusie polskim jeszcze jesteście skuci. Rewolucyjny zapał ludu zniósł Korniłowa i Kiereńskiego i musi znieść Dowbora i podtrzymującą go na waszych plecach zgraję kłamców i wyzyskiwaczy".

Historyk, pragnący wyświetlić przyczyny, hamujące formowanie polskiej siły zbrojnej w Rosji, znajdzie obfity materiał w archiwum wojskowym w forcie Legionów w Warszawie. Znajdują się tam akty Naczpolu, I korpusu polskiego i Rady Polskiej Zjednoczenia Miedzypartyjnego. W moich wspomnieniach podaję tylko te fakty, które mnie zainteresowały, albo w których brałem bezpośredni udział.

Zgodnie z uchwałami zjazdu politycznego w Moskwie zajęliśmy się poparciem Naczpolu. Na zebraniu Komitetu wykonawczego Rady streściliśmy zadania naszego wydziału wojskowego w trzech paragrafach: 1) podejmowanie kroków politycznych wobec rządu rosyjskiego i koalicji w sprawie stworzenia polskiej siły zbrojnej, 2) organizowanie pracy społeczeństwa dla dostarczenia jej brakujących przedmiotów

i sił technicznych, 3) organizowanie opieki społeczeństwa nad żołnierzami polskimi i oddziaływanie na nich w duchu narodowym za pomocą odczytów i wydawnictw. Z tym programem przyjechałem 28 sierpnia do Mińska, w którym Muśnicki, po otrzymaniu nominacji na dowódcę korpusu polskiego, miał kwaterę i gdzie zebrała się większość członków Naczpolu. Na wspólnym zebraniu z nimi program nasz został przyjęty i wyznaczono dwóch członków dla stałego współdziałania z kierownikami naszego wydziału wojskowego. Za najpilniejsze uważaliśmy uznanie przez rząd rosyjski Naczpolu za jedyny organ uprawniony do wydzielania Polaków z armii rosyjskiej i materialne zabezpieczenie jego egzystencji.

Pierwsze wystąpienie Muśnickiego w Mińsku, szczególnie jego rozkaz nr 2, wyjaśniający ideowe podstawy polskiej siły zbrojnej, zjednały mu serca polskie. Wojskowi pragnęli mieć wodza i widzieli go teraz w Muśnickim. Jedynym zgrzytem było to, że na szefa sztabu dobrał sobie Rosjanina gen. Agapiejewa, ale tłumaczył, że było to konieczne wobec braku oficerów sztabowych wśród Polaków. Żegnając się z Muśnickim w jego mieszkaniu, prosiłem go, żeby nie dał się wciągnąć do żadnej akcji politycznej, żeby te kłopoty pozostawił nam, cywilom, a cały poświęcił się formowaniu siły, zdolnej do boju z Niemcami, jak to zapowiedział w swym rozkazie. Podał mi rękę i zapewnił, że tak będzie. Wyjeżdżałem z przekonaniem, że pierwsze wrażenie moje w Wołożynie było mylne.

Komitet i wydziały Rady Polskiej miały siedzibę w Piotrogrodzie przy ulicy Spaskiej nr 27. Najęty umeblowany lokal był tak obszerny, że przyjeżdżają-

cy członkowie prezydium mogli tutaj mieszkać. Wydział zewnętrzny zajęty był opracowaniem memoriału w sprawie polskiej do rządu rosyjskiego i ambasadorów państw koalicji oraz kierował akcją prasową. Wydział wewnętrzny utrzymywał stosunki z organizacjami, które uczestniczyły w zjeździe, i powoływał do życia nowe w miejscowościach pod tym względem zaniedbanych. Wydział wojskowy zajął się organizowaniem przemysłowców polskich w Rosji dla dostarczenia korpusowi potrzebnych przedmiotów i przygotowaniem memoriału do ministra wojny w sprawie stworzenia w Rosji armii polskiej na wzór formowanej we Francji. Dekret rządu francuskiego z dnia 4 czerwca 1917 r. mówił: „Formuje się we Francji na czas wojny armia polska autonomiczna pod najwyższym dowództwem francuskim, walcząca pod sztandarem polskim. Organizacja i utrzymanie armii polskiej są zagwarantowane przez rząd francuski“. Chcieliśmy, żeby tak samo postąpił rząd rosyjski.

Obszerny memoriał, opracowany przez Stanisława Grabskiego i zatwierdzony na plenum naszego Komitetu, przedstawiał stan rzeczy i nastroje w Polsce, zabiegi państw centralnych przeciągnięcia Polaków na swoją stronę i dwuznaczność polityki rosyjskiej, która nawet po deklaracji Rządu Tymczasowego 30 marca postępowała tak, jakby chciała pogodzić Polaków z niemieckim rozwiązaniem sprawy i ułatwić sobie porozumienie z państwami centralnymi. Popieranie przez rząd rosyjski polityki Komitetu Demokratycznego, forytowanie garstki lewicy, nieuznawanie Naczpolu, reprezentującego ogromną większość wojskowych, i stawianie przeszkód w tworzeniu armii pol-

skiej podkopywało wiarę w szczerość aktu z 30 marca i hamowało rozwój sił polskich na emigracji. Żadne koncesje niemieckie nie wytrącą narodu polskiego ze stanowiska, zajętego wobec państw centralnych, ale dla rozwinięcia całej jego energii konieczne było przyznanie Polakom pełnych praw sprzymierzeńców w myśl zasady: wolni z wolnymi, równi z równymi.

W zakończeniu memoriału żądaliśmy: 1) wezwania na najbliższą konferencję sprzymierzeńców, mającą określić cele wojny, przedstawiciela Polski, wskazanego przez polityczne organy polskie, występujące przeciw państwom centralnym; 2) uznania konieczności odbudowania niepodległej i zjednoczonej Polski dla przyszłej równowagi w Europie, nie w formie teoretycznej deklaracji, lecz jako realne oświadczenie, że odbudowa takiej Polski jest celem wojny, na równi z odbudową Belgii i Serbii, i 3) zaprzestania dalszej zwłoki z decyzją stworzenia w Rosji autonomicznej armii polskiej.

Memoriał ten, jako prezes Rady Polskiej Zjednoczenia Międzypartyjnego, wręczyłem 7 września ambasadorom Anglii i Francji w Piotrogrodzie w asyście Grabskiego i Wielowiejskiego, którzy odpowiadali na pytania ambasadorów, stawiane przy czytaniu memoriału. Buchanan i Noulens przyrzekli przesłać nasz memoriał swoim rządom, przy czym wyrażali wątpliwość co do możności stworzenia armii polskiej w Rosji, ponieważ rząd rosyjski informował ich, że zdezorganizowałoby to armię rosyjską. W tym czasie Kiereński i Tereszczenko prowadzili jakąś zakulisową grę polityczną w Sztokholmie przy pomocy prezesa Komisji Likwidacyjnej Lednickiego i zwle-

kali z przyjęciem naszej delegacji do czasu jego powrotu ze Sztokholmu.

W rządzie Kiereńskiego ministrem przemysłu i handlu był Prokopowicz, mój znajomy z czasów narad nad projektem ustawy o spółdzielniach w 1908 r. Udałem się do niego, żeby wyrobił nam audiencję u prezesa rządu. Prokopowicz wyraził wątpliwość, czy mu się to uda, ponieważ Kiereński za jedynego pośrednika w sprawach polskich uważał Lednickiego i przyjaźń ta datowała się od czasów, kiedy Lednicki pomagał Kiereńskiemu, jako aplikantowi adwokackiemu. W rozmowie z Prokopowiczem wyraziłem obawę o dalsze losy Rosji, jeżeli rząd nie wystąpi stanowczo przeciwko szerzonej anarchii. Przyznawał mi rację, ale nie widział sposobu wyjścia, ponieważ ministrowie nie mieli żadnej władzy, byli tylko, jak się wyraził, „gławnougowariwajuszczymi" (upominającymi). Krasomówstwem nie można powstrzymać postępującego rozkładu, ale Kiereński na nic innego nie chciał, a raczej bał się zdobyć.

Po kilku dniach otrzymaliśmy wiadomość, że Kiereński przyjmie nas 9 września w pałacu Zimowym. Poszedłem na to widzenie ze Stanisławem Grabskim. Adiutant powiedział nam, że musimy poczekać, ponieważ Kiereński zajęty jest ważnymi sprawami. Po kwadransie czekania usłyszałem jakiś śpiew w sąsiedniej sali. Na moje pytanie, kto to śpiewa, adiutant odpowiedział, że to Kiereński. Uważałem za niemożliwe dalsze czekanie; wyszliśmy z pałacu i w ten sposób straciłem okazję poznania tego nie opanowanego śpiewaka rewolucji rosyjskiej.

Tereszczenko zgodził się nas przyjąć dopiero 14

września, po powrocie Lednickiego ze Sztokholmu. Widocznie gra zakulisowa nie udała się albo Lednicki przekroczył udzielone mu pełnomocnictwa, bo Tereszczenko, nie pytany przez nas o to, zaczął tłumaczyć się z misji Lednickiego i na poparcie swych słów przysłał nazajutrz Wielopolskiemu odpis swego listu do Lednickiego przed jego wyjazdem do Sztokholmu. Na nasz memoriał Tereszczenko odpowiedział, że zdecydowanie stoi na stanowisku walki z militaryzmem niemieckim, przygotowuje na najbliższą konferencję sprzymierzeńców deklarację w sprawie polskiej, która mogłaby być przyjęta przez całą koalicję, uważa udział Polaka w tej konferencji za możliwy, lecz tylko w charakterze rzeczoznawcy, a w sprawie armii polskiej powtórzył gadkę o niebezpieczeństwie zdezorganizowania przez to armii rosyjskiej.

Następnego dnia byłem z Wielopolskim u Carlottiego, ambasadora Włoch. W czasie czytania naszego memoriału otrzymał radiotelegram i podał nam treść jego. Państwa centralne zrobiły nowe posunięcie w sprawie polskiej: ustanowiły Radę Regencyjną w Warszawie. Miało to na celu dalsze dezorientowanie Polaków i zagranicy. Wobec tego musieliśmy złożyć ambasadorom dodatkowe memoriały wyjaśniające, dlaczego Rady Regencyjnej, mianowanej przez okupantów, nie możemy uważać za organ, wyrażający wolę narodu polskiego.

Kiereński za namową Lednickiego poszedł w ślady Niemiec i ustanowił przy prezesie Komisji Likwidacyjnej radę polityczną dla wyrażania opinii polskiej przez osoby, mianowane i zwalniane dekretami rządu rosyjskiego na wniosek Lednickiego. Rozporzą-

dzenie to wywołało liczne protesty ze strony wychodztwa polskiego i miało tylko ten skutek, że przedstawiciele Centralnego Komitetu Obywatelskiego, Rady Zjazdów Organizacji Pomocy Ofiarom Wojny, Centralnego Towarzystwa Rolniczego i Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego usunęli się z Komisji Likwidacyjnej. W sprawie tej kierownicy naszego wydziału zewnętrznego byli u Tereszczenki, który oświadczył, że nie jest z tego rozporządzenia zadowolony, ale trudno je odwołać, można tylko inaczej interpretować. Lednicki tłumaczył się, że chciał w ten sposób doprowadzić do utworzenia wspólnej reprezentacji polskiej w myśl odezwy Paderewskiego, nawołującej emigrację do zjednoczenia się. Lednicki traktował sprawę po adwokacku: skoro strony — Rada Polska i Komitet Demokratyczny — nie mogą się pogodzić, to należy iść do sądu, w tym wypadku do obcego rządu, co było nieprzyzwoitością, obrażającą uczucia polskie.

Intrygi niemieckie i rosyjskie, mające na celu sprowadzenie sprawy polskiej do znaczenia wewnętrznej sprawy państw zaborczych, znalazły dzielne odparcie ze strony naszych przedstawicieli w Londynie, Paryżu i Rzymie oraz Ignacego Paderewskiego w Ameryce. W sierpniu 1917 r. utworzyli oni na zjeździe w Lozannie przedstawicielstwo polityczne pod nazwą Komitet Narodowy Polski z siedzibą w Paryżu i Dmowskim, jako prezesem, na czele. Zadaniem Komitetu było uzgodnienie wysiłków polskich celem współdziałania w zwycięstwie koalicji i osiągnięcia w ten sposób zjednoczenia i niepodległości Polski. We wrześniu Wydział Narodowy Polski w Chicago uznał

kierownictwo polityczne Komitetu Narodowego, to samo zrobiliśmy my w październiku, zawiadamiając Komitet w Paryżu, że Rada Polska Zjednoczenia Międzypartyjnego uważa go za swego reprezentanta na Zachodzie. Dmowski pisał do mnie, żebym przeniósł się do Paryża i wszedł w skład Komitetu. Zostałem w Rosji, ponieważ sądziłem, że tutaj mogę być bardziej pożytecznym, a udział Dmowskiego i Paderewskiego w Komitecie uważałem na dostateczną rękojmię, że na terenie międzynarodowym sprawa polska będzie broniona dobrze. Wkrótce otrzymaliśmy wiadomość, że Komitet Narodowy został uznany za oficjalne przedstawicielstwo polskie przez rząd francuski i angielski, a w listopadzie przez Włochy i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Nasze stanowisko wobec państw centralnych, Rady Regencyjnej i w sprawie armii polskiej stało się przedmiotem wzmożonych ataków ze strony obozu przeciwnego. Gdy zwołany przez Komitet Demokratyczny zjazd w Piotrogrodzie 20 października zrobił fiasko, bo przybyło tylko 53 delegatów, urządzono nazajutrz pod przewodnictwem Więckowskiego wiec pod nazwą: „konferencja stronnictw, stojących na stanowisku pierwszeństwa w polityce kraju przed emigracją i popierania pracy państwowo-twórczej kraju“. Przedstawiciele tych ugrupowań kolejno odczytywali swoje deklaracje. Pierwszy występował Aleksander Meysztowicz w imieniu stronnictwa narodowo-zachowawczego; deklaracja jego mówiła: „Teraz już odczuwając wagę każdego kroku, poczynionego na wychodztwie, oświadczamy za niedopuszczalne wszelkie zakusy organizacji narodowego rządu i na-

rodowej armii poza granicami ojczyzny, upatrując w nich zarodek groźnej politycznej anarchii... Popierać natomiast będziemy powstające w kraju organy państwowości polskiej". Następnie Stanisław Horwatt w imieniu stronnictwa pracy narodowej, które wycofało swych przedstawicieli z Rady Polskiej, oświadczył, że jego stronnictwo całkowicie podziela wytyczne sformułowane w deklaracji Meysztowicza.

Po Horwacie Więckowski odczytał uchwały zjazdu demokratycznego; powtarzam jedną z nich: „Zjazd uznaje, że działalność polityczna emigracji winna być podporządkowana woli i polityce naczelnych organów państwowych polskich w kraju. Stwierdzając, że najważniejszym i najżywotniejszym zadaniem polityki ogólnonarodowej polskiej w dobie obecnej jest dalsze budownictwo państwa polskiego, demokracja polska w obrębie państwa rosyjskiego wszelkimi siłami pracy państwowo-twórczej kraju współdziałać będzie". Następnie występowali: Ludkiewicz w imieniu związku radykalno-demokratycznego na Litwie i Białej Rusi, Świętochowski w imieniu stronnictwa radykałów polskich, Róg w imieniu związków ludowych i Sarankiewicz w imieniu Towarzystwa Patriotycznego. Wszyscy oni uczestniczyli w zjeździe demokratycznym poprzedniego dnia i na różne tony powtarzali to samo: popieranie pracy państwowo-twórczej w kraju i potępienie polityki narodowej na emigracji.

Po odczytaniu tych deklaracji Horwatt oświadczył, że powstał blok „Jedności Narodowej" i wyciągnął wspólną dla wszystkich obecnych formułę następującej treści: „Stwierdzamy, że nie wolno żad-

nym ugrupowaniom politycznym przywłaszczać sobie prawa ogólnonarodowej reprezentacji ani też przybierania charakteru lub pozorów rządu narodowego“. Oświadczenie Horwatta obecni przyjęli oklaskami i przewodniczący Więckowski stwierdził, że wszystkie obecne grupy i stronnictwa formułę tę akceptują. Wiec zakończono owacją dla prezesa Komisji Likwidacyjnej Lednickiego i hołdem dla Rady Regencyjnej w Warszawie. Z Więckowskim zerwałem stosunki od czasu zjazdu wojskowych Polaków i nie mogłem teraz dowiedzieć się, dlaczego w deklaracjach unikano wymienienia Rady Polskiej, jako głównego wroga, przeciwko któremu ich zmobilizował.

Dla całości obrazu muszę jeszcze podać dwie uchwały zjazdu demokratycznego w sprawie wojskowej: 1) „Żadne organizacje społeczne i polityczne polskie nie powinny brać udziału w tworzeniu formacji wojskowych, jako w sprawie należącej do kompetencji rosyjskiego Rządu Tymczasowego. Wymienione wyżej organizacje polskie zachowują sobie tylko opiekę nad żołnierzem polskim, obronę jego praw oraz pracę kulturalno-narodową“. 2) „W celu opieki nad żołnierzami Polakami w ich potrzebach materialnych i kulturalnych winien być ustanowiony przy Rządzie Tymczasowym komisarz do spraw wojskowych Polaków“. Dziwne było upodobanie ówczesnych demokratów do oddawania spraw polskich w ręce nominatów obcego rządu. Komisarzem do spraw wojskowych Polaków miał zostać Więckowski. Do wykonania tego nie doszło, ponieważ przewrót bolszewicki usunął Kiereńskiego, a razem z nim Lednickiego i Więckowskiego. Zastąpili ich komisarze żydowskiego pochodzenia.

Tak na emigracji w Rosji zarysowały wyraźnie swe oblicze dwa obozy polskie: narodowy, skupiony dokoła Rady Polskiej Zjednoczenia Międzypartyjnego, i demokratyczny, inspirowany przez Więckowskiego, Lednickiego i część ziemian z Kresów. Pierwszy obóz stawiał sobie za cel współdziałanie w zwycięstwie koalicji, drugi uważał zwycięstwo państw centralnych za nieuniknione i do tego przystosowywał swoją politykę. Polscy socjaliści utonęli w ruchu rosyjskim, zgodnie ze swoją doktryną o międzynarodowej solidarności proletariatu. W takim rozproszeniu zastał nas przewrót bolszewicki i jeszcze bardziej utrudnił wytworzenie w Rosji siły polskiej, zdolnej zaważyć na froncie austro-niemieckim.

PRZEWRÓT BOLSZEWICKI

Kiereński, mimo szybko postępującej anarchii, w dalszym ciągu uprawiał swoją dwulicową politykę deklamatorską. Chciał podobać się rosyjskim kołom patriotycznym, które w sierpniu zebrały się w Moskwie dla wskazania rządowi drogi wzmocnienia władzy i moralnego odrodzenia Rosji, a równocześnie usiłował być popularnym w piotrogrodzkim sowiecie, który każdą próbę wprowadzenia dyscypliny uważał za kontrewolucję. W pierwszych dniach września wojska niemieckie prawie bez oporu przeszły Dźwinę, przerwały front rosyjski na znacznej przestrzeni i zajęły Rygę. W celu ratowania sytuacji wojennej, naczelny wódz Korniłow zwrócił się do Rządu Tymczasowego z kategorycznym żądaniem przywrócenia dyscypliny wojskowej i energicznego wystąpienia przeciwko bol-

szewikom. Kiereński potraktował to jako spisek przeciwko rządowi i na radzie ministrów przeprowadził usunięcie od dowództwa Korniłowa, Denikina i kilku innych generałów. Za namową sowietu uzbroił robotników dla ratowania rewolucji i sam objął naczelne dowództwo, zachowując przy sobie przewodnictwo w rządzie. W ten sposób pracował dla bolszewików. W końcu października Aleksiejew, szef sztabu naczelnego dowództwa, musiał oświadczyć, że „armii Rosja już nie ma“.

Od początku rewolucji marcowej dziwiło mnie, dlaczego Rząd Tymczasowy zwlekał z zarządzeniem wyborów do Konstytuanty, zapowiedzianej w pierwszym orędziu. Podobno bał się, że wybory mogą dać przewagę żywiołom umiarkowanym. Popierał go w tym sowiet piotrogrodzki, który również bał się, że z ukonstytuowaniem przedstawicielstwa narodowego skończy się jego rola, jako organu kontrolującego rząd w zastępstwie Dumy. W ostatnich tygodniach swoich rządów Kiereński próbował ratować się przed przewagą skrajnych żywiołów przez powołanie Tymczasowej Rady Republiki Rosyjskiej, tak zwanego „przedparlamentu“, ale było już za późno. Rada, złożona z 450 nominatów, w $^2/_3$ spośród socjalistów i w $^1/_3$ z przedstawicieli stronnictw umiarkowanych, nie mogła mieć powagi przedstawicielstwa narodowego i rozpoczęła obrady w warunkach najmniej sprzyjających. Rodzianko, były prezes Dumy, odmówił udziału w Radzie z nominacji rządu. Bolszewicy użyli trybuny Rady dla wypowiedzenia się przeciwko niej i zdyskredytowania Kiereńskiego.

Krwawa wojna domowa zaczęła się na ulicach Pio-

trogrodu 7 listopada, w pierwszym dniu zjazdu delegatów rad robotniczych i żołnierskich. Kierował nią Komitet wojenno-rewolucyjny piotrogrodzkiego sowietu. Byłem w tym czasie w Piotrogrodzie. Lokal nasz na ulicy Spaskiej był daleko od miejsca głównych starć w śródmieściu. Ulice zupełnie opustoszały, znikły tramwaje i dorożki. Co pewien czas przejeżdżały ciężarowe samochody z uzbrojonymi bolszewikami, strzelającymi na postrach w powietrze. Telefon nie działał. Wiadomości o tym, co się dzieje w śródmieściu, otrzymywaliśmy pocztą pantoflową, podawaną z domu do domu. Bolszewicy wpierw opanowali telegraf, telefon, dworce kolejowe i bank państwa. Najkrwawsze walki były przy domu inwalidów wojennych, którzy najdłużej stawiali opór przewrotowi, oraz przy siedzibie Rządu Tymczasowego w pałacu Zimowym, bronionym przez junkrów. Pałac został zdobyty przy pomocy marynarzy, którzy na statkach podpłynęli Newą pod sam pałac.

Ministrowie zostali osadzeni w twierdzy Petropawłowskiej, która od rewolucji marcowej była w posiadaniu piotrogrodzkiego sowietu. Kiereński zdołał zbiec do Ługi, aby sprowadzić posiłki, ale nic nie wskórał; nikt mu już nie ufał. Przybyli w ślad za nim marynarze bez trudu aresztowali sztab Kiereńskiego, a on sam ratował się ucieczką w przebraniu marynarza. Ścigano go teraz jako zdrajcę rewolucji, dla której dotąd pracował.

U steru państwa stanęła Rada Komisarzy Ludowych, opierająca się na Centralnym Komitecie, powołanym przez obradujący w tym czasie zjazd delegatów rad robotniczych i żołnierskich. Socjaliści re-

wolucjoniści i tzw. mieńszewicy, nazywani teraz prawicą, odmówili wzięcia udziału w tym Komitecie. Lenin ze swymi najbliższymi wyszedł z ukrycia i stanął na czele Rady jako jej prezes. Trocki został komisarzem ludowym dla spraw zagranicznych, Stalin — komisarzem do spraw narodowościowych. Machina państwowa popadła w zupełny zastój: urzędnicy zastrajkowali, nie uznając władzy komisarzy ludowych; ministerstwa pozamykano. Zapanowała całkowita anarchia.

Wobec trudności komunikowania się z organizacjami polskimi w innych miastach, postanowiliśmy wydział wewnętrzny naszego Komitetu przenieść do Moskwy, wydziały: wojskowy i zewnętrzny zostały w Piotrogrodzie. Dnia 11 listopada wydaliśmy odezwę, z której przytaczam kilka zdań: „Kryzys obecny w niczym nie zmienia zasadniczej linii polityki polskiej. Sprawa polska od dłuższego już bowiem czasu przestała być zależna od samej Rosji. Ujęła ją w swe ręce cała koalicja... Z tej wojny wyjdą zwycięskie te narody, które największą siłę ducha wykażą... Stosunek nasz do Rosji nie może również ulec zmianie, dopóki trwa dalszy udział jej w wojnie wszechświatowej... Jako obywatele Polski nie możemy wdawać się w walki wewnętrzne Rosji... Pamiętajmy wszyscy, że w chwilach zawieruchy tylko męska energia, na dobrej organizacji oparta, wyprowadza z niebezpieczeństwa i zwycięstwo dążeniom narodu zapewnia“.

Nazajutrz Naczpol rozkleił w Piotrogrodzie odezwę, wzywającą wojskowych Polaków, aby w żadnych wystąpieniach zbrojnych w walce wewnętrznej udziału nie brali; Polacy mogą być użyci jedynie do

walki na froncie. Dla ochrony instytucji polskich od możliwych w tym czasie grabieży, porucznik Skobejko zorganizował straż z wojskowych Polaków. Korzystały z niej również ambasady mocarstw, zaskoczone przewrotem.

Dostać się na dworzec kolejowy w Piotrogrodzie można było tylko za przepustką. Otrzymałem ją w biurze Centralnego Komitetu Obywatelskiego. Musiałem wracać do Rosławia przez Moskwę, ponieważ droga na Witebsk była zamknięta z powodu pogoni za Kiereńskim. W wagonie, którym jechałem, pełno było żołnierzy bez broni. Widocznie byli to agitatorzy, wysłani do pomocy towarzyszom w Moskwie. Całą noc spierali się o to, co lepsze: socjalizacja czy kolektywizacja. Nie mogłem zrozumieć, o co im właściwie chodziło. Robili wrażenie papug, powtarzających wyuczone zdania.

W Moskwie zastałem to samo, co w Piotrogrodzie. Kreml opanowali bolszewicy. Tramwai i dorożek nie było, musiałem iść na dworzec smoleński piechotą. Ulice były puste, sklepy pozamykane, coraz spotykałem ciężarowe samochody z uzbrojonymi robotnikami i żołnierzami krzyczącymi: niech żyje rewolucja! Zabitych i rannych na ulicach nie widziałem. Dworzec smoleński zawalony był uciekającymi z tobołami. Musiałem czekać kilka godzin, zanim udało mi się dostać do pociągu, złożonego z wagonów towarowych. Miejsca zdobywano szturmem, śmielsi lokowali się na dachach, gdzie można było siedzieć; w wagonach cały czas trzeba było stać głowa przy głowie. Pociąg do Smoleńska wlókł się całą dobę; po drodze na stacjach nikt nie ryzykował wysiadać, bo nie wiadomo było,

kiedy pociąg ruszy dalej i czy będzie można z powrotem wcisnąć się do wagonu. Bufety były pozamykane, tylko wodę sprzedawały kręcące się przy pociągu dzieci. Na stacji w Smoleńsku, gdzie musiałem przesiąść się do pociągu w stronę Rosławia, działo się to samo. W drodze nikt nie wszczynał rozmowy na temat bieżących wypadków, wszyscy wystraszeni milczeli, słychać było tylko ciężkie westchnienia. Przypominały mi się słowa Kokowcewa, wypowiedziane w 1905 r., że naród rosyjski umie głodować i cierpieć.

Przewrót bolszewicki w Rosławiu zaczął się, jak w innych miastach, od powstania komitetu wojenno-rewolucyjnego z łona miejscowego sowietu. Nie napotkał oporu w mieście i zajął się głównie wyszukiwaniem kontrrewolucjonistów, za których uważano wszystkich oficerów i każdego lepiej ubranego człowieka. Na zachód od Rosławia były wódz naczelny Korniłow wydostał się z więzienia w Bychowie i ze szwadronem oddanych mu Turkmenów przebijał się bocznymi drogami do wojsk kozackich nad Donem. W tym samym kierunku przekradali się z północnego frontu oficerowie, nie uznający władzy Rady Komisarzy Ludowych. Na południu Rosji, nad Donem i Kubaniem, na Krymie i Kaukazie powstały separatystyczne rządy, zwalczające, każdy na swój sposób, zarazę bolszewicką. Komitet rosławski bał się zastąpić drogę Korniłowowi i całą swoją wściekłość rewolucyjną skierował na przejeżdżających przez Rosław. Na stacji oddział „krasnoarmiejców“ rewidował wszystkie pociągi, idące na południe, i zatrzymywał każdego, kto miał czyste ręce (białoruczki) i nie mógł się wytłumaczyć, po co w tamtą stronę jedzie. Często słychać

było strzały karabinowe przy stacji: to komitet rewolucyjny rozprawiał się z zatrzymanymi bezbronnymi ludźmi. Trupy, doszczętnie ograbione, wywożono drezyną za miasto i rzucano przy torze, nie starając się nawet pochować. Towarzysze nie chcieli trudzić się kopaniem mogił, a inni bali się to zrobić, żeby nie być posądzonymi o sprzyjanie kontrrewolucjonistom. Dzikie serca, opętane nienawiścią i strachem, nie znały żadnej litości. Ludzie stawali się gorsi niż zwierzęta.

Zarządzający składem monopolowym, znajdującym się o kilkaset kroków od naszego domu, spuścił okowitę z cystern na otaczającą mokrą łąkę w obawie, że gdy zdziczały tłum dowie się o tych zapasach i napadnie na nie, miasto zamieni się w piekło. Przez kilka dni mieliśmy z okien wstrętny widok żołnierzy i cywilnych, pełzających na czworakach po łące i wypijających resztki, które nie zdążyły wsiąknąć w ziemię. Diabeł opętał również Duniaszę, służącą pozostawioną przez właścicielkę naszego mieszkania dla pilnowania jej mebli. Usługiwała nam dotąd, a teraz tak się przejęła naukami, przynoszonymi z miasta przez jej małoletniego syna, że stała się zupełnie niemożliwą w domowym pożyciu. Zaczęła się uważać za panią domu i musiałem przesiedlić ją do sąsiedniego domku.

W tym czasie przyszedł do mnie młody oficer Polak, którego przewrót zastał w formującej się tutaj baterii, niedawno uzbrojonej w nowe działa angielskie, dostarczone przez Murmańsk. Żołnierze wybrali go na komendanta, bo swoim towarzyszom nie ufali: bali się, że ukradną pieniądze, przysyłane na żołd dla nich. Ćwiczyć się nie chcieli, cały dzień wałęsali się po mieście, przychodzili tylko na obiad. Dla udobruchania

młodego komendanta przynieśli mu w prezencie butlę zmieszanej z błotem wódki, zebranej na łące. Prosił mnie o radę, co robić. Ojciec, od dawna mieszkający w Rosji, nie wybaczy mu, gdy się dowie, że został w zbolszewizowanym oddziale. Koleją uciekać nie mógł, bo poznaliby go na stacji i zamordowali, jak innych. Poradziłem mu, aby przygotował sobie ucieczkę samochodem, jaki był w baterii, i udał się szosą do Bychowa, gdzie stała pierwsza dywizja korpusu polskiego.

Rada Komisarzy Ludowych w Piotrogrodzie zaczęła swoją działalność od wydania odezwy, wzywającej wszystkie państwa do natychmiastowego zawarcia rozejmu i rozpoczęcia rokowań o „sprawiedliwy, demokratyczny pokój... bez aneksji i kontrybucji“. Pełniący obowiązki wodza naczelnego, po ucieczce Kiereńskiego, generał Duchonin odmówił nawiązania pertraktacji z Niemcami o rozejm. Rada mianowała wodzem naczelnym chorążego Krylenko, który z oddziałem „krasnoarmiejców“ udał się do głównej kwatery. Duchonina zamordowano. Krylenko 26 listopada zapytał przez parlamentarzy, czy dowództwo niemieckie gotowe jest wszcząć rokowania o rozejm. Tegoż dnia otrzymał odpowiedź, wyrażającą zgodę. Dnia 3 grudnia rozpoczęły się w Brześciu Litewskim wstępne rozmowy z generałem Hoffmanem, w których Rosję reprezentowała „demokratyczna“ delegacja: Joffe, Kamieniew, Karachan, pani Byzenko, jeden podoficer, marynarz, robotnik i chłop. Po dwutygodniowych targach zawarto rozejm, a 22 grudnia zaczęły się rokowania pokojowe pod przewodnictwem tegoż Joffe. Centralna Rada w Kijowie proklamowała

Ukraińską Republikę Ludową i wysłała do Brześcia osobną delegację dla rokowań z Niemcami. Towarzysze w okopach zajęli się brataniem z Niemcami i wymianą towarową, szczególnie nęcącą, ponieważ żołnierze niemieccy mieli pod dostatkiem wódki. Rosja przestała być czynną siłą w tej wojnie.

Bolszewicy zupełnie zignorowali nasze organizacje wygnańcze i mianowali swoich komisarzy spośród socjalistów polskich i Żydów, nie dla pomagania wygnańcom, tylko dla propagowania wśród nich haseł walki klasowej. Wobec zawartego na froncie rozejmu Centralny Komitet Obywatelski wszczął starania o umożliwienie wygnańcom powrotu tą samą drogą, którą zmuszeni zostali wyjść z kraju. Rada Komisarzy Ludowych skasowała Komisję Likwidacyjną Lednickiego, natomiast utworzyła Komisariat dla spraw Królestwa Polskiego pod przewodnictwem Żyda Leszczyńskiego. Dekret ten podpisał Lenin, jako prezes komisarzy ludowych, i Stalin, jako komisarz do spraw narodowościowych.

W tych warunkach akcja polska w Rosji miała bardzo mało szans powodzenia. Nie mogliśmy traktować z Radą Komisarzy Ludowych nawet w sprawie materialnej pomocy dla wygnańców, tym bardziej w sprawach politycznych i wojskowych. Ostatni raz byłem na posiedzeniu komitetu wykonawczego naszej Rady w Piotrogrodzie w końcu grudnia. Odezwa nasza do rodaków kończyła się następującymi słowami: „Gdy rosyjscy Komisarze Ludowi rokują o odrębny pokój z Niemcami, gdy wojska rosyjskie opuszczają front, nie czekając nawet na zawarcie pokoju, tym bardziej jednoczmy się w ofiarnej służbie

ojczyźnie, tym bardziej wzmacniajmy polskie siły zbrojne, tym więcej wykażmy hartu ducha i wytrwałości w oporze przeciwko jakiemukolwiek kompromisowemu załatwieniu sprawy polskiej, która tylko na ogólnym kongresie pokoju w pełni rozstrzygniętą być może".

Z relacji Wielowiejskiego i Zdziechowskiego dowiedziałem się, że sprawa finansowania wojska polskiego została pomyślnie załatwiona i była nadzieja sformowania drugiego korpusu polskiego na Ukrainie. Dzięki interwencji Komitetu Narodowego w Paryżu rząd francuski upoważnił swoją misję wojskową w Rosji do pokrywania tych wydatków wojska polskiego, które nie mogły być pokryte ze skarbu rosyjskiego. Na zebraniu, w którym udział brali gen. Lavergne, gen. Rampon, Wielowiejski i Zdziechowski, ułożono prowizoryczny budżet najpilniejszych potrzeb w sumie 2½ miliona rubli. Z częścią tej sumy, w towarzystwie dwóch oficerów francuskich dla bezpieczeństwa, Zdziechowski pojechał do Kijowa, gdzie 10 stycznia mieli zebrać się członkowie Naczpolu dla ułożenia planu dalszej akcji. Daliśmy Zdziechowskiemu całkowite pełnomocnictwo działania w imieniu naszej Rady ze względu na potrzebę szybkiej decyzji, ponieważ kierownicy Naczpolu zaczęli chorować na neutralność.

Akcja wojskowa Naczpolu od początku jego powstania była hamowana, nie tylko wskutek jego mętnego stanowiska politycznego i komisyjnego sposobu załatwiania spraw, lecz i wskutek nie przebierającej w środkach kontrakcji lewicy. W pamięci pozostał mi jeden fakt. W nocy z 30 na 31 września,

a więc jeszcze za rządów Kiereńskiego, komisja śledcza do walki z kontrrewolucją, powołana przez piotrogrodzki sowiet, zrobiła rewizję w lokalu Naczpolu. Wśród rewidujących było dwóch Polaków, jeden z nich nazywał się Korecki. Zabrali książki rachunkowe i część korespondencji Naczpolu. Na interwencję w tej sprawie sowiet odpowiedział, że zarządził rewizję na natarczywe żądanie piotrogrodzkiego związku wojskowych Polaków, opanowanego przez lewicę. Książki i korespondencję zwrócono. Po przewrocie bolszewickim, a szczególnie po objęciu naczelnego dowództwa przez Krylenkę, otwarcie zabrano się do rozbicia polskiego korpusu. Widocznie uważano go za najniebezpieczniejszy, bo tworzenie pułków ukraińskich, łotewskich i czeskich odbywało się bez przeszkód.

Drugim czynnikiem, wpływającym na osłabienie energii Naczpolu, było stanowisko demokratów i zachowawców kresowych, nie chcących angażować się przeciwko Niemcom. Po przewrocie bolszewickim uznali potrzebę jak najrychlejszego wydzielenia Polaków w oddzielną siłę zbrojną, ale dla bardzo poziomych celów. Według nich „polskie siły zbrojne winny się przyczynić do obrony ludności, zamieszkującej okolice rozkwaterowania wojsk polskich“, a przy pierwszej okazji poddać się pod władzę i rozkazy Rady Regencyjnej. Takie traktowanie zadań polskiej siły zbrojnej prowadziło do zaostrzenia konfliktu z bolszewikami i poddania się Niemcom, bo Rada Regencyjna w końcu sama wyznać musiała, że pierwszy korpus polski nie może jej podlegać (p. w za-

łącznikach list Rady Regencyjnej do Muśnickiego z dnia 10 maja 1918 r.).

Już w sierpniu 1917 r. na zebraniu Rady ziemi mohylewskiej w Mohylewie byłem oburzony stanowiskiem politycznym zachowawców. Na moje wywody o konieczności walki z Niemcami w celu włączenia Górnego Śląska do Polski, oświadczyli, że daleko ważniejszym jest przyłączenie Białorusi. Z późniejszych rozmów z wojskowymi dowiedziałem się, że ten partykularyzm i uważanie Rady Stanu za wyrazicielkę woli kraju propagowane były i w Mińsku, zaciemniając do reszty mętną platformę polityczną Naczpolu, uchwaloną na zjeździe w Piotrogrodzie. Dlatego na posiedzeniu komitetu wykonawczego naszej Rady oświadczyłem, że w sprawie wojska polskiego Horwatt i Meysztowicz zawinili niemniej niż Lednicki i Więckowski.

Młodzi, nie doświadczeni kierownicy Naczpolu, atakowani przez lewicę i kuszeni przez zachowawców, nie chcieli słuchać naszych rad i w końcu znaleźli się w matni, z której mogliby wyjść z honorem jedynie nie składając broni. Niemcy i bolszewicy na froncie białoruskim nie byli tak silni, żeby odważyć się na złamanie oporu kilkudziesięciu tysięcy uzbrojonych Polaków. Niestety rozmieszczenie korpusu polskiego na wielkiej przestrzeni: I dywizja w Bychowie mohylewskiej guberni, II w Zubcowie twerskiej gub., III w Jelni smoleńskiej gub., oraz rozpoczęcie koncentracji dopiero w styczniu, kiedy zaostrzył się konflikt z bolszewikami, świadczyły, że Muśnicki i Naczpol nie zdawali sobie sprawy z po-

wagi sytuacji, a przede wszystkim z tego, że tylko własna siła może ich uchronić od hańbiącej kapitulacji. Epilog tej sprawy znajdzie czytelnik w załącznikach, które podaję przy końcu książki.

Rokowania pokojowe bolszewików z Niemcami w Brześciu ciągnęły się długo. Nie czekając ich końca, Rada Komisarzy Ludowych zarządziła częściową demobilizację, zwalniając z wojska wszystkich, którzy ukończyli 36 lat. Rosław zaczął się zapełniać podejrzanymi indywiduami, szukającymi okazji do grabieży. Na czele ich stanął jakiś „żulik“, jak mówili Żydzi, i zaczął traktować Rosław, jak zdobyte miasto. Ciągłe gwałty i rekwizycje w dzielnicy handlowej wyprowadziły Żydów z cierpliwości; zwrócili się o pomoc do swoich przyjaciół w Moskwie. Przysłano stamtąd jakiegoś starszego bolszewika w randze pułkownika dla przeprowadzenia śledztwa. Na wieść o tym pogromca Rosławia uciekł ze swoją asystą. Z łona miejscowego sowietu powstała nowa władza pod nazwą „Rosławska Powiatowa Rada Komisarzy Ludowych“ na wzór Rady Komisarzy Ludowych w Piotrogrodzie.

Przywrócono karę śmierci, zniesioną przez Rząd Tymczasowy, a wolność skasowano, jako wymysł burżuazji. Mogły wychodzić tylko socjalistyczne gazety. Zamiast równości wprowadzono podział ludzi na trzy kategorie: pełnoprawni towarzysze, tolerowani obywatele (grażdanie) i tępieni bez miłosierdzia kontrrewolucjoniści. My, wygnańcy, byliśmy zaliczani do drugiej kategorii i podlegaliśmy „Kollegii o plennych i bieżeńcach“ przy miejscowym komisarzu spraw wewnętrznych. Wszystko to robiło wraże-

nie, że pod maską dyktatury proletariatu wraca stare samodierżawie z bardziej bezwzględnymi metodami postępowania i liczniejszym zastępem urzędników. Za byle co można było dostać się „pod stienku“ (rozstrzelanie) na rozkaz „trybunału rewolucyjnego“.

Socjalizacja na razie wyraziła się w zniesieniu własności prywatnej domów czynszowych. Fabryk w Rosławiu nie było. Wskutek zupełnej dezorganizacji ruchu kolejowego skończył się dowóz produktów i wolny handel nimi. Takie artykuły, jak mąkę pszenną, cukier, mydło, mogliśmy kupować w ograniczonej ilości tylko w miejscowym stowarzyszeniu spożywczym, które otrzymało teraz nazwę „potrebitielskoj komuny“. Od lutego bolszewicy, dla odróżnienia od innych socjalistów, zaczęli nazywać się oficjalnie komunistami. Szeregi ich szybko rosły, zasilane przez niższych funkcjonariuszy dawnej władzy carskiej.

Z moich współpracowników w Rosławiu przystał do bolszewików tylko były kierownik warsztatów kołodziejskich w Osowie; nazwiska jego zapomniałem. Od dawna raził mnie swoim przechwalaniem się znajomością z jakimś księciem, od którego dostał srebrną papierośnicę za pomoc w polowaniu. Zemścił się na mnie za wydalenie, donosząc komisarzowi ludowemu, jakobym uprawiał spekulację przy zaopatrywaniu wygnańców w koła, osie i wozy na powrót do kraju. Piszę o tym niżej.

Przewrót bolszewicki zastał mnie w czasie likwidowania warsztatów C. K. O. w Rosławiu. Resztki bielizny i odzieży oddałem kolonii sierocej w Kozłówku. Z otrzymanej w 1916 r. od zarządu główne-

go pożyczki 500 000 rb. pozostałem winien 7245 rb., ale nie mogłem ich odesłać, ponieważ zamknięto miejscowy oddział Russko-Azjatskiego Banku, w którym lokowałem gotówkę. Złożone w nim na rachunku bieżącym 14 978 rb. łącznie z taborem stanowiły własny majątek C. K. O., przywieziony z kraju.

W pierwszych dniach lutego bolszewicy zaczęli ściągać wojska w celu rozbrojenia III dywizji polskiej w Jelni, odległej od Rosławia o 80 km. Pierwszy eszelon tej dywizji, wysłany koleją przez Smoleńsk, rozbroili w drodze. Wobec tego dowodzący dywizją generał Iwaszkiewicz postanowił iść do Bobrujska piechotą, z taborami na saniach, przy 20 stopniach mrozu. Bolszewicy skoncentrowali swoje siły i artylerię przy stacji Poczynek, pomiędzy Rosławiem i Smoleńskiem w przekonaniu, że tym traktem będzie musiała iść dywizja. Iwaszkiewicz, dla zamaskowania swoich ruchów, wysłał pod Poczynek tylko szkołę podoficerów w sile 50 ludzi, a sam z całą dywizją, boczną drogą przekroczył linię kolejową przy przystanku Engelhardówka. Przez ten czas bolszewicy pod Poczynkiem ostrzeliwali z dział i kulomiotów oddział podoficerów, biorąc go za awangardę dywizji.

Drugą zasadzkę przygotowali bolszewicy w Mścisławiu, w przekonaniu, że dywizja idzie na Mohylew. I tutaj czekali na próżno, bo Iwaszkiewicz forsownym marszem skierował się na południe, przekroczył szosę w odległości 50 km od Rosławia, odparł atak pod Piotrowiczami i szedł dalej wzdłuż szosy do Bobrujska, zwycięsko torując sobie drogę wśród zacieśniającego się dokoła niego pierścienia bolszewików. Dniepr przeszła dywizja po lodzie i wśród nieustannych walk do-

tarła do Turek, gdzie spotkali ją polscy ułani. Ten zwycięski marsz wśród ciągłych bojów na przestrzeni 400 km utwierdził mnie w przekonaniu, że duch w żołnierzach polskich był dobry i pod dzielnym dowództwem mogli łamać przeszkody, uważane przez innych za niepokonalne. Przez cały czas w Jelni bolszewicy kusili ich obietnicą, że po złożeniu broni będą mieli zupełną swobodę ruchów, jednak nikt nie zdezertował.

Rokowania pokojowe w Brześciu, po parokrotnych przerwach i postawieniu ultimatum przez zniecierpliwionych Niemców, zakończyły się 10 lutego oświadczeniem Trockiego, że pokoju na warunkach, stawianych przez Niemców, nie podpisze, że jednak Rosja uważa wojnę za skończoną, odsyła wojska do domu i zawiadomi o tym wszystkie narody. Niemcy uznali to za zerwanie rokowań i 18 lutego rozpoczęli pochód w głąb Rosji, nie napotykając nigdzie oporu. Gdy po paru dniach doszli do linii Narwa, Psków, Połock, Orsza, Mohylew, Rada Komisarzy Ludowych obawiając się, że Niemcy obalą jej rządy w Rosji, wyraziła gotowość zawarcia pokoju natychmiast. Dnia 3 marca w jej imieniu Sokolnikow podpisał w Brześciu podyktowane przez Niemców warunki. Wcześniej, bo już 9 lutego delegacja ukraińska zawarła osobny pokój z Niemcami, na podstawie którego ziemia chełmska miała być przyłączona do Ukrainy.

Ostatni raz byłem w Moskwie pod koniec lutego. W mieszkaniu Władysława Glinki spotkałem się z konsulem francuskim Veltenem. Wobec jego wątpliwości co do pierwszego korpusu powiedziałem, że Muśnicki raczej wysadzi w powietrze twierdzę w Bobrujsku,

a nie złoży broni przed Niemcami. Skompromitowałem się tym oświadczeniem nie wiedząc, że Muśnicki w tym czasie prowadził już rozmowy z Niemcami i oddał się pod rozkazy Rady Regencyjnej w Warszawie w przekonaniu, że ma ona jakąś władzę. Nieraz zgrzeszyłem w życiu moją wiarą w ludzi. W tym wypadku na usprawiedliwienie moje mogę powiedzieć, że uważałem przyrzeczenie, dane mi przez Muśnickiego przy wyjeździe z Mińska, za wiążące, a marsz III dywizji upewnił mnie, że duch w wojsku polskim jest dobry.

Pod wpływem pokoju, zawartego w Brześciu, odpadły ostatnie zasłony, okrywające istotne zamiary Austrii i Niemiec w sprawie polskiej. Zaczęli już dzielić Kongresówkę, przyznając Ukrainie ziemię chełmską. Widocznym dla emigracji znakiem radykalnej zmiany opinii tych, którzy w kraju stali po stronie państw centralnych, było przedarcie się brygady Hallera pod Rarańczą w celu połączenia się z polską siłą zbrojną po tej stronie frontu. Po oddaniu się Muśnickiego pod rozkazy Rady Regencyjnej, śmiały czyn Hallera ratował honor żołnierza polskiego na tym froncie.

Otrzymałem wiadomość, że na południowym froncie zjawili się wysłannicy P. P. S. i P. O. W. z kraju, nawołując do walki z państwami centralnymi, ale było już za późno na odrobienie szkód, jakie ich przyjaciele wyrządzili, przeciwdziałając tworzeniu armii polskiej i narzucając Naczpolowi mityczną wolę kraju. Po zawarciu pokoju w Brześciu nie było już na froncie rosyjskim pola dla polskiej akcji zbrojnej. Finałem jej była bitwa z Niemcami pod Kaniowem. Na

szczęście była jeszcze armia polska we Francji. Brakowało jej oficerów polskich i gen. Lavergne wyraził gotowość przewiezienia ich na Zachód przez Murmańsk. Z ramienia naszej Rady zajmował się tą sprawą Stanisław Grabski.

Po powrocie z Moskwy sytuacja moja w Rosławiu znacznie się pogorszyła. Nienawiść bolszewików do Polaków wzrosła po nieudanej wyprawie przeciwko III dywizji. Z rozkazu komisarza spraw wewnętrznych zrobiono u mnie rewizję w poszukiwaniu broni. Rewidującymi kierowała jakaś młoda Żydówka, ze szczególną zawziętością przetrząsająca nasze łóżka, komody, szafy, piece. Znudziło to w końcu jej towarzyszy i ponaglili ją do wyjścia „na czaj“. Broń miałem ukrytą w pianinie, ale tam nie szukali. Wkrótce potem przysłano mi na kwaterę 5 „krasnoarmiejców“. Chcieli rozlokować się w salonie, ale dali się przekonać, że cieplej i wygodniej będzie im w pokoju z osobnym wejściem. Okazali się względnie spokojnymi lokatorami: cały dzień spędzali na mieście, wracali późno w nocy i spali do południa.

Kolonia nasza w Rosławiu zaczęła szybko topnieć, gdy przyszła wiadomość, że można przedostać się do kraju koleją. Z Litwy przyjechał Stanisław Narutowicz i zabrał swoją rodzinę do domu. Większość moich współpracowników również wyjechała do kraju koleją. Zostałem sam z Wileńcem, jako rachmistrzem i kasjerem. Chciałem czekać lata, żeby żona i córka odzyskały siły po przebytej grypie, i żeby wracać do kraju tą samą drogą, którą przyjechałem, z wygnańcami, posiadającymi jeszcze wozy i konie.

Dla skrócenia czasu sam zająłem się reparacją

zniszczonego samochodu, który przed rokiem kupiłem za 500 rb. Zajęcie to musiałem przerwać, gdyż w kwietniu zjawił się w taborze znany w sąsiedniej wsi „kułak“ (lichwiarz), występujący teraz w roli prezesa sowietu rolniczego. Należał do bardzo rozpowszechnionego w Rosji typu ludzi, idących zawsze ręka w rękę z tymi, którzy posiadają władzę. Przyszedł z rozkazem zarekwirowania taboru C. K. O. z powodu oskarżenia o spekulację. Zażądałem spisania szczegółowego inwentarza i pokwitowania dowodząc, że muszę go mieć dla przedstawienia moim władzom. W trakcie spisywania inwentarza wykonawca rozkazu ujawnił swą naturę. Zaproponował mi, by nie umieszczać w spisie pary koni, wozu i beczki smaru, które chciał zabrać dla siebie, a w zamian za tę przysługę pozwoliłby mi zabrać z taboru, co zechcę. Odpowiedziałem na tę niecną propozycję spokojnie, że nie mogę tego zrobić, ponieważ inwentarz jest znany zarządowi C. K. O. z moich kwartalnych sprawozdań i w razie braku czegoś w kwicie rekwizyjnym musiałbym go pokryć z własnej kieszeni, a środków na to nie mam. W taki sposób „brudne nocy plemię“ przeprowadzało socjalizację organizacji, pomagającej wygnańcom. Można było w Rosji nabrać wstrętu do demokracji i do socjalizmu.

POWRÓT DO KRAJU

W pierwszych dniach maja otrzymałem wiadomość o aresztowaniu w Moskwie członka Rady Polskiej Zjednoczenia Międzypartyjnego, Mariana Lutosławskiego, na rozkaz „komisarza do walki z kontr-

rewolucją, sabotażem i spekulacją", oraz o poszukiwaniu aktów i członków Komitetu Wykonawczego Rady. Miejscowi bolszewicy nie wiedzieli, że jestem prezesem tej Rady, ale mogli rychło dowiedzieć się o tym. Postanowiłem przyspieszyć mój wyjazd z Rosławia. Na podwórzu miałem starą platformę na resorach, używaną przez ogrodników podwarszawskich do wożenia produktów na rynek. Konie mogłem tanio kupić na miejscowym targowisku, ponieważ żołnierze rosyjscy przyprowadzili ich sporo z frontu. Za furmana zgodził się jechać ze mną Szczepan (nazwiska zapomniałem), który niedawno wydostał się z wojska rosyjskiego i chciał wrócić do swego gospodarstwa pod Mińskiem Mazowieckim. Do powrotu końmi przygotowało się również dwóch pracowników C. K. O. ze swymi rodzinami. Wyznaczyliśmy dzień wyjazdu z Rosławia na 18 maja i zawiadomiliśmy wygnańców, chcących wracać do kraju, żeby w dniu tym czekali na nas na szosie albo w Krzyczewie, gdzie wyznaczyliśmy pierwszy postój.

Wyjechaliśmy z Rosławia na 4 wozach, zaopatrzonych w budki z płótna, żeby mogły w nich nocować kobiety z dziećmi w razie postoju w polu. Mężczyzni mieli spać na sianie pod wozami. Czekała nas długa droga — przeszło tysiąc kilometrów do Warszawy. Z wyjeżdzającej razem ze mną gromadki pozostały mi w pamięci nazwiska Wileńca i Jabłkowskiego, który w drodze okazał się bardzo pożytecznym, dzięki swej umiejętności traktowania z bolszewikami, a potem z Niemcami.

Pierwszy dzień drogi po ciągłym niepokoju w Rosławiu był dla mnie prawdziwym wypoczynkiem. Od

razu poprawiły się humory wszystkich po wyjściu z tego zbolszewizowanego miasta. Na pierwszym popasie w polu czuliśmy się jak na majówce. Zanim konie zjadły obrok, nastawiliśmy samowar, nieodzowny sprzęt w długiej drodze, i pożywiliśmy się tak, żeby tegoż dnia bez zatrzymywania się dojechać do Krzyczewa. Od wygnańców, którzy przyłączyli się do nas za Rosławiem, dowiedzieliśmy się, że naprzód pojechało już kilkanaście wozów i czekać będą w Krzyczewie. Znaleźliśmy tam gospodę, w której można było nocować, zatrzymaliśmy się więc dłużej, żeby dokonać gruntownej reparacji kół, które w drodze zaczęły trzeszczeć wskutek długiej bezczynności w Rosławiu i trzymania na dworze. Wieść o naszym przyjeździe szybko rozniosła się wśród wygnańców, tak że po parodniowym pobycie wyjeżdżaliśmy z Krzyczewa w asyście kilkudziesięciu wozów.

Drugim miejscem postoju było powiatowe miasto Czeryków. Tutaj czekała na nas duża partia wygnańców, zaniepokojonych wiadomością, że dalej jechać niebezpiecznie, ponieważ stamtąd wróciło piechotą kilka rodzin, doszczętnie ograbionych przez grasujące na szosie bandy. Zbolszewizowani chłopi rosyjscy, po powrocie z okopów, zamiast pracy na roli zajęli się grabieżą wracających do kraju Polaków. W Czerykowie miał kwaterę dowódca oddziałów łotewskich, rozmieszczonych w rejonie przyfrontowym. Jabłkowski udał się do niego o danie nam asysty wojskowej dla ochrony przed uzbrojonymi bandami. Otrzymaliśmy ją w postaci kilku młodych żołnierzy łotewskich, uzbrojonych według bolszewickiego wyrażenia „s nog do zubow“. Mieli nam towarzyszyć do Żura-

wicz, gdzie był ostatni posterunek rosyjski. Za to mieliśmy żywić ich w drodze i płacić diety. Koszt tej asysty w sumie 925 rb. pokryłem z kasy warsztatów C. K. O., która ocalała w Rosławiu tylko dzięki temu, że miał ją u siebie kasjer Wileniec.

Karawana nasza przy wyjeździe z Czerykowa liczyła już koło 150 wozów. W drodze do Propojska spotkaliśmy tylko jeden wóz, porzucony bez koni i rzeczy. Asystujący nam Łotysze okazali się dobrymi towarzyszami. Dowódca ich wybrał sobie mój wóz za miejsce do siedzenia, gdy jechaliśmy kłusem. Początkowo niepokoiły mnie jego ręczne granaty, zatknięte za pasem, bo przy częstym wskakiwaniu i zeskakiwaniu z wozu łatwo o wypadek. Później dowiedziałem się, że były puste i nosił je dla postrachu. Dojechaliśmy do Propojska bez żadnej przygody. Według relacji Łotyszy dalej rejon przyfrontowy był zupełnie ogołocony z żywności i paszy, dlatego zatrzymaliśmy się w Propojsku dłużej, żeby zrobić zapasy na dalszą drogę, bo i pod niemiecką okupacją groził nam brak wszystkiego.

W Propojsku przyłączyła się do nas jeszcze jedna partia wygnańców, tak że jadąc na przedzie, nie widziałem końca naszej karawany na szosie. Musieliśmy jechać teraz wolno, bo niektóre rodziny miały tylko jednego konia, a wozy były mocno naładowane. Od Żurawicz dzieliło nas tylko 40 km, mimo to musieliśmy zatrzymać się na noc w przydrożnym lesie. Ledwie rozpaliliśmy ogniska, bo noc była zimna, i zabraliśmy się do przyrządzenia ciepłej strawy, gdy nagle panika ogarnęła wygnańców: zaczęli na gwałt gasić ogniska, zaprzęgać konie i galopem wyjeżdżać na

szosę. Okazało się, że przyszedł chłop z sąsiedniej wsi i rozpytywał się, kto jesteśmy i dokąd jedziemy. Łotysze podejrzywali, że był to wywiadowca, a w razie napadu w nocy nie mogliby nas obronić, bo chłopi mieli dużo broni, nawet kulomioty, zabrane z okopów. Musieliśmy wyrzec się wypoczynku i jechać dalej nocą.

Do Żurawicz przyjechaliśmy o świcie. Łotysze pożegnali się z nami oświadczając, że dalej zaczyna się pas neutralny, szerokości około 30 km, na który według zawartej z Niemcami umowy nie wolno wkraczać żołnierzom obu stron. Dowódca posterunku rosyjskiego, kwaterujący w przydrożnej stacji pocztowej, chciał sprawdzać nasze dokumenty. Jabłkowski odwiódł go od tego zamiaru kilku „katarzynkami“ (stare sturublowe banknoty wysoko cenione w porównaniu z drukowanymi po rewolucji). Bez popasu ruszyliśmy dalej z zamiarem zatrzymania się dłużej w pasie neutralnym. W odległości paru kilometrów od Żurawicz dopędziło nas 3 konnych bolszewików, z wymierzonymi do strzału karabinami zastąpili nam drogę i kazali zatrzymać się. Na pytanie, czego chcą, odpowiedzieli, że są członkami trybunału rewolucyjnego i przyjechali sprawdzić, czy nie ukrywają się wśród nas kontrrewolucjoniści. Znowu trzeba było dać 3 „katarzynki“ dla powstrzymania ich gorliwości rewolucyjnej. Byli tym tak ułagodzeni, że poradzili nam jechać prędzej, bo mogą nas dogonić jeszcze inni członkowie trybunału, którzy spóźnili się z siodłaniem koni.

Po tej przestrodze zacięliśmy konie i popędziliśmy galopem, jak długo pozwalały na to siły naszych koni.

Na szczęście żaden wóz nie rozleciał się w tej szalonej ucieczce. Zaczęliśmy jechać stępa, gdy na widnokręgu ukazały się wzgórza prawego brzegu Dniepru, znajdujące się pod okupacją niemiecką. Wystraszeni przejściami ostatniej nocy i pościgiem wygnańcy widzieli teraz w Niemcach zbawców od bolszewików. Wkrótce przekonali się, że czekają ich nowe udręki w postaci szlabanów na szosie, za otwarcie których trzeba było płacić większe łapówki niż bolszewikom, a co gorsza w postaci stacji sanitarnych, w których pobyt niejeden okupił życiem.

Przy pierwszym posterunku niemieckim oświadczono nam, że dalej jechać nie wolno: musimy czekać w pasie neutralnym, dopóki nie przyjdzie rozkaz przepuszczenia nas. Na pytanie, jak długo może to potrwać, odpowiedziano, że kilka dni, a może dłużej. Tymczasem pogoda popsuła się, zaczął padać śnieg, na domiar nieszczęścia las przy szosie był doszczętnie wyrąbany, a pnie tak wypalone przez uprzednio przejeżdżających wygnańców, że nie było z czego rozpalić ognisk i ogrzać zziębnięte dzieci. Poszliśmy przekonywać Niemców, żeby choć jednego z nas puścili do Rohaczewa dla przyspieszenia pozwolenia na przejazd. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że Niemcy brali łapówki, ale ze skarg podoficera, że ma buty dziurawe, wymiarkowałem, że trzeba go udobruchać jakim prezentem. Towarzyszący nam wygnaniec miał na sobie szeroki pas krakowski, który bardzo spodobał się Niemcowi. Ofiarowaliśmy mu go i zaraz zgodził się przepuścić mnie jednego, dodając na pożegnanie, żebym przywiózł z Rohaczewa co smacznego do zjedzenia, bo zwyczajny chleb mu obrzydł. Teraz zrozu-

mieliśmy, że i z Niemcami trzeba traktować za pomocą łapówek.

W Rohaczewie pełnomocnikiem C. K. O. był Zakrzewski. Objaśnił mnie, że odbywało się rozformowanie korpusu Muśnickiego w Bobrujsku i naszą karawanę mogli Niemcy podejrzewać o sukurs dla niego; stąd stawiane nam przeszkody. Poszedłem z nim do miejscowego „hauptmana“, który nazywał się von Zakrzewski, ale ani słowa nie rozumiał po polsku. Powiedział nam, że otrzymał rozkaz nieprzepuszczania nikogo od strony Rosji. Na moje nalegania, że dzieci wyginą przy dłuższym trzymaniu na chłodzie i nie możemy wracać do bolszewików, zgodził się ostatecznie zadepeszować do głównej kwatery i dać odpowiedź za kilka godzin. Poszedłem tymczasem po zakupy na rynek. Zastałem tutaj tłum żołnierzy polskich bez broni, rozgoryczonych smutnym finałem polityki Muśnickiego. Podobno część wojskowych zdołała wcześniej schronić się na południe.

Wieczorem „hauptman“ oświadczył, że może przepuścić naszą karawanę pod warunkiem, że komendę nad nią obejmą żołnierze, których wyśle na nasze spotkanie. Wróciłem zaraz do swoich, żeby o świcie ruszyć do Rohaczewa, bo przejście przez most na Dnieprze miało odbyć się za dnia. Na kilka kilometrów przed mostem spotkali nas żołnierze niemieccy. Jeden z nich mówił po polsku, ale okazał się takim gburem, że odeszła mi ochota rozpytywania, jak mamy postępować dalej. Przed mostem kazano nam się zatrzymać, lejce oddać w ręce kobiet, a mężczyznom wyjść naprzód i uszeregować się w czwórki. Na ten rozkaz kobiety i dzieci zareagowały płaczem i krzy-

kiem, że nie puszczą mężów i ojców samych. Dużo miałem kłopotu z przekonaniem ich, że musimy do tego rozkazu zastosować się, inaczej odeślą nas z powrotem do Rosji. Od razu znikło zaufanie do Niemców: kobiety wołały, że nie wiadomo, kto gorszy: bolszewicy, czy Niemcy?

Konwój nasz zaczął niecierpliwić się, ostatecznie kobiety dały się przekonać i puściły mężczyzn. Ruszyliśmy przez most piechotą. Góra Zamkowa po drugiej stronie mostu była obsadzona żołnierzami w hełmach i z kulomiotami, skierowanymi na most. Niemcy na powitanie chcieli nas nakarmić strachem albo sami bali się, że jesteśmy jakimś ukrytym wojskiem. Nie było widać końca naszej karawany, a z mężczyzn na przedzie uformowała się duża kompania. Szedłem w pierwszym szeregu, dodając otuchy moim towarzyszom, bo na widok kulomiotów ogarnął ich niepokój, czym to się skończy. Za mostem spotkał nas „hauptman“ z asystą na koniach, zlustrował nasze szeregi i kazał iść dalej szosą bez zatrzymywania się, a kobiety z wozami przyłączą się do nas za miastem.

Tak odbyło się nasze wkroczenie na teren okupacji niemieckiej. Zakrzewski mówił mi, że na nasze spotkanie skoncentrowano cały garnizon na górze. Było ich mniej niż nas. Niemcy wszystkie swoje siły przerzucili na Zachód, a tutaj zostawili tylko drobne załogi dla trzymania ludności w postrachu. Tym bardziej bolało mnie, że Muśnicki nie stawił im oporu. W drodze do Bobrujska popasaliśmy pod Bortnikami i widzieliśmy po prawej stronie szosy płonącą dużą wieś. Ludność z inwentarzem uciekała do sąsiedniego lasu. Coraz słychać było wybuchy w pa-

łących się chatach. Widocznie chłopi mieli dużo amunicji, zabranej z okopów rosyjskich. Wieś spalili ułani w odwet za zamordowanie oficerów, kwaterujących we dworze.

Karczmy i stacje pocztowe przy szosie świeciły pustkami; pozabierano z nich nawet drzwi i okna. Liczne mogiły z poczerniałymi krzyżami przypominały nam smutne przejścia 1915 r. I teraz nastrój ducha nie był lepszy, choć wracaliśmy do ojczyzny. Poczucie bezsilności wobec okupantów i poniesione w Rosji porażki na polu organizacji politycznej i wojskowej napełniały serce smutkiem. Nie zdobyliśmy się na wielką solidarność narodową, która mogła zaważyć na tym froncie.

W Bobrujsku nie pozwolono zatrzymywać się przy fortecy i nie chciałem spotkać się ze znajomymi wojskowymi po doznanym zawodzie. Zatrzymaliśmy się u sióstr miłosierdzia przy kościele jedynie po to, żeby odpocząć po dwóch nieprzespanych nocach i kupić świeżego chleba i masła dla dzieci. Pod okupacją niemiecką brak żywności był daleko większy niż u bolszewików. Na pytanie o nią dawano stereotypową odpowiedź: „Wszystko German zabrał". Nawet psy były wygłodzone i zajęły się kradzieżą przy drogach. Przekonałem się o tym na pierwszym noclegu za Bobrujskiem. Obudziwszy się o świcie, znalazłem nasz koszyk z produktami, kupionymi w Bobrujsku, o kilka kroków od wozu, a nieco dalej blaszankę od masła pustą. Widocznie mocno spaliśmy ze Szczepanem pod wozem, jeżeli nie słyszeliśmy, jak wyciągano koszyk, stojący przy naszych głowach. Nie chciałem wierzyć, że to psy zrobiły, bo na dro-

dze nie było ich widać. Dopiero, gdy w poszukiwaniu sprawcy kradzieży, przeszedłem na drugą stronę szosy, zobaczyłem dwa psy, ukrywające się za przydrożnymi topolami. Na mój widok uciekły w pole. Odtąd na noclegach czuwaliśmy na przemian, bo psy mogły wystraszyć i konie: wyglądały jak wilki.

Karawana nasza została rozbita na małe grupy przez napotykane na szosie szlabany, przy których strażnicy niemieccy nie przepuszczali naraz więcej, niż kilka wozów. Przy tym pobierali po 5—10 rubli od tych, którzy chcieli wydostać się z ogonka wcześniej. Nieraz taki postój przy szlabanie trwał kilka godzin, a na noc szlaban zamykano na kłódkę. Nienawiść wygnańców do Niemców z każdym dniem wzrastała. Szczególnie dokuczliwy był ich nadzór sanitarny, np. szczepienie ospy dzieciom, mimo że miały ją niedawno szczepioną. Zdaje się, że robiono to tylko po to, żeby mieć okazję do brania łapówek. Kto nie chciał czekać w ogonku, otrzymywał za rubla (Ostrubel) świadectwo bez szczepienia.

Szczytem znęcania się nad wygnańcami była kwarantanna, urządzona w Siniawce. Każda rodzina musiała przebyć tutaj przynajmniej 3 dni, o ile nie zdołała za pomocą łapówki wcześniej wydobyć się z tego niebezpiecznego obozu. Drewniane baraki, w których trzymano wygnańców, i łaźnia po prostu urągały elementarnym wymaganiom czystości. W środku obozu stał ogrodzony drutem barak z chorymi na tyfus plamisty. Łatwo było dostać się do niego po parodniowym pobycie w zawszonych barakach. Wygnańcy wydobywali ostatnie grosze, żeby uwolnić się od obowiązku wykąpania się w brudnej łaźni. Nie

było do kogo iść ze skargą, bo wszyscy, od posługacza do naczelnego lekarza, stanowili zorganizowaną bandę dla eksploatowania powracających z Rosji. Jeden z posługaczy otwarcie mi powiedział, że lepiej nie skarżyć się, bo można za to dostać się do baraku dla chorych na tyfus. Zacierały się w pamięci okrucieństwa bolszewików pod świeżym wrażeniem tych wyrafinowanych praktyk ludzi, pretendujących do nazwy cywilizowanych. Niemcy mieli serca równie kamienne jak bolszewicy.

Za Siniawką na przestrzeni stu kilometrów nie spotkaliśmy na szosie żywej duszy ani szlabanu niemieckiego. Mogliśmy teraz jechać prędko. Z domów przydrożnych pozostały tylko kominy i ogrody nieuprawne, zarastające krzakami. Pierwszy nocleg w lesie po kwarantannie w Siniawce wydał się prawdziwym rajem. Pogoda znacznie poprawiła się, zaczęły się gorące dnie i noce czerwcowe. Minęło przeszło trzy tygodnie od wyjazdu z Rosławia i zostało jeszcze 400 km do Warszawy. Miałem nadzieję przebyć je w tydzień, jeżeli nie napotkamy nowych przeszkód w postaci szlabanów i stacji sanitarnych. Większość towarzyszących nam wygnańców skierowała się z Siniawki na Słonim i Białystok, w ojczyste strony łomżyńskie. Gromadka nasza składała się teraz z kilku rodzin, trzymających się razem od wyjazdu z Rosławia.

Następny nocleg przypadł w Berezie Kartuskiej, niedaleko od koszar. Przyszło do nas kilku żołnierzy niemieckich, rozpytując o wiadomości z Rosji. Sposób, w jaki wyrażali niezadowolenie z przeciągającej się wojny, i zwalanie całej winy na imperiali-

stów i burżuazję zupełnie przypominały frazeologię bolszewików z czasów bratania się z Niemcami w okopach. Widocznie i tyły niemieckie dojrzewały do rewolucji, ale przy przewrotności Niemców, poznanej na poprzednich etapach, mogła to być z ich strony prowokacja. Dlatego nie odpowiadałem na pytania udając, że nie rozumiem, i naszym radziłem trzymać język za zębami. Niemcy zasmakowali w wymianie towarowej, uprawianej z bolszewikami w okopach, i przyszli do nas z paczkami tytoniu, który okazał się „ersatzem", zrobionym z liści klonowych.

W dalszej drodze do Warszawy nie zaszło nic szczególnego. Po wkroczeniu na teren Kongresówki wypatrywałem objawów pracy państwowo-twórczej, tak zachwalanej przez piotrogrodzkich demokratów i zachowawców. Żadnej władzy polskiej nie napotkałem, natomiast wszędzie była „kaiserliche deutsche Polizei". Na postoje dla wygnańców wyznaczono miejsca, ogrodzone drutem z napisem niemieckim „für Rückwanderers". Przypominały one zagrody dla bydła przy stacjach kolejowych. Unikaliśmy ich jak zarazy i zatrzymywaliśmy się na nocleg tylko w przydrożnych lasach. Biała, Międzyrzec i Siedlce wyglądały jak wymierające miasta i rynki były puste. Pod Mińskiem Mazowieckim Szczepan poprosił o zwolnienie zaraz, bo niedaleko od szosy było jego pięciomorgowe gospodarstwo. Rozstaliśmy się serdecznie, w drodze okazał się prawdziwym przyjacielem.

Za Mińskiem mieliśmy ostatnią przeprawę z Niemcami. Czepił się nas posterunek niemiecki na szosie, że konie nie były znaczone, choć nadawały się dla

wojska. Odpowiedziałem, że wracamy z Rosji i dotąd nikt od nas nie wymagał meldowania koni. Ostatecznie, koni nam nie zabrali, tylko na kopytach wypalili jakieś znaki. Jadąc przez Warszawę, ze zdziwieniem spostrzegłem, że na ulicach nie było żadnych pojazdów, a publiczność zamiast chodnikami chodziła jezdnią i z wielkim zdziwieniem przypatrywała się naszym wozom z budkami. Na Mokotowie wszyscy chodzili w drewnianych trepkach, widocznie i skóry zarekwirowali Niemcy. Zatrzymałem się na podwórzu domu Związku Stowarzyszeń Spożywczych na ul. Grażyny i ulokowałem się z rodziną w sali na drugim piętrze, do czasu odnalezienia mieszkania.

Tak 18 czerwca skończyła się trwająca cały miesiąc pielgrzymka do Polski. Przyjechałem zupełnie ogołocony z pieniędzy, wydanych na łapówki bolszewikom i Niemcom. Pierwszym czynem moim było uproszenie Zygmunta Chrzanowskiego, dyrektora syndykatu rolniczego, żeby jak najprędzej sprzedał moje konie, bo w Warszawie nie było czym ich żywić. Mieszkań wolnych nie brakowało i po paru dniach przeniosłem się na ulicę Puławską pod nr 14.

Dyrektor Związku Mielczarski powitał mnie jak zmartwychwstałego. Myślał, że nie wyjdę żywy z tego piekła rosyjskiego. Przez cały czas pobytu w Rosji nie mogłem skomunikować się z nim. Przed wyjazdem w 1915 r. na posiedzeniu Rady Nadzorczej Związku wręczono mi różne frachty na towary, które nie mogły już przybyć do Warszawy, wobec cofania się wojsk rosyjskich, i polecono zająć się jak najkorzystniejszym spieniężeniem ich w Rosji. Do-

konałem tego przy pomocy Moskiewskiego Związku Stowarzyszeń Spożywczych. Zaraz po przewrocie bolszewickim odebrałem z tego Związku pieniądze i oddałem w Moskwie Pawłowi Górskiemu; w zamian dał mi przekaz na Warszawskie Towarzystwo Ubezpieczeń od Ognia, którego był dyrektorem. Po powrocie do Warszawy oddałem Radzie Nadzorczej Związku przekaz i szczegółowe sprawozdanie rachunkowe. Rada akceptowała rachunki i wyraziła mi, cytuję według protokółu: „bezwzględne uznanie i wdzięczność za gorliwe i pomyślne załatwienie interesów Związku w Rosji“.

W Polsce nie brak złodziei cudzej czci, zwłaszcza gdy chodzi o pognębienie przeciwnika politycznego. Gazety, wysługujące się aktywistom, stojącym po stronie państw centralnych, przede wszystkim „Goniec“, a za nim „Kurier Poranny“, „Nowa Gazeta“ i „Głos“, zamieściły w 1917 r. notatki, posądzające mnie o ucieczkę do Rosji z częścią majątku Związku. Poczciwy Mielczarski kruszył kopie w obronie mojej czci i publicznie wzywał redakcje tych gazet, „by przez szacunek dla siebie samych krzywdę naprawiły“, ale nadaremnie. Niestety dotąd nie znaleziono w Polsce skutecznego środka dla odstraszenia ludzi od tego rodzaju nikczemności.

Ciężką dla mnie stratą była śmierć Abramowskiego, wiernego przyjaciela i doradcy w zagadnieniach społecznych. Umarł w 3 dni po moim powrocie i nie zdążyłem zobaczyć się z nim, bo nikt w Związku nie wiedział, że dogorywał. Szliśmy za jego trumną w niewielkiej gromadce delegatów, przybyłych na zjazd Związku. Było ich bardzo mało w porównaniu

z latami przedwojennymi. Spowodował to podział Kongresówki na dwie okupacje i trudności, stawiane przez Niemców. Dla dostania się do pociągu trzeba było poddać się tak zwanemu odwszeniu albo okupić się łapówką. Myślałem, że ten haracz był nakładany tylko na wygnańców, z dala od nadzoru wyższych władz. Teraz dowiedziałem się, że wszystkie instancje niemieckie uprawiały łapownictwo, a w ważniejszych sprawach za pośredników służyli Żydzi, zawsze wiedzący, komu i ile należy dać.

Mielczarski uprzedził mnie, że niektórzy delegaci wyrazili niezadowolenie z powodu mego udziału w Komitecie Narodowym, a potem w Zjednoczeniu Międzypartyjnym na emigracji. Wobec tego poprosiłem zebranych na zjeździe, aby przez tajne głosowanie zadecydowali, czy mam pozostać na stanowisku dyrektora Związku. Oświadczyłem, że jako obywatel kraju uważałem za swój obowiązek zająć wyraźne stanowisko polityczne, ale nie łączyłem tego ze stanowiskiem dyrektora Związku. Przed głosowaniem delegaci lubelskiego stowarzyszenia odczytali następujące oświadczenie: „Jakkolwiek pod względem osobistej działalności i ofiarności w pracy społecznej nie mamy nic do zarzucenia p. Wojciechowskiemu, to jednak zważywszy: 1) że kooperatywy spożywców mają przyszłość tylko wówczas, gdy opierają się na szerokich masach robotniczych, 2) że ruch ten jest ruchem ekonomicznym klasy pracującej, walczącej o zasadniczą zmianę ustroju społecznego, 3) że p. Wojciechowski zaangażował się w jednym ze stronnictw politycznych, reprezentujących wrogie klasie robotniczej interesy kapitalistyczne,

zmuszeni jesteśmy głosować przeciwko powrotowi p. Wojciechowskiego na stanowisko dyrektora". W głosowaniu 88 głosów oświadczyło się za moim powrotem na stanowisko dyrektora, a 21 — przeciw.

W końcu zjazdu delegacja lubelska oświadczyła, że reprezentowany przez nią kierunek klasowej kooperatywy proletariatu spotkał się z niezrozumieniem ze strony innych delegatów, wobec czego wstrzymuje się od głosowania do Rady Nadzorczej Związku. Była to zapowiedź utworzenia osobnego Związku, wprowadzającego i do organizacji spożycia zasadę klasowości. Dziwnym zbiegiem wypadków Lublin, położony z dala od centrum przemysłowego, stał się siedliskiem pierwszej kooperatywy klasowej, a w parę miesięcy potem — pierwszego rządu socjalistycznego. Nie umiałem tego wytłumaczyć sobie niczym innym, jak tylko wykwitem intelektualizmu, podnieconego zwycięstwem marksizmu w Rosji.

Mielczarski od czasu mego wyjazdu z Warszawy nic się nie zmienił i miał prawo powiedzieć o sobie, „że należy do ludzi, którzy mają gorące serce, ale zimną głowę". Nie zachwiał się w swym przekonaniu, że tylko klęska wojenna Niemiec mogła zapewnić pełne rozwiązanie sprawy zjednoczenia i niepodległości Polski. Dowiedziałem się od niego, że lewica polska wyzbyła się już złudzeń co do zamiarów państw centralnych, ale nie wierzyła w zwycięstwo koalicji i całą nadzieję pokładała teraz w międzynarodowej rewolucji socjalnej, która miała ogarnąć wszystkie państwa wojujące i wyzwolić Polskę razem z innymi ludami. Tak więc rozgorączkowane

przewrotem bolszewickim głowy nawracały do starej koncepcji „Proletariatu“, zapożyczonej od rosyjskiej „Narodnoj Woli“, a pogrzebanej przez nas przed 25 laty. Smutno robiło się na duszy. Za dużo było nie dokształconych inteligentów, gotowych pobudzać lud do naśladowania bolszewików.

Moi towarzysze partyjni ze Związku Zjednoczenia i Niezawisłości Polski, posądzani przez młodocianych adeptów Marksa o reprezentowanie interesów kapitalistycznych, byli jeszcze na emigracji, a mnie samemu, po bezowocnych wysiłkach zjednoczenia emigracji dla walki z Niemcami, odeszła ochota zajmowania się polityką. Wróciłem do pracy w „Społem“, tym bardziej że było jej wiele po wojennych zniszczeniach, materialnych i moralnych. Musieliśmy zwiększyć liczbę lustratorów, by ratować zachwiane stowarzyszenia, wznowić od 1 lipca wydawnictwo popularnego tygodnika i urządzić ogólnokrajowy zjazd z udziałem związkowych i niezwiązkowych stowarzyszeń w celu zjednoczenia wszystkich w jednej organizacji.

Przy tej pracy czas szybko płynął, a poniesioną na emigracji porażkę osładzały nadchodzące z Zachodu wieści o kruszeniu militarnej potęgi państw centralnych. Dnia 4 października Austro-Węgry i Niemcy zwróciły się do prezydenta Stanów Zjednoczonych A. P. Wilsona z prośbą, aby ujął w swe ręce sprawę przywrócenia pokoju na podstawie jego orędzia z dnia 8 stycznia 1918 r. i spowodował natychmiastowe zawieszenie broni. W odpowiedzi ze strony koalicji padły groźne słowa, że zaufanie może wzbudzić tylko szczerze demokratyczny rząd i po-

kój może być zawarty tylko z innymi Niemcami. Dnia 7 października Rada Regencyjna ogłosiła, że postanowiła rozwiązać Radę Stanu, powołać rząd, złożony z przedstawicieli najszerszych warstw narodu, i zwołać sejm ustawodawczy zaraz po opracowaniu ustawy wyborczej.

Ogólnokrajowy zjazd stowarzyszeń spożywczych zebrał się 1 listopada, w dziesiątą rocznicę pierwszego zjazdu. Niemieckie przepustki kolejowe były już zniesione i na zjazd przybyło 540 delegatów z 285 stowarzyszeń. Świtające lepsze jutro zaznaczyło się mocnym tonem przemówień delegatów i uchwał. Zjazd poczerwieniał, mimo to obroniliśmy Związek od narzucenia mu zasady klasowości, propagowanej przez delegację lubelską. Uchwalono, że do Związku mogą należeć stowarzyszenia, odpowiadające następującym warunkom: 1) nie zamykają dostępu nowym członkom, 2) nadwyżkę od zakupów niečłonków przeznaczają na fundusz społeczny, 3) nie dają więcej niż 6% od udziałów i wkładów, 4) przeznaczają przynajmniej 5% budżetu na działalność wychowawczą, 5) nie prowadzą sprzedaży na kredyt ani napojów alkoholowych, i 6) wynagradzają pracowników według norm, ustanowionych przez krajowe związki zawodowe.

Zjazd polecił nam opracować projekt prawa o spółdzielniach, celem przedstawienia go sejmowi, przy czym wypowiedział się przeciwko subwencjonowaniu spółdzielni przez państwo i roztaczaniu nad nimi opieki biurokratycznej. W wytycznych, przyjętych dla tego projektu, nie było mowy o rewizji spółdzielni z zewnątrz, gdyż, jako referent tej sprawy,

zalecałem iść śladem państw zachodnich, nie Niemiec, aby obowiązkowa rewizja nie przerodziła się w zależność związków rewizyjnych od biurokracji. Inne uchwały zjazdu, w sprawie reform aprowizacyjnych i skupiania drobnych stowarzyszeń w wielkie okręgowe z filiami, były wywołane bieżącymi potrzebami i nie okazały się szczęśliwymi: zaczął się niezdrowy ruch zakładania tzw. „cukrowych“ stowarzyszeń, a wielosklepowe spółdzielnie poza miastami okazały się mało żywotnymi wskutek upadku zainteresowania wiejskich członków sklepem, nie od nich bezpośrednio zależnym.

W listopadzie wypadki polityczne zaczęły rozwijać się z zawrotną szybkością. Powołany przez Radę Regencyjną rząd Świeżyńskiego doszedł do porozumienia z ludowcami i socjalistami w sprawie utworzenia „rządu narodowego, w większości swej z przedstawicieli ludu pracującego złożonego“, i 3 listopada wydał odezwę zapowiadającą, że nowy rząd obejmie władzę niepodzielną do czasu zwołania sejmu ustawodawczego. W odpowiedzi na tę odezwę Rada Regencyjna dała dymisję wszystkim ministrom i natychmiast zawiesiła ich w urzędowaniu. Na ulicy Berga, obecnie Traugutta, spotkałem Zygmunta Chrzanowskiego, który w gabinecie Świeżyńskiego był ministrem spraw wewnętrznych. Na pytanie moje, czemu tak spieszy, odpowiedział wesoło: „idę na radę ministrów po rozkaz aresztowania Rady Regencyjnej“. Niestety spotkał go zawód: Świeżyński okazał się słabym człowiekiem i kontrasygnował pisma dymisyjne Rady Regencyjnej, a większości ministrów zabrakło odwagi uczynić krok stanowczy.

Inicjatywa stworzenia nowego rządu przeszła w ręce socjalistów, którzy nie mieli zwyczaju liczyć się ze skrupułami natury prawnej.

Warszawa była jeszcze pod okupacją niemiecką, ale armia austriacka 3 listopada kapitulowała, nie czekając na decyzję swego sojusznika. W Krakowie utworzyła się Polska Komisja Likwidacyjna dla odłączenia Galicji od Austrii, a w Lublinie 7 listopada powstał rząd socjalistyczny pod przewodnictwem Daszyńskiego. W Niemczech, jak w Rosji, przewrót zaczął się wśród marynarzy; za Kilonią, Hamburgiem i Bremą poszły inne miasta i wojska etapowe. Wszędzie powstawały rady ludowe, robotnicze, żołnierskie. Dnia 7 listopada parlamentarze niemieccy na froncie francuskim poprosili o zawieszenie broni. Jednocześnie w całej Rzeszy zaczęła się detronizacja panujących. Dnia 9 listopada kanclerz ks. Badeński, za zgodą wszystkich partii, oddał władzę w ręce socjalisty Eberta. Cesarz Wilhelm uciekł do Holandii. Dnia 11 listopada delegacja niemiecka podpisała podyktowane jej przez Focha warunki rozejmu. Niemcy panicznie bali się wkroczenia nieprzyjaciela na ich terytorium i odwetu za spustoszenia przez nich dokonane. Dlatego tak szybko zmienili się na „inne“ Niemcy i przyjęli ciężkie warunki kapitulacji.

Wiadomość o tym zastała mnie w Lublinie, dokąd przyjechałem w sprawach Związku. Republika lubelska nie wyglądała tak źle, jak Piotrogród i Moskwa po przewrocie bolszewickim. Sklepy były otwarte i na ulicach pełno było spacerującej publiczności, głównie młodzieży. Starsze pokolenie nie odznaczało się odwagą i za byle strzałem uciekało do domu.

Strzelano tylko na wiwat. Powstała milicja ludowa, jak tego wymagał zwyczaj rewolucyjny... Przyglądałem się jej, gdy zaciągała wartę na rogu Szpitalnej i Namiestnikowskiej. Byli uzbrojeni w karabiny, ale młode wesołe twarze wcale nie przypominały ponurych bolszewików. Nie przeczuwałem, że za kilka miesięcy, jako minister spraw wewnętrznych, będę miał dużo kłopotów z nimi: nadawali się do wojska, nie na straż bezpieczeństwa.

Daszyński rezydował w gmachu gubernatorskim. Poszedłem do niego dowiedzieć się, co zamierza dalej czynić. Zastałem go wyrzekającego na Witosa, że wyjechał z Lublina, porzucając proponowaną mu tekę ministra aprowizacji. W dodatku przyszła wiadomość o rozbrojeniu Niemców w Warszawie i przyjeździe Piłsudskiego z Magdeburga. Wobec tego republika lubelska straciła wszelki sens.

Nie łatwo było wracać do Warszawy. Kolej zatarasowały pociągi z powracającymi ze Wschodu wojskami. Na stacji w Dęblinie, po wypędzeniu Niemców, polscy kolejarze energicznie zabrali się do przywrócenia ruchu, ale minęła prawie doba, zanim ruszył pierwszy pociąg pasażerski. Byliśmy nareszcie wolni od więzów obcego panowania, ale tylko na części ziemi polskiej. Zabór pruski był jeszcze w posiadaniu wojsk niemieckich, od południa Ukraińcy nacierali na Lwów, a od wschodu zbliżała się nawała bolszewicka, w której ręce ustępujący Niemcy oddali etapy aż do Bugu. Wojna na Zachodzie skończyła się, u nas zaczynała się.

Wobec grożącego niebezpieczeństwa Rada Regencyjna 14 listopada rozwiązała się i oddała władzę

w ręce Piłsudskiego. Wielka szkoda, że nie uczyniła tego przed 10 dniami, kiedy Głąbiński i Chrzanowski uzyskali zgodę ludowców i socjalistów na utworzenie rządu koalicyjnego. Mielibyśmy już rząd narodowy i mniej zaognione stosunki między stronnictwami. Ciężkie zadanie spadło teraz na Piłsudskiego: być wodzem naczelnym i równocześnie głową państwa, powstającego w niezmiernie trudnych warunkach zewnętrznych i wewnętrznych.

Koniec I tomu.

Załączniki

Od Naczelnego Polskiego Komitetu Wykonawczego

Pierwszy ogólny zjazd wojskowych Polaków w Rosji w dniu 9 (22) czerwca 1917 roku uchwalił wydzielenie się Polaków z armii rosyjskiej w oddzielną siłę zbrojną i dla wykonania tej uchwały powołał z wybranych przezeń członków zjazdu organ wykonawczy i siłą zbrojną polską kierujący. Natychmiast po zjeździe przystąpiliśmy do pracy, żeby wykonać rozkaz zjazdu i złączyć polskich żołnierzy, rozproszonych w armii rosyjskiej, w odrębną siłę zbrojną z własnym dowództwem i z własną polską komendą. Wiedzieliśmy z góry, że praca nasza łatwą nie będzie, że na drodze pracy liczne nam będą stawiane przeszkody. Już na zjeździe część delegatów zerwała jedność obrad i zgodę: nie uznała wybitnej większości zjazdu i w sojuszu z wrogimi dla narodu polskiego żywiołami prowadziła występną robotę przeciw zapoczątkowanym formacjom polskim. Stanowisko ówczesnego rządu rosyjskiego w stosunku do Polaków od pierwszej chwili również było nieszczere. Rzeczywistość jednak okazała się wkrótce gorszą od najdalej idących przewidywań. Rząd rosyjski dał na papierze prawo formowania I korpusu polskiego, lecz równocześnie i rząd, i władze rosyjskie czyniły wszelkie utrudnienia, chcąc żołnierzy polskich utrzymać w szeregach rosyjskich i nie dać się im zjednoczyć w zbrojnej sile polskiej. Jednocześnie agitatorzy rozbrajali i odstręczali żołnierzy polskich od wstępowania do korpusu polskiego, nie szczędząc pod adresem naczelnego dowództwa i istniejących już oddziałów oszczerstw i potwarzy. Wrogowie sprawy polskiej zgodnie sobie ręce podali i przeciwstawili

się woli żołnierzy polskich za to: że żołnierz polski poczuł się synem niepodległej Polski, że nie chciał już nadal, jak niewolnik, w obcym wojsku służyć, że z własnej ochoty spieszył do rodzinnych oddziałów. Agitatorzy posłani przez tych, co nie mają w sercu miłości ojczyzny, jeno zawiść i sprawę partyjną, rzucili na polską siłę zbrojną podłą potwarz, że hasła wolności i postępu są jej obce, głosili, że jest kontrrewolucyjną. Nic nie pomogło tłumaczenie, że my, Polacy, nie mieszamy się do spraw rosyjskich, że nam wszystko jedno, kto Rosją rządzi, bo my jesteśmy żołnierzami Polski, a nie Rosji, i tylko jednego chcemy — by się do nas rządy rosyjskie nie wtrącały tak, jak my się nie mieszamy do spraw narodu rosyjskiego, wierni zasadzie samookreślenia narodów. Z dniem każdym robiono coraz większe utrudnienia polskim oddziałom. Pomimo jednak tych wszystkich przeciwności, sformował się pierwszy korpus, formuje się obecnie drugi, jako też łączą się Polacy w osobne oddziały na Ukrainie. Nie jest jeszcze formowanie polskiej siły zbrojnej ukończone, ani nie zebrało się w korpusach polskich tylu żołnierzy, wieleśmy się spodziewali na początku naszej pracy. Może inni, bardziej zdolni ludzie potrafiliby więcej i lepiej od nas zrobić. Nam przypadło w udziale budować podwaliny polskiej siły zbrojnej na ziemi od trzęsienia rozkołysanej, otrzymać środki od państwa, które się w gruzy sypało, a żaden aparat państwowy sprawnie nie pracował.

Sąd o tym, czyśmy swój obowiązek należycie spełnili, czyśmy uczynili wszystko, co w morzu anarchii rosyjskiej uczynić było można — wyda rząd niepodległej Polski, dla której jedynie siłę zbrojną polską tworzyć nam kazano. Wszakże znać to musi każdy, że w okolicznościach, w których cała armia rosyjska rozprzęgła się i, opuściwszy front, podzieliła się na wojska różnych partii, bratobójcze wiodących ze sobą walki, oraz wbrew niektórym polskim odłamom społecznym, nie przebierającym w środkach, w kontragitacji, obałamucaniu i zastraszaniu, kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy polskich zostało zjednoczonych w forma-

cje polskie, z prawdziwym wojskowym porządkiem pod jednym hasłem miłości ojczyzny, zgody narodowej, braterstwa i jedności wszystkich Polaków, bez różnicy stanów i partii.

Przez samo swe zorganizowanie się i istnienie w warunkach ogólnego rozkładu, tych kilkadziesiąt tysięcy wojsk polskich podnosi powszechny szacunek dla imienia polskiego. Ale też dlatego nieprzyjaciele narodu polskiego dokładają wszelkich starań, ażeby zniszczyć formacje polskie. Odkąd rosyjscy komisarze ludowi rozpoczęli układy pokojowe z Niemcami, nie ma dnia bez jakiejś na wojska polskie napaści, bez zarządzeń, wymierzonych przeciwko formacjom polskim.

Armia rosyjska rozpadła się na części. Nie ma w niej powszechnie uznanego dowództwa, nie ma rządu, którego by usłuchała cała Rosja. Są tylko partie i odrębne ziemie i kraje w ciągłej ze sobą wojnie. I każda partia, i każda ziemia chciała przeciągnąć formacje polskie na swoją stronę, a gdy się wojska nasze nie dają użyć dla ich celów, pomne, że jedynie sprawie zjednoczonej i niepodległej Polski służyć mają, wtedy wypowiada się im walkę bezwzględną. Napaści na oddziały nasze, rozbrajanie siłą słabszych jednostek, uwłaczanie godności żołnierza polskiego, chęć przerobienia siły zbrojnej polskiej na nic wartą modłę swoją i odmówienie wojskom naszym środków do życia — postawiły polską siłę zbrojną w nad wyraz krytyczne położenie. Nie ma tej władzy w państwie rosyjskim, do której by się można było zwrócić w wyżej pomienionych sprawach, od której przyjąwszy rozkazy — formacje polskie nie stawałyby przez to samo do walki z inną częścią ludu rosyjskiego czy też jakimś krajem autonomicznym. A przecież wojsko musi mieć władzę, co o całość jego dbać będzie, wszystkimi jego częściami według jednego planu zarządzać, gdziekolwiek będą się one znajdowały, bo wszystkie one stanowią jedną polską siłę zbrojną.

Nie można dopuścić, by siła zbrojna polska wciągnięta była w walki partii rosyjskich, spotkałby ją dobrze znany

los pułku biełgorodzkiego. Nie można dopuścić, by jednym oddziałom dawali rozkazy bolszewicy, innym Ukraińcy, a innym jeszcze władze frontu rumuńskiego.

Na to jest tylko jeden sposób: ustalić zupełną samodzielność i niezależność polskiej siły zbrojnej, która tylko swego polskiego dowództwa i swojej władzy wojskowej słuchać będzie i od nikogo obcego żadnych rozkazów nie przyjmie. Ustalić tę samodzielność i niezależność siły zbrojnej, ustalić jednolite dowództwo nad wszystkimi oddziałami polskimi na ziemiach dawnego państwa rosyjskiego, ustalić niezależną od jakichkolwiek obcych rządów władzę, jedynie uprawnioną do rozkazywania wojskom polskim — to najświętszy nasz obowiązek.

W poczuciu pełni odpowiedzialności, którą włożył na nas ogólny zjazd wojskowych Polaków, zważywszy, że w dobie tak groźnej dla polskiej siły zbrojnej władza, która nią rządzić będzie, musi być silną, nieliczną i przez to sprężystą w działaniu i rozkazach, lecz pomna zawsze linii wytycznej, przez Naczelny Komitet przestrzeganej, wybraliśmy spośród siebie ludzi najlepszych i jako członków N. P. K. W. najbardziej uprawomocnionych sukcesorów tej władzy, ponieważ stworzyć władzę taką z przedstawicielami cywilnego społeczeństwa polskiego, pomimo prób wielokrotnych, dla dobra sprawy polskiej siły zbrojnej nie udało się.

Z mocy jeneralnego pełnomocnictwa, przez zjazd nam danego, niniejszym przelewamy władzę naszą nad wszystkimi polskimi formacjami wojskowymi na „Radę Naczelną Polskiej Siły Zbrojnej“, do której powołujemy: Władysława Raczkiewicza, Macieja Jamontta, Andrzeja Tupalskiego, Stanisława Jakowickiego, Lucjana Żeligowskiego oraz jenerała porucznika de Henning Michaelisa.

Rada Naczelna Polskiej Siły Zbrojnej będzie jedyną władzą wojska polskiego aż do chwili, kiedy rząd niepodległej Ojczyzny naszej tę władzę przyjąć od niej postanowi.

Radzie Naczelnej Polskiej Siły Zbrojnej dajemy prawo kooptowania członków, których ona do współpracy swej

ku chwale Ojczyzny i dla pożytku polskiej siły zbrojnej powoła.

Po raz ostatni, jako Naczelny Polski Komitet Wojskowy, zwracamy się do całego społeczeństwa wojskowego i cywilnego z wezwaniem, by, czytając niniejszą odezwę, dobro sprawy naszej ojczystej na równi z nami pojęło, by szło z pomocą życiem i mieniem polskiej sile zbrojnej, tym bardziej teraz, gdy jej na odsiecz iść potrzeba, pomne, że łącznością silni, miłością braterską ogrzani, z zaparciem się siebie budujemy świetlaną przyszłość Ojczyzny naszej zjednoczonej i niepodległej.

30 (17) stycznia 1918 r.

Układ Rady Naczelnej P. S. Z. z Radą Polską Z. M.

Rada Naczelna P. S. Z. wchodzi w układ z Radą Polską Zjednoczenia Międzypartyjnego, mocą którego:

a) Rada Polska Z. M. zobowiązuje się dostarczać środki finansowe, potrzebne dla organizacji, rozwoju i utrzymania polskich sił zbrojnych;

b) bierze na siebie zapewnienie polskim siłom zbrojnym samodzielności i niezależnego od obcych organów rządowych stanowiska.

Z tego tytułu:

1) Rada Polska Z. M. ma przy Radzie Naczelnej P. S. Z. dwóch przedstawicieli, którzy biorą udział we wszystkich posiedzeniach Rady Naczelnej P. S. Z.

2) Na czele wydziału skarbowości i kontroli finansowej Rady Naczelnej P. S. Z. staje jeden z delegatów Rady Polskiej Z. M.

3) Rada Naczelna P. S. Z. załatwia swe stosunki z wszelkimi obcymi organami rządowymi w stałym porozumieniu z Radą Polską Z. M., zatem: a) jeden z delegatów Rady Polskiej Z. M. bierze stale udział w pracach wydziału politycznego Rady Naczelnej P. S. Z.; b) wszelkie wystąpienia Rady Naczelnej P. S. Z., wiążące się z polityką zewnętrzną, są wspólnie dokonywane przez kierownika wy-

działu politycznego Rady Naczelnej P. S. Z. łącznie z jednym z delegatów Rady Polskiej Z. M., c) na terenach działania upełnomocnionych przedstawicieli Rady Polskiej Z. M. wystąpienia Rady Naczelnej P. S. Z. w sprawach, wiążących się z polityką zewnętrzną, prowadzone są zawsze łącznie z tymiż upełnomocnionymi przedstawicielami Rady Polskiej Z. M.

Kijów, 31 (18) stycznia 1918 r. Podpisali: Wł. Raczkiewicz, Jerzy Zdziechowski, J. Bartoszewicz, M. Jamontt, Stanisław Jakowicki, St. Grabski.

Odezwa Rady Naczelnej Polskiej Siły Zbrojnej

Naczelny Polski Komitet Wojskowy, wybrany przez powszechny zjazd wszystkich wojskowych Polaków, postanowił, że w obecnych okolicznościach, gdy nie ma w Rosji rządu ani dowództwa ogólnie uznanego, a są tylko partie i ziemie w ciągłej między sobą wojnie, zbrojna siła polska musi mieć niezależną polską władzę, by od niej tylko oraz mianowanego przez nią dowództwa polskiego otrzymywać rozkazy, i do objęcia tej władzy nad wszystkimi wojskami polskimi po tej stronie kordonu wojennego powołał Radę Naczelną Polskiej Siły Zbrojnej.

Biorąc w swe ręce władzę, do objęcia której powołał nas z mocy swych mandatów Naczelny Polski Komitet Wojskowy, stanęliśmy od razu przed koniecznością zapewnienia zbrojnej sile polskiej całkowitego jej utrzymania, którego nierząd rosyjski zupełnie ją pozbawił. Wobec ogromu potrzebnych ku temu środków, trudności zdawały się nie do przezwyciężenia. W tym nad wyraz trudnym położeniu przyszła z pomocą Rada Polska Zjednoczenia Międzypartyjnego, która od pierwszej chwili szczerze i gorąco popierała sprawę polskich formacji wojskowych. Zapewniła ona dostarczenie potrzebnych dla utrzymania i rozwoju wojsk polskich środków, gwarantując jednocześnie zupełną niezależność polskiej siły zbrojnej od jakichkolwiek obcych czynników. Z tego tytułu weszliśmy w stałe porozumienie z Radą Polską Zjednoczenia Międzypartyjnego,

która do Rady Naczelnej Polskiej Siły Zbrojnej delegowała swych przedstawicieli, a czując cały ogrom odpowiedzialności, którą bierzemy w dobie obecnej, tak trudnej, a zarazem tak doniosłej dla przyszłości zmartwychwstającej Ojczyzny, postanowiliśmy powołać w najbliższym czasie do współpracy w Radzie Naczelnej Polskiej Siły Zbrojnej szereg mężów wybitnych, cieszących się zaufaniem wojska i społeczeństwa polskiego.

Żołnierze Polacy!

Od dnia dzisiejszego jesteście żołnierzami niezależnej siły zbrojnej.

Służyć będziecie tylko Ojczyźnie naszej polskiej — nikomu obcemu.

Obecnie jedyną nad wami władzą jest Rada Naczelna Polskiej Siły Zbrojnej, jedynym celem, do którego ona prowadzi, jest niepodległość zjednoczonej Polski.

Dowództwo nad wami Rada Naczelna Polskiej Siły Zbrojnej składa w wypróbowane ręce jenerała Józefa Dowbór Muśnickiego.

Odradzająca się Ojczyzna wzywa was, żołnierze polscy, do wielkiej i świętej sprawy wyzwolenia całego Narodu Polskiego. Od was, od waszej wytrwałości na wszelkie przeciwieństwa i waszego męstwa zależy los Polski. Nikt z was nie poskąpi Ojczyźnie trudów albo znojów, aby stało się wreszcie to, o co Naród Polski od stu lat z górą modlił się i walczył, by zaświtała nad ziemią polską Wolność i w wyniku tej strasznej wojny powstała Polska niepodległa i potężna, jak przed wieki.

4 luty 1918 r.

Rada Naczelna Polskiej Siły Zbrojnej.

Depesza jenerała Józefa Dowbór Muśnickiego do jenerała von Hoffmana

Brześć Litewski. Jego Ekscelencji jenerałowi von Hoffmanowi.

Polski korpus chwilowo okupował trójkąt Rohaczów — Żłobin — Bobrujsk z twierdzą. Byliśmy zmuszeni do tego

z powodu niemożliwych warunków, w jakie nas postawił Krylenko. Chciał on i chce nas zmusić, abyśmy wprowadzili komitety pułkowe oraz dowództwo z wyborów, tj. porządki, jakie egzystują w armii rosyjskiej. My na to zgodzić się nie możemy. Z rozkazu Krylenki dużo polskich oddziałów wojskowych zostało w zdradziecki sposób napadniętych, przy czym zginęło dużo polskich żołnierzy. Z jego rozkazu cofnięte zostały wszelkie środki aprowizacji dla polskiego korpusu. Będąc obywatelami powstałej niepodległej Polski, uznajemy jako jedyną najwyższą władzę naszą Radę Regencyjną w Warszawie, której rozkazy bezwzględnie przez nas wykonane będą. Wobec tego prosimy Waszą Ekscelencję umożliwić nam wysłanie naszej delegacji do Warszawy dla porozumienia się z Radą Regencyjną. W razie gdyby wysłanie delegacji do Warszawy było możliwym, prosimy o przedsięwzięcie odpowiednich kroków, aby u władz rosyjskich w Brześciu otrzymać zapewnienie, że polska delegacja będzie miała zapewniony dojazd do Brześcia. Oczekujemy z niecierpliwością odpowiedzi Waszej Ekscelencji.

Na wszelki wypadek prosimy o danie rozkazu ustawienia stacji korpusowej telegrafu iskrowego w pobliżu okopów niemieckich, abyśmy mogli z naszej strony dla łączności postawić odpowiednią stację.

6 lutego (24 stycznia) 1918 r.

Jenerał porucznik Józef Dowbór Muśnicki.

Komunikat Rady Polskiej Z. M.

Rada Polska Zjednoczenia Międzypartyjnego podaje do publicznej wiadomości oświadczenie, złożone przez jej przedstawiciela dowódcy pierwszego korpusu polskiego jen. Dowbór Muśnickiemu oraz przedstawicielowi b. Naczelnego Komitetu Wojskowego, Raczkiewiczowi.

Do p. jenerała Dowbór Muśnickiego

List otwarty.

Na skutek umowy Rady Naczelnej Polskiej Siły Zbrojnej z Radą Polską Zjednoczenia Międzypartyjnego zostałem delegowany do Bobrujska, jako przedstawiciel Rady Polskiej w Radzie Naczelnej P. S. Z.

Po kilkudniowym pobycie na zasadzie dokładnych informacji i dowodów stwierdzam, że:

1. nie zmuszony okolicznościami i wbrew idei, dla której wojsko polskie stworzone było, zawiązał Pan bezpośrednie stosunki z dowództwem niemieckim bez porozumienia się i rady miarodajnych czynników społeczeństwa polskiego i prowadzisz je w sposób uchybiający godności narodowej;

2. pertraktacje Pana, dotyczące spraw o charakterze narodowo-politycznym, dają pozory, że naród polski na terenie wschodniego frontu przeszedł do obozu niemieckiego wbrew prawdzie i postawie kraju;

3. korzystając z posłuchu w wojsku i poparcia, które Panu „na wiarę“ użyczyło społeczeństwo polskie, uzurpujesz Pan sobie władzę polityczną nad wojskiem, nie mając przy tym, jako osoba luźnie związana ze społeczeństwem, odpowiednich do sprawowania tej władzy kwalifikacji;

4. kierunku działania, jaki Pan dał I korpusowi polskiemu w stosunku do wrogów, nie może Pan tłumaczyć krwawym konfliktem z bolszewikami, który można było zlikwidować, gdyby Pańskie osobiste stanowisko dało się w tej sprawie wyeliminować. Wszelkie propozycje w tej mierze odrzucił Pan z oczywistą szkodą dla sprawy polskiej.

Wobec powyższego w imieniu tej znacznej części społeczeństwa polskiego, którą mam zaszczyt reprezentować, a która od początku wojny stale w najtrudniejszych warunkach popierała tworzenie się wojsk polskich po tej stronie frontu i stale użyczała poparcia dowództwu nad wojskiem, oświadczam, że nadużył Pan, Panie Jenerale,

zaufania i że dalsze pozostawanie Pańskie na czele I korpusu polskiego będzie poświęceniem sprawy publicznej interesom osobistym Pańskim.

Bobrujsk, 24 lutego 1918 r.

Jerzy Zdziechowski.

Do prezesa b. Naczelnego Komitetu p. Władysława Raczkiewicza.

List otwarty.

Uważając, że w tych trudnych warunkach, w jakich pozostawały formacje wojskowe polskie w styczniu 1918 r., wobec rozprószenia ich i wrogiego do nich stosunku rządu komisarzy ludowych, stworzenie władzy kierującej sprawami wojska i odpowiedzialnej za jego polityczną postawę jest rzeczą pierwszorzędnej wagi, Rada Polska Zjednoczenia Międzypartyjnego dołożyła wszelkich strań, by drogą układów i perswazji doprowadzić do stworzenia takiej władzy w postaci Rady Naczelnej Polskiej Siły Zbrojnej, co uskutecznione zostało przez rozwiązanie Naczelnego Komitetu Wojskowego w Kijowie dnia 4 lutego na ogólnym zebraniu członków Komitetu i powołanie Rady Naczelnej, której odezwa ogłoszona została tegoż dnia.

Stosownie do porozumienia, które nastąpiło między Radą Naczelną Polskiej Siły Zbrojnej i Radą Polską, ta ostatnia miała delegować do Rady Naczelnej 2 swych przedstawicieli. Wobec groźnej sytuacji, w jakiej znalazł się I korpus polski, otrzymałem polecenie od Komitetu Wykonawczego Rady Polskiej wyjazdu do korpusu w charakterze przedstawiciela Rady Polskiej w Radzie Naczelnej P. S. Z. Ze względu na wyjątkowe warunki otoczenia I korpusu otrzymałem najszersze pełnomocnictwa Rady Polskiej do działania i występowania w jej imieniu.

Przedostawszy się do I korpusu po kilkudniowym tam pobycie przyszedłem do przekonania, że Rady Naczelnej P. S. Z. nie ma, albowiem nieobecni w Kijowie członkowie Naczelnego Komitetu jej nie uznając, przeszkadzali ogłoszeniu jej odezwy w rozkazach do wojska i działają dalej na własną rękę w imieniu Naczpolu, nie zważając na jego

rozwiązanie się. Ponieważ Pan ten stan rzeczy uważa za możliwy do przyjęcia i tym samym uznaje, że ani Pan, ani Pana koledzy z N. K. W. nie zdawali sobie sprawy, że nie mają widocznie mandatów do rozwiązywania Naczpolu i tworzenia Rady Naczelnej — zmuszony jestem skonstatować, że w sprawach tak wysokiej wagi Panowie okazali zdumiewającą lekkomyślność.

Brak w tak krytycznej chwili władzy nad wojskiem, wyłonionym ze społeczeństwa polskiego, oddaje całkowicie korpus w ręce jenerała Dowbór Muśnickiego i stwarza warunki do uzurpowania sobie reprezentacji politycznej wojska polskiego. Skutki takiego stanu rzeczy nie omieszkały się uwydatnić w sposób równie jaskrawy, jak zgubny dla sprawy polskiej.

Wiadomo Szanownemu Panu, że jenerał Dowbór Muśnicki wbrew zasadniczej idei, dla której wojsko, oddane pod jego komendę, było stworzone, ośmielił się zawiązać stosunki bezpośredniego komunikowania się z niemieckim dowództwem w sposób uchybiający godności narodowej, wszedł z nim w rokowania o charakterze narodowo-politycznym i popełnił cały szereg innych czynów, możliwych tylko przy braku nad nim zwierzchniej władzy. Czyny te stwarzają pozory, że naród polski na terenie wschodniego frontu przeszedł do obozu niemieckiego, co jest niezgodne z prawdą i postawą kraju. Sytuacja taka jest wynikiem taktyki Naczelnego Komitetu, jego bezczynności, jego braku decyzji w najważniejszych momentach, powierzania odpowiedzialnych stanowisk ludziom przygodnym, bez odpowiednich kwalifikacji, a także faktu, że istnienie Naczpolu, posiadającego pozory władzy, uniemożliwiło społeczeństwu wytworzenie istotnej władzy nad wojskiem polskim.

W tych warunkach przy braku istotnych chęci ze strony Naczelnego Komitetu do zmian, które mogłyby uratować korpus dla sprawy polskiej i które Panu przedkładałem, uważam za niemożliwe dalsze moje z Panem współpracownictwo, zaś umowę Rady Polskiej z Radą Naczelną P. S. Z. za zerwaną przez Pana.

Bobrujsk, 24 lutego 1918 r.

Jerzy Zdziechowski.

Rada Regencyjna Królestwa Polskiego

do dowódcy I korpusu polskiego jenerała Dowbór Muśnickiego.

W dniu 4 marca 1918 r. delegacja od dowództwa I korpusu wojska polskiego, wyodrębnionego z wojsk rosyjskich, złożona z pułkownika Edwarda Malewicza i porucznika Witolda Szebeki, oraz delegacja Naczelnego Polskiego Komitetu Wojskowego, przekształconego 30 stycznia 1918 r. w Naczelną Radę Polskiej Siły Zbrojnej, złożona z pułkownika Andrzeja Tupalskiego i porucznika Władysława Raczkiewicza, stawiły się przed Nami, Radą Regencyjną i oświadczyły, że się poddają pod władzę i pod rozkazy Rady Regencyjnej, Najwyższej Władzy Państwowej w powstającym Państwie Polskim.

Rada Regencyjna przyjmuje to oświadczenie z najwyższym uznaniem dla I korpusu wojska polskiego i dla jego dowództwa, które kierowane rozważnym patriotyzmem wytrwały w karności wojskowej i chcą służyć sprawie polskiej jak najspieszniej i najskuteczniejszymi środkami.

Opierając się na swej odezwie do wojska polskiego, ogłoszonej w dniu 15 lutego 1918 r., i na powyżej powołanych oświadczeniach, Rada Regencyjna obejmuje zwierzchnią władzę nad I korpusem wojska polskiego i oddaje go pod Pańskie Dowództwo.

Jednocześnie Rada Regencyjna zawiadamia pana Jenerała, że delegaci Naczelnej Rady Polskiej Siły Zbrojnej pismem z 4 marca 1918 r. oznajmili nam, iż składają władzę swoją nad formacjami wojskowymi polskimi na Białej Rusi i Ukrainie w ręce Rady Regencyjnej. Przyjąwszy to oświadczenie, obejmujemy polityczny kierunek nad I korpusem wojska polskiego sprawowany dotychczas przez Naczelną Radę i w najkrótszym czasie, po porozumieniu się z właściwymi władzami okupacyjnymi Cesarsko-Niemieckimi, zamianujemy Komisarza Rady Regencyjnej przy pozostającym pod dowództwem pana Jenerała wojsku.

Dajemy upoważnienie panu porucznikowi Władysławowi Raczkiewiczowi, aby w imieniu Rady Regencyjnej wstą-

pił w porozumienie z polskimi formacjami wojskowymi, znajdującymi się na Ukrainie, w celu możliwego skoordynowania wspólności wojskowej. Zechce pan Jenerał udzielić p. Raczkiewiczowi ze swej strony potrzebnych informacji.

Prosimy Boga, aby zachował wojsko polskie i jego dowództwo w swej przemożnej opiece, aby cnoty wojskowe polskie stały się podwaliną naszej państwowej przyszłości.

W Warszawie, 6 marca 1918 r.

Ks. Aleksander Kakowski Arcybiskup
Józef Ostrowski
Zdz. Lubomirski

Drugi list Rady Regencyjnej do Muśnickiego

Warszawa, dn. 10 maja 1918 r.

Powołując się na załączone pismo urzędowe Jenerała Pułkownika Bezelera, komunikujące nam zmianę decyzji Głównej Kwatery Niemieckiej, w sprawie naszego udziału w decyzjach natury politycznej, zawiadamiamy Waszą Ekscelencję, że od dnia dzisiejszego Pan Jenerał Radzie Regencyjnej Królestwa Polskiego nie podlega, a I korpus od złożonej przysięgi zostaje zwolniony.

Wszelkie układy dalsze z władzami niemieckimi Pan Jenerał musi prowadzić samodzielnie, kierując się nie tylko względami na własny korpus, ale przede wszystkim na interes narodowy.

W interesie narodowym zaś leży, by pomimo wszystkiego, co zaszło, a tak niezmiernie utrudnia położenie, do ostrego konfliktu nie dopuścić.

Polecając Pana Jenerała i podległe mu bohaterskie wojsko opiece Boskiej, zapewniamy Go o niezmiennej naszej życzliwości.

Ks. Aleksander Kakowski Arcybiskup
Zdz. Lubomirski
Józef Ostrowski

List jen. Bezelera do Rady Regencyjnej (w przekładzie).

Generał Gubernator Nr 1257/18

Warszawa, 8 maja 1918 r.

Dodatkowo do mojej odezwy z dn. 3 bm. mam zaszczyt zakomunikować Dostojnej Radzie Regencyjnej, że wskutek godnego żalu zachowania się rządu polskiego w Kijowie, Zwierzchnie Dowództwo Naczelne nie może nadal uznawać prawa Dostojnej Rady Regencyjnej do współdziałania w decydowaniu politycznym kwestii wojskowych. Bezpieczeństwo naszych wojsk, wciąż jeszcze walczących na wschodzie, wymaga bezwarunkowo, żeby na tyłach nie było obcych oddziałów wojskowych, utworzonych z części składowych rozformowanej armii nieprzyjacielskiej, które nie poddają się bez zastrzeżeń niemieckiemu dowództwu naczelnemu. To zrozumiałe samo przez się wymaganie wojskowe stoi w rażącej sprzeczności do zawartego w liście p. Prezesa Ministrów z dn. 30 z. m. żądania, mającego najcięższe następstwa, aby oddziały wojskowe polskie, wydzielone z armii rosyjskiej, poddały się bezwarunkowo Dostojnej Radzie Regencynej i słuchały tylko Jej rozkazów. Takie pojmowanie współpracownictwa w kwestiach wojskowych nie może być tolerowane już z zasadniczych względów wojskowych, mianowicie ze względu na jednolitość dowództwa; przeczy ono również zasadniczym liniom wytycznym patentu z dn. 12. 9. 17.

Na zasadzie zmienionego stanu rzeczy od jenerała Dowbór Muśnickiego zażąda się oświadczenia, że wraz ze swoim korpusem uznaje bezwarunkowo niemieckie dowództwo naczelne. Następnie będzie zawarta umowa z I korpusem polskim, jako z wojskiem neutralnym, dla rozszerzenia umów bobrujskich. Dostojnej Radzie Regencyjnej nie może być jednak przyznany bezpośredni w tym udział.

v. Bezeler.

Umowa z dowództwem niemieckim z dn. 21 maja 1918 r.

1) I korpus polski podporządkowuje się bezwarunkowo rozkazom Oberost. Oberost oddaje korpus pod komendę X armii.

2) I korpus polski podlega zupełnemu rozformowaniu i nie ma udziału w tworzeniu kadrów polskiej siły zbrojnej.

3) Radzie Regencyjnej nie przyznaje się żadnych praw odnośnie do I korpusu polskiego. Wszelkie stosunki pomiędzy korpusem i Radą Regencyjną są wzbronione.

4) Werbunek do I korpusu polskiego jest wzbroniony. Należy natychmiast odwołać wszystkich przedstawicieli I korpusu polskiego, wysłanych na zewnątrz, szczególnie komendy w Kijowie, Iskoroście, Sarnach i Równem.

5) Rozformowanie I korpusu polskiego powinno się zaraz rozpocząć. Ma się ono prowadzić z taką szybkością, na jaką pozwalają stosunki transportowe i regulowanie zwalniania. Wskazówki, dotyczące rozformowania i zwalniania, będą dane przez Oberost w porozumieniu z Gen. Gubernatorstwem Warszawskim i z Wojskowym Gen. Gubernatorstwem Lubelskim jenerał porucznikowi Dowbór Muśnickiemu, który jest odpowiedzialny za ich wykonanie. Rozformowanie będzie sprawdzane przez komendy nadzorcze X armii.

6) Należący do I korpusu polskiego będą zwolnieni do miejsc, skąd pochodzą. Wszystka broń, należąca do I korpusu polskiego, oraz cały materiał wojskowy przed odjazdem do kraju ma być oddany za pokwitowaniem komendom odbiorczym X armii. Niemieckie dowództwo naczelne pozostawia sobie prawo decyzji w kwestii użycia broni i materiału wojskowego.

7) Konie przechodzą w posiadanie niemieckiego dowództwa naczelnego; wartość ich będzie zwrócona I korpusowi polskiemu. Osiągnięta tą drogą suma będzie zaliczona na opłacenie rekwizycji, dokonanych przez I korpus polski. Konie będą oszacowane przez komisję mieszaną, złożoną z 2 oficerów niemieckich i 2 polskich i z przewodniczącego ze strony niemieckiej.

8) Terytorium, wyznaczone dla I korpusu polskiego, będzie zajmowane przez wojska niemieckie w miarę potrzeby. Przeprawy przez Dniepr będą obsadzone natychmiast przez oddziały niemieckie.

9) Granice terytorium, przeznaczonego dla rozlokowania I korpusu polskiego, będą zastosowane do granic admi-

nistracyjnych (granic powiatów). Zmniejszanie terytorium będzie się odbywało z rozporządzenia A. O. K. X w miarę zmniejszania liczebności korpusu.

10) Zabrania się I korpusowi polskiemu przekraczać granicę rejonu rozlokowania i linię demarkacyjną bez upoważnienia władz niemieckich.

11) Kraj, oddany I korpusowi polskiemu, powinien być administrowany według linii wytycznych, które będą wskazane przez A. O. X, i pod zwierzchnim dozorem niemieckim.

12) Władze niemieckie rozporządzają wszystkimi zapasami, o ile nie są one potrzebne dla wyżywienia I korpusu polskiego. Decyduje o tym władza niemiecka. Znajdujące się w kraju konie są do dyspozycji władz niemieckich.

13) I korpusowi polskiemu zabrania się sprzedaży koni, materiału wojennego, surowców i żywności.

14) Należy zapłacić mieszkańcom za wszystkie zapasy i żywność, zarekwirowane po 3 marca.

15) Żegluga, wszystkie statki i urządzenia żeglugowe oraz policja rzeczna na Berezynie i Dnieprze przechodzą do rąk niemieckich.

16) I korpus polski zobowiązuje się nie prowadzić żadnej działalności politycznej na wydzielonym terytorium, szczególnie zaś nie przedsiębrać żadnych prób polonizacji i nie nadawać charakteru polskiego urządzeniom społecznym, jak kościół i szkoła.

17) Znoszą się udogodnienia pod względem urlopów i poczty.

18) Odrzucenie, zmiana lub niedotrzymanie warunków pociąga za sobą przymusowe rozbrojenie i zabranie do niewoli.

Przedstawiciel I kor. pol. A. Karnicki, jen. podpor.
(patrz. załącz.).

Przedstawiciel Naczelnego Wodza wschodu
von Bredow, jen. por.

Przedstawiciel Gen. Gub. jen. pułk. v. Bezelera
v. Wussow, kapitan.

Na życzenie jen. Karnickiego dodaje się, co następuje: Pieniądze uzyskane za konie, co do których można udowodnić, że stanowią własność oficerów i ochotników, będą naturalnie wypłacone właścicielom. Nie można jednak uznać za własność osobistą więcej, jak 700 koni.

Załącznik: Zważając na otrzymaną na posiedzeniu kategoryczną wskazówkę co do §§ 18 umowy, a mianowicie, że żadna zmiana warunków nie jest dopuszczalną i że takowe winny być w całości w przeciągu 6 godzin przyjęte lub odrzucone, dowództwo I korpusu polskiego zostaje zniewolonym, ulegając przemocy i dla uniknięcia przelania krwi, a także powodując się dyrektywami, zawartymi w piśmie Najdostojniejszej Rady Regencyjnej z dnia 10 maja 1918 r., podpisać warunki, postawione I polskiemu korpusowi ze strony niemieckiej w dniu 21 maja 1918 r.

Mińsk, 21 maja 1918 r.

Jenerał podporucznik Karnicki, pełnomocnik dowódcy I polskiego korpusu.

Spis treści.

KSIĄŻNICA · ATLAS